

**nr 4 (21)
jesień 1998**

**Rok VI
ISSN 1231-5451**

SCRIPTORES SCHOLARUM

**Kwartalnik
uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół**

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores Scholarum” jest jedną z form programu edukacyjnego „Pamięć – Miejsce – Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Koordynator programu edukacyjnego: Marcin Skrzypek.

Wydawca: „Brama Grodzka – Teatr NN”; Stowarzyszenie „Brama Grodzka”.

Dyrektor Ośrodka: Tomasz Pietrasiewicz.

Adres wydawcy i redakcji: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”; Stowarzyszenie „Brama Grodzka”, ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin, tel. (0-81) 532-58-67; fax. (0-81) 534-61-10; e-mail: scriptor@tnn.lublin.pl; adres strony: www.tnn.lublin.pl

Redakcja: Sławomir J. Żurek – redaktor naczelny; Jacek Wojtysiak – zastępca redaktora naczelnego; Katarzyna Grzybowska – sekretarz redakcji.

Zespół: dział literacki: Katarzyna Grzybowska – kierownik, Anastazja Śniechowska – opiekun; dział historyczny: Lucyna Kujawa – opiekun; dział filozoficzny: Adam Dobrzyński – kierownik, Jacek Wojtysiak – opiekun; dział ekumeniczny: Sebastian Rejak – kierownik, ks. Roman Pracki – opiekun, Mariusz Krawiec SPP, Magdalena Gawlik, Michał Kopaczewski; dział edukacyjny: Michał Hucal – kierownik, Magdalena Pokrzycka-Walczak – opiekun; promocja i marketing: Jakub Ziarno.

Ilustracje: Uczestnicy Warsztatów Terapii Zajęciowej przy Stowarzyszeniu „Źródło” w Lublinie.

Redaktor prowadzący: Jacek Wojtysiak.

Korekta: Zespół.

Pismo wyróżnione w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej za „wysoki poziom merytoryczny, walory edukacyjne pisma oraz jego oryginalność”.

Kwartalnik „Scriptores Scholarum” może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym. *Kuratorium Oświaty w Lublinie*

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

ISSN 1231 – 5451

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” na terenie całego kraju oraz wydawca.

Pismo ukazało się dzięki pomocy Fundacji im. Stefana Batorego oraz Urzędu Miejskiego w Lublinie – **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w lutym 1999. Oddano do druku w marcu 1999.

Komputerowe przygotowanie: IDEAL STUDIO – Jerzy Szatkowski.

Druk: Drukarnia NORBERTINUM.

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego.

Spis treści

Słowo wstępne	5
<u>Rozmowy akademickie o niepełnosprawności</u>	
• <i>psychologia rehabilitacji</i> Tacy sami jak wszyscy... – rozmowa z ks. prof. Tadeuszem Witkowskim (KUL)	10
• <i>pedagogika specjalna</i> „Przez krzyż – do nieba!” – rozmowa z Siostrą Pawłem Blanką FSK (Anną Wąsalanką)	16
• <i>historia osobliwa</i> Trzy drogi niepełnosprawnych – wczoraj i dziś – rozmowa z drem Janem Szarkiem (KUL)	22
• <i>teologia ekumeniczna</i> Niepełnosprawni duchowo? – rozmowa z ks. Janem Szarkiem – Biskupem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP	29
<u>Wobec ułomności</u>	
• <i>refleksje</i> Jacek Wojtyśiak , O cierpieniu	36
Ireneusz Ziemiński , Na szpitalnym łóżku	38
• <i>spotkania</i> Zaakceptować siebie - rozmowa z Maćkiem Otrębą	40
Wózek na drugim planie - rozmowa z Hanną i Ryszardem Smolakami	43
Bolesław Bryński , Cisza	49
Piotr Kot i Anna Woźniak , W zamknięciu	51
• <i>opinie</i> Niepełnosprawni? (ankieta „Scriptores Scholarum”)	53
Marcin Skrzypek , Ograniczeni stereotypem (Wszyscy jedziemy na tym samym wózku)	61
Patrycja Gierak , Mój chłopak na wózku (ankieta klasowa)	66
Piotr Kot i Anna Woźniak , Kiedy małuje słońce, to ma się wrażenie, że ono świeci.	68
<u>Jak sobie radzić?</u>	
• <i>terapia</i> Władysław Marcinek , Jak żyć z zanikiem mięśni?	72
Dysleksja – problem 10% społeczeństwa – rozmowa z Anną Moraw	75
Ewa Sosnówka , Krok po kroku	77
• <i>przyjazne struktury</i> Lucyna Kujawa , Prawa pacjenta	80
Maciej Mirnowicz , Współdziałanie jako podstawa świadczenia opieki w środowisku lokalnym	92
Joanna Bober , Nie krzyczą, że żyją.	95
<u>Z dziejów odrzuconych</u>	
• <i>średniowiecze</i> Edyta Kopiel i Andrzej Szejgjec, Niepełnosprawni w średniowieczu	106
• <i>nowożytność</i> Katarzyna Krakowska , Potrzebujący na ulicy	109
• <i>współczesność</i> Sławomir J. Żurek , Katalog pamięci ocalonych.	113
Krzysztof Śmigórski , Niepełnosprawni w społeczeństwie.	115

Od rozpacz do Nadziei

- *zamknięci...*
Marcin Romanowski, Zamknięci w świecie przedmiotów 122
Ireneusz Ziemiński, Mówię ci Stasiu... (zasłyszane) 127
- *na granicy*
Bolesław Bryński, Eutanazja. 129
Adam Dobrzyński, O starości inaczej. 133
Eugeniusz Łastowski, Śmierć 136
- „...leczył wszystkie choroby...”
Jacek Rogowski, Niepełnosprawność a poznanie Boga 143
Magdalena Przybyła, Wspólnota to wielkie dobro 146
- *poezja Nadziei*
Nadzieja Artymowicz, wiersze 150
Tadeusz Karabowicz, Zgrzebna samotność *łagodnego czasu* 152

Niezdolni do wolności

- *wizyta u „niezdolnych”*
Magda Pokrzycka-Walczak, Niezdolni do wolności 158
Jacek Wojtyśiak, „Każdy chce złapać trochę tej wolności” (zapiski z więzienia) 162
- *wiersze z więzienia*
Andrzej Sobiczewski, *** *ptak przecina niebo*; *** *w tej pustce*; *** *Zabalsamowany naftaliny*
wym; **Grzegorz Jegor**, *** *Przepraszam*; *** *Modlitwą, szeptem*; **Jan Więzień**, Transport z Jeruza-
lem; Rekolacje w ZK Włocławek; **Władysław Cisak**, *** *Daj mi dzień zapomnienia*. 165

Niepełnosprawności ekumeniczne

- *po co przyszedł Jezus?*
Sebastian Rejak, Istota Ewangelii i hierarchia prawd 170
- *bracia... z marginesu?*
Jedność w różnorodności – rozmowa z **Henrykiem Kufeldem** pastorem Kościoła Chrześcijan
Baptystów w Lublinie oraz **Jackiem Marciniakiem** przygotowującym się do posługi pastora . . . 175
Duch rozdziela dary każdemu tak jak chce – rozmowa z pastorem **Ryszardem Kwoką** Zastępcą
Naczelnego Prezbitera Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Rzeczpospolitej Polskiej 183

Niepełnosprawności społeczne

- *w prawie*
Katarzyna Grzybowska, Międzynarodowy Trybunał Karny 190
- *w polityce*
Jerzy Bojarski, Niepełnosprawność polityczna AWS. 195
- *inormacje o autorach*
od A do Z. 199

Gdy przyjdzie Syn Człowieczy w swojej chwale, a z nim wszyscy aniołowie, wtedy zasiądzie na tronie chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swej lewej stronie. Wtedy powie Król do tych po prawej stronie: Zbliźcie się błogosławieni Mojego Ojca, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata! Ponieważ byłem głodny, a daliście Mi jeść, byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem tułaczem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a ubraliście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie. Wtedy odpowiedzą sprawiedliwi: Panie, kiedy widzieliśmy Ciebie głodnego i nakarmiliśmy Cię; spragnionego i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Ciebie jako tułacza i przyjęliśmy Cię; nagiego i ubraliśmy Ciebie? Albo kiedy widzieliśmy Cię chorego lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie? Na to Król odpowie: zapewniam was, że wszystko, co uczyniliście dla jednego z tych braci Moich najbardziej potrzebujących, dla Mnie uczyniliście.

Ewangelia Św. Mateusza 25, 31-40
(przekład ekumeniczny na 2000-lecie chrześcijaństwa)

Słowo wstępne

Nad Zeszytem „Niepełnosprawni?” [jesień 1998, nr 4 (21)] pracowaliśmy ciężko przez kilka miesięcy. Dlaczego? Przede wszystkim ze względu na doniosłość tematu, bowiem kwestia ludzkiej niepełnosprawności była problemem, który nurtował nas właściwie od początku istnienia naszego kwartalnika. Drugi powód to nasza niewiedza w tej materii, której chcieliśmy sprostać, podejmując sprawy niezmiernie trudne, bolesne i delikatne... W trakcie naszych poszukiwań okazało się, że z ludzką niepełnosprawnością spotykamy się właściwie każdego dnia: w szkole, w uniwersytecie, na ulicy, w autobusie, w urzędzie, w kościele. Widzimy ją, a jednocześnie prawie wcale o niej nie myślimy, sądząc, że problem niepełnosprawności, skoro – w większości przypadków – mamy obie nogi i ręce, nie jesteśmy głusi ani niewidomi..., tak naprawdę nas nie dotyczy. Ze zdumieniem jednak odkryliśmy, że niepełnosprawność to doświadczenie uniwersalne, które dotyka każdego człowieka. Każdy bowiem jest w jakimś miejscu i w jakimś stopniu niepełnosprawny. Zresztą redagując numer doświadczyliśmy również sami rozmiar własnych niepełnosprawności, wszelkich ograniczeń, które dawały nam się we znaki każdego dnia pracy... Pisząc o niepełnosprawności zrozumieliśmy, że piszemy o tym, co najważniejsze i najtrudniejsze w naszym życiu. A to przychodzi powoli i nie bez oporów.

Tradycyjnie numer rozpoczynają spotkania akademickie, tym razem są to rozmowy o niepełnosprawności, czyli wywiady z tymi, dla których problem ludzkich ograniczeń stał się przedmiotem refleksji naukowej lub aktywności społecznej czy religijnej. Nasi rozmówcy zwrócili nam uwagę, że w przypadku niepełnosprawności nie sposób oddzielić tego trudnego problemu naukowego (czy naukowo-wychowawczego) od jego wymiaru egzystencjalnego. Naukowiec czy wychowawca nie może traktować niepełnosprawności jak każdego innego „przedmiotu” swej pracy. Spotyka się przecież z tajemnicą człowieka cierpiącego... I tak rozmawialiśmy z psychologiem (ks. prof. Tadeuszem Witkowskim), z pedagogiem-praktykiem (Siostrą Pawłem Blanką F.S.K. z Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Laskach pod Warszawą), a także z historykiem (drem Janem Szarkiem). W obszarze ludzkiej niepełnosprawności i jej terapii mieści się naszym zdaniem również ekumenizm, ze względu na fakt, iż właśnie ta dziedzina teologii najbardziej służy leczeniu ludzi z ran, jakie powstały wskutek ludzkiej ograniczoności duchowej. Dlatego też podczas naszych redakcyjnych rekolekcji w Laskach, spotkaliśmy się z ekumenicznym teologiem (ks. Janem Szarkiem – Biskupem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP, prezesem Polskiej Rady Ekumenicznej). Spotkanie to miało dla nas szczególne znaczenie, gdyż w naszym kraju ciężą jeszcze ekumeniczne

zaszłości: nasz „duży” Kościół czasem traktuje „małe” Kościoły jako gorsze, niepełnosprawne.

Redagując ten numer naszego Pisma, stanęliśmy wobec ludzkich ułomności, sami również obciążeni własnymi. Zobaczyliśmy ludzkie cierpienie: to uzewnętrzniane w postaci choroby (najczęściej w murach szpitala), to często ukrywane, choć najbardziej bolesne, w postaci trwałego inwalidztwa (które poznawaliśmy podczas naszych spotkań w domach osób niepełnosprawnych) oraz to ostatnie, najbardziej znane, bo własne... Zapytaliśmy też naszych Czytelników i samych siebie o granice naszych niepełnosprawności (ankieta „Scriptores Scholarum”). Przy tej okazji nie dało się uciec od problemu stereotypów, którym poświęciliśmy cały poprzedni Zeszyt. Okazało się znowu, że również i w tym przypadku wszyscy ograniczeni jesteśmy stereotypem, i „wszyscy jedziemy na tym samym wózku”. Nadal w naszym społeczeństwie nie akceptuje się inwalidów lub traktuje się ich w najlepszym wypadku ze współczuciem. Nasi rozmówcy rzadko też dostrzegali własne ułomności. Niekiedy zdarzało się zapominać, że ułomność to kluczowa tajemnica przenikająca nasze życie. Bojąc się z nią spotkać, gdyż dotyczy nas samych, uciekamy od tych, których ułomność jest wyraźniej widoczna. Myślimy, że zamykając oczy na cierpienie drugich, unikniemy własnego...

W tym kontekście próbujemy odpowiedzieć na pytanie: „Jak sobie radzić?” z naszymi niepełnosprawnościami. Zastanawiamy się jak żyć z zanikiem mięśni, z dysleksją, z zespołem Downa, z porażeniem mózgowym, z biedą, z autyzmem...? Prezentujemy inicjatywy, które są owocem nowego, pozytywnego myślenia. Pokazujemy ludzi, którzy tworzą wspólnoty lub struktury społeczne pomagające tym, których życie jest trudniejsze i tragiczniejsze... Wspólnoty, w których cierpiących traktuje się normalnie, czyli jak braci – bez czynienia różnic. Wspólnoty, w których wszyscy są razem...

Sięgamy również do historii, dokonując oglądu złożonej problematyki „życia na marginesie” w perspektywie minionych wieków – od średniowiecza, aż po współczesność. I choć czasami poruszana przez nas problematyka może usposabiać do rozpacz, to staramy się nie tracić nadziei, szukając sposobów na wyjście z zakłętego kręgu ludzkich słabości i bólów, takich jak: samotność, depresja, alkoholizm, starość, śmierć, rozpacz, etc. Dlatego też na końcu działu, traktującego o ludzkich skomplikowanych i złożonych sytuacjach, umieściliśmy pełne optymizmu i pogody ducha przesłania religijne oraz wiersze Nadziei Artymowicz.

W naszym kwartalniku zauważyliśmy jeszcze jeden aspekt ludzkiej niepełnosprawności – niezdolność do wolności lub raczej bycie skazanym przez innych na tę sytuację. W dziale tym publikujemy dwa reportaże naszych redaktorów, którzy odwiedzili swoje „miejsca odosobnienia”, gdzie ludzkiej biedy nagromadziło się naprawdę wiele. Chcielibyśmy, aby na tych „niezdolnych” popatrzeć jednak inaczej, jako na ludzi, którzy mają swe osobiste dramaty i głębokie życie wewnętrzne – ludzi nierzadko skrzywdzonych przez społeczeństwo. Z tego to względu publikujemy ich wiersze, poetyckie zapisy świata z tej i z tamtej strony krat...

Numer zamykamy wypowiedziami na temat potrzeby połączenia w jedno ciało wszystkich chrześcijan i w ogóle, szerzej – ludzi wierzących w Boga. Szczególną uwagę zwróciliśmy na tzw. Kościoły „wolne” czy „ewangeliczne”, które traktowane są przez wielu wyznawców Chrystusa (tych mniej „wolnych” i mniej „ewangelicznych”) jako gor-

sze, marginalne, czy wręcz „niepełnosprawne”. Świadczenia pastorów i ich pomocników, z którymi rozmawialiśmy, pokazują odwagę i bezkompromisowość wiary na przekór często martwej religijności i wszelkim pomówieniom. Szkoda, że wiele życiowych dramatów powstaje stąd, iż niektórzy autentycznie zaangażowani chrześcijanie nie spotykają wystarczającej wolności i ewangeliczności w swych rodzimych Kościołach...

Ostatnie słowo pozostawiliśmy tym, którzy mówią na temat rozmaitych rozwiązań prawnych i społeczno-politycznych, a więc związanych bezpośrednio nie z samym pojedynczym człowiekiem, ale z różnymi strukturami stworzonymi przez niego dla dobra ogółu. Okazało się, jak dużo niepełnosprawności i niedoskonałości przenika nasze życie prawne, polityczne, językowe... Zawsze będziemy nimi obciążeni i zawsze będziemy o nich dyskutować. Bowiem taka jest nasza kondycja ludzka – kondycja ułomności. Stąd spory o to, jak na szczeblu społecznym przewycięzać wszelkie trudności, przed którymi stoimy, będą trwać do końca świata...

Właśnie na końcu świata, wierzymy za Ewangelią według Św. Mateusza, przyjdzie Syn Człowieczy i powie: „(...) zapewniam was, że wszystko, co uczyniliście dla jednego z tych braci Moich najbardziej potrzebujących, dla Mnie uczyniliście”. A wielu wokół nas głodnych, spragnionych, tułaczy, nagich, więźniów... Im poświęciliśmy ten niedoskonały i ułomny Zeszyt. Szkoda, że nie potrafiliśmy zrobić dla nich więcej...

Redaktor prowadzący z Zespołem

Prace plastyczne pochodzą z Warsztatów Terapii Zajęciowej przy Stowarzyszeniu „Źródło” Osób Niepełnosprawnych Umysłowo i ich Rodzin oraz Przyjaciół. Warsztaty zlokalizowane są w pomieszczeniach przy parafii Dobrego Pasterza w Lublinie. Zajęcia odbywają się w ośmiu pracowniach terapeutycznych: dwu plastycznych, dwu technicznych, dwu krawiecko-dziewiarskich, jednej gospodarstwa domowego, jednej muzyczno-teatralnej. W zajęciach uczestniczy 40 osób niepełnosprawnych umysłowo z terenu całego Lublina.

Adres kontaktowy:

Warsztaty Terapii Zajęciowej przy Stowarzyszeniu „Źródło”;
ul. Radzyńska 3; LUBLIN; tel. (0-81) 7408077.

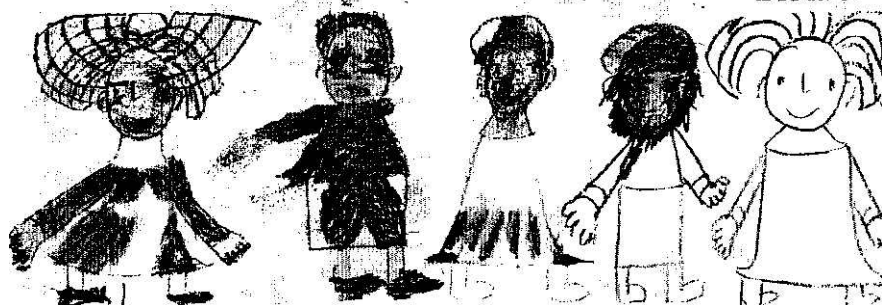
Dziękujemy Szefowi Warsztatów Jarosławowi Zyskowi za zyczliwość i pomoc w gromadzeniu materiałów plastycznych do naszego kwartalnika.

Rys. Przemysław Szymański

Madzia

Żipi

Basia



Rozmowy akademickie o niepełnosprawności

Tacy sami jak wszyscy...

– rozmowa z ks. prof. Tadeuszem Witkowskim (KUL)

Tadeusz Witkowski – ur. 1935; ks. katolicki; członek Zgromadzenia Małe Dzieło Boskiej Opatrzności (FDP – Orionistów); kierownik Katedry Psychologii Rehabilitacji na Wydziale Nauk Społecznych KUL; wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym Orionistów w Zduńskiej Woli; członek Komitetu Rehabilitacji PAN. Najważniejsze publikacje naukowe: *Poziom rozwoju społecznego upośledzonych umysłowo*, Lublin 1985; *Rozumieć problemy osób niepełnosprawnych*, Warszawa 1993; *By nie odpaść z grupy o charakterze religijnym (Uwarunkowanie trudnego kontaktu)*, Lublin 1994; *Podmiotowość osób niepełnosprawnych umysłowo w palcówkach opiekuńczo-wychowawczych* (red.), Lublin 1993.

Sławomir J. Żurek: *Co oznacza termin „niepełnosprawność”?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Przede wszystkim mówiąc o „niepełnosprawności” należy odróżnić dwa terminy: „defekt” i „choroba”. Defekt jest stanem pourazowym lub pochorobowym, stałym i najczęściej nieusuwalnym. Przez lata dział psychologii, który się zajmował osobami niepełnosprawnymi nazywano „psychologią defektologiczną”. Termin ten pochodzi z języka łacińskiego. Oba terminy – „osoba defektologiczna” oraz „defektolog” brzmią jednak fatalnie! Słowa te mimo wszystko coś nam mówią, ponieważ ustosunkowują defekt do choroby.

Adam Dobrzyński: *Czym więc różni się defekt od choroby?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Defekt jest czymś stałym, a choroba jest procesem, który ma przynajmniej trzy etapy: zjście, przebieg i zejście (wesołość – przyp. red). Nie jest to wcale wesołe! Wprawdzie brzmi zabawnie, ale tak właśnie określa ten stan medycyna. Na marginesie, musimy zdać sobie sprawę, że mogą być dwa zejścia: zejście choroby z pacjenta lub zejście pacjenta z tego

świata... (znowu ogólna wesołość – przyp. red). Dlatego należy pamiętać, że „niepełnosprawność” nie jest chorobą, ale stałym stanem. Niepełnosprawność wiąże się więc z defektem, który nie jest chorobą, ale tylko najczęściej jest jej następstwem.

A.D.: *Termin „niepełnosprawność” jest chyba używany w nauce od niedawna?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Tak. Kiedyś używany był termin „upośledzenie” zamiast „niepełnosprawność”. Określenie to miało jednoznacznie charakter pejoratywny i dziś używana jest jedynie w obszarze niepełnosprawności intelektualnej. Używało się również terminu „kalectwo”. Kalectwo jest niepowtarzalnym terminem polskim. Jest jeszcze ładne słowo „inwalida”, pochodzące od terminu łacińskiego „validus” – zdrowy, stąd też pochodzi nazwa „rewalidacja osób niepełnosprawnych”. Termin „validus” oznacza jednak także wartościowy (walidacja aktów prawnych). Rewalidacja w psychologii oznacza więc nie tylko przywracanie zdrowia, ale również własnej wartości. W każdym z tych terminów mamy jednak do czynienia z defektem. Jest jeszcze jeden bardzo

ważny termin „rehabilitacja”. „Habilis” oznacza sprawny, zdolny”.

S.J.Ż.: *Jak najlepiej mówić o pomocy, którą nie się niepełnosprawnym, skoro istnieje tak wiele terminów?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Niewątpliwie najlepszym terminem będzie w tym przypadku „rehabilitacja osób niepełnosprawnych”. Obydwa człony są z jednego „garnituru”.

A.D.: *Kto to jest niepełnosprawny?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Jest to o s o b a, której brakuje jakiejś sprawności. Bardzo ważne jest tu nazewnictwo, którego Pan użył. Jeżeli ktoś mówi „upośledzony umysłowo”, kaleka czy nawet niepełnosprawny, to wyraża się o tym drugim w sumie tak, jakby to nie był człowiek. Jego istotą jest jakby to, że jest umysłowo upośledzony. W tym człowieku nie ma jakby nic poza tym upośledzeniem i jest to bardzo eksponowane w samym terminie. Nie jest rzeczą obojętną to jak daną osobę nazywamy. Dlatego o takich ludziach niepełnosprawnych należy mówić: o s o b y z upośledzeniem umysłowym, osoby z niepełnosprawnością. W tej terminologii zwraca się uwagę na fakt, że jest to o s o b a z czymś, ale wciąż osoba!

Magdalena Przybyła: *Jakie są rodzaje niepełnosprawności?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Niektóre niepełnosprawności związane są z zaburzeniem określonych funkcji. Na przykład intelektualnych, sensorycznych (wzroku, słuchu), fizycznych, ruchowych. Są jeszcze niepełnosprawności związane z chorobą przewlekłą. Sytuacja takich osób, ze względu na przewlekłość, zbliża się do sytuacji osób niepełnosprawnych. Istnieją więc osoby o obniżonej sprawności umysłowej. Mamy tu cztery stopnie upośledzenia umysłowego od lekkiego do głębokiego. Osoby sensorycznie niepełnosprawne: osoby niewidome, ślabowidzące, niesłyszące i ślabosłyszące. Niewłaściwy jest termin „gluchoniemi”, i w ogóle nie powinien on mieć prawa istnienia od początku. Ponieważ osoby niesłyszące nie mają zaburzonych organów mowy i tylko dlatego nie mówią, że nie naśladują dźwięków, bo ich nie słyszą. Osoby po chorobach przewlekłych (po zawale, cukrzycy). Za osoby nie-

pełnosprawne uważać można również ludzi społecznie niedostosowanych. Co prawda stanowią one swoisty przedmiot zainteresowań. Możemy tu jednak mówić o pewnym defekcie w znaczeniu neurologicznym. Nasz polski psychiatra z Gdańska T. Bilikiewicz rozróżnia psychopatię i charakteropatię. A ta druga to takie przypadki psychopatii, w których stwierdza się ogniskowe uszkodzenia mózgu, czyli po prostu jakiś defekt.

A.D.: *A co myśli Ksiądz Profesor o terminie „sprawni inaczej”?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Że jest nieprecyzyjny! Wright w swojej książce pisze, że osoby niepełnosprawne są traktowane w społeczeństwach jak mniejszości: etniczne, religijne, ekonomiczne, narodowościowe. I stąd bierze się prawdopodobnie ta terminologia. We wszystkim należy jednak zachować jakiś umiar. Nie można oszukiwać niepełnosprawnych, że są sprawni. Na końcu mojej książki „Rozumieć problemy osób niepełnosprawnych” piszę, że osoby niepełnosprawne powinny same wziąć się porządnie za swoje sprawy, a nie czekać, że ktoś to zrobi za nie. Przecież niepełnosprawni mogą stać się grupami nacisku. Mogą o swoje sprawy walczyć, upominać się o nie. Używanie zaś wszelkich epitetów jest niedopuszczalne. Kiedyś mówiło się o lekkim upośledzeniu „debilizm”, człowieka takiego określano „debil”, a przy następnych stopniach „kretyn”, „idiota”. O tych osobach należy mówić w sposób bardzo delikatny, a jednocześnie konkretny, ale nie nieprecyzyjny.

Osoba niepełnosprawna jest po prostu niepełnosprawna i tyle. Osoba sprawna bardziej będzie rozumiała osobę niepełnosprawną, gdy wyobrazi sobie sytuację wraz z jej konsekwencjami, w której mogłaby znaleźć się sama. Uczestniczę w wypadku samochodowym i doznaję trwałego uszkodzenia górnych partii kręgosłupa i rdzenia kręgowego. Jestem do końca życia sparaliżowany. I oto teraz inni będą patrzeć na mnie tak jak ja być może patrzę teraz na osoby korzystające wózka inwalidzkiego. Albo inny wypadek, który odebrał mi wzrok i jestem jednym z tych, którzy noszą białą laskę. Czy przestałem po takich wydarzeniach być pełnoprawnym obywatelem swoje-

go kraju? A praktycznie tak właśnie jest. W imię czego przestałem być? Czyż nie pozostaję nadal tym samym człowiekiem, co przedtem? Posiadającym nie tylko te same prawa, lecz również te same ludzkie potrzeby, pragnienia, marzenia, z dążeniem do możliwie pełnej samodzielności i szacunku ze strony innych. Nie jakiegos specjalnego, innego, lecz zwykłego, należnego wszystkim.

A.D.: *Dlaczego tak się dzieje, że o ludziach niepełnosprawnych tak właśnie się myśli i tak się ich traktuje?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Dlatego, że myśląc o osobie niepełnosprawnej nie pamięta się, że jest to osoba! A przecież osobą pozostaje się do końca. Z wszystkimi prawami osoby ludzkiej. Kryterium wszystkich postaw jest to, że się jest osobą, mającą osobowe prawa. Po wypadku nie mówi się o tym, co stało się z samochodem i ile on kosztował, ale mówi się ile osób zginęło. To jest niezależne od systemu wartości, jaki dana osoba wyznaje.

S.J.Ż.: *Jaki był stosunek do niepełnosprawnych w dziejach świata, Europy, naszego państwa? Czy na przykład Kościół był zawsze nastawiony pozytywnie do osób niepełnosprawnych?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Najgorsza sytuacja osób niepełnosprawnych jest w społeczeństwach, w których znajduje się wielu ludzi niedoświadczonych, czyli neurotyków. Dzieje się tak dlatego, gdyż neurotyk boi się być sobą, chce być konwencjonalny, bo nie chce się nikomu narażać. Jeżeli transformacja ustrojowa ma następować szybko, to nie możemy mieć w naszym państwie, Kościele i Europie samych neurotyków. Inność, odmienność dla ludzi szukających czegoś nowego jest zawsze pociągająca, a dla neurotyków szokująca! W Polsce było miejsce dla wszystkich: husytów, kalwinów, Żydów. Wolno było być bogatym lub biednym. Wolno było inaczej myśleć i wolno było być niepełnosprawnym! Pierwszy Dom Opieki społecznej na placu Trzech Krzyży w Warszawie powstał z inicjatywy biskupa Falkowskiego i ks. Kosowski to zrealizował. W domu tym mieszkali razem niewidomi i niesłyszący. Tam była również rehabilitacja zawodowa. Oczywiście, szczególnie jeśli chodzi o rolę Kościoła to nie chciałbym idealizować, nawet będąc księdzem. Bo z drugiej strony wystarczy poczytać teksty źródłowe, by stwierdzić ogromną ilość żebraków na dawnych polskich ulicach. Inicjatywy charytatywne były jednak podejmowane i na początku były one inicjatywami przede wszystkim ze strony Kościoła. Pierwsze szpitale organizowali duchowni, którym w uszach brzmiały słowa Jezusa „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili”. Dopiero oświecenie przyniosło inne, świeckie przesłanie. Tak więc wszystko to, co działo się do wieku XVIII było inicjowane przez Kościół.

M.P.: *Jaka była sytuacja osób niepełnosprawnych po wojnie w Polsce?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Środowiska o małej otwartości – środowiska totalitarne zawsze były zamknięte na potrzeby osób niepełnosprawnych. Totalitaryzm z nieszczęścia osób niepełnosprawnych, z odebrania im prawa bycia osobą i umieszczania ich w miejscach odosobnienia uczynił normę. Ależ to była pogarda dla człowieka! Śmietniki dla człowieka! Co oferował PRL niepełnosprawnym? Dach nad głową, strawę i dwadzieścia cztery godziny na dobę n u d y ! A przecież istotną potrzebą i prawem człowieka jest bycie potrzebnym i praca!

Krzysztof Śmigórski: *Ale przecież w systemie komunistycznym działały różnego rodzaju spółdzielnie pracy dla inwalidów!*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Trzeba odróżnić dwie rzeczy. Pewne idee i ludzi, którzy choć musieli pracować w tych strukturach, jakie ówczesnie były, to próbowali je zmieniać i wypełniać treścią. Prof. Maria Grzegorzewska opracowała „metodę ośrodków zainteresowań”, pozwalającą pracować aktywnie. Przed śmiercią Stalina zlikwidowano to i nakazano uczyć metodą podawczą o zasadach życia społeczeństwa socjalistycznego. Może komuniści mieli wtedy w Polsce za małe szeregi partyjne i chcieli je powiększyć o ludzi z upośledzeniem umysłowym? Profesor Grzegorzewska widząc tę sytuację podbudowała swoją metodę pawłowizmem i nie nazwała „metodą ośrodków zainteresowań”, ale „metodą ośrodków pracy”. W ten sposób metoda Marii

Grzegorzewskiej nazwana w odpowiedni sposób wróciła do szkolnictwa specjalnego.

S.J.Ż.: *Czy można izolować osoby niepełnosprawne?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Izolować należy przestępców! To jest bezprawie! Nie chciałbym nigdy znaleźć się w takim domu pomocy, w którym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jest się nikomu niepotrzebnym. I nikt nie chciałby się znaleźć w takiej dobroczynnej instytucji.

M.P.: *Co więc robić z ludźmi niepełnosprawnym, których nikt nie chce?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Widziałem bardzo ciekawe rozwiązania w Holandii, gdzie w jednym z bloków mieszka razem w mieszkaniu kilka osób o lekkim upośledzeniu umysłowym, a razem z nimi opiekun. Jak ci ludzie sobie nawzajem wydzierają funkcje! Chcą w tym domu coś robić, za coś odpowiadać, chociażby za gaszenie światła. Dla każdej osoby niepełnosprawnej szalenie ważną sprawą jest kwestia wdzięczności. Każda z nich chce odwdziżyć się tym, którzy mu pomagają. Oni chcą tak samo jak wszyscy nie tylko brać, ale również dawać! Przecież osoby niepełnosprawne, to są tacy sami ludzie jak wszyscy! I w tym kierunku, mam nadzieję, w Polsce wszystko pójdzie.

K.Ś.: *Czy Kościół katolicki w PRL-u robił coś dla niepełnosprawnych?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Przy parafiach starano się robić spotkania dla osób niepełnosprawnych, by tworzyć dla nich środowisko. Budować bez pozwolenia ośrodki dla osób niepełnosprawnych, tak jak na przykład w Łązniewie. Niestety, w okresie komunizmu nie wolno było tworzyć żadnych instytucji.

S.J.Ż.: *Z drugiej strony niepełnosprawny nie mógł i często nadal nie może wejść do Kościoła, bo nie ma podjazdu...*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Przyjechał do mnie kiedyś mój przyjaciel, proboszcz z nowopowstałego kościoła parafialnego z Włocławka z zaproszeniem. Odpowiedziałem mu na nie: „Nie zobaczycie mnie tam..., jak długo będą u was barier architektoniczne!” Byłem kiedyś z Radiem „Maryja” w Kaliszu, w nowym kościele. Piękny kościół, schody wewnątrz i żadnej możliwości do-

stania się dla osób niepełnosprawnych. To skandal! Ja mówię o tych sprawach jasno, jak człowiek Kościoła, który kocha Kościół! Jak można nie pomyśleć o tych, którzy najczęściej do kościoła przychodzą – starszków z laską, o tych co mają trudności z pokonaniem schodów. Ja tych księży nie rozumiem! To wygląda na tak głupie, że ja tego zrozumieć nie potrafię!

K.Ś.: *Niewiele lepiej jest chyba w innych instytucjach kościelnych...*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Niestety, ma Pan rację! Jednym z największych szoków przy wejściu do budynków KUL-u jest to, że nie myśli się tam o niepełnosprawnych studentach. **Wszelkie zastosowania obiektów dla osób niepełnosprawnych powinny zacząć się od sanitariatów!** Łatwiej osoba niepełnosprawna może poprosić, żeby ktoś przeniósł ją po kilku stopniach schodów, niż poprosić nieznanego, żeby pomógł obsłużyć się w sanitariacie. To jest bardzo trudne! Najbardziej boli mnie, gdy po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko KUL-u, na poczcie nie ma barier architektonicznych, a na KUL-u jest takie zamroczenie! Uwagi pod adresem uczelni należałoby skierować do projektantów i wykonawców. Wstyd mi jako Profesorowi tej uczelni oraz pracownikowi Katedry Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych!

M.P.: *Według norm Unii Europejskiej żaden budynek użyteczności publicznej nie może mieć barier architektonicznych.*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Na szczęście! Oby stało się to jak najszybciej!

K.Ś.: *Czy rok 1989 był w Polsce przełomowy dla ludzi niepełnosprawnych?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Oczywiście! Właśnie wtedy zaczyna dynamicznie rozwijać się na przykład Zgromadzenie św. Alberta. Powstają nowe schroniska, znajdują się środki z kasy państwa.

K.Ś.: *Co Ksiądz Profesor myśli o spółdzielniach inwalidzkich?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: W spółdzielniach najważniejsze jest to, że zatrudnieni są w nich ludzie niepełnosprawni. Nie może być tam mowy o żadnej konkurencji. To już jest coś, ci ludzie są komuś potrzebni! Nowe możliwości stworzyła usta-

wa o zatrudnieniu i rehabilitacji osób niepełnosprawnych z roku 1991. Niepełnosprawni na mocy tej ustawy mogą być zatrudniani w różnych miejscach pracy. To jest droga najlepsza: integracja w społeczności lokalnej we wsparciu o środowisko domowe! Integracja bez sztucznych, koszarowych czy internackich warunków. Państwo próbowało zachęcić firmy poprzez różnego rodzaju gratyfikacje do zatrudniania osób niepełnosprawnych. W krajach Unii Europejskiej są w tej kwestii bogate tradycje. Istnieją u nich, na przykład w Holandii „Social Factory” i tam pracują nawet upośledzeni umysłowo o głębszym stopniu niż lekki. Ci ludzie mają tam zorganizowane najróżniejsze prace, na przykład składanie po dwadzieścia noży. Jest to tak urządzone, że nawet ten, który nie umie zliczyć do dwudziestu potrafi dwadzieścia noży spakować w paczkę. Ćwiczy w ten sposób ręce. Zakłady te są powiązane z dużymi firmami, które to u nich różne usługi zamawiają. Państwo to dotuje i utrzymuje. Takie spółdzielnie są zupełnie nierentowne, lecz pełnią funkcję ośrodków rehabilitacyjnych. Pieniądże, które zarobią są zazwyczaj niewielkie i z reguły przeznaczone są na różne imprezy organizowane później dla osób niepełnosprawnych.

A.D.: *Czy podobnej funkcji nie pełnią u nas warsztaty terapii zajęciowej?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Warsztaty terapii zajęciowej! Byłem na otwarciu jednego warsztatu. Spotkałem tam wtedy niepełnosprawnego chłopaka z matką, dla którego tragedią był fakt, iż mógł tam przychodzić tylko co drugi dzień, bo było za mało miejsc. W tych ośrodkach nie ma akcentu na terapię. Ta nazwa jest nieadekwatna. Dobrym określeniem był termin pracownia, której używał nieżyjący już dziś rehabilitant, sam poruszający się na wózku Tadeusz Klimczak, bo podopieczni chcą chodzić, jak inni „do pracy”, a nie na jakąś „terapię”!

M.P.: *Na czym powinna polegać w takim razie rewalidacja osób niepełnosprawnych?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Najlepiej określają to trzy słowa w języku angielskim: „personalisation” – personalizacja (praca nad podniesieniem walorów osobowych), „socialisation” – socjaliza-

cja, żeby osoba niepełnosprawna umiała poruszać się w społeczeństwie, i „normalisation” – normalizacja, na przykład w Holandii zamiana dużych ośrodków internackich na mieszkania w blokach. Są to małe wspólnoty, po cztery osoby i dochodząca jedna opiekunka. Początkowo bali się ich inni mieszkańcy, zwłaszcza właściciel, bo myślał, że wartość jego domu spadnie, jeżeli będą w nim mieszkać osoby upośledzone umysłowo. Niestety, nawet w krajach Zachodniej Europy ludzie reagują na inność.

S.J.Ż.: *Jak będzie niepełnosprawnym w Polsce po wejściu do Unii Europejskiej?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Jestem w tym miejscu sceptykiem. Będzie tak jak w USA. Jedne stany są bogatsze, a inne biedniejsze.

S.J.Ż.: *Ale w Unii będą istniały pewne normy...*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Być może to trochę pomoże. Jak posypią się pierwsze kary, to może i ludzie otrzeźwieją. O osobach niepełnosprawnych w Polsce nadal za mało się myśli. Czy w autobusie obok dzwonka przy drzwiach wejściowych nie można by zainstalować żarówki – dla niesłyszącego? Ale i tak wiele się zmieniło przez ostatnie dziesięć lat i nadal się zmienia.

K.Ś.: *Dzisiaj w Polsce jest ponad osiemset organizacji zajmujących się niepełnosprawnymi. Jaki jest cel ich istnienia?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: To bardzo dobrze, że ludzie tworzą takie organizacje. Poznałem kiedyś Amerykankę, która należała do organizacji zrzeszającej rodziców dzieci z porażeniem mózgowym. Są to dzieci z zaburzeniami ruchowymi i czasem intelektualnymi. Tego typu organizacje są dobrane. Rodzice zorganizowali się po to, by stworzyć u siebie ośrodek, po to, by nie trzeba było oddawać dziecka z domu do jakiegoś zakładu. Takie grupy rozpadają się po osiągnięciu celu. Ale są też grupy „of psychological support” – grupy wsparcia psychicznego. Grupy takie udzielają wsparcia swoim członkom. W takich organizacjach potrzebny jest kompetentny lider, bez niego wszystko się rozmywa.

S.J.Ż.: *Jaki jest osobisty stosunek Księdza do niepełnosprawności?*

Ks. prof. Tadeusz Witkowski: Pytanie jest bardzo

poważne. Tak naprawdę, choć nie jestem osobą niepełnosprawną, staram się rozumieć problemy osób niepełnosprawnych i pomagać innym ludziom je rozumieć, bo u podstaw sensownej po-

mocy osobom niepełnosprawnym jest rozumienie – świadomość spraw.

Opracowanie:
Stawomir J. Żurek

**„Scriptores Scholarum” możesz kupić w całej Polsce w księgarniach
 Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (EMPiK):**

1. Białystok;
 - ul. Sienkiewicza 3
2. Bytom;
 - ul. Dworcowa 32
3. Czeladź;
 - ul. Będzińska 61
4. Chełm;
 - ul. Lubelska 61
5. Częstochowa;
 - ul. Najświętszej Marii Panny 63/65
6. Elbląg;
 - ul. 1 Maja 37
7. Chorzów;
 - ul. Wolności 26
8. Gdańsk;
 - ul. Długi Targ 26-29
9. Gdynia;
 - ul. Świętojańska 68
10. Gliwice;
 - ul. Rynek 4/5
11. Gniezno;
 - ul. B. Chrobrego 11
12. Gorzów Wielkopolski;
 - ul. Sikorskiego 126/128
13. Kalisz;
 - Rynek Główny 18
14. Katowice;
 - ul. P. Skargi 6
15. Kielce;
 - ul. Warszawska 5
16. Koszalin
 - ul. Zwycięstwa 106/108
17. Kraków;
 - ul. Bora Komorowskiego 37
18. Legnica;
 - ul. Rynek 33
19. Lublin;
 - ul. Krakowskie Przedmieście 59;
 - ul. Armii Krajowej 25
20. Łódź;
 - ul. Narutowicza 8/10;
 - ul. Piotrkowska 51
21. Nowy Sącz;
 - ul. Rynek 17
22. Olsztyn;
 - ul. 1 Maja 17
23. Opole;
 - ul. Czimska 2
24. Ostrów Wielkopolski;
 - ul. Kolejowa 24b
25. Płock;
 - Pl. Narutowicza 5
26. Poznań;
 - ul. Ratajczaka 44
27. Racibórz;
 - ul. Rynek 5
28. Rybnik;
 - ul. Sobieskiego 18
29. Słupsk;
 - ul. Stary Rynek 6
30. Sopot;
 - ul. Boh. Monte Cassino 57/59
31. Sosnowiec;
 - ul. Małachowskiego 2
32. Szczecin;
 - Al. Wojska Polskiego 2
33. Świnoujście;
 - ul. Armii Krajowej 8
34. Toruń;
 - ul. Wzielskie Garbary 15
35. Wałbrzych;
 - Al. Wyzwolenia 2
36. Warszawa;
 - Al. Zjednoczenia 25;
 - ul. Jagiellońska 15;
 - ul. Marszałkowska 116/122;
 - ul. Mickiewicza 27;
 - ul. Nowy Świat 15/17
37. Włocławek;
 - ul. Warszawska 11/13
38. Wrocław;
 - Pl. Kościuski 21/23
39. Zielona Góra;
 - ul. Bohaterów Westerplatte 19

„Przez krzyż – do nieba!” – rozmowa z Siostrą Pawłem Blanką F.S.K. (Anną Wąsalanką)

Paweł Blanka – Anna Wąsalanka – Franciszka Służebnica Krzyża; długoletnia wychowawczyni i nauczycielka dzieci niewidomych w internacie i szkole w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Niewidomych w Laskach koło Warszawy.

Jacek Wojtysiak: *Jak doszło do pierwszego spotkania Siostry z osobami ociemniałymi?*

Siostra Blanka: Po obronionym dyplomie z teorii specjalnej muzyki, mój spowiednik poradził mi, że bym wyjechała gdzieś trochę odpocząć. Ponieważ nie miałam rodziny ani znajomych na wsi, podsunął mi on wtedy pomysł: „A może pojechałaby Pani do Lasek?”. Przyjechałam więc do Lasek na dwa dni, w czerwcu 1958 roku i zamieszkałam w Domu Rekolekcyjnym. Rzuciłam się przede wszystkim na bibliotekę, a potem spacer po lesie. Ale chyba drugiego dnia znalazłam się przypadkiem w domu, w którym była olbrzymia sala gimnastyczna, a w niej gromadka niewidomych dzieci z przedszkola. Pamiętam to pierwsze zetknięcie z dziećmi niewidomymi i pierwszy skurcz gardła ze wzruszenia, pierwsze tamowane łzy... Czulałam wtedy jakąś ogromną bezradność. Chciałam im zrobić coś dobrego i nie wiedziałam co... Dzieci te akurat wtedy znalazły się na chwilę bez opieki. Niektóre beztładnie kręciły się wokół własnej osi z palcami w oczach. Jest to taki tik małych niewidomych dzieci. Robiło to ogromnie przykre wrażenie. Weszłam w tę gromadkę i poprosiłam je, aby zaśpiewały mi jakąś piosenkę. Śpiewanie słabo im jakoś szło. Zaczęłam nerwowo poszukiwać w pamięci jakiejś dziecięcej pio-

senki. Przypomniałam sobie w końcu piosenkę z zabawą – „Czyżyku, czyżyku, ptaszku maleńki”. Nauczyłam je tej piosenki i zaczęłam się z nimi bawić. Okazało się wtedy (to było moje pierwsze odkrycie), że dzieci niewidome są normalnymi dziećmi. Tylko kiedy są bierno, beczynne mogą wydawać się dziećmi upośledzonymi. Tak duże wrażenie zrobiło na mnie to spotkanie, że zapamiętałam imię i nazwisko chłopca, który się wówczas pierwszy nauczył piosenki. Od tamtej chwili zaczęłam częściej przyjeżdżać do Lasek. Wtedy zobaczyłam, że i ja mogę coś zrobić dla niewidomych.

J.W.: *Wtedy wróciła Siostra do domu, do Łodzi.*

Siostra Blanka: Tak, ale kontakt z Laskami się nie urwał. Zaczęłam organizować dla nich przyjazdy moich przyjaciół muzyków, którzy wraz ze mną zaglądali tu z koncertami. Później okazało się, że ja tutaj bardzo się przydam. Ówczesna Siostra przełożona poprosiła mnie o to, by w Łodzi odwiedzić ich była wychowankę, która miała jakieś kłopoty. Dała mi małą paczuszkę dla tej niewidomej – i tu zaczął się mój głębszy kontakt z ociemniałymi. Spotkałam się wtedy po raz pierwszy na serio z ludzkim cierpieniem. Dziewczyna ta, ogromnie pokrzywdzona, oprócz tego, że była niewidoma, miała gościec zniekształcający, i bardzo bolały ją kości, stawy i mięśnie. Przy tym wszyst-

kim była pełna pogody ducha i głęboko wierząca. Bardzo się ucieszyła, że do niej przyszedłam, i że mieszkam w Łodzi. Zostałam przez nią zobowiązana do przychodzenia. Wtedy wiele rzeczy zrozumiałam do psychiki niewidomych. Trudno jest zdobyć ich zaufanie, bo są z natury nieufni. Zobaczyłam, że prawdziwe są słowa Małego Księcia, który powiedział do liska, że jak się kogoś oswoi, trzeba być za niego odpowiedzialnym. Zrozumiałam, że nie mogę jej zawieść. Był to jeden z momentów zastanowienia się nad własnym życiem i ewentualną radykalną zmianą mej drogi.

Sławomir J. Żurek: *Przeskoczyć tak z filharmonii – z estradą i karierą do Lasek to chyba była decyzja niełatwa?*

Siostra Blanka: Decyzja ta długo we mnie dojrzewała, łaska coraz natarczywiej docierała do wnętrza. Na początku jej nie rozumiałam. Przyszedł jednak taki dzień, że zdecydowałam zamknąć poprzedni rozdział mojego życia, pożegnałam piękne i barwne życie muzyka-artysty i przyjechałam do Lasek...

S.J.Ż.: *Co ostatecznie Siostrę do tego kroku skłoniło?*

Siostra Blanka: Ogromna fascynacja Panem Bogiem, który do czasu mojego pierwszego przyjazdu do Lasek nie za bardzo mnie interesował. Owszem, chodziłam do Kościoła, od czasu do czasu do spowiedzi. Przyszła wtedy do mnie refleksja, że właściwie żyję bardzo płytkim życiem pięknoducha. Żyję tylko muzyką – to była moja praca, odpowiedź, przyjaźń, radość, fascynacja, wszystko. Jak długo można tak żyć? Poczulałam wtedy bardzo silnie swój egotyzm. Miałam dobranych, bardzo interesujących przyjaciół. Miałam piękną bibliotekę, w której stały książki tylko takie, które chciałam mieć, na które wydawałam mnóstwo pieniędzy. Miałam swoje ukochane nuty. Wszystko dotyczyło tego, co mnie się podobało i dopiero spotkanie z ową Wandzią Mizerek – niewidomą, leżącą, chorą kobietą pokazało mi, że można chociaż częścią swojego życia dzielić się z innymi. Jako artystka robiłam zresztą rzeczy bardzo pozytywne, ale pod warunkiem, że sprawiały mi one radość i satysfakcję. Prowadziłam otwarte lekcje z muzyki, miałam w radio audycje słowno-muzyczne, które miały na

celu edukację muzyczną. Wszystko to jednak robiłam dla siebie, a nie dla innych.

S.J.Ż.: *Czy można powiedzieć, że spotkanie z Wandzią było wyraźnym, na serio, spotkaniem z Jezusem?*

Siostra Blanka: Tak, wtedy zaczęły się rodzić we mnie różne pytania. Miałam różne dylematy: „czy mogę zrezygnować z zawodu?”; „czy mam do tego prawo?”. Czytałam wtedy traktat Messiaen'a o jego języku muzycznym. We wstępie znalazłam taki fragment, że każda dobra muzyka jednym swoim końcem dotyka Boga. Niekoniecznie musi mieć w tytule temat zaczerpnięty z Biblii. Pomyślałam wtedy, że moja kariera muzyczna jest słuszna. Miałam mnóstwo pytań i wątpliwości, ale Pan Bóg cierpliwie pokazywał mi, jak bardzo mnie kocha i czekał.

J.W.: *Jak wyglądała praca Siostry w Laskach?*

Siostra Blanka: Na początku miałam miesiąc świeckiej próby. Biegałam w niebieskim sweterku i szerokiej niebieskiej spódnicy, i przyglądałam się życiu zakonnemu. Wtedy zostałam przydzielona do pracy z grupą dziewcząt niewidomych z upośledzeniem umysłowym. Każda z nich była tak inna. Sama nie wiedziałam co z nimi robić, więc zaczęłam to, co umiałam – zrobiłam z nimi przedstawienie. Napelniło mnie to otuchą, że do czegoś mogę się tu przydać. Była to „Pyza na polskich dróżkach”. Dzieci śpiewały piosenki z różnych regionów Polski. Niestety, mimo tego „sukcesu” nie widziałam entuzjazmu względem mojej osoby u przełożonych zakonnych. Moje powołanie było od początku nieco „podejrzane”. Artystka w zakonie? Czy to nie jest jakaś chimera, kaprys, chwilo-wy nastrój?

S.J.Ż.: *W Laskach nie była chyba Siostra jedyna z tego „podejrzanego” środowiska?*

Siostra Blanka: Jeśli chodzi o ludzi sceny to byłam pierwsza. W Laskach pojawiły się przede mną plastyczki i dobrze się tu „hodowały”. Na początku bardzo mi się przyglądano. Nawet Matka Generalna poleciła mi nie zrywać do końca umów i kontaktów ze światem, żebym miała dokąd wrócić. Przy wielkiej życzliwości jednak na cenzurowanym byłam dość długo, może trzy lata. Zajmowałam się w tym okresie małymi dziewczyn-

kami. Poszukiwałam własnych sposobów pracy, rozwijających ich sprawności i zainteresowania. Miałam za sobą, na szczęście, wieloletnie doświadczenia pracy harcerskiej (do dzisiejszego dnia nie rozstaję się ze swoim harcerskim krzyżem). Pracowałam później przez siedem lat w Domu Dziewcząt, przez trzy następne byłam Przełożoną w Domu Świętego Franciszka, a później przez następnych siedem lat pracowałam w internacie chłopców. Cały czas prowadziłam pracę ogólnowychowawczą. Dopiero po wielu, wielu latach poszłam do szkoły, gdzie zostałam nauczycielką, przez szesnaście lat ucząc języka polskiego i historii, a także, zgodnie z moim zawodem – wychowania muzycznego.

J.W.: *Co jeszcze Siostra robiła w Laskach?*

Siostra Blanka: Organizowałam drużynę harcerską, prowadziłam obozy, wędrowki szlakami górskimi w Sudetach, Pieninach, Tatrach, Beskidach, organizowałam liczne przedstawienia teatralne, głównie wielkie widowiska historyczne. Aż w końcu urzeczywistniło się moje największe marzenie – szkoła muzyczna dla niewidomych.

J.W.: *Pan Bóg podarował więc Siostrze to, co kiedyś mu oddała?*

Siostra Blanka: Powróciło to do mnie z nadmiarem! Pan Bóg oddał mi moją muzykę, ale inaczej – zaczęłam robić to samo, co kiedyś, ale już nie dla siebie, lecz dla innych!

J.W.: *Koncertowała Siostra ze swoimi uczniami w Polsce?*

Siostra Blanka: W Polsce (w bardzo wielu miejscach) i zagranicą! Byliśmy na przykład w Australii (1985), a w roku 1997 na tournée w okolicach Gór Harcu, między innymi w Hannoverze, Goslar, Getyndze, Bad Harzburg, Katlenburg.

J.W.: *Jest taka obiegowa opinia, że osoby mające upośledzenie jednego zmysłu, mają lepiej rozwinięty inny. Mówi się, że ociemniaли mają szczególne talenty muzyczno-słuchowe. Czy sprawdzało się to w przypadku uczniów Siostry?*

Siostra Blanka: Nie, to nie jest prawda. Zresztą na KUL-u, półtora roku temu miałam wykład na ten temat dla historyków sztuki. Zdolności muzyczne kształtują się tak samo wśród widzących, jak i niewidomych. Tylko, że muzyka jest jedyną sztuką w

pełni dostępną niewidomym. Dlatego niewidomi lubią muzykę i chętnie się jej uczą.

S.J.Ż.: *Czy to, że są niewidomi powoduje, że głębiej przeżywają muzykę?*

Siostra Blanka: Ma Pan częściową rację. Oni mają większe możliwości percepcyjne, bo mają też większe możliwości skupienia się. I to odnosi się w ogóle do różnych dziedzin, nie tylko do muzyki. Potrafią odtwarzać w szczegółach to, co przed chwilą usłyszeli z czytanej im książki, są bardzo precyzyjni, świetnie majsterkują i w ogóle są bardzo zdolni i wrażliwi.

J.W.: *Czy o niewidomych można powiedzieć, że są niepełnosprawni?*

Siostra Blanka: Najlepiej do terminu „niepełnosprawni” dodawać typ niepełnosprawności – niepełnosprawni ruchowo, wzrokowo, słuchowo itd. Pozwala to zauważyć, że określona niepełnosprawność jest tylko w pewnej dziedzinie i zawsze kompensowana jest przez inne zmysły. Prowadzę dla niewidomych audycje muzyczne i za każdym razem ogarnia mnie niesłychana radość, ale jednocześnie podziw dla nich, ile zauważają! Jak wspaniale analizują formy muzyczne ze słuchu (a nie z nut, jak robią to widzący, co zresztą jest dużo prostsze). Mają wspaniałą pamięć słuchową. Poznają ludzi po głosie po wielu, wielu latach od rozstania.

S.J.Ż.: *Czym różni się niewidomi od innych niepełnosprawnych?*

Siostra Blanka: Niewidomi cały czas prowadzą pracę intelektualną, np. orientując się w przestrzeni. Wszystkiego muszą się uczyć sami bez wzorów, bez możliwości naśladowania – jedzenia sztuczkami, krojenia chleba, sprzątanania, prania, gotowania. Dziewczęta uczą się również pielęgnacji niemowląt. Stosować należy różne indywidualne metody.

J.W.: *Czy niewidomi coś mogą dać widzącym?*

Siostra Blanka: Iie rzeczy nauczyłam się od niewidomych! Zresztą jest to proces wzajemnego dawania.

S.J.Ż.: *Jak prowadziła Siostra lekcje z języka polskiego z osobami niewidzącymi?*

Siostra Blanka: Programy są takie same jak w szkołach dla widzących. Podręczniki te same, z tym, że drukowane w systemie Braille’a. W tym nauczaniu chodziło przede wszystkim, aby ich zainteresować i rozmiłować w literaturze. Moi

uczniowie dużo recytowali, organizowałam im różne konkursy literackie, czytelnicze, spontaniczne inscenizacje fragmentów lektur.

J.W.: *Siostra musiała nauczyć się Braille'a ?*

Siostra Blanka: Wszyscy wychowawcy muszą ten alfabet umieć.

J.W.: *Czy ten system notacji nie utrudnia na przykład rozumienia poezji?*

Siostra Blanka: Jeślibym chciała Pana przekonać, to powinienam wziąć tom poezji z biblioteki i poprosić jakiegoś chłopca albo dziewczynkę o przeczytanie tekstu Czesława Miłosza czy Zbigniewa Herberta, czegoś, co nie byłoby za łatwe. A później pozwolić im na ten temat mówić. I dla porównania o to samo poprosić dziecko widzące. Proszę pana, jak świetnie przygotowuje się z niewidomymi inscenizacje teatralne! Organizowałam z nimi adaptacje i wielkiego dramatu, i różnych baśniowych moralitetów oraz tekstów poetyckich. Pisałam dla nich adaptacje znanych dzieł klasycznych, na przykład „Nocy listopadowej” Stanisława Wyspiańskiego.

J.W.: *Czy Siostra nie miała poczucia, że poprzez te artystyczne działania rozbudziła dzieciom apetyty, które potem trzeba było studzić, gdyż w naszym społeczeństwie trudno niewidomemu zostać artystą?*

Siostra Blanka: W sumie było w tym jednak więcej dobrego. Nabierali zaufania do siebie, do swoich możliwości. Każde przedstawienie było przede wszystkim sprawdzianem ich możliwości ruchowych oraz intelektualnych i emocjonalnych.

J.W.: *Mówiliśmy o nauczaniu przedmiotów humanistycznych i artystycznych, a co z przedmiotami przyrodniczymi? Znana jest na przykład koncepcja nauczania przyrody osób niewidomych propagowana przez niezwykłego już lubelskiego profesora Sergiusza Riabinina.*

Siostra Blanka: Profesor Riabinin poznał Laski dzięki mnie. Zaprosiłam go na koncert mojego chóru na KUL-u, podczas którego śpiewaliśmy jego tekst poetycki, do którego ułożyłam muzykę. Za jakiś czas zjawił się pan Riabinin w Laskach i serdecznie się „zakorzenił”, włączył w nasze sprawy, zaprzyjaźnił z niewidomymi. Profesor zachęcał nas, nauczycieli i wychowawców, do większe-

go wykorzystania naturalnego środowiska Puszczy Kampinoskiej, a szczególnie samych Lasek, do nauczania biologii. W kilku znakomitych wykładach uzupełnionych slajdami i planszami rysunkowymi sugerował, jak można by prowadzić lekcje o ptakach, ich obyczajach, ich wędrówkach – na spacerach, wycieczkach zarówno szkolnych jak i internatowych. Poznawanie głosów ptasich to szczególnie uciecha dla dzieci niewidomych!

J.W.: *A jak dzieci niewidome przeżywają czas dojrzewania? Czy wiąże się on z większymi napięciami?*

Siostra Blanka: Niewidomi przeżywają dwa takie okresy – okresy intensywniejszego poznawania inności siebie. Pierwszy okres między 4-6 rokiem życia, kiedy dziecko rozpoznaje, że jest inne niż jego rodzeństwo w domu, czy koledzy na podwórku. Dziecko niewidome wtedy zaczyna bardzo mocno czuć, że jest bardziej niż inni zależne od pomocy drugich. Okres ten niektóre dzieci przeżywają bardzo boleśnie. Rodzice w tym czasie popełniają różne błędy, szukając kogoś winnego kalectwa dziecka, nie mówiąc prawdy. Dziecko zaczyna mieć często pretensję najpierw do lekarza, później do rodziców, a w końcu do Pana Boga... Na szczęście jest to okres krótki, bo wkrótce przychodzi fascynacja szkołą. Dzieci bardzo pragną nauczyć się czytać. Każde dziecko w Laskach, kiedy nauczy się już czytać, jest uroczycie prowadzone przez nauczycielkę do biblioteki i wypożycza pierwszą książkę. Następuje fascynacja książką, która daje im poczucie wolności. Drugi kryzys przychodzi po kilku latach – tuż przed pójściem do szkoły średniej. Przychoǳą pierwsze wybory kierunku dalszej nauki, przyszłego zawodu, i czują po raz kolejny swoje ograniczenia. Powstają wtedy ogromne napięcia emocjonalne, bunty, o których już wspominałam.

J.W.: *Jak niewidomi przeżywają swą pierwszą miłość?*

Siostra Blanka: Tak samo, jak wszyscy młodzi na całym świecie – z biciem serca, lekką nieprzytomnością (zwłaszcza w czasie lekcji), szukaniem siebie, czekaniem na siebie i radosnym spotykaniem. Najtrudniej jest na początku. Wśród wielu,

wielu głosów zapamiętać i rozpoznać ten jeden, najważniejszy... A potem poznają swoje zainteresowania. Często łączą ich wspólne imprezy, obozy, wycieczki, próby chóru, teatru.

S.J.Ż.: *Czy małżeństwa wywodzące się z Lasek są trwałe?*

Siostra Blanka: W większości tak! Mają ambicje, by mieć w domu czysto i ładnie, by dzieci były dobrze wychowane. Z mojego chóru wyszły trzy małżeństwa.

J.W.: *Jak jest z małżeństwami „mieszanymi”, w których tylko jedna strona jest niewidoma?*

Siostra Blanka: Najczęściej są to pary – on niewidomy, ona widząca, ale są małżeństwa bardzo udane również pomiędzy niewidomą dziewczyną i widzącym chłopcem, co jeszcze dwadzieścia, czy trzydzieści lat temu było wielką rzadkością. Ta sytuacja wymaga od obydwójga wiele, wzajemnego zrozumienia i akceptacji. Najczęściej są to ludzie, którzy odnaleźli się na jakiejś płaszczyźnie wspólnych zainteresowań, na przykład naukowych, artystycznych, sportowych.

J.W.: *Jak patrzeć na niepełnosprawność wzrokową? Czy w kategorii nieszczęścia i upośledzenia czy w kategoriach szansy?*

Siostra Blanka: Kiedyś śpiewaliśmy w Rabce w szpitalu dziecięcym i tam poznaliśmy dzieci z gruczką kości, przykute do łóżek. Niewidomi bardzo przeżyli to spotkanie. Wtedy to jeden z chłopców powiedział: „Cóż to za bajdy, że najgorszym nieszczęściem jest być niewidomym. Największe nieszczęście przeżywają te chore dzieci, które nie mogą biegać, bawić się, są bez żadnych perspektyw życiowych!”. Najważniejszą kwestią jest sprawa zaakceptowania tego, że nie wszystko jest mi dostępne. Matka Czacka uczyła nas, że niewidomych należy tak wychowywać, aby żyjąc jako ludzie szlachetni, religijni, uczciwi i samodzielni byli apostołami wśród ludzi niewidomych na duszy. Jaką moc apostołską ma grupa niewidomych, która nie mówi ani słowa o Panu Bogu! Mogłam się o tym przekonać wiele, wiele razy. Mamy wiele świadectw ludzi oddalonych od Boga, którzy nawracali się w kontakcie z niewidomymi w Laskach.

S.J.Ż.: *Dlaczego tak różni ludzie przyjeżdżają do Lasek?*

Siostra Blanka: Podejrzewam, że gdybyśmy zapytali tych ludzi, którzy tu przyjeżdżają dlaczego to robią, to pewnie, tak jak ja w tej chwili, nie umieliby odpowiedzieć. Ludzie często opowiadają po prostu o swoich wrażeniach z pobytu tutaj. Mówią o dzieciach jeżdżących na rowerach, o chłopakach biegających po alejkach, o uśmiechniętych dziewczynkach. Pomyśleli wówczas, że może przesadzali trochę z własnymi problemami w życiu, może bez powodu byli smutni, że niewspółmierne są ich trudności życiowe z trudnościami tych dzieci, które potrafią znosić je z uśmiechem.

J.W.: *Czy istnieje myśl przewodnia, ideologia nadająca kierunek życiu w Laskach?*

Siostra Blanka: Tak. Można ją nawet nazwać „małą teologią”. Cała ta teologia życia w Laskach zawiera się w naszym pozdrowieniu – „Przez krzyż – do nieba!”. Do wszystkich ta teologia tutaj dociera powoli, ale dociera. Matka Róża Czacka – założycielka naszego Zgromadzenia, sama będąc osobą niewidomą, mówiła, że krzyż nie wystarczy zaakceptować, że trzeba go pokochać. Pan Bóg może pozwolić poznać człowiekowi również radość krzyża. Ja nie mogłabym, nie mam prawa powiedzieć niewidomemu, aby cieszył się ze swojego krzyża, ale mogę mu powiedzieć, żeby zaakceptował swój krzyż, bo inaczej nie będzie miał żadnej szansy rozwoju dla siebie.

W Dyrektorium pozostawionym nam przez założycielkę Matka Róża Czacka napisała: „Dzielo to z Boga jest i dla Boga, innej racji bytu nie ma. Gdyby zboczyło z tej drogi, niech przestanie istnieć!” Brzmi to jak starotestamentalne przekleństwo! Przez ostatnie pięćdziesiąt lat były ciągle zakusy, by to Dzielo zniszczyć, by usunąć siostry, a wprowadzić tzw. „fachowych ludzi”. Często charyzmatu Lasek strzegli świeccy. Tak jak na przykład dyrektor szkół i internatów w Laskach – Zygmunt Serafinowicz, który walczył, by komuniści nie usunęli zakonnicy z Lasek. W latach sześćdziesiątych byliśmy nękani kontrolami, które miały nas zniszczyć psychicznie. Ciągłe szukano jakichś nadużyć. Kiedyś przyjechała wizytacja Najwyższej Izby Kontroli. Wizytacja trwała cztery miesiące. Spenetrowano wszystkie dziedziny. Byłam wtedy kierowniczką w internacie i zażądano ode mnie,

by przedstawić wykaz z trzech ostatnich lat wydanych bluzeczek, spódniczek, sweterków, płaszczy, które przyszły z darów zagranicznych. Myśmymy wychodzącym z Lasek absolwentom przygotowywali tę odzież jako wyprawkę. NIK chciał, by wszystko było imiennie przedstawione – kto to pobrał i ile sztuk. Pracowałyśmy całą noc nad wykazem, ale zrobiliśmy go! Na drugi dzień zadzwonili z żądaniem, by sporządzić następne zestawienie według wzoru: „Bluzeczki z krótkimi rękawami – otrzymały następujące osoby”. Niechby się zdarzyła pomyłka! Zresztą nikt potem tego nie sprawdził...

S.J.Ż.: *Dlaczego Laski są tak popularne w świecie ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z ciemniałymi ani Kościołem?*

Siostra Blanka: W czasach trudnych wielu traktowało Laski jako azyl. Gdyby próbowano ich tutaj aresztować, to trzeba by było zamknąć zakład, zlikwidować Laski. Ówczesne władze nie mogły upaństwowić Lasek, bo jest to największa tego typu placówka w Europie i po prostu trudno byłoby znaleźć tylu „fachowców”. Obecnie zatrudnionych jest u nas ponad pięćset osób! Poza tym likwidacja byłaby skandalem w całej Europie!

Ci, którzy mieli tu zostać dłuższy czas, musieli coś zrobić – sprzątać, zamiatać w szpitaliku, nosić chorych. Byli tacy, którzy ukrywali się lub pracowali twórczo w pokoju Jerzego Zawieyskiego. W pokoju tym mieszkał między innymi Zbigniew Herbert, Adam Michnik i inni...

J.W.: *Adam Michnik często w swoich tekstach pokazuje różnicę między środowiskiem Lasek, dającym świadectwo, które on rozumie a środowiskiem ojca Tadeusza Rydyzka, przemawiającego do niego tym językiem, którego on nie znosi. Czy Laski świadomie używają języka, który jest zrozumiały dla ludzi będących z dala od Kościoła?*

Siostra Blanka: Od samego początku była tutaj piękna formacja Matki Róży Czackiej i ks. Władysława Kornilowicza. Obydwoje – ludzie o szerokich horyzontach, wielkiej kulturze, a jednocześnie pochodzący ze środowisk raczej indyferentnych religijnie. Przecież ks. Kornilowicz wychowywał się w środowisku pozytywistów, agnostyków, socjalistów! Dla rodzonoego ojca księdza

Władysława Kornilowicza był to szok, kiedy jego syn oświadczył, że idzie do seminarium, bo „dopadły” go laska i powołanie! Rodzice zabronili mu tego, każąc studiować we Fryburgu nauki przyrodnicze. Poszedł więc studiować, zrobił dyplom, wypełnił wolę ojca i ... poszedł do seminarium. Środowisko lewicowe, w którym był kształtowany pozostawiło w nim wrażliwość społeczną. Ks. Władysław Kornilowicz był więc ze swej natury człowiekiem otwartym na wszelkie działania społeczne na rzecz ludzi potrzebujących i skrzywdzonych. W nim to wszystko jakoś się pięknie łączyło – katolicyzm i sprawy społeczne, pobożność i otwartość. Na ks. Kornilowicza pierwszy zwrócił uwagę ówczesny delegat apostolski w Polsce Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Kiedy Matka Czacka poprosiła go o radę, kogo wybrać na kapelana, on wskazał ks. Władysława. Ksiądz Kornilowicz nadał Laskom kościec duchowy. Laski zawdzięczają mu intelektualną formację w duchu Św. Tomasza z Akwinu oraz umiłowanie liturgii. Kochał oddalonych, zagubionych, zbuntowanych... Laski wobec tego były zawsze całkowicie otwarte na wszystkich i na wszystko.

S.J.Ż.: *Jaki jest więc charyzmat Lasek dzisiaj?*

Siostra Blanka: Od samego początku ten sam – służba niewidomemu na ciele i duchu. Założycielka chciała, aby w tym Dziele zaistniało współdziałanie trzech elementów: niewidomych, sióstr i świeckich. Niewidomi na ciele mieli być wychowywani tak, by w przyszłości móc być apostołami wśród ich braci niewidomych na duszy. Siostry miały czuwać nad głównym kierunkiem przesłania Matki Róży Czackiej („Dzielo to z Boga jest i dla Boga...”). A świeccy musieli być, bo siostry, z racji swego stanu i konieczności, są wyłączone z biegu współczesności w świecie. Dlatego w Laskach od początku była widoczna ta właśnie swoista jedność całego Kościoła, jedność różnych stanów i charyzmatów, które ze sobą współpracują.

S.J.Ż.: *Dziękujemy więc za rozmowę i świadectwo Kościoła otwartego, które tu w Laskach było składane jeszcze na długo przed Soborem Watykańskim II.*

Opracowanie:

Stawomir J. Żurek

Trzy drogi niepełnosprawnych – wczoraj i dziś – rozmowa z drem Janem Skarbkem (KUL)

Jan Skarbek – ur. 1940; starszy wykładowca w Katedrze Historii Ustroju i Administracji KUL. Zajmuje się edytorstwem źródeł XIX w. – walką o niepodległość, administracją państwową i kościelną w dobie rozbiorów, historią regionalną Lubelszczyzny oraz edytorstwem źródeł XIX wieku. Autor ponad 150 rozpraw naukowych; współautor „Zarysu dziejów Kościoła Katolickiego w Polsce”, Kraków 1980 (ZNAK).

Sławomir J. Żurek: *Czym jest niepełnosprawność z perspektywy historycznej, i co przez to pojęcie rozumiemy?*

Dr Jan Skarbek: Jest to bardzo złożony problem. Ludzie przez wieki dostrzegali innych, ich kalektwo i ułomność, które występowały w różnych postaciach. Można przyjąć, że im współczuli, ale i też u wielu innych wywoływało odrazę i wstręt. Niepełnosprawni znajdowali się niejako poza normalnym tętnem życia społecznego, które koncentrowało się wokół ludzi sprawnych oraz różnych instytucji. Niepełnosprawność eliminowała z życia społecznego. Widać to w starożytności na przykładzie państwa Sparty, gdzie rachityczne dzieci uśmiercano. W obszarze niepełnosprawności mieści się również problem mężczyzny i kobiety. W dawniejszych czasach, praktycznie do połowy wieku XIX, dziewczyna była traktowana w jakimś stopniu jak „niepełnosprawna”. Nie miała tego znaczenia, które zwracałoby na nią uwagę, gdyż była zmarginalizowana, jeśli chodzi o aktywność życiową. Natomiast chłopiec stanowił „wartość państwową”. Był przeznaczony do specjalnych zadań – zdrowy i silny szedł do wojska ochoczo lub też pod przymusem (w dobie rozbiorów w państwach zaborczych), lub zostawał w majątku. Mężczyźni rachityczni i słabi oraz niepełnosprawni, kobiety i dzieci, wszyscy oni stano-

wili specyficzne tło dworów szlacheckich, chat chłopskich. Z bogatszych domów oddawano ich pod opiekę do dalekich krewnych, poza miejsce zamieszkania. Niekiedy też trafiali do przytułków prowadzonych przez klasztory. Kościół zawsze łagodził tę nędzę, opuszczonych przez najbliższych, zapomnianych, niejako porzuconych.

Michał Hucal: *Jak wyglądała kiedyś sytuacja żołnierzy, którzy wrócili z wojny jako osoby niepełnosprawne?*

Dr Jan Skarbek: W starożytnym Rzymie żołnierz, który poniósł uszczerbek na zdrowiu był chroniony przez państwo. Również w Polsce znalazło to swoje odbicie w przywilejach, między innymi ko-szyckim, gwarantującym w razie uszczerbku na zdrowiu wynagrodzenie ze strony państwa, a w przypadku popadnięcia w niewolę, wykupienie.

Michał Świdziński: *Czy wśród hierarchii kościelnej pojawiał się problem ludzkiej niepełnosprawności?*

Dr Jan Skarbek: W tej dziedzinie już od starożytności Kościół rozwijał szeroko zakreśloną działalność. Widać to w prawodawstwie kościelnym. W Kościele katolickim ludzi niepełnosprawnych nie dopuszczano do niektórych godności w kapłaństwie hierarchicznym. I tak jest do dziś, że kandydat do stanu duchownego musi spełniać określone warunki, dotyczące zarówno strony fi-

zycznej, jak i intelektualnej. To rozróżnienie ma odniesienie również w prawie świeckim – w niektórych zawodach, na przykład takich jak nauczyciel. Nie zawsze w dawniejszych wiekach kwestie te były rygorystycznie przestrzegane (np. w odniesieniu do wstępujących do zakonów mężczyzn i kobiet, pochodzących ze znanych i utytułowanych rodów). Panna z dobrego domu, której chciało się „pozbyć”, bo była niepełnosprawna, trafiała do zakonu ze swoim posagiem. Kościół więc deklaratorywnie z jednej strony przeciwstawiał się niepełnosprawności w Kościele, z drugiej strony zaś, z różnych względów, robił pewne wyłomy z racji pochodzenia społecznego pewnych grup osób.

Trzeba jednak pamiętać, że do początku XIX wieku Kościół był w zasadzie jedyną instytucją w państwie, która zajmowała się problemem niepełnosprawnych i uwrażliwiała na nie społeczeństwo. To Kościół jako instytucja prowadził przytulki, szpitale, organizował pomoc w różnych dziedzinach. Dzieło to prowadziły wyspecjalizowane zakony męskie i żeńskie oraz powstające w XIX wieku zgromadzenia zakonne (misjonarze, bonifratrzy, zakon Wincentego à Paolo, siostry od Świętego Ducha, szarytki i wiele, wiele innych), współpracując na różnych szczeblach z osobami świeckimi. Z inspiracji chrześcijańskiej powstawały towarzystwa dobroczynne, jako typ specjalnych fundacji, wychodzących naprzeciw potrzebom ludzi opuszczonych, niepełnosprawnych, sierot. Fundacje te starano się powierzać zakonowi i zgromadzeniom zakonnym. Kościół miał swoje punkty charytatywne w miastach i ze względów czysto geograficznych na boku pozostawił ludność niepełnosprawną ze wsi, powierzając ich jedynie opiece parafii. Po rozbiorach obowiązki względem niepełnosprawnych przejmuje na siebie państwo, zabierając zakonowi ziemię i je sekularyzując. Pozostają jedynie zakony użyteczne z punktu widzenia państwa – działające na niwie społecznej. Kościół postrzegał problemy niepełnosprawnych przede wszystkim z racji swojego posłannictwa oraz posiadanych w swoim wnętrzu grup, które się na tym znały. To, że był akceptowany społecznie, sprzyjało dobrej pracy.

S.J.Ż.: *Jak była niepełnosprawność interpretowana przez Kościół według starych źródeł?*

Dr Jan Skarbak: Zagadnienie to można prześledzić między innymi na przykładzie kazań, gdzie nierzadko pojawia się problem niepełnosprawności interpretowany skrajnie jako kara Boska.

S.J.Ż.: *Za co?*

Dr Jan Skarbak: Za niemoralne prowadzenie się rodziców, występki przodków, itd. Chodziło tu bowiem o pewien dydaktyzm. W kazaniach w różnych okresach dziejów kaznodzieja często chłostał słuchających słowem i dobierał w tym celu bardzo różne środki. Człowieka należało przestraszyć, rzucić na kolana, tak by wszelkim sposobem go sobie podporządkować. W tym kontekście pojawił się również problem niepełnosprawnych.

S.J.Ż.: *Czy problem ten był podejmowany tylko w retoryce homiletycznej?*

Dr Jan Skarbak: Kościół zwracał uwagę na niepełnosprawnych nie tylko w tym aspekcie, ale również przez wieki rzetelnie bronił interesów niepełnosprawnych i reprezentował ich problemy przed państwem.

M.Ś.: *I tak chyba jest do dzisiaj... Ostatnio wychodziłem z KUL-u. Pod kościołem akademickim stała kobieta niepełnosprawna i żebrała. Zapytałem ją: „Czemu Pani stoi tu a nie na UMCS-ie, przecież po drugiej stronie ulicy jest o wiele większa uczelnia, więcej przestrzeni, więcej studentów i pracowników?” A ona mi na to: „Bo tu mi pomagają!”. A jak niepełnosprawni byli widziani w przeszłości przez świeckich?*

Dr Jan Skarbak: Różnie, przede wszystkim w pejzażu kościelnym – przed kościołami dziady i żebracy, jak dziś na przykład obcokrajowcy (Rumuni), jakże często natarczywie żebrzący. Ludzie ci w źródłach historycznych występują jako świadkowie różnych wydarzeń, między innymi potwierdzając tożsamość zmarłych osób w danej miejscowości. Dziady dość długo stanowili trwałe element przykościelny, mimo że zwracało na to uwagę ustawodawstwo kościelne, a zniknęli w czasach stosunkowo nam bliskich. Jest tradycja, że znów dziś pojawiają się z okazji pielgrzymek i odpustów, licząc na jałmużnę i dobre słowo (dzia-

dy na Jasnej Górze i w dzień Wszystkich Świętych przy cmentarzach).

M.Ś.: *A czy biskupi polscy wcześniej wydawali ustawy, żeby dziadów spod kościołów wyprowadzić?*

Dr Jan Skarbek: Nie wiem tego, otwiera się przed nami olbrzymi katalog problemów. Dziady pomagali idącemu do Kościoła uświadomić sobie swoją własną sytuację, a także budzili wrażliwość społeczną. Stanowili panoramę kościołów, także karczm i mrocznych skupisk ludzkich. Egzystowali wszędzie tam, gdzie była zbiorowość. Ludzie ci najczęściej wypędzani byli z domów przez najbliższych. Często byli pośmiewiskiem dla całej wsi. Działo się tak w społeczeństwach agrarnych, nisko zorganizowanych. Dziady w historii powszechnej są stałym elementem Kościoła i kultury europejskiej.

S.J.Ż.: *Czy patrząc globalnie na historię możemy wyróżnić państwa, które były bardziej przychylnie niepełnosprawnym?*

Dr Jan Skarbek: Sytuacja niepełnosprawnych szczególnie była trudna w państwie absolutystycznym, gdzie liczył się ten obywatel, który powiększał dobra pracą rąk lub „robił bagnetem”. Dla człowieka nie mieszczącego się w kategoriach użyteczności dla państwa nie było w tym systemie miejsca. Dopiero wraz z postępami ustawodawstwa, niepełnosprawny staje się pełnoprawnym obywatelem państwa, które zaczyna się nim interesować i roztaczać nad nim opiekę. Opieka ta jest w pewnym sensie wymuszona, ale dzięki różnym instytucjom państwowym istnieje.

M.Ś.: *W Siedlcach, w Wyższej Szkole Pedagogicznej naprawdę na serio zajęto się problemem niepełnosprawnych. Zbudowano dla nich wszędzie podjazdy, windy, etc. Dlaczego zrobiono to tam, w małym powiatowym mieście, a nie w stolicy, czy nawet w Lublinie?*

Dr Jan Skarbek: Widziałem program na ten temat w telewizji. Świadczy to moim zdaniem o dużej wrażliwości inicjatorów tego przedsięwzięcia i dowartościowaniu ludzi niepełnosprawnych. I chwala im za to! Bo zwrócili uwagę na problem niepełnosprawnych w murach tej uczelni. Jest to wyjście naprzeciw potrzebom naszego wieku,

mające głęboki sens humanistyczny, ludzki. Również w Lublinie widziałem zaangażowanie i pracę wielu grup studenckich na rzecz niepełnosprawnych.

M.Ś.: *Miejmy nadzieję, że da to impuls tworzenia nowej wizji społeczeństwa otwartego na różne ludzkie potrzeby. Ja widzę tu wyraźnie inspirację filozofią Karla Poppera.*

Dr Jan Skarbek: Można chyba powiedzieć, że Popper połączył obydwie wątki – kościelny i państwowy, i bardzo wielu współczesnych intelektualistów czerpało i czerpie nadal z jego refleksji.

M.Ś.: *Na przykład kto?*

Dr Jan Skarbek: George Soros, który ma wiele zasług w kwestii pomocy różnym ludzkim niepełnosprawnościom.

M.Ś.: *Co ma Pan na myśli?*

Dr Jan Skarbek: Inwestowanie środków materialnych w różne przedsięwzięcia, między innymi stworzenie Fundacji im. Stefana Batorego!

S.J.Ż.: *Również nasz zeszyt ukazał się dzięki pomocy Fundacji Batorego.*

M.Ś.: *Zgadza się więc Pan z tym, że George Soros zaczerpnął prawie wszystko, całą wizję państwa i prawa oraz wizję kultury, a także cywilizacji od Karla Poppera?*

Dr Jan Skarbek: Soros chciał, by wesprzeć nasze społeczeństwo w pracy na rzecz demokracji i szeroko rozumianej obywatelskości. Stworzył w ten sposób nowy, niejako eklektyczny, system kulturowy łączący „wrażliwość” kościelną i państwową. W wizji tej społeczeństwo jest czynnikiem prawnotwórczym oraz samointegrującym się.

M.Ś.: *Dla mnie jednak zagadką jest, kto w Siedlcach znał Georga Sorosa i kto czytał Karla Poppera (ogólna wesołość – red.) oraz czy stała za tym Fundacja Batorego (ogólna wesołość raz jeszcze – red.)!*

S.J.Ż.: *Czy można powiedzieć w takim razie, że po Wielkiej Rewolucji Francuskiej, po zaistnieniu nowoczesnej, laickiej refleksji humanistycznej pojawiła się w Europie, a w konsekwencji całym świecie, nowa, świecka wrażliwość na potrzeby niepełnosprawnych, trzecia droga pomocy dla niepełnosprawnych?*

Dr Jan Skarbek: Owszem. Było to uwarunkowane niepełną realizacją pewnych kwestii przez państwo, które zawsze chciało sprowadzić wszystko do norm prawnych. Od czasów rewolucji francuskiej społeczeństwo, reprezentowane także przez wielkich myślicieli epoki nowożytnej, zaczęło bardziej skutecznie naciskać.

S.J.Ż.: *Myśliciele ci związani byli zazwyczaj z nurtem lewicowym. Czy w takim razie możemy powiedzieć, że lewica ze swej natury posiada większą niż prawica wrażliwość społeczną, również na potrzeby niepełnosprawnych?*

Dr Jan Skarbek: Jest w tym jakaś część prawdy. Tylko pamiętajmy, że mówiąc „lewica” nie mamy na myśli SLD ani Leszka Millera. Lewica bazuje na tej części społeczeństwa, która nie partycypuje w kosztach konsumpcji. Ona musi więc mieć tę wrażliwość, jeśli oczywiście rozumiemy socjaldemokrację po europejsku! Prawica zawsze miała inne potrzeby, inaczej również patrzyła na problem państwa i społeczeństwa. Wszystko chciała załatwić, również kwestię niepełnosprawności, przez ustawodawstwo narzucone odgórnie, a ludzi z ich problemami starała się nie widzieć. Lewica natomiast ciągle artykułuje te kwestie, ponieważ dzięki nim utrzymuje się na powierzchni życia politycznego.

S.J.Ż.: *Czy oznacza to, że lewica traktuje niepełnosprawnych instrumentalnie?*

Dr Jan Skarbek: W jakiejś części tak, bo tak naprawdę lewica nie ma możliwości realizowania obietnic składanych niepełnosprawnym, które przedstawia w programach przedwyborczych.

M.H.: *Natomiast prawica instrumentalnie traktuje wiarę i ludzkie uczucia religijne, również osób niepełnosprawnych.*

Dr Jan Skarbek: Kiedy mówimy o prawicy mamy na myśli ludzi sytych, dobrze zakotwiczonych, mających perspektywę ekonomiczną. Lewica reprezentuje zaś zawsze interesy ubogich. Prawica wykorzystywała dawniej religię, gdy chodziło o utrzymanie porządku społecznego, a ten gwarantuje ludzka pobożność. Zresztą mechanizm ten odkryli jako pierwsi wolnomularze. A czyż dziś na prawicy jest inaczej? Dziś wielu ludzi w Polsce związanych z prawicą atakuje masonerię nie

wiedząc, że właśnie w ich doktrynie kryje się wiele mechanizmów wykorzystywanych dziś przez polską prawicę.

M.Ś.: *Co głosili masoni, czego dziś używa prawica w życiu politycznym?*

Dr Jan Skarbek: Między innymi ideę państwa prawa, objęcie wszystkich nauką, tworzenie elit, promowanie wolnego rynku, popieranie religijności ludowej wśród poddanych etc. Masoneria nigdy nie zwalczała religii wśród mas, dlatego że religia jest czynnikiem stabilizującym państwo. Masoneria zwalczała obskurantyzm, piętnowała niedostatki wykształcenia części duchowieństwa. Należy jednak pamiętać, że jest różnica między poszczególnymi, narodowymi masoneriami – francuską czy angielską, czy też w przeszłości i polską, pozostającą pod różnymi wpływami. Masoneria przed rewolucją francuską głosiła hasła, które stały się integralną częścią Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „Wolność – Równość – Braterstwo” oraz Dekalog Praw Obywatela, które są dziś przecież zdobyczami cywilizacyjnymi. Masoneria francuska była w znacznej części antykościelna i zdecydowanie wroga kościołowi, co wyraziło się w różnych formach, np. w atakowaniu dogmatów. Masoneria polska końca XVIII wieku stanowiła podstawę ruchu dążącego do obrony istnienia państwa, wywalczenia niepodległości, jej członkowie byli twórcami Konstytucji 3-Maja, której artykuł pierwszy mówił, że religia narodowa rzymsko-katolicka jest religią panującą!

S.J.Ż.: *Czy teksty źródłowe w historii poświęcają miejsce osobom niepełnosprawnym?*

Dr Jan Skarbek: Na ludzi w historii zwracano uwagę nie dlatego, że byli pełnosprawni czy niepełnosprawni. Źródła historyczne zwracają uwagę na wydarzenia, które miały wpływ na zmianę jakiegoś porządku. Poza tym źródła zależą od osoby obserwatora. Proszę zauważyć, że kiedy zdarzy się wypadek samochodowy, to każdy z relacjonujących go po jakimś czasie, zwróci uwagę na coś innego. Tak i źródła wskazują na bardzo różne rzeczy.

S.J.Ż.: *Czy w takim razie źródła mogą specjalnie ukrywać informacje dotyczące czyjejs niepełnosprawności?*

Dr Jan Skarbek: Nie, po prostu źródła tego nie akcentują, bo po pierwsze świadkowie mogli tego nie dostrzec, a po drugie mogło to wydawać się im mniej ważne. Powtarzam – źródło jest zawsze subiektywne, jest bowiem osobistym widzeniem przez świadka pewnych kwestii i problemów.

M.Ś.: *W źródłach indyjskich jest na przykład mowa o królu Aszioku, nawróconym na buddyzm w III w. przed Chrystusem, który budował przytulki dla niepełnosprawnych i ubogich, i to w tych źródłach się akcentuje!*

Dr Jan Skarbek: Daleki Wschód poprzez wielowiekową kulturę miał wypracowany inny model społeczny, a Europa inny. Te modele czasami spotykały się ze sobą, na przykład podczas wypraw krzyżowych, i zawsze były to spotkania bolesne. Trudno jednak te kwestie ze sobą porównywać.

M.H.: *A jaki był stosunek do niepełnosprawnych w krajach protestanckich?*

Dr Jan Skarbek: W sferze ludzkiej nie było różnicy. W Kościele Luterskim, który ma inną strukturę organizacyjną, gmina może wywierać większą presję na proboszcza parafii niż w katolicyzmie. Parafia protestancka jest ze swej struktury bardziej otwarta na potrzeby najsłabszych.

M.Ś.: *Jak traktowano problem niepełnosprawnych w Kościołach Wschodnich?*

Dr Jan Skarbek: Na przykład Kościół unicki, z biegiem czasu latynizujący się, przyjmował model łaciński z jednym zastrzeżeniem. Był to zawsze Kościół ubogi, który nie miał takich możliwości zaspokajania potrzeb, w związku z tym był gorzej zorganizowany w tej materii. Na pewno lepiej zorganizowany był Kościół prawosławny.

M.H.: *Jakie jest pochodzenie organizacji charytatywnych w Kościele?*

Dr Jan Skarbek: Wszystkie organizacje charytatywne, można chyba tak powiedzieć, miały u swojej genezy uwrażliwienie na problem pomocy niepełnosprawnym, a praca na tej niwie związana była z tradycją zakonów. Jednak problem pomocy niepełnosprawnym stał się drastycznym zjawiskiem od czasu powstawania wielkich aglomeracji w Europie, a szczególnie w okresie industrializacji. Na przykład Londyn z przedmieściami w roku 1900 miał osiem mln ludności, a Warszawa

w tym czasie ok. 790 tys.! Tam dopiero jak na dłoni widoczna była skala nędzy ludzkiej. Wtedy Kościół na ziemiach polskich, ograniczany w swej działalności przez państwo, potrzebował pomocy i wsparcia ze strony świeckich, także i finansowego. Pierwszą taką instytucją wywodzącą się z organizacji kościelnych, działających w ramach Kościoła na przełomie XIX i XX wieku był powstały w dwudziestoleciu „Caritas”, który połączył i skoordynował wcześniejszą działalność, głównie charytatywną. W okresie zaborów istniały oczywiście różne doraźne komitety i towarzystwa dobroczynności działające najczęściej w strukturach diecezjalnych i parafialnych.

M.Ś.: *Obserwujemy obecnie dużą eskalację organizacji charytatywnych o charakterze zarówno świeckim jak i kościelnym. Skąd to zjawisko? Wystarczy przywołać chociażby „Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy” Jerzego Owsiaka, „Monar” Marka Kotańskiego, czy „Wspólnota Chleba” Siostry Małgorzaty Chmielewskiej. Dlaczego te nowo powstałe instytucje są atakowane w mediach kościelnych przez inne starsze organizacje charytatywne, dlaczego rywalizują one ze sobą? Przykładem tu mogą być wypowiedzi pracowników „Caritasu” pomniejszające rangę i zasługi Orkiestry Owsiaka.*

Dr Jan Skarbek: Kwestia powstawania tego typu instytucji jest przykładem, jakże potrzebnej naszemu krajowi aktywności różnych środowisk, w szeroko rozumianym dziś nurcie pracy organicznej, mającym w Polsce swe korzenie w Oświeceniu, szczególnie zaś w Oświeceniu katolickim. Praca organiczna bowiem konsolidowała dawniej i dziś różne grupy społeczne w pionie i w poziomie, nakierowana na całokształt życia człowieka. Działalność tego typu dowartościowuje ludzi, tak było też po 1945 roku, kiedy społeczeństwo zjednoczyło się w walce o własne państwo, a w perspektywie o „przetrwanie”. Po doświadczeniu zaborów mieliśmy tradycję konsolidacji społeczeństwa. Wtedy to nastąpiło zetknięcie dwóch grup społecznych, tej która doświadczyła dwudziestu lat niepodległości, przeszła gehenną okupacji i obcej, narzuconej władzy totalitarnej, i tych przedwojen-

nych „niepełnosprawnych” – ubogich, bezrolnych, którzy nagle stali się dowartościowani przez fakt posiadania i stanęli po stronie zaprowadzanego porządku. Kościół był wtedy z tymi, którzy chcieli mieć inne państwo i inne społeczeństwo. Wówczas to pojawili się ludzie, którzy nie byli związani z Kościołem, a zaczęli samodzielnie podejmować pewien wysiłek intelektualny. W ten sposób Kościół został zepchnięty do roli „twierdzy w oblężeniu” i stał się częścią polityki. Podjął walkę w sferze ideologicznej z tymi, którzy zaczęli myśleć samodzielnie, bez oparcia w tradycji chrześcijańskiej. Nowe państwo rugowało systematycznie i świadomie, z likwidacją włącznie, różnorodne przejawy działalności instytucji katolickich, kierowanych przez duchownych. Swój krótki renesans Kościół przeżył w okresie między upadkiem komuny a III Rzeczpospolitą. Wtedy na nowo, można chyba tak powiedzieć, wszyscy Ignęli do niego – wierzący i niewierzący. Kościół otworzył się dla wszystkich i spełnił w tym okresie olbrzymią rolę – ochronił pod swym płaszczem wielu ludzi (o czym się dziś często zapomina). I chyba uronił coś ze swojej tożsamości! Patrzę na te kwestie jako historyk i chciałbym podkreślić, iż problem osądu instytucji i ludzi musi być mocno wyważony. Po prostu takie były czasy! Ważną dziś rolę i zadania mają do spełnienia świeccy ludzie w Kościele, co widzę chociażby przez pryzmat działalności rady duszpasterskiej przy Kościele Św. Rodziny na Czubach, której jestem przewodniczącym. Kościół jest taki jak społeczeństwo, z którego wywodzą się duchowni. Kościół broniąc tożsamości, stracił swoją tożsamość! Dzisiaj świeccy muszą wywierać presję na księży w parafii, gdyż jest mnóstwo ludzi obojętnych religijnie, którzy są do „zagospodarowania”. Mnie w Orkiestrze Owsiaka nie podoba się tylko hasło: „Róbta, co chceta”.

M.Ś.: ... ja to rozumiem jako psychologiczny gest, że tu nie jest szkoła, nikt tu Was nie będzie więził..

Dr Jan Skarbek:...ale jeśli młodzieży niepełnosprawnej i niedojrzalej, nie posiadającej doświadczenia życiowego powiemy „róbta co chceta”, to różnie z tym będzie!

M.Ś.: *Ale przecież organizacja Wielkiej Orkiestry była wzorcowa!*

Dr Jan Skarbek: Zgoda! Dlatego była i jest fenomenem, bo znalazła odpowiedź społeczną! Wyjście z sensownym, uwrażliwiającym hasłem do społeczeństwa odnosi sukces i budzi świadomość, że pewne kwestie musimy zrobić my, bo państwo nie jest w stanie ich zrealizować. Kościół nigdy dziś, w tym zlaicyzowanym społeczeństwie, nie odniósłby takiego sukcesu. Dziś Kościół posiadający bogate doświadczenie wybiega naprzód, widać to w wypowiedziach hierarchii, za troskaniu biskupów i aktywności duchowieństwa, zarówno na niwie duszpasterskiej, jak i społecznej.

M.Ś.: *Jak wyjść z tej sytuacji? Pierwszy nurt, tradycyjny, reprezentowany przez Feliksa Konecznego, zaleca segregację cywilizacji i ponowne zamknięcie twierdzy. Drugi nurt w Kościele próbuje oprzeć się o osiągnięcia nauki i postęp XX wieku.*

Dr Jan Skarbek: Wydaje mi się, że ten drugi nurt to przyszłość Kościoła.

M.Ś.: *Może więc winien zwrócić się obecnie nie w kierunku polityki, a pomocy ludziom, szczególnie tym najuboższym.*

Dr Jan Skarbek: Kościół jest zobligowany do służby całemu społeczeństwu.

M.Ś.: *Może na gruncie polskim przyjęłaby się jakaś forma zbliżona do posłannictwa Kościoła ubogich znanego z Ameryki Południowej?*

Dr Jan Skarbek: Kościół teologii wyzwolenia? Na pewno nie! Kościół w Polsce musi przede wszystkim dokonać sam ze sobą rozrachunku z trudnego poprzedniego okresu. Nie może stać w opozycji do osiągnięć nauki. Musi stanąć przed wyzwaniem XXI wieku: problem bogatej północy i ubogiego południa. Rola Kościoła nie może ograniczyć się do głoszenia Dobrej Nowiny. Kościół powinien odpowiadać na potrzeby i pytania współczesnego człowieka, dając mu odpowiedź lub wskazując drogę postępowania, być jak mówił ks. Hugo Koliątaj – „wszystkim dla wszystkich”. Aby to zrealizować trzeba wykonać dużą pracę, w szerokim tego słowa znaczeniu, w oparciu o parafię, afiliując tam różne stowarzyszenia i związki. Droga humanistyczna to droga Kościoła!

U genezy teologii wyzwolenia legły dwie rzeczy: Ameryka Łacińska to kraina tyranów, przewrotów i puczów wojskowych oraz wyzysku. Społeczeństwo jest tam machiną do robienia interesów. Kościół wychodzi tam do ludzi z odpowiedzią na dręczące ich pytania. Ludzie są tam bezsilni wobec przemocy i tyranów, i Kościół, chcąc być z ludźmi, przyłącza się do nich walcząc z tyranią, nie bez ofiar w swoich szeregach, o których jakże często słyszymy. Wierzą, że stosowana przez nich przemoc w efekcie doprowadzi do polepszenia ich sytuacji. Ojciec Święty stoi na stanowisku, że wszystkie problemy można rozwiązać na drodze dialogu ewangelicznego, a nie przemocy, która prowadzi tylko do eskalacji walki.

M.Ś.: *Tylko niektóre grupy stosują tam przemoc!*

Dr Jan Skarbak: Inni wplatają znowu elementy komunistyczne!

M.Ś.: *Komunizm miał przecież również pewne teoretyczne racje: opieka nad bezdomnymi, uciśkanymi...*

Dr Jan Skarbak: Trzeba odróżnić doktrynę bardzo chwytliwą od realizacji. Teologia wyzwolenia bazuje na masie ludzi niezadowolonych, którym nikt inny nie ma nic do zaoferowania.

M.Ś.: *Czy powstanie teologii wyzwolenia jest porażką Kościoła?*

Dr Jan Skarbak: Czy porażką? Raczej następstwem niedostatków w formach działalności, w złożonych społecznościach i uwarunkowaniach politycznych Ameryki Południowej. Wyzyskiwaniu ludzkiej niepełnosprawności trzeba się przeciwstawić, ale nie w taki sposób jak czynią to teologowie wyzwolenia.

S.J.Ż.: *Dziękujemy za rozmowę!*

Opracowanie:

Sławomir J. Żurek

**Poradnia Kompleksowej Diagnozy,
Wczesnej Edukacji, Terapii i Rehabilitacji
w Warszawie, ul. Kopińska 6/10
tel. (0-22) 658-43-30**

Niepełnosprawni duchowo? – rozmowa z Ks. Janem Szarkiem Biskupem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP

Jan Szarek – ur. 1936; ksiądz luterański, biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce; Prezes Polskiej Rady Ekumenicznej; członek Światowej Rady Kościołów, Światowej Federacji Luterańskiej oraz Konferencji Kościołów Europejskich.

Jacek Wojtyśiak: *Jak w teologii widzi się miejsce niepełnosprawnych?*

Ks. Bp Jan Szarek: Antropologia biblijna uczy nas, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boże oraz został powołany do społeczności stwórczej. Niestety, ta wspaniała relacja została zakłócona przez grzech pierwszej pary ludzkiej. Upadek człowieka spowodował całą lawinę zdarzeń – począwszy od wypędzenia z raju, skończywszy na śmierci człowieka. Patrząc z tej perspektywy trzeba więc stwierdzić, że człowiek stał się niepełnosprawny ponieważ zgrzeszył i został pozbawiony społeczności z Bogiem. I wtedy Bóg, z powodu swojej niezmiernie nieograniczonej miłości, rozpoczął jednak akcję ratowniczą. W Starym Testamencie zbliżał się do człowieka poprzez sędziów i proroków. W czasach ostatecznych, jak mówi Słowo Boże przemówił do ludzkości przez swojego Syna, Jezusa Chrystusa. To dało człowiekowi szansę powrotu do stanu pierwotnego – sprzed upadku. Suma wszystkich tych usiłowań została streszczona w Ewangelii św. Jana (3,16): „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że dał Syna swego Jednorodzonego, aby każdy, kto weń wierzy nie zginął, ale miał żywot wieczny”. Celem życia Jezusa było więc ratowanie człowieka. Chry-

stus w swym postępowaniu widział zawsze całego człowieka – jego ducha i ciało. W swym działaniu przekraczał wszelkie bariery, czy to były bariery niepełnosprawności, narodowościowe, hierarchii w społeczeństwie. W szczególny sposób postrzegał chorobę człowieka, jego biedę i niepełnosprawność. W tamtych czasach ludzie niepełnosprawni nie mieli żadnych praw i żadnej opieki. Byli zdani jedynie na jałmużnę, żyjąc poza społeczeństwem, a symbolem ich sytuacji byli trędowaci. Program Chrystusowy ujęty jest najlepiej w odpowiedzi jaką daje uczniom Jana Chrzciciela (Mt 11,5): „Idźcie i oznajmijcie Janowi coście widzieli: ślepi odzyskują wzrok, głusi słyszą, chromi chodzą, trędowaci zostają oczyszczeni, umarli są wskrzeszeni, a ubogim zwiastowana jest Ewangelia”. Program ten obejmuje człowieka i wszystkie jego problemy. W ten sposób niepełnosprawni i chorzy stawali się pierwszymi świadkami Jezusa, bo przekazywali dalej to, co przeżywali.

J.W.: *Czy tylko grzech, według Biblii, jest przyczyną ludzkiej niepełnosprawności?*

Ks. Bp Jan Szarek: Jest jeszcze drugi aspekt. W jednej z opowieści ewangelicznych, do Chrystusa przyszedł ślepiec. Wtedy to uczeni w Piśmie pytali Jezusa, kto zgrzeszył, że jest on niepełnospraw-

ny. Jezus odpowiada im wtedy, że nikt nie zgrzeszył - ani jego ojciec, ani on sam, tylko stało się tak, że on jest niewidomy, by mogły się objawić wielkie dzieła Boże. Nie można więc wyciągać takiego wniosku, że każda niepełnosprawność jest karą czy chorobą. Niepełnosprawność w perspektywie wiary jest dopustem Bożym, dzięki któremu objawia się dla świata Jego działanie.

Slawomir J. Żurek: *Ksiądz Biskup mówił o tym, że właściwie każdy z nas w wyniku grzechu pierworodnego nosi w sobie jakąś niepełnosprawność. Jezus Chrystus miał w sobie dwie natury – ludzką i boską. Czy w związku z tym naznaczony był także jakąś niepełnosprawnością?*

Ks. Bp Jan Szarek: Jezus był we wszystkim nam podobny za wyjątkiem grzechu. Nie mógł w sobie mieć jakiegś niedoskonałości.

S.J.Ż.: *W takim razie, czy był w stanie rozumieć człowieka z jego niepełnosprawnością?*

Ks. Bp Jan Szarek: Jezus odczuwał tak, jak każdy człowiek cierpienie, łaknienie i ból. Chrystus kontaktował się w swoim życiu ze wszystkimi, wbrew tamtejszej kulturze, więc na pewno musiał się wczuwać w ich sytuację.

S.J.Ż.: *Z Ewangelii wynika, że Jezus miał jakieś szczególnie współczucie dla niepełnosprawności moralnej.*

Ks. Bp Jan Szarek: Oczywiście! Jego głównym zadaniem było ratowanie całego człowieka – jego duszy i ciała! W niepełnosprawnym widział także grzech, dlatego odpuszczał zawsze najpierw grzechy, a potem dopiero uzdrawiał cieleśnie. Bo człowieka niszczy bardziej jego niepełnosprawność duchowa, a dopiero w kolejności – cieleśna.

J.W.: *Dla niewierzących trudnym problemem jest kwestia niepełnosprawności jako konsekwencji grzechu pierwszych rodziców. Nie rozumieją, dlaczego muszą ponosić konsekwencję czyichś wyborów.*

Ks. Bp Jan Szarek: To jest trudny problem, bo jest to pytanie o pochodzenie grzechu i zła. Człowiek dziedziczy pewne cechy genetycznie, i również na drodze genetycznej dziedziczy skłonność do zła i grzechu, którą nazywamy grzechem pierworodnym.

J.W.: *Czy w tej kwestii istnieje zgodność ekume-*

niczna między wszystkimi Kościołami?

Ks. Bp Jan Szarek: Nie do końca. My uważamy, że człowiek jest jednocześnie grzeszny i zbawiony: „Sumul iustus et peccator”, natomiast Kościół katolicki wyznaje, że z chwilą chrztu człowiek zostaje w zasadzie całkowicie uzdrowiony, to znaczy, że odpuszczona zostaje mu wina grzechu pierworodnego oraz sam grzech.

J.W.: *Kościół ewangelicki jest więc bardziej pesymistyczny co do człowieka niż rzymskokatolicki.*

Ks. Bp Jan Szarek: Tak nam się wydaje, że skłonność do zła może ujawnić się w człowieku w każdej chwili. Marcin Luter mawiał: „Codziennie należy pokutować!”, codziennie należy się nawracać, codziennie należy się sprawdzać!

J.W.: *Kościół ma kontynuować misję Jezusa wobec niepełnosprawnych. Jak ta kwestia wygląda w Kościele Ewangelicko-Augsburskim?*

Ks. Bp Jan Szarek: We wczesnym chrześcijaństwie Kościół podejmował tę kwestię. Czynili to głównie samotni – wdowy i wdowcy. Z nich właśnie zrodziła się instytucja diakonii. W pewnym momencie stwierdzono, że potrzebna jest specjalna postać dla chorych. W historii Kościoła problem niepełnosprawnych nie był jednak zawsze właściwie postrzegany, a wręcz w pewnej mierze byli oni dyskryminowani. Na przykład w Kościele rzymskokatolickim niepełnosprawny nie może być kapłanem. W naszym Kościele na szczęście tego typu przepisów nie ma. Zresztą ta tradycja kapłana „w pełni sprawnego” wywodzi się z tradycji żydowskiej. Za czasów reformacji zaczęto mówić na temat opieki nad tymi, którzy nie mają z czego żyć. Jest to zapisane w Konfesji Augsburskiej, aby dbać o tych, którzy własnymi siłami nie są w stanie zapracować na swoje utrzymanie. Niestety, przez wiele wieków niepełnosprawność była okryta wstydem. Dopiero od trzydziestu lat, począwszy od pietyzmu, zwrócono w naszym Kościele uwagę na ludzi niepełnosprawnych. Ludzi tych początkowo jednak izolowano, opiekowano się nimi, ale ich nie pokazywano. W Kościołach protestanckich zaczęto prowadzić normalną rewaliację niepełnosprawnych dopiero od stu pięćdziesięciu lat. To znaczy narodziło się duszpasterstwo niepełnosprawnych. Wspólno-

ta, która nie widzi powiązania życia nabożeństwowego z życiem codziennym jest wspólnotą martwą. Liturgia zawsze powinna mieć swój wydźwięk w diakonii. Wiara bez uczynków jest martwa! Bonhoffer mawiał, że „w chrześcijańskiej wspólnocie jest rzeczą najważniejszą, aby każdy pojedynczy człowiek stał się ogniwem jednego łańcucha”. Każdy członek wspólnoty winien czuć się częścią wspólnoty.

S.J.Ż.: *Czy tematem niepełnosprawności zajmowała się Światowa Rada Kościołów. (SRK)?*

Ks. Bp Jan Szarek: W 1975 roku, na Piątym Ogólnym Zgromadzeniu ŚRK w Nairobi powstał bardzo ciekawy dokument pt. „Jedność Rodziny Bożej”, w którym czytamy na przykład, że „niepełnosprawni należą do ciała Chrystusowego”, że „nie ma wspólnot parafialnych bez niepełnosprawnych”, że „stosunek do niepełnosprawnych w danej wspólnocie jest przebiegiem właściwego życia parafialnego”. W dokumencie tym jest mowa również o pełnej integracji niepełnosprawnych, łącznie z pokonywaniem barier architektonicznych na terenie parafii.

S.J.Ż.: *Czy Ksiądz Biskup ma jakieś osobiste doświadczenie kontaktu z niepełnosprawnymi?*

Ks. Bp Jan Szarek: Kiedyś byłem z grupą młodzieży z mojej parafii na południu Niemiec. Zostaliśmy zaproszeni przez tamtejszą parafię, by zorganizować wspólnie z niepełnosprawnymi fizycznie i umysłowo nabożeństwo. Nasza młodzież miała na początku pewne opory. Nie wiedzieli co można robić z niepełnosprawnymi w Kościele. Przy drugiej pieśni, kiedy śpiewaliśmy „Szukajcie Królestwa Bożego”, a w refrenie zabrzmiało Alleluja, to całe towarzystwo niepełnosprawne wstało i zaczęło śpiewać z ogromnym zaangażowaniem, klasnąć, ruszać się. Wtedy nasza młodzież przestała śpiewać, bo wszyscy płakali... Nikt z nich nie przewidywał ze strony niepełnosprawnych takiego modylitewnego zaangażowania. Pamiętam, że wtedy wstał ich przewodniczący, szalenie skromny człowiek, z ogromnym garbem i powiedział: „Witam Was w imieniu Jezusa Chrystusa! Kocham was dlatego, że Wy kochacie Chrystusa, a my go też kochamy, coście widzieli! A poza tym jesteście z Polski, a ja pochodzę z Wrocławia!”. To

było świetne świadectwo!

S.J.Ż.: *Czy jest jakaś forma współpracy ekumenicznej w obszarze pomocy niepełnosprawnym?*

Ks. Bp Jan Szarek: W Niemczech EKD (Ewangelickie Kościoły Niemieckie) oraz Rada Episkopatu Niemieckiego Kościoła rzymskokatolickiego wydała wspólny dokument: „Bóg jest przyjacielem życia”. W dokumencie tym mówi się wspólnym głosem o akceptacji, integracji i normalności życia niepełnosprawnych. Problem niepełnosprawnych jest więc problemem ekumenicznym!

S.J.Ż.: *Jak pomaga się obecnie niepełnosprawnym w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w Polsce?*

Ks. Bp Jan Szarek: W naszym Kościele tworzymy aktualnie struktury diakonijne tzw. „Diakonię” podobną do katolickiego „Caritasu”. Prowadzimy wczasy dla niepełnosprawnych. Przeprowadziliśmy przed kilkoma laty ankietyzację wśród naszych parafian na temat różnych typów ich niepełnosprawności. Początkowo, kiedy zapytaliśmy o niepełnosprawnych, to odpowiadano nam, że w parafiach niepełnosprawnych nie ma. Z czasem okazało się, że istnieje cała grupa inwalidów ukrywanych w domach. Na końcu wyszło na jaw, że w całej Polsce mamy ponad osiemset osób niepełnosprawnych, a więc 1% członków naszego Kościoła. Od ponad piętnastu lat pracujemy z głuchymi, tłumaczymy nabożeństwa dla nich. Podobnie z niewidomymi. Od dwóch lat na Śląsku Cieszyńskim mamy regularne spotkania niepełnosprawnych, mamy specjalny samochód, którym ich dowozimy. Przede wszystkim walczymy obecnie z barierami architektonicznymi (parkingi, podjazdy, dobry sprzęt w Kościele). Uruchomiliśmy wypożyczalnię sprzętu.

J.W.: *Czy istnieją w Polsce ewangelickie domy pomocy dla niepełnosprawnych?*

Ks. Bp Jan Szarek: Posiadamy osiem domów opieki, w których prowadzona jest praca z osobami niepełnosprawnymi. Są one odpowiednio wyposażone. Nie mamy jednak osobnych domów dla niepełnosprawnych.

J.W.: *Czy one są tylko dla ewangelików?*

Ks. Bp Jan Szarek: Część domów jest wyznaniowych, a część otwartych dla wszystkich. Na

przykład w Mikołajkach jest 40% katolików. Wszystko zależy od statusu danego domu. Tutaj najlepiej rozwija się ekumenia oddolna. Ludzie spontanicznie przychodzą na nabożeństwa niezależnie od wyznania, przystępują do sakramentów.

S.J.Ż.: *Czy Ksiądz Biskup kontaktuje się bezpośrednio z niepełnosprawnymi?*

Ks. Bp Jan Szarek: Kiedyś zapytałem głuchoniemego, co on ma z przychodzenia na nabożeństwa, podczas których nic nie słyszy. On wtedy mi odpowiedział: „Kiedy jestem w Kościele i widzę tyle ludzi na nabożeństwie, to przeżywam społeczność. Dla mnie widok ludzi modlących się, śpiewających i ta niepowtarzalna atmosfera Kościoła jest najważniejsza!”. To świadectwo było dla mnie ogromnie istotne...

J.W.: *Czy niepełnosprawni mogą coś zrobić dla nas?*

Ks. Bp Jan Szarek: Sama sprawa określenia tych ludzi jest już czymś bardzo istotnym. Dzisiaj przecież mówi się „sprawni inaczej”. W tej kwestii każde określenie jest niewłaściwe, ale to podkreślenie, że są oni „sprawni inaczej” oznacza, że od nich można się czegoś nauczyć. Niepełnosprawni nie lubią litości i nadmiernego zainteresowania. Po prostu chcą być traktowani normalnie. Dlatego też powinniśmy sobie wzajemnie usługiwać tymi darami, które Bóg nam dał. Są różne dary!

J.W.: *Jak z perspektywy prawie pół wieku patrzę ewangelicy na zakony, które zawsze zajmowały się niepełnosprawnymi, a które zostały zsekularyzowane przez Reformację?*

Ks. Bp Jan Szarek: W okresie Reformacji był zupełnie inny kontekst. Zakony były różne, również takie, które tylko gromadziły nieruchomości, zajmowały się teologią, etc. Reformacja była nie tylko ruchem religijnym, ale również społecznym. W związku z tym sporo ludzi w tym czasie wyszło z zakonów. Ludzie sami z tych zakonów odchodzili i Reformacja nikogo w tym miejscu nie ograniczała. Życie zakonne jednak w Kościele luteranckim tak całkiem nie ustalo. Wkrótce potem powstały przecież diakonaty. Były to instytucje charytatywne. Wystarczy wspomnieć Ewę von Winkler z Bytomia, która jako młoda dziewczyna, będąc córką hrabiego, zainteresowała się dziećmi

Górnego Śląska. Zaczęła od sierot, organizując dwadzieścia cztery domy opieki. Później przeszedł czas na starców, inwalidów, niepełnosprawnych. Pojechała również do Niemiec, tam zaczerpnęła pewne wzorce z zakładów opiekuńczych w Bethel i założyła diakonat. Pewna forma zakonna, tylko w innym ukladzie, istnieje w Kościele Ewangelickim po dzień dzisiejszy. Oprócz diakonatu żeńskiego, istnieją także diakonaty męskie, tzw. służba diakonacka. Diakon w parafii uczy dzieci religii, jest organistą. Istnieją specjalne kursy przygotowujące do takiej pracy. Reformacja dała ludziom wybór. W naszym diakonacie siostry i bracia mogą zrezygnować w każdej chwili ze służby, nawet po ślubach.

S.J.Ż.: *Jakie są niepełnosprawności współczesnego chrześcijaństwa?*

Ks. Bp Jan Szarek: Niepełnosprawności są w chrześcijaństwie od samego początku, bo od początku istniał grzech, który przeszkadzał rozumieć w pełni objawienia Boże. W „Dekrecie o ekumenizmie” (pkt 22) Sobór Watykański II mówi o Kościołach protestanckich, że wprawdzie mogą być traktowane jako Kościoły siostrzane, ale w nich nie ma pełnej Eucharystii. Czyli w oczach katolików jesteśmy duchowo niepełnosprawni! W podobny sposób Dekret wypowiada się na temat Kościołów prawosławnych. Wprawdzie istnieje tam ta sama Eucharystia, ale nie istnieją uzgodnienia pomiędzy Kościołami, dlatego też katolicy nie mogą uczestniczyć w prawosławnej Eucharystii! W ten sposób katolicy dają do zrozumienia, że także Kościół prawosławny jest niepełnosprawny!

J.W.: *Ale i tak sprawniejszy niż trzysta lat temu! (ogólna weselość – red.)*

Ks. Bp Jan Szarek: Jeżeli nie akceptuje się święceń danych duchownych tego czy innego Kościoła, to też się zakłada, że dany duchowny jest niepełnosprawny! A może jest jednak pełnosprawny? Jeżeli chodzi o Kościoły protestanckie to kwestia ta jest jednoznaczna. Większość Kościołów luteranckich ma sukcesję apostołską! Jeżeli Kościół katolicki przez tyle wieków uparcie twierdził, że tylko w ich Kościele jest zbawienie, to w ten sposób stwierdzał, że wszyscy pozostali są niepełnosprawni duchowo! Tak, jak potrzebna jest ak-

ceptacja niepełnosprawnych w naszym społeczeństwie i stwierdzenie, że też są normalnym Ludem Bożym, tak również deklaracja taka konieczna jest w przypadku wszystkich Kościołów chrześcijańskich.

J.W.: *Kościół rzymskokatolicki robi na dwutyśiąclecie rachunek sumienia, a więc w ten sposób również przyznaje, że są w nim niepełnosprawności.*

Ks. Bp Jan Szarek: Zobaczymy! Wszystko zależy nie od rachunku sumienia, ale od późniejszego oficjalnego stanowiska Kościoła. Papież podkreślał ostatnio we Wrocławiu, że tolerancja to jest za mało, że potrzebna jest miłość, a potem wzajemna akceptacja. Dlatego jest bardzo ważne, by zaakceptować swojego partnera nawet z jego „niepełnosprawnością duchową”. Kardynał Martini, na konferencji ekumenicznej w Santiago de Compostella powiedział, że tylko pokój ekumeniczny jest gwarancją pokoju światowego.

S.J.Ż.: *Papież mówi często o dwóch płucach chrześcijaństwa: Kościele katolickim i prawosławnym. Gdzie w tym schemacie mieszczą się luterańskie?*

Ks. Bp Jan Szarek: Oprócz płuc, w organizmie istnieje także serce, i właśnie sercem chrześcijaństwa są protestanci! Europa współczesna nie ma duszy katolickiej, prawosławnej czy protestanckiej, ale ma duszę chrześcijańską, i o taką duszę chodzi w perspektywie ekumenicznej! Pierwszą niepełnosprawnością chrześcijaństwa jest więc, jak widzimy, brak wzajemnej akceptacji.

J.W.: *A co będzie w takim razie kolejną niepełnosprawnością?*

Ks. Bp Jan Szarek: We wszystkich Kościołach chrześcijańskich istniała przez wieki dyskryminacja kobiet pod względem kulturowym i religijnym. Luter walczył o szkoły dla dziewcząt. Melancton walczył o szkoły koedukacyjne. Pierwszym jednak, który miał rewolucyjny stosunek do kobiet był Chrystus, bo w ogóle z nimi rozmawiał! Dzisiaj sprawy emancypacji kobiet idą jeszcze dalej. Niepełnosprawność współczesnego chrześcijaństwa polega na tym, że nie ma pełnej akceptacji kobiety w Kościele!

J.W.: *Chodzi Księdzu Biskupowi o kapłaństwo kobiet?*

Ks. Bp Jan Szarek: Tak. W Polsce Kościół luterański jest również dopiero w trakcie dyskusji na ten temat. Problem ten jednak stanie przed nami prędzej czy później. Kapłaństwo kobiet nie jest dla nas doktryną wiary, nie jest problemem konfesyjnym. Kapłaństwo kobiet jest tylko problemem kulturowym!

J.W.: *Kościół rzymskokatolicki nie ma w tym miejscu problemu, gdyż tłumaczy niemożliwość kapłaństwa kobiet, powołując się na tradycję apostołów, którzy wszyscy byli mężczyznami!*

Ks. Bp Jan Szarek: Kościół katolicki też ma kulturowe problemy z kobietami! Katolicy obrządków wschodnich mogą się żenić na Ukrainie, a w Polsce nie. Tłumaczone jest to właśnie uwarunkowaniem kulturowym, a nie celibatem! Gdzie więc konsekwencja?! W Kościele zawsze traktowano kobiety gorzej. Kobiety były źródłem zła. Na szczęście wszystkie te rzeczy powoli przemijają...

J.W.: *Kobiety w Kościele katolickim mają tę samą godność, a tylko płeć uzdalnia je do innych zadań, do innych charyzmatów...*

Ks. Bp Jan Szarek: Mężczyzna i kobieta różnią się od siebie w wielu kwestiach i pod wieloma względami – ale nie przed Bogiem. Apostoł Paweł mówi, że w Chrystusie, a więc w Kościele nie ma różnicy między mężczyzną a kobietą.

J.W.: *Dlaczego w takim razie w pierwotnym Kościele nie wysunięto z tego praktycznych wniosków?*

Bp Jan Szarek: We wszystkich kwestiach w Kościele potrzeba czasu. Nie można wyciągnąć konsekwencji od razu. Wyobraźmy sobie, że w tamtych czasach Chrystus powołałby kobietę jako ucznia. Zostałaby ona nie tylko zbojkotowana! Jednak dzięki Bogu rozpoczęła się pewna ewolucja i ona trwa! Kiedyś rozwój kulturowy przebiegał wolniej. Dziś nie wolno ograniczać kobiet w powołaniu. My nie chcemy odgórnie wprowadzać ordynacji kobiet. Niech czynią to te parafie, które chcą tego! Niech czynią to również te teologinie, które tego chcą! Wprowadziliśmy teraz zmianę do naszego prawa kościelnego, która będzie łączyła od pierwszej niedzieli adwentowej, że

mamy jeden urząd, trójstopniowy, na model fiński: jest biskup, prezbiter i diakon. Do stopnia diakona są dopuszczone kobiety. Kobieta więc, za pozwoleniem biskupa, będzie mogła w Kościele czynić wszystkie posługi, za wyjątkiem nabożeństw komuniijnych. Może chrzczyć, udzielać ślubów, grzebać zmarłych.

J.W.: *Czy na te wszystkie sprawy miało wpływ chrześcijaństwo, czy naturalny bieg życia ludzkiego?*

Ks. Bp Jan Szarek: Wpływ miało na to chrześcijaństwo. Jeżeli weźmiemy poważnie zasadę: „Miluj bliźniego swego jak siebie samego”, to tym bliższym jest również i niepełnosprawny, i kobieta, i każdy. Człowiek czynny w miłości przewyżcza różnice.

S.J.Ż.: *To wszystko czynili przecież również myśliciele laicy!*

Ks. Bp Jan Szarek: Bo to jest wspólny proces! Chrześcijaństwo oddziałuje na życie społeczne bardzo skutecznie. Zwłaszcza poprzez świadectwo służby.

J.W.: *Czy dzisiaj chrześcijaństwo jest religią dynamiczną? Dlaczego nie ma dziś w chrześcijaństwie na przykład uzdrowień?*

Ks. Bp Jan Szarek: Dzisiaj posiadamy Objawienie, które jest największym cudem. Cudem jest także przemiana serc. Cuda mają miejsce, również uzdrowienia, ale Objawienie nie potrzebuje cudów potwierdzających jego prawdziwość. Dziś chrześcijaństwo jest dynamiczne w Trzecim Świe-

cie, w Europie jest natomiast niezwykle skostniałe. Tam jest autentyczne świadectwo!

S.J.Ż.: *Dlaczego w Europie jest tak źle?*

Ks. Bp Jan Szarek: Przyczyniają się do tego współczesne prądy: zeświecczenie, dobrobyt, indywidualizm – tragiczny model życia w pojedynkę! Chrześcijaństwo jest dziś zamknięte w sobie, i to jest jego kolejna niepełnosprawność. Z radością należy przyjąć fakt, że dziś w Kościele odbywają się ewangelizacje uliczne, że są ludzie, którzy są gotowi wyjść na ulicę i świadczyć o Jezusie i swojej wierze! W chrześcijaństwie pobożność musi być połączona z diakonią. Luter mówił, że chrześcijanie winni być dla siebie nawzajem Chrystusami, winniśmy sobie wzajemnie służyć.

S.J.Ż.: *Jakie są perspektywy ekumenizmu w tym trudnym krajobrazie ekologicznym?*

Ks. Bp Jan Szarek: Od Soboru Watykańskiego II bardzo wiele się zmieniło. Istnieje od pięćdziesięciu lat Światowa Rada Kościołów, która zrzesza ponad trzysta Kościołów, i do której prac włączył się Kościół katolicki. To wszystko dowody, że istnieje pragnienie jedności, rozumianej jako jedność w pojednanej różnorodności... Karol Barth mówił, że chociaż „wierzymy inaczej, to nie w Innego”. Chcemy przecież razem żyć i pracować. Chcemy razem świadczyć przed światem o wspólności – mówić jednym głosem w kwestiach podstawowych dla współczesnego człowieka!

Opracowanie:
Sławomir J. Żurek

fol. M. Gajko



Wobec ułomności

O cierpieniu

11 lutego minął Międzynarodowy Dzień Chorych. Większość z nas nie zauważyła nawet tego wydarzenia. Choroba, cierpienie i inne ciemne strony życia dotyczą tylko tych, na których one przyjdą; względnie także tych, którzy – z racji rodzinnych lub zawodowych – muszą się nimi zajmować. Dopóki się to nie stanie, wszelkie miejsca cierpienia znajdują się poza naszym „normalnym” życiem i poza naszą świadomością. Stanowią po prostu jakiś inny, obcy nam świat.

Jak zauważają socjologowie, wspinały rozwój cywilizacji wypracował szereg koniecznych udogodnień życia. Udogodnienia te jednak pomagają **zapominać** nam o tym, co najtrudniejsze i najważniejsze. Narodziny i śmierć człowieka dokonują się w szpitalach, a nie w domach. Świadomość bólu odbiera się... odurzeniem świadomości. Cementarze buduje się poza miastem (zresztą kremacja załatwi tu wiele problemów)...

Każdy chce doświadczać radości i mocy życia. Stąd daje się pochłonać przez jego wir. „Gdy ostateczne nieszczęście padnie na mnie, trudno, byleby się nie męczyć i byle szybko...” Nie lubimy doświadczać tego, co stanowi naszą najgłębszą prawdę: **naszej niemocy i ograniczonosci**.

Podobnie jest w filozofii. Mało który akademicki filozof zajmuje się cierpieniem. Mamy arcydzieło „O szczęściu”, a nie mamy arcydzieła „O cierpieniu”. Niektórzy problem ten traktują jako praktyczny („jak zwalczać cierpienie?”) i przekazują go medycynie. Tkwi w tym jednak zafałszowanie: owszem, cierpienie można i trzeba łagodzić, można go unikać – lecz w swej istocie jest ono nieusuwalne. **Nicusuwalne** jak nasza ostateczna niemoc.

Filozofowie okazują się więc bezradni, ale nikt do bezradności się nie przyznaje. Dręczący ich problem spychają do swej podświadomości i do marginesów swych filozoficznych systemów. A cierpienie i wszelkie inne postacie zła są zagadnieniami, które wnoszą do tych systemów sprzeczności i zakłopotanie. Trzeba więc intelektualnych forteli, by je jakoś – przynajmniej w porządku myśli – wyrugować.

Tak powstawały wszelkiego rodzaju **teorie optymizmu**, dowodzące, że tak naprawdę, to wszystko jest jak najlepiej. Miały one swe wersje teistyczne (tzw. teodycei wykazujące, iż mimo ewentualnego zła Bóg jest i dobru, i wszechmocny) oraz ateistyczne (np. dialektyki postępu, wg których świat zmierza poprzez względne krzywdy ludzkie do doskonałego ustroju społecznego). Niektórzy nawet wyliczali, że nasz świat – mimo wszystko – jest najlepszym z możliwych, a ci którzy tak nie myślą, są ograniczeni, gdyż brakuje im spojrzenia całościowego.

Większość z tych konstrukcji myślowych – bez względu na ich poprawność logiczną i poznawczą wartość – nie jest w stanie zadowolić człowieka doświadczającego bólu. Można mu powiedzieć, że ten ból jest iluzją; że jest brakiem bytu; że jest najlepszym środkiem do wyzwolenia większego dobra (najczęściej „tylko” przyszłego i „tylko” moralnego); że jest wkładem do jakiegoś dobra globalnego itd. Doświadczający bólu pomyśli wtedy jedynie – jeśli będzie mógł w ogóle myśleć – że się z niego kpi. Co mu z tego, że jego choroba jest iluzją (!), brakiem bytu (!), skoro ona go **boli**? Co mu z tego, że da ona **kiedyś** dobro lub przyczynia się do dobra **czegoś**, skoro jego boli **teraz** i on jest **sobą**, a **nie owym czymś**?

Jak widać, filozoficzne wyjaśnienia cierpienia są niezadowolające. Jeśli nawet da się obronić ich spójność, to nie da się za ich pomocą przekonać cierpiących. Cierpienia się więc nie wyjaśnia, cierpienie można co najwyżej **oswoić** czy **usensownić**. Dziedziną kultury, w której usensawnia się cierpienie nie jest jednak filozofia. Zasadniczo, choć nie bez wyjątków, jest nią **religia**. W religiach Dalekiego Wschodu cierpienie jest – jak się zdaje – koniecznym elementem życiowej drogi, przez który się przechodzi i od którego się wyzwala. „Cztery szlachetne prawdy” Buddy to właśnie prawdy o cierpieniu. W religiach biblijnych cierpienie stanowi jedną z osi bosko-ludzkiego dramatu. Biblijny Hiob niejako dopiero dzięki cierpieniu spotyka Boga i woła: „Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem” (Hi 42, 5). Tajemnica cierpienia nie zostaje tu wyjaśniona, ale jej sens jest potwierdzony autorytetem sakralnym. Łatwiej znosić ból, który ma sens, choć się go nie zna.

Najbardziej radykalny sposób religijnego usensownienia cierpienia wyraża się chyba w chrześcijańskim przekazie o przyjęciu na siebie cierpienia przez Boga-człowieka. Sensowność cierpienia zostaje tutaj potwierdzona czynem: ma ono sens, skoro przyjął je sam Bóg... Dzięki temu ludzki ból -pozostając bolesnym – nie jest bólem samotnym i bólem nieważnym. Ludzie głęboko wierzący przeżywają go w przekonaniu, że dzieje się on w łączności z Kimś, kto cierpienie przyjął, przeszedł przez nie i zwyciężył w nim zło. Daje to poczucie sensu najgorszych dolegliwości i nadzieję na ostateczne wyzwolenie, wraz z którym ten sens w pełni się ujawni.

Nie znaczy to jednak, że ludzie nie praktykujący żadnej religii muszą być pozbawieni istotnej nadziei i poczucia istotnego sensu. Sprawa wychodzi tu poza kwestię wyraźnie religijnej wiary lub niewiary. Są tacy, co całkowicie ufają istnieniu, które przypadło im w udziale i tacy, co najwyżej ufają mu częściowo – gdy przynosi im ono doraźną i namacalną korzyść. Pierwsi uznają, choćby mglisty, sens nawet najgorszych sytuacji życiowych... Na koniec pojawia się tylko pytanie: a jaka w tym wszystkim rola filozofii? Może ona pomóc nam to wszystko uświadomić. To, co już wcześniej czuliśmy i przeżywaliśmy.

Na szpitalnym łóżku

— I co to pani przyszło człowiekowi na starość, przykuty człek do łóżka i tyle. Czasem tobym już chciała umrzeć, tak mi to obrzydło. Dzieciaków tylko, pani, szkoda. Niby duże są, rodziny swoje mają, aleć ciężkie czasy teraz, na nic ludziom nie starcza. A dzieciom, pani, pomoc trzeba. Trójke ich mam. Jeden syn to zagranicą mieszka. Jak byli pani te strajki, to robotę stracił i do Niemiec uciek. Nawet się z nami nie pożegnał. Szukali go, pani, do domu przychodzili. Co człowiek wtedy przeżył, pani, to się nie da powiedzieć. Mój mówił mu, że to wszystko na nic, że ma się do roboty wziąć a nie do polityki. Ale co tam młodemu, pani, przetłumaczysz. Wszystko same lepiej wiedzom. Nas nie chcom słuchać, my to stare dla nich, niedzisiejsze. I on taki sam był. Papierzyska jakies ciągle nosił, do domu na noc nie wracał. Oj, pani, co ja wtedy przeżyła, ile nocy nie przespała. Potem, jak do tych Niemców ucik, to myśleli my, że go gdzie zabili. Znaku, pani, życia nie dał. Rok tak czekali my, aż kolega jakiś jego przyszed i powiedział, że nasz syn w Niemczech siedzi. Dziś to nie powiem, nawet zadowolona jestem. Chłopakowi lepiej. Ożenił się tam, pani, dzieci już ma. Nie powiem, paczke czasami przyśle, pieniądze nawet. Ale córkom oddam, bo mnie, pani, na co. Córki mam dwie, mieszkajom tu niedaleko, ale od rana, pani, w robocie, potem obiad chłopom muszo ugotować, dzieci ze szkoły odebrać i tak w kółko. Ciężko im, pani, pomaga człowiek, ile może, ale już nie ten wiek. Zakupy to im zrobię, czasami i wnuków popilnuje. Syn rzadko przyjeżdża, czasu ni ma. Życie tam pani inne niż u nas. Robić trzeba, ni ma lekko, jak wszędzi. I powiedz, pani, co ma człowiek z tego życia. Harować musi, odpocząć nie ma kiedy. Chyba w grobie, pani. Czasem to już bym, pani, chciała oczy zamknąć. Dość już człowiek się nacierpiał. Ale jak tu umierać, pani, dzieciakom trza pomóc. Mój to już pare lat temu umar, na raka. Nie męczył się długo, bo serce, pani, miał słabe. Ale tak się, pani, przez te choroby zmienił, że syn jak na pogrzyb przyjechał, to ni mógł go poznać. Wychud, pani, skóra ino i kości. Sama tera mieszkam, ale córki moje obok w blokach mieszkajom. Telefon, pani, mam to i zadzwonio czasem, czy czego mi nie trzeba albo wnuki przyprowadzom. Ciężko, pani majom, co dzień do roboty muszom, taki los. Nie powiem, zakupy im zrobię, posprzątam. Młodsza, pani, to trójke ma, tyle że jedno chore. Astme, pani, ma. Ile, to pani, w szpitalach się należało, a ile lekarstw co dzień musi zjść. Żal, kochana, patrzeć, jak takie małe cierpi. I powidz, pani, skąd u dzieciaka astma. Ja tam pani myślę, że to wszystko bez ten Czarnobyl. Ale co biedny człowiek może na to poradzić. Pogodzić się trzeba i

już. Nikt, pani, ni ma lekko. Moja matka zawsze mówiła, że człek musi cierpieć, taki już jigo los. A nacierpiała się, pani, kobita, że szkoda gadać. Dziewięć nas, pani, miała. Trzech na wojnie padło, młode, pani, chłopaki. Zdjęcia po nich tylko zostali. Co ta matka, pani, nad niemi łez wylała. Przyšli kiedyś wieczorem jakieś dwa żołnierze, jeden to nawet musiał być ważny, bo jakieś orderki miał przypięte. Dali matce list, że to niby bohaterko, pani, jej syny zginęli. Dwa jidnego dnia, pani, padli, w Afryce. Ten list, pani, to potem w szufladzie matka trzymała, ludziom obcym pokazywała, że ji synów wojna zabrała. A o trzecim, pani, to nawet słuch zaginał. Różne plotki szły, że to niby ucik, znaczy sie zdezerterował jak to we wojsku gadajom. Może, pani, to i prawda, bo chodzili do nas do domu wiele razy i szukali go wszędzi. Ojcu to nawet grozili, że go zabijom, jak zbiega nie odda. Ale my, pani, nic nie wiedzieli. Tylko matka, pani, codzień przed Matko Bosko klękała i ze łzami, pani, prosiła, co by go najświntsza Panienka od śmirci uchroniła. Na msze, pani, dawała, żeby chłopaka nie zabili. Co dzień w ty modlitwie to jakby z niem samym gadała. Ale długo nie pociągnęła, zgryzoty ją pani, zabili. Bo, pani, jak się wojna skończyła, to ostatni mój brat przy wybuchu zginął. Bawił się chłopak w lesie i na mine trafił. Same wiec, pani, z ojcem zostalim, pięć córek jak nas było. Ojciec, nie powiem, dobry był. Pod koniec tylko pić zaczął, codzień swoi Anuszki wzywał. Nie trwało długo, pani, jak go znaleźlim na strychu. Powiesił, się pani, na powrozie. Raz go odratowalim, ale upar się, pani, do ty Anuszki uciekać. I powiedz, pani, co to człekowi przyńdzie, że wi-szać się chce. Ja to, pani, myślę, że chyba rozum musi odebrać, że nie wie już człowiek, co robi. Bo tak, pani, żeby przy zdrowych zmysłach sobie powróz na szyje założyć to mi się wierzyć nie chce. Dziś to, pani, ja już tylko sama została, siostry moje poumirali, chociaż młodsze ode mnie. Na starość, to człek już sam ostaje, ludzie, co to ich dobrze znał w grobach, pani, najczęściej leżom. Aż się, pani, wierzyć nie chce, że tak szybko to życie przelatuje, jak sen jaki. Niby to człowieku młody jesteś, siły masz, dzieci rodzisz, a potem to już wnuków pełno, a tobie czas się zabirać, bo młodym zawadzasz. Młode to, pani, starygo nie zrozumiom. Swoje problemy majom, dorobić się chcom. Narzekajom, pani, tylko, że im nie starcza, że bida ich żre. Ale co tam oni, pani, o bidzie wiedzom. Jak opowiedam im, co to było, to niby słuchajom, ale wierzyć nie chcom. Jak mojemu, pani, ojcu kuń zdech i robote stracił, to my co jeść nie mieli. Matka klusków na mące gotowała raz na dzień i całe rodzinie z tego trza było wyżywić. Potem, pani, za okupacji to jeszcze gorzy było, buraki, pani, my jedli jak świnię. Co tam, pani, gadać, młode nie rozumiejom. Samochody, pani, chcom mieć, po świecie jeździć. Gdzie my tam, pani, o samochodzie marzyli. Kunia człek chciał mieć i krowe, to wszystko. Syn to mój, pani, nie lubi jak tak opowiedam. Świat teraz inny, mówi, ludzie chcom żyć. A ja się, pani, pytam, czy to kiedyś, za naszych czasów ludzie żyć nie chcieli, czy co? Ale co tam, pani, młodym przetłumaczysz. Za stare my już na te ich mądrość. Widać czas stąd się zabirać. I czasem, pani, tobym już chciała, żeby się raz to wszystko skończyło. Ale jak pani, pomyśle, że tam nic ni ma, niby po ty drugi stronie, to jakoś smutno się, pani, robi i chciałby człek jeszcze troszku pożyć. Niby ksiądz mówi, że będziem, pani, żyć dłuży, niby w niebie czy gdzieś, ale jakoś trudno w to, pani, uwierzyć. Lepi, pani, nie myśleć, bo człowiek i tak za gupi, żeby to pojąć. Ale co to, pani, słabo? Jezus Maria, siostrzo, szybko, siostrzo, kobita umira! Jezusie Nazareński, taka młoda, taka młoda! Boże Miłosierny, taka młoda!

Zaakceptować siebie – rozmowa z Mackiem Otrębą

Maciek Otręba – ur. w 1979 roku w Kętrzynie. Jest studentem pierwszego roku psychologii KUL. Urodził się z porażeniem mózgowym.

Mariusz Krawiec: *Jak to się stało, że wybrałeś psychologię?*

Maciek Otręba: Jest to śmieszna sprawa, bo gdzieś między trzecią a czwartą klasą liceum, byłem podczas wakacji na obozie. Siedzieliśmy z kolegami, gdy w pewnym momencie ktoś rzucił hasło: a może być poszedł na psychologię? Stwierdziłem, czemu nie. I oto jestem. Trochę przypadkowo, ale przecież wszyscy jesteśmy psychologami, choćby przez sam fakt, że obcujemy z innymi ludźmi. Żeby mógł zaistnieć kontakt interpersonalny, musimy coś wiedzieć o drugim człowieku. Bez tej wiedzy trudno byłoby się nam dogadać.

M. K.: *Mieszkasz w akademiku na Poczekajce. Na KUL masz spory kawałek. Jak radzisz sobie z dojazdami?*

Maciek Otręba: W zasadzie dla mnie nie ma problemu. Tak naprawdę, to podjazdy, autobusy i tym podobne rzeczy – to sprawa drugorzędna. Największy problem, to brak świadomości społecznej o tym kim są i czego oczekują niepełnosprawni. Zetknąłem się z takimi przypadkami, iż niepełnosprawny był traktowany jako człowiek głupi i nienormalny. Przez to był izolowany od społeczeństwa.

M. K.: *Wydaje mi się, że tak reagują dzieci. Ktoś jest w klasie w jakiś sposób „inny”, np. gruby, i ten fakt może być powodem izolacji.*

Maciek Otręba: Moim zdaniem jest odwrotnie. Dzieci łatwiej akceptują i tolerują osoby niepełnosprawne niż ludzie dorośli. To jest paradoksalne, ale dzieci szybciej akceptują inność. Od jakiegoś czasu obserwuję pewnego chłopca. Mieszka niedaleko mnie. Bawi się z osobą, która ma prawdopodobnie zespół Downa. To osoba dorosła, mająca około 30 lat. Chłopiec bawi się z nią, gdyż ją zaakceptował. Komuś w moim wieku, a nawet mnie samemu, przychodziłoby to znacznie trudniej. Dzieci są bardziej otwarte, zwłaszcza te w wieku przedszkolnym.

M. K.: *Wrz z wiekiem człowiek nabywa różnych obwarowań, które go hamują przed innymi ludźmi. Traci naturalną spontaniczność i otwartość wobec świata.*

Maciek Otręba: Bo inność rzuca się w oczy. Jestem inny, niż reszta ludzi, a to może wzbudzać nawet nieuświadomiony lęk, który prowadzi do tego, że ktoś nie chce mnie tolerować w swoim otoczeniu. Staram się być otwarty i tłumaczyć ludziom na czym rzecz polega. Ale nie każdy niepełnosprawny może to uczynić. Od sześciu lat uczestniczę w obozach integracyjnych, na które przyjeżdżają ludzie sprawni jak i niepełnosprawni. Jest to bardzo dobre. Ludzie sprawni mogą się wiele nauczyć od niepełnosprawnych. Natomiast dla wielu niepełnosprawnych, taki obóz to jedyna szansa wyrwania się z domu. Zwłaszcza dla ludzi na wózkach, którzy mieszkają w mieście. Ja,

mieszkając na Mazurach, biorę namiot, kolegów i jedziemy... Nie ma problemu.

M. K.: *Duże miasto chyba bardziej ogranicza osobę niepełnosprawną?*

Maciek Otręba: Jest to złożony problem. Dużą rolę odgrywają tutaj rodzice człowieka niepełnosprawnego. Bo jeżeli rodzice nie chcą, aby na niego ktoś patrzył, wytykał palcami, mówił o jego chorobie, to trzymają go w domu. Sam znam takiego chłopaka, który jest w tej chwili bodajże w trzeciej klasie liceum. On z domu nie wychodzi, ma zero kontaktu z rówieśnikami, a to jest sytuacja nienormalna.

M. K.: *Rodzice boją się, że może go ktoś skrzywdzić, a może boją się bardziej reakcji otoczenia na to, że mają takie dziecko. W człowieku musi nastąpić moment akceptacji, że sam jest „innym” a w przypadku rodziców, że mają „inne” dziecko.*

Maciek Otręba: U nas w Polsce społeczeństwo jest trochę dziwne. Dużą rolę odgrywa wstyd – bo co ludzie powiedzą. Patrzy się za bardzo na wady innych, niż na swoje ułomności. Mój przypadek był dość ciężki. Jest to porażenie mózgowie piramidowe – pozapiramidowe. Objawia się to w przykurczach mięśniowych, co zresztą widać. Lekarze skazali mnie na leżenie w łóżku do końca życia. To dzięki mamie i jeszcze kilku osobom jestem tym, kim jestem. Rehabilitacja doprowadziła mnie do tego, że dzisiaj normalnie funkcjonuję. Gdyby mama pozostawiła mnie takim, jakim byłem, to nie wiem czy dziś mógłbym nawet mówić. Zaakceptowałem siebie i w tej chwili nie ma dla mnie żadnego problemu. Jestem z ludźmi, chodzę normalnie na imprezy. Czuję się tak, jak czuje się normalnie funkcjonujący człowiek. Zaakceptowałem siebie. Wiem, że pewnych rzeczy się nie zmieni i nie usiłuję ich zmienić. Pewnych progów już nie przekroczyć...

Niektórzy ludzie pod wpływem strachu chcą niepełnosprawnym pomóc na siłę. Znam dziewczynę na wózku. Niesamowicie sprawna. Gra w siatkówkę, kosza i uprawia szermierkę. Wejście do autobusu nie stanowi dla niej problemu. Ktoś kiedyś chciał jej pomóc wsiąść do autobusu, wziął ją pod pachy, czego nie powinno się robić, i o mało

co nie wtrącił jej pod autobus. To działo się tak szybko, że nie miała możliwości się obronić.

M. K.: *Uważasz więc, że ludzie, którzy zdecydowali się wyjść na ulicę, doskonale sobie radzą i chcą być traktowani normalnie. Dopiero wówczas, gdy wyraźnie poproszą o pomoc, można im ją okazać.*

Maciek Otręba: Może to różnie wyglądać, ale ludzie nawet z poważnymi uszkodzeniami dają sobie radę. Potrzebna jest świadomość społeczna, aby wiedzieć jak tę pomoc okazać. Widziałem ludzi, którzy ciągnęli wózki po 200 – 300 schodach na wieżę we Fromborku, albo na Gubałówkę w Zakopanem.

M. K.: *Była to jednak grupa przyjaciół, którzy doskonale się znali i wiedzieli jak pokierować wózkiem. Ale co zrobić w kilkutyśycznym mieście? Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie będzie wiedział jak pomóc.*

Maciek Otręba: Dlatego potrzeba programów edukacyjnych. Nie mówię, że trzeba wziąć każdego człowieka z osobna i powiedzieć: popatrz, tak się obsługuje wózek. Chodzi o to, aby zwrócić uwagę ludzi, że taki problem istnieje, gdyż za starego systemu niepełnosprawnych na ulicach po prostu nie było. A teraz się pojawili. Kiedyś siedzieli w domu, albo w jakimś sanatorium. Sam tego doświadczyłem, bo w wieku lat czterech do takiego sanatorium trafiłem. Tam dzieci były pozostawione na okres szkoły podstawowej, a następnie trafiały do ośrodków opieki społecznej. To prowadziło do wyizolowania. Czy widziałeś kiedyś w mieście znaki dla niepełnosprawnych? A tacy ludzie wówczas także się rodzili.

M. K.: *Może ludzie sprawni w pewnym momencie zostali zaskoczeni. Patrzą i widzą co się dzieje: dostosowane autobusy, obniżone krawężniki, wózki na ulicach. Ta sytuacja może rodzić zakłopotanie i swoistą nieporadność wobec nowych warunków. A jak jesteś odbierany na uczelni?*

Maciek Otręba: Robię wolno notatki, nie nadążam, więc je kseruję. KUL ma budynki w jednym miejscu, to bardzo ułatwia przemieszczanie się. Wsiadam do autobusu na Poczekałce, a wysiadam przy uczelni. Tutaj jest bardzo fajnie. Klimat jest spokojny. W Warszawie jest większy

ruch i on mnie przytłacza. Tam nie czuję się najlepiej.

M. K.: *Jesteś przecież człowiekiem wychowanym blisko lasów i jezior mazurskich...*

Maciek Otręba: Mam w domu łódkę i często wypływałem. Tato lubi wędkować, ja też. Nie mogę powiedzieć, abym był z czegokolwiek niezadowolony. Wiem, że są ludzie, którzy mają problemy z zaakceptowaniem samego siebie. Chcieliby ukryć swoją niesprawność. Ale jest to bariera nie do przekroczenia. Jest się takim, jakim się jest. Czy to jest przekleństwo, czy dar, tego nie wiadomo. Ważne, aby zaakceptować siebie. Bo jeżeli nie zaakceptujemy siebie, nie zaakceptujemy prawdy, a świat nie zaakceptuje nas. To jest taki konflikt wewnętrzny.

M. K.: *Wydaje mi się, że niepełnosprawność powoduje szybsze wejście w siebie, zaakceptownie tego, kim się jest – a to dzisiaj jest problemem także dla wielu ludzi sprawnych ruchowo. Człowiek może przeżyć wiele lat nie myśląc o swoim samokreśleniu.*

Maciek Otręba: To jest taka obiegowa ocena. To, że jestem niepełnosprawny, to jest subiektywne doznanie ludzi, którzy mnie otaczają. Ja nie czuję tego, że jestem niepełnosprawny. Bo mnie to ani nie boli, ani w niczym nie przeszkadza, chociaż może to tak wyglądać. Ja odbieram siebie jako kogoś normalnego. Że więcej czasu poświęcam na siedzenie nad książką, niż na bieganie za piłką? To w pewien sposób owocuje. Ale nie jest też tak, że osoba niepełnosprawna jest automatycznie

osobą głęboką, nie można tego tak uogólniać. Bo są to ludzie, którzy do życia podchodzą normalnie. Jedni są bardziej nastawieni na siebie, a inni mniej. To, kim są, nie wynika z ich niepełnosprawności. To zupełnie dwie różne rzeczy. Uszkodzenie nie ma aż tak diametralnego wpływu, by zmieniało całą osobowość człowieka. Ja jestem niepełnosprawny od urodzenia. Inna jest sytuacja ludzi po wypadku. Ja tych ludzi podziwiam, że potrafią zaakceptować siebie.

M. K.: *A spotkałeś takich ludzi?*

Maciek Otręba: Tak, są to naprawdę fajni ludzie, jeśli zaakceptują siebie. Ale są i tacy, którzy tego nie potrafią. Każdy człowiek jest przecież inny.

M. K.: *Myslałeś o tym, co będziesz robił, gdy skończysz studia?*

Maciek Otręba: Będę się starał – oczywiście jeśli skończę studia – albo zrobić dziennikarstwo i informować ludzi o problemach niepełnosprawnych, albo jako psycholog pracować z niepełnosprawnymi, gdyż ich problemy znam z autopsji. Jest coś takiego, że o problemach można mówić dużo i nie powiedzieć nic. Chciałbym, aby niepełnosprawnego traktowano jak człowieka, który ma jakąś dużą brodawkę czy czerwone włosy. Na razie cecha, jaką jest niepełnosprawność, wciąż jeszcze obarczona jest mitami i przesadami.

M. K.: Dziękuję Ci, Maćku, za rozmowę.

Opracowanie:
Mariusz Krawiec

Polskie Forum
Osób Niepełnosprawnych i Specjalnej Troski
01-102 Warszawa; ul. Jana Olbrachta 94
tel. (0-22) 36-15-93

Wózek na drugim planie – rozmowa z Hanną i Ryszardem Smolakami

Ryszard Smolak – ur. w 1953 r., od trzeciego roku życia choruje na zanik mięśni. Dzięki pomocy rodziny i rodzeństwa ukończył szkołę podstawową. Przeszedł na rentę inwalidzką, nie przerywając pracy. Ze względu na bariery architektoniczne nie mógł rozpocząć nauki w szkole średniej. W wieku 19 lat rozpoczął naukę w zasadniczej szkole zawodowej na kierunku introligator galanteryjny. Edukację ukończył w 1975 r. Wtedy też zaczął pracować chałupni czo, po 7 latach przeszedł na rentę inwalidzką, nie przerywając pracy. Nie lubi pracy, którą wykonuje. Szycie odzieży roboczej nie jest celem jego życia, ale musi utrzymać mieszkanie, żonę i siebie. Razem z żoną – Hanną dużo czasu poświęcają pracy społecznej. Ryszard Smolak jest wiceprezesem puławskiego Towarzystwa Przyjaciół Ludzi Niepełnosprawnych „MISERICORDES”.

Hanna Smolak – żona Ryszarda. Od dzieciństwa choruje na rozszczepienie kręgosłupa, porusza się o laskach. Aktywnie działa w Towarzystwie „MISERICORDES”, ze względu na możliwość poruszania się – odwiedza niepełnosprawnych w ich domach.

Marta Kubiszyn: *Co to znaczy być osobą niepełnosprawną w Polsce, w Puławach pod koniec drugiego tysiąclecia?*

Hanna Smolak: Sytuacja nie jest za wesola, ale też nie można mówić, że jest tragicznie. Puławy, to jest dość specyficzne miasto. Tu jest dużo wolontariuszy, którzy chcą pomagać. W większych miastach ludzie mają gorzej. Gina wśród dużej masy ludzi, a tutaj ich widać. W Puławach działają obecnie trzy, czy cztery towarzystwa takie jak nasze i każdy się stara jakoś docierać do tych swoich ludzi i pomagać – nie jest tak najgorzej. Ludzie pomagają sobie, są dla siebie dobrzy, dość tolerancyjni, choć nie wszyscy. Raczej są życzliwi. Gdzie nie pójde – ludzie mówią: „nie ma biedy, sąsiad robi mi zakupy”, tak że myślę, że ogólnie nie jest źle.

M.K.: *Co to jest niepełnosprawność?*

Hanna Smolak: Trudno jest mi na to pytanie odpowiedzieć. Nigdy nie uważałam się za osobę niepełnosprawną – jakoś nigdy mi to do głowy nie

przychodziło, że jestem niepełnosprawna, może dlatego, że jestem od dziecka chora. Niepełnosprawny, to jest człowiek, któremu jest ciężiej coś robić. To jest ktoś, kto ma jakieś trudności w życiu z czymś tam. Dotyka to w większym lub mniejszym stopniu nas wszystkich. Trudno powiedzieć, jaki rodzaj kalectwa jest gorszy – to zależy od człowieka. Każdy inaczej przyjmuje swój los. Ja nie przywiązuję do tego wagi, ale inny może się tymi samymi problemami zadrećcać.

Ryszard Smolak: Niepełnosprawność to jest pojęcie względne. Jak osoba niepełnosprawna pojmuje swoją niepełnosprawność – tak się czuje. W każdym razie inaczej wygląda niepełnosprawność rano, a inaczej wieczorem.... Niepełnosprawnym czuję się wtedy, kiedy się czuję źle, biorąc pod uwagę stronę fizyczną. Wózek jest dla mnie pomocą, a nie przeszkodą. Poruszanie się na wózku jest całkiem normalne, z tym tylko, żeby ten wózek był na tyle sprawny, sprawniejszy od tego, którego wozisz. Poczucie niepełnosprawności zależy

od samopoczucia, otoczenia, warunków fizycznych i psychicznych, zasobu gotówki, żeby można było sobie pozwolić na lepszy wózek, co stało się szczególnym problemem po 1989 roku. To jest przykre, ale prawdziwe.

M.K.: *Czy sytuacja osób niepełnosprawnych drastycznie pogorszyła się po 1989 roku?*

Ryszard Smolak: Myślę, że tak.

M.K.: *A dlaczego tak się stało?*

Ryszard Smolak: Przede wszystkim pogorszyła się znacznie nasza sytuacja od strony materialnej. Wszelkie ulgi, łącznie z opłaceniem pojazdu dla osoby niepełnosprawnej, tego skromnego malucha, zostały zlikwidowane. Zapomniano też o uldze jeśli chodzi o paliwo. Dawniej MOPS (Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej) zwracał część kosztów w danym rejonie. Teraz jedyną ulgą dla I grupy jest niepłacenie abonamentów za RTV. PFRON (Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych) jest widoczny. Nareszcie tak na zewnątrz, ale w dalszym ciągu objekty użyteczności publicznej są oddawane bez kontroli osób niepełnosprawnych.

M.K.: *Z tego co wiem, istnieją przepisy, zgodnie z którymi nowobudowane objekty użyteczności publicznej muszą być wyposażane w podjazdy dla wózków, specjalne poręcze i inne urządzenia, które umożliwiałyby korzystanie z nich osobom niepełnosprawnym.*

Ryszard Smolak: Niestety, tych przepisów nie przestrzega się w dalszym ciągu, nawet w połowie.

M.K.: *Kto jest za to, Pana zdaniem, odpowiedzialny?*

Ryszard Smolak: Odpowiedzialne za to powinny być instytucje, które oddają dany obiekt, ale przede wszystkim nad tym powinniśmy czuwać my – niepełnosprawni i instytucje, które by o nas zadbały. Trudno obarczać tym obowiązkiem PFRON, który może jedynie partycypować w kosztach, a tutaj wydaje mi się, że wiele mógłby zrobić miejscowy samorząd, o którym się teraz tak dużo mówi.

M.K.: *Jaka jest w takim razie możliwość udziału osób niepełnosprawnych w samorządzie lokalnym?*

Ryszard Smolak: Trudno jest o czynny nasz udział w samorządzie, ponieważ często odrzuca się nasze propozycje i współpracę z nami.

M.K.: *A czy były podejmowane jakieś próby w tym kierunku?*

Ryszard Smolak: Marzeniem nas – niepełnosprawnych mniej i więcej, i naszych rodzin, które czasem cierpią bardziej niż my, a cierpią często z powodu niedoskonałej postawy moralnej ludzi u władzy, naszym marzeniem byłaby taka współpraca, ale nie na zasadzie – „dajcie nam”, ale na kumulacji możliwości, które są duże z jednej i drugiej strony. W grę wchodzi nie tylko środki materialne, ale też ten doskonalszy system moralny.

M.K.: *Dlaczego osoby niepełnosprawne w tak małym stopniu uczestniczą w sprawowaniu władzy, nawet na poziomie lokalnym, gdzie wydaje się to konieczne? W czym tkwią przeszkody?*

Hanna Smolak: Nie angażują się, bo się boją. Bo zawsze wszyscy byli zahukani, każdy miał o sobie złe zdanie, że coś ja tam mogę. Nie wierzą w to, że mogą coś zmienić. A jeżeli już ktoś zaczyna i nie ma pomocy ze strony urzędów, to też szybciej się zniechęca, bo nam – niepełnosprawnym jest się trudniej przebić, ze względu na przeszkody fizyczne, bariery architektoniczne. Z nami się bardzo grzecznie rozmawia, ale potem wszystko się rozchodzi po kościach, wszystko się rozpłaszcza i nic nie wynika z tych rozmów, tyle, że każdy się ładnie uśmiecha, jest dla nas grzeczny, ale nie ma żadnych efektów.

Ryszard Smolak: Dlaczego nie angażują się? – na większość naszych monitów i próśb, nie tylko o coś, ale o to, żebyśmy my pomogli, brak jest odzewu ze strony osób sprawnych, ze strony urzędów. Aczkolwiek w ostatnich czasach jest większa uprzejmość w stosunku do nas – osób niepełnosprawnych, ale nadal traktuje się nas jako „zjawisko”, a to jest przykre dla obydwu stron.

M.K.: *A nie sądzi Pan, że przeszkody tkwią właśnie w samych osobach niepełnosprawnych, które nie wierzą w to, że mogą coś zmienić. Akurat Pan jest osobą aktywną, ma Pan spore sukcesy, startował Pan w wyborach samorządowych...*

Ryszard Smolak: Próbowałem i próbuję, ale nie

wiem, czy nadal będę – sęk w tym, że sił nie starcza... Takie mam doświadczenia – to jest po prostu walenie głową w mur, odbijanie tej brzydkiej piłeczki, lub pięknej piłki w brzydki sposób... Ja nie składam winy na urzędy czy instytucje, dużo winy jest też po naszej stronie, ale skąd my mamy mieć odwagę, skoro wszelkie nasze propozycje są odrzucane, istnieje prawo silniejszego, mówi się o demokracji, nie mając pojęcia o samej definicji tego słowa. Skąd my mamy brać siłę i odwagę, zresztą u nas siła to odwaga...

M. K.: *Przecież demokracja powinna polegać właśnie na ochronie tych słabych przed silnymi, obronie mniejszości przed większością...*

Ryszard Smolak: Tak wcale nie jest. Pomijając układy polityczne, w które nie chcę się zagłębiać, ta demokracja wygląda zupełnie inaczej... Jest inaczej realizowana.

M.K.: *Czyli osoby niepełnosprawne nie odczuły tych zmian, określanych jako demokratyczne?*

Ryszard Smolak: Absolutnie nie. Kiedyś mieszkalem w skromnych warunkach na wsi, teraz mieszkam w skromnych warunkach w mieście, i choć może to dziwnie zabrzmieć, ale wtedy wystarczyło zadzwonić do komitetu miejskiego czy gminnego i tam z kwitkiem nie odprawili, tak jak teraz. Jestem absolutnie przeciwny instytucji państwa opiekuńczego, to nie znaczy, że należy nas zostawić samym, i że między niepełnosprawnymi powstanie jakiś samorząd, który będzie walczył z samorządem lokalnym...

M.K.: *Co mogłoby sprawić, żeby osoby niepełnosprawne poczuły się lepiej, żeby uwierzyły w swoje możliwości, żeby nie bały się podejmować działań mogących na dłuższą metę poprawić ich sytuację?*

Hanna Smolak: Nie wiem. Moje pokolenie czy ludzie starsi ode mnie – my już nie nabierzemy tej wiary, ale myślę że jest szansa dla następnych pokoleń – te klasy integracyjne, tolerancja, życzliwość – to wszystko podnosi morale chorego, no i jeżeli coś takiego zacznie się dziać, to te różnice stopniowo zanikną – nie będzie się już patrzyło na człowieka przez pryzmat wózka, tylko będzie się patrzyło jak na człowieka, normalnie. My już na pewno z tego dolka nie wyjdziemy, ale może na-

stępne pokolenie. Jest nadzieja. Trzeba zmieniać świadomość społeczną i dlatego w tym towarzystwie pracujemy. Staramy się coś zrobić, coś zmienić, ale jest nas tylko garstka, a wszystko leży w ludziach.

M.K.: *W jaki sposób są postrzegani ludzie niepełnosprawni w społeczeństwie? Jakie stereotypy związane są z niepełnosprawnością?*

Hanna Smolak: Ja myślę, że my – ludzie niepełnosprawni byliśmy bardzo zamknięci przez tak długi okres. Żyło nam się względnie dużo lepiej niż teraz, nie trzeba było walczyć o wszystko. To był problem, ale nie na zewnątrz. Teraz trzeba znowu wielu lat, żeby ludzie przyzwyczaili się do nas, że na przykład ktoś na wózku zakupy robi, czy coś takiego. Jeszcze czasami się zdarza, że wzbudzamy jakieś niezdrowe zainteresowanie, ale już coraz rzadziej.

Ryszard Smolak: Według mnie – nie ma żadnej różnicy między niepełnosprawnym a „względnie sprawnym”. Ale większość niepełnosprawnych jest postrzegana niżej, jako ludzie drugiej kategorii. Jest w tym też wina samych niepełnosprawnych, którzy nie potrafili się otworzyć, ale żeby mogli się otworzyć – to trzeba stworzyć warunki... Roślina będzie się rozwijać przy odpowiednich warunkach i nie ma co głową muru przebijać.

M.K.: *A jakie jest funkcjonowanie osoby niepełnosprawnej w sytuacjach społecznych, jak reagują ludzie na ulicy? Czy reagują litością, współczuciem, chęcią pomocy, czy jakimś odwracaniem głowy?*

Ryszard Smolak: Nigdy nie zwracałem na to uwagi... Zawsze uważałem, że wszystko jest tak po prostu jak powinno być, normalnie, ale to chyba zasługa mojego osobistego podejścia, bo sobie radziłem, ewentualnie na tyle byłem odważny, żeby poprosić o pomoc. Często padało: „Nie mam czasu”. Ale to nie jest wina osoby, która może rzeczywiście się spieszyła, tylko może brak zaufania odnośnie mojego wyglądu, albo właśnie ten stereotyp we „względnie sprawnym” części społeczeństwa – że my płacimy na was podatki, macie te PFRON-y, opieka społeczna wam ściele łóżeczka, a my z tego nic nie mamy. Ja często pra-

cując społecznie z żoną, tłumaczyliśmy niepełnosprawnym: po prostu bądźcie dla sprawnych, a oni będą dla was... Poczucie winy, że ja zazdroścę względnie sprawnemu, ma negatywne skutki dla obu stron. Z tym tylko, że te stereotypy w dużym stopniu wiążą się z tamtym systemem, w którym bardzo dużo było dobrego – nie ze względu na prawidłowości tego systemu, ale z pewnych zasad narzuconych przez urzędy, i do których nikt nie miał wątpliwości.

M.K.: *Czego oczekuje osoba niepełnosprawna od osoby względnie sprawnej – na ulicy, w sklepie, w życiu codziennym?*

Ryszard Smolak: Normalności. Tu w grę wchodzi na ogół kultura osobista, a sprawność czy niepełnosprawność nie ma nic do rzeczy.

M.K.: *Co ludzie „względnie sprawni” mogliby zrobić, oprócz takiego normalnego traktowania, żeby polepszyć, ułatwić życie osobom niepełnosprawnym, ułatwić im funkcjonowanie w przestrzeni społecznej?*

Ryszard Smolak: Nie patrzeć na nas jako na zjawisko. Myśleć: „aha, wiadomo, że on nie sięgnie, ja mu pomogę, on mi pomoże wtedy, kiedy ja będę potrzebował pomocy od tego kogoś, kto tylko patrzy, słyszy i czuje... A to już jest dużo.

M.K.: *A co można by było zrobić, żeby społeczeństwo, ludzie o różnym poziomie sprawności nauczyli się żyć ze sobą?*

Ryszard Smolak: Niepełnosprawni powinni zacząć od samych siebie. Nie powinni myśleć o uwarunkowaniach odgórnych, tylko robić swoje, jak mawia Miłynarski. Nie powinno się tworzyć getta dla osób niepełnosprawnych, fizycznego i mentalnego, którego sam na własnej skórze doświadczyłem.

Hanna Smolak: Bardzo ważna jest też sama edukacja społeczeństwa w sferze niepełnosprawności. Od najmłodszych lat należy wskazywać na istnienie tego rodzaju problemów wokół nas, trzeba mówić o tym w szkole. Szkoły mogą odegrać dużą rolę, tak samo przedszkola integracyjne. Samo mówienie nie wystarczy. Takie grupy integracyjne pozwalają, aby w ludziach zdrowych wyrabiało się poczucie odpowiedzialności, zrozumienie dla „inności” w ogóle.

M.K.: *Co Pan sądzi o eufemistycznym sformułowaniu „sprawni inaczej”?*

Ryszard Smolak: Pierwszy raz słysząc to określenie pomyślałem, że wymyślił je albo ktoś bardzo niepełnosprawny albo właśnie „sprawny inaczej”. Ono jest obraźliwe dla tych, co je wymyślił, nas – jako niepełnosprawnych ono nie dotyczy, dotyczy raczej tych „względnie sprawnych”, którzy uważają, że niepełnosprawność ich nie dotyczy.

M.K.: *Czy niepełnosprawność to kalectwo fizyczne, czy coś jeszcze?*

Ryszard Smolak: Brak wiary w siebie i w swoich bliskich. Gdy rodzina stworzy dobre warunki fizyczne – to jeszcze nie wszystko. Można mieszkać tak jak ja kiedyś mieszkałem – bez ubikacji wewnątrz, bez możliwości poruszania się, ale ja wiedziałem, że mogę sobie poradzić. Na brak wiary w siebie składa się również ta „jałmużna”, czyli niedoskonały system rent, ja nie potrzebuję za wiele, ale potrzebuję zarabiać na życie. Potrafię sam zarobić na życie, gdybym miał warunki, mógłbym bez problemu na siebie zapracować i jeszcze na innych. To nie znaczy, że czekam, żeby mi ktoś te warunki stworzył, ja wymagam od czynników wyższych dania możliwości – i wtedy bym zaskoczył te czynniki wyższe – że jednak potrafię.

M.K.: *A jakie są jeszcze inne objawy niepełnosprawności?*

Ryszard Smolak: Ogólny smutek i katar społeczeństwa, ale trzeba nad tym pracować – ciągle się leczymy – katar się leczy, tak czy owak.

M.K.: Jest Pan wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Ludzi Niepełnosprawnych „MISERICORDES” w Puławach. Na czym polega działalność Towarzystwa?

Ryszard Smolak: Towarzystwo istnieje od 1990 roku. Staramy się udzielać wszelkiej możliwej, choć nadal bardzo skromnej pomocy innym niepełnosprawnym, czyli udzielamy zapomóg, załatwiamy wózki, tworzymy warunki do wyjazdów wypoczynkowych poza miasto, a możemy to czynić dzięki Zakładom Azotowym w Puławach, dzięki uprzejmości dyrekcji, przede wszystkim dyrektor – Krystyny Murat. „Azoty” są naszym jedynym stałym sponsorem, PIAZAP, PROZAP, IUNG – czynią to jednorazowo i skromnie, ale dzięki im i

za to. Prowadzimy rejestr niepełnosprawnych, obłożnie chorych, najbardziej potrzebujących, współpracujemy z MOPSEM, ale to ogranicza się w zasadzie do przysyłania do nas chorych z prośbą o wsparcie finansowe.

M.K.: *Czy osoby niepełnosprawne chętnie angażują się w działalność Towarzystwa, czy raczej czekają aż coś dostaną?*

Ryszard Smolak.: To jest właśnie trochę przykre. Za mało jest takich wariatów wśród niepełnosprawnych, jak żona i ja. Towarzystwo to założyły osoby sprawne, wspaniali ludzie, dziś już na emeryturach, którzy zwrócili się do nas z prośbą o współpracę, no i zgodziliśmy się spontanicznie. Ostatecznie to my – chorzy powinniśmy brać w tym udział. A dlaczego jest nas tak mało? Z powodu braku wiary w siebie zrodzonego z ciągłych niepowodzeń i porażek. Mam jednak nadzieję, że jak my z żoną nie będziemy już mieli sił, to znajdzie się ktoś, kto to wszystko pociągnie.

Hanna Smolak: Osoby niepełnosprawne często przyjmują bierną postawę – czekają, aż ktoś przyjdzie i coś im da, coś im zorganizuje, pomoże, załatwi, ale powinno się przynajmniej próbować wciągać takich ludzi do jakiejś pracy, bo to jest tak – siedzi w domu i myśli, że jest nieszcześliwy, ale nie widzi, że obok niego jest mnóstwo tego nieszczęścia – obudź się człowieku, zobacz, że jeszcze możesz coś dla kogoś zrobić, że nie jesteś pępkiem świata. Ale to jest bardzo trudne, trudno jest do ludzi dotrzeć w ogóle. Tam, gdzie jest rzeczywiście ciężko, że ledwo wiążą koniec z końcem, to tam jeszcze jest chęć do czegoś. Najgorzej jest tam, gdzie wszystko podane, każdy chodzi, tańczy wokół tej osoby, bo ty jesteś niepełnosprawna – wtedy nie dotrze się do takiego człowieka w ogóle, bo jest on tak przytłoczony tą swoją tragedią, tak skoncentrowany na sobie, że trudno jest do niego dotrzeć.

M.K.: *Czy dużo osób zdrowych angażuje się w działalność Towarzystwa?*

Ryszard Smolak.: Niedużo. Mamy dużo problemów, np. brakuje nam siedziby (mieści się ona w naszym małym, jednopokojowym mieszkaniu, będącym jednocześnie warsztatem rzemieślniczym). Brak jest w tej sprawie reakcji ze strony

Urzędu Miasta. Wynajmuje się pomieszczenia za grube pieniądze, a urzędnicy wiedząc, że my nie zapłacimy czynszu w takiej wysokości jak ktoś inny – odpowiadają odmownie na nasze prośby o wynajęcie lokalu.

M.K.: *Jakie problemy społeczne dotyczą środowisko osób niepełnosprawnych?*

Ryszard Smolak.: Takie same jak środowiska osób sprawnych. Brak pieniędzy, trudności ze znalezieniem sobie pracy, ze znalezieniem swojego miejsca w życiu... Alkoholizm w społeczeństwie jest rzeczą normalną – prawda? Ale każdy zauważy człowieka na wózku, który jest pijany, nawet w tłumie innych pijanych. Jest to postrzegane jako coś nienormalnego. Ja ponoszę często winę za alkoholizm kogoś innego, który był pijakiem zanim jeszcze został kaleką. Mieszka w tej samej okolicy, a że jest trochę do mnie podobny – ludzie często nas mylą, a czasem nawet później przepraszają, że mi nie pomogli, bo myśleli, że to tamten drugi facet.

Hanna Smolak: Najgorsze jest to, że ludzie niepełnosprawni nie mają kontaktu ze światem. Dziecko niepełnosprawne – siedzi w domu. Mama się nim zajmuje, nauczyciele przychodzą ze szkoły na lekcje do domu, ale jest cały czas zamknięte. I co z tego, że mu rodzice komputer kupią, kiedy ono nie potrafi wyjść do ludzi. W szkole integracyjnej byłoby z innymi dziećmi, miałoby też problemy, ale inne. I niech by sobie miało – przecież problemy trzeba mieć, ale inaczej by na świat patrzyło. I ja się boję, że znowu rośnie pokolenie takich tchórzów, bo to jest trochę takie tchórzostwo.

M.K.: *Czy puławskie środowisko jest w jakiś sposób zintegrowane, czy odbywają się wspólne spotkania?*


Hanna Smolak: Chętnie wszyscy niepełnosprawni spotykają się w kościele. Może dlatego, że wiera daje im siłę. Oni wierzą też w siostry zakonne i księży, wierzą, że będą dla nich lepsi niż zwykli „świeccy” ludzie. Wokół Towarzystwa też powstało pewne środowisko – my robimy wszystko, żeby tym ludziom pomagać, ale spotkania są w kościele, bo nie mamy własnej siedziby. Ksiądz dziekan udostępnił nam salę na spotkania.

M.K.: *Czy uważa Pan, że duża suma pieniędzy, która pojawiłaby się na koncie Towarzystwa, mogłaby raz na zawsze odmienić tę trudną sytuację? Czy brak pieniędzy jest zasadniczym i jedynym problemem?*

Ryszard Smolak.: Myślę, że tak. Zasadniczym na początek. Może będę zarozumiały, ale moglibyśmy spożytkować te pieniądze w bardziej rozsądny sposób niż MOPS, czy Urząd Miasta. Pieniądze są potrzebne na tworzenie warunków,

które stworzą następne warunki – możliwość zarabiania pieniędzy. Większość niepełnosprawnych mogłaby bez problemów na siebie zarobić, tyle, że często nie są w stanie samodzielnie stworzyć sobie warunków do pracy, a instytucje nadal traktują ten problem bardzo powierzchownie.

Opracowanie:
Marta Kubiszyn

ZAKŁADY AZOTOWE "PUŁAWY" spółka akcyjna
24-110 PUŁAWY, al. Tysiąclecia Państwa Polskiego 13
tel. 875-941, 875-938, fax 875-444, tlix 642316

Cisza

– Pamiętaj, że gdzieś za godzinę musisz dać Jacusiowi pić – rzekła młoda kobieta stojąc w przedpokoju, w ciemnozielonym kloszowym płaszczu. Mówiąc to, spojrziała jeszcze raz na dziecko, które siedziało na podłodze w prawym rogu pokoju.

– W porządku, Anno – odezwał się łagodnym głosem wysoki mężczyzna wychodząc z kuchni. – Przecież wiem, co Jacek potrzebuje, nie zostaję z nim pierwszy raz – powiedział z uśmiechem i pocałował kobietę w czoło. – Nie martw się – dodał, odprowadzając ją do drzwi – damy sobie radę, bądź spokojna. No idź, bo spóźnisz się na seans – zakończył dobroduszenie.

Gdy kobieta wyszła, mężczyzna udał się ponownie do kuchni, wziął szklankę z herbatą i przyszedł do pokoju, w którym było dziecko. Postawił szklankę na ławie, sam zaś usiadł w dużym, skórzanym fotelu. Spojrzał na malca siedzącego w kącie. Wokół niego, na wykładzinie porozrzucone były drewniane klocki. Chłopiec siedział nieruchomo, oparty plecami o ścianę, głowę miał zwróconą do okna.

Anna zawsze z wielkim trudem rozstawała się z dzieckiem, nawet wtedy, gdy wiedziała, że zostawia je z nim, z ojcem. Zawsze musiał ją przekonywać i uspokajać, że chłopcu nic złego przy nim się nie stanie.

Nadmiernie rozbudzony instynkt macierzyński u Anny wcale go nie dziwił. Jacek wymagał większej opieki i troski niż inne dzieci. Był dzieckiem upośledzonym umysłowo, dzieckiem autystycznym; były okresy, że nie można było nawiązać z nim żadnego kontaktu. Żył wtedy jak roślina, nawet nie zwierzątko, ale jak roślina, która skazana jest wyłącznie na to, co z nią uczynią siły z zewnątrz. Nie było wtedy wiadomo, kiedy chce jeść, kiedy chce pić. Do Anny więc należało to, aby wiedzieć, czego w danej chwili Jacek potrzebuje.

Małżeństwem byli już siódmy rok, Jacek urodził się półtora roku po ślubie. Od początku byli ludźmi zamożnymi, oboje pochodzili z bogatych rodzin. Ich rodzice w dużym stopniu dopomagali im w kupnie i urządzeniu mieszkania, tak że już po kilku miesiącach wspólnego życia mieli gdzie sami mieszkać.

Anna zaszła w ciążę zaraz po powrocie z podróży do Włoch i Hiszpanii. Żartowali, że była to ich spóźniona podróż poślubna. Fakt, że będą rodzicami, przyjęli z nieukrywaną radością, choć Anna ucieszyła się z tego nieco mniej, gdyż dopiero co zaczęła pracować... Być może już wtedy przeczuwała, że dziecko będzie ułomne.

Ciąża u Anny przebiegała normalnie. Od początku była pod opieką dobrych specjalistów, którzy byli przekonani, że dziecko, które urodzi, będzie w pełni zdrowe.

O tym, że Jacek jest dzieckiem upośledzonym umysłowo, dowiedzieli się dwa mie-

siące po narodzinach. Zasugerował im to lekarz, do którego chodzili z Jackiem na comiesięczne badania. Zastanowiło go bowiem to, że dziecko, mimo iż jest już w takim wieku, nie przejawia jakichkolwiek reakcji na otoczenie, nawet się nie uśmiecha, nie kwili. Właściwie to i oni nieco się tym zaczęli niepokoić, uważali jednak, że dziecko jest z natury bardzo spokojne. Dopiero wizyta u psychologa dziecięcego rozwiła ich przypuszczenia, diagnoza była jednoznaczna: Jacek jest dzieckiem autystycznym.

Była to dla nich szokująca wiadomość: ich dziecko nie będzie nigdy normalnym człowiekiem. Zarówno Annę, jak i jego, wiadomość ta ścięła z nóg. Jakiś czas później Anna oświadczyła mu, że gdyby wiedziała, że urodzi takiego potworka, to wołałaby usunąć ciężę. Nie pamięta jednak, aby kiedykolwiek jeszcze to powtórzyła.

Po przyjściu Jacka na świat, Anna mimo wszystko zmieniła się. Przestała patrzeć na życie tak swobodnie i beztrzesko, jak to czyniła kiedyś i co, nie ukrywał, bardzo mu się w niej podobało. Nie była już trzpiotką, która ze wszystkiego, co ją w życiu spotyka, śmieje się, cechował raczej Annę niezwykle wewnętrzny spokój.

Pojawienie się dziecka i świadomość, że jest ono w takim stanie spowodowała, że jej uwaga skupiła się wyłącznie na Jacku. Anna stała się przy tym bardzo rozdrażniona, wybuchowa. O byle co potrafiła się kłócić, krzyczeć, bywało nawet, że tłukła ze złości talerze.

On też nie był bez winy; dosyć często wychodził z domu, nawet bez wyraźnej potrzeby. Czynił to świadomie, żeby choć przez krótki czas nie patrzeć na to, co się stało z jego żoną, z dzieckiem. Był również przygnębiony stanem Jacka, choć starał się nie okazywać tego Annie. Nigdy się nie spodziewał, że właśnie on będzie ojcem takiego dziecka. Niejednokrotnie pytał sam siebie, dlaczego jego i Annę to spotkało.

Stan Jacka rzeczywiście był ciężki. Dziecko, mając roczek, nawet nie siadało, nie mówiąc już o gaworzeniu. Dopiero, gdy zbliżało się do dwóch latek zaczynało nieznacznie podnosić główkę.

Pomimo dość pesymistycznych diagnoz lekarzy, oni dostrzegali u Jacka minimalne postępy. Chłopiec rozwijał się w miarę normalnie; rósł, przybierał na wadze, przy ich pomocy zaczął raczkować, potem stanął na nogi. Zaczynał także nieznacznie reagować na otoczenie; dawał cichym jękiem znaki, kiedy chciał pić, stękał, gdy na spacerze było mu zimno. Nie byli jednak pewni, czy ich rozpoznawał, ponieważ gdy którekolwiek z nich do niego się zbliżało kulił się w sobie jak jeź i straszliwie drżał. Dopiero po dłuższej chwili, która mogła trwać nawet i godzinę, pozwalał się dotknąć.

Z upośledzeniem umysłowym, które miał Jacek, nigdy się jeszcze nie spotkali. Owszem, mieli świadomość, że niektóre osoby zapadają na różne choroby, w tym i umysłowe, ale nie wiedzieli, na czym one polegają, nie zdawali także sobie sprawy, że jest ich wiele. Czytając książki z psychologii i psychiatrii chcieli się dowiedzieć jak najwięcej o chorobie Jacka i szukali w nich metod terapeutycznych, które by wpłynęły choć w niewielkim stopniu na poprawę jego zdrowia. Szukali pomocy również u wielu specjalistów. Dowiedzieli się jednak tylko, że ich dziecko nigdy nie będzie normalnym człowiekiem.

W zamknięciu

Około 0,5 % dzieci w Polsce rodzi się z różnymi uszkodzeniami ośrodkowego układu nerwowego; w samym województwie stołecznym jest ich około 2 tys.. Chorych na autyzm jest w całej Polsce ok. 10 tysięcy.

Słowo „autyzm” pochodzi z języka greckiego – „autos”, czyli „sam”. Termin ten odzwierciedla sytuację, w jakiej żyją osoby dotknięte tą chorobą, zamknięte w własnym świecie, w samotności swego wnętrza. Choroba ta uniemożliwia dzieciom komunikowanie się z otoczeniem i prawidłowy rozwój. Ze względu na jej charakter dzieci niewyobrażalnie cierpią, dlatego świadome swojej inności chcą ją zmienić.

Dzieci chore na autyzm, z pozoru nie różnią się od swoich rówieśników, chociaż ich zachowanie może być odbierane przez otoczenie jako nienormalne. Ale ich rzeczywistość jest zupełnie inna od naszej, jakby oddzielona szybą, za którą istnieje inny świat. Dzieci te w ogóle nie mówią, a jeżeli mówią, to są to niezrozumiałe słowa. Potrafią długimi minutami gapić się w jeden punkt, powtarzać ten sam zwrot, bądź machać bez końca rękami. Kiedy próbuje się ich dotknąć, czy z nimi porozmawiać, bywają pobudzone i agresywne. Co jest przyczyną tych zachowań? Prawdopodobnie autyzm jest wynikiem uszkodzenia mózgu albo złego funkcjonowania ośrodkowego układu nerwowego. Przyczyną owych uszkodzeń mogą być czynniki genetyczne, ale także niedotlenienie mózgu bądź infekcje wirusowe. Wskutek tego dzieci chore na autyzm mają problemy z odbieraniem i przetwarzaniem bodźców zewnętrznych, co uniemożliwia im normalne kontaktowanie się z otoczeniem. Mogą więc słyszeć zbyt dużo – słyszeć pracujący cztery piętra wyżej odkurzacz, albo godzinami wertować kartki w książce. Ponieważ ich zmysły są nadwrażliwe na docierające z otoczenia wszelkie bodźce, próbują sobie z nimi jakoś poradzić, jakoś je uporządkować w psychice. Dlatego też, nieustannie wymachują rękami, bądź rozdrapują rękę do krwi, nie czując przy tym bólu. Otaczająca rzeczywistość jawi się dzieciom chorym na autyzm jako przerażający chaos, a choroba powoduje ogromne cierpienie.

Tym dzieciom można jednak pomóc, konieczna jest jednak wcześniej podjęta i odpowiednio długo trwająca terapia oraz właściwa edukacja rodziców dzieci chorych na autyzm. Tylko takie działania mogą usprawnić funkcjonowanie mózgu, a przez to zapewnić dziecku kontakt z najbliższym otoczeniem, rozwój emocjonalny i społeczny. Jediną szansą w tej sytuacji jest zapewnienie dzieciom autystycznym całościowej opieki i rehabilitacji.

Synapsis

Fundacja Synapsis jest organizacją działającą od 1989 roku, swoją siedzibę ma w Warszawie przy ul. Pięciolinii 5. Otacza swą opieką ponad 200 rodzin z dziećmi chorymi na autyzm. Oczekujących na pomoc jest kilkaset rodzin więcej. Pomocy w Fundacji Synapsis udziela grupa wyspecjalizowanych, mających długoletnie doświadczenie w psychoterapii: terapeutów, psychologów, specjalistów od resocjalizacji, pedagogów specjalnych; stosują różnorodne metody rehabilitacji, zajęć grupowych, stymulacji rozwoju i edukacji rodziców dzieci chorych na autyzm. Zespołem Fundacji kieruje Prezes Fundacji Michał Wroniszewski, specjalista psychiatra, superwizor psychoterapii i treningów Polskiego Towarzystwa Psychologicznego.

Pomoc udzielana w Fundacji to przede wszystkim diagnozowanie i opracowywanie indywidualnych programów terapii, dostosowanych dla każdego chorego dziecka, mających na celu zapewnić dziecku poczucie bezpieczeństwa i umożliwić kontakt z najbliższymi. To również warsztaty i zajęcia plastyczne organizowane w ośrodku przy ulicy Orzyckiej 2 w Warszawie. W zależności od stopnia zaburzeń rozwoju i od rodzaju problemów w wychowaniu dziecka, proponowane są odpowiednio dostosowane metody rehabilitacji, stymulacji rozwoju, edukacji i psychoterapii. Programy te dopasowane są do potrzeb i możliwości ich rodzin, które mają wyznaczonych opiekunów spośród członków zespołu Fundacji oraz stale uczestniczą w organizowanych konsultacjach, treningach i szkoleniach. Czynne uczestnictwo rodziców w niniejszych działaniach przyczynia się do zwiększania ich kompetencji terapeutycznych i wychowawczych.

Wiosną 1997 roku z inicjatywy Fundacji rozpoczęto budowę wielofunkcyjnego specjalistycznego ośrodka dla dzieci dotkniętych autyzmem – Centrum Dziecięcego Synapsis przy ulicy Fińskiej w Warszawie. Jest to pierwsza tego typu inwestycja w Polsce. Fundacja działa *non profit*. Budowa ośrodka, jego specjalistyczne wyposażenie, szkolenia terapeutów i personelu pociągają olbrzymie koszty. Jedyną formą finansowania jest wsparcie sponsorów i dobrowolnych darczyńców.

Piotr Kot
Anna Woźniak

Niepełnosprawni? (ankieta „Scriptores Scholarum”)

Ankieta na temat niepełnosprawności rozpisaliliśmy wśród naszych czytelników jesienią 1998 roku. Z prośbą o odpowiedź na pytania zwróciliśmy się do bardzo różnych osób, nie stosując w wyborze respondentów żadnego kryterium. W kolportowaniu ankiety i dostarczeniu jej do szerszego grona odbiorców bardzo pomocne okazały się: Internet oraz „Gazeta w Lublinie”. Dziękujemy szczególnie redaktor Annie Augustowskiej, prowadzącej w „Gazecie” cotygodniową stronę poświęconą problematyce niepełnosprawności – „Teraz My!”.

Głosy, które nadeszły na adres naszej redakcji dotyczyły wszelkiego rodzaju niepełnosprawności – tych widocznych, dostrzegalnych na pierwszy rzut oka (niepełność ruchowa czy upośledzenie umysłowe), jak i tych mniej rzucających się w oczy, a równie dokuczliwych, jak np. dysleksja, nieśmiałość, migrena, czy nerwica, które także potrafią uczynić człowieka „nie w pełni sprawnym”. Okazało się, co zresztą czuliśmy podskórnie, że **niepełnosprawność jest zjawiskiem uniwersalnym**, oraz że dotyka ona o wiele więcej osób, niż to się zwykło uważać. Efektem naszego badania stało się ukazanie osoby ludzkiej w jej całości i złożoności. „Człowieczeństwo” bowiem to pojęcie trudne i często nie do końca przez wszystkich rozumiane, a jego dookreślenie to zadanie bardzo ważne dla współczesnej myśli humanistycznej. Ludzie bardzo często piętnują wszelką niesprawność zarówno fizyczną, jak i umysłową czy emocjonalną u drugich, nie dostrzegając jej u siebie samych. Ankieta pokazała, że w **gruncie rzeczy jesteśmy wszyscy w jakimś sensie niepełnosprawni!** Nie ma bowiem nikogo, kto mógłby tak naprawdę powiedzieć o sobie, iż realizuje w swoim życiu wzór człowieczeństwa i jest we wszystkich obszarach aktywności ludzkiej sprawny. Głównym motywem naszych wspólnych działań było ukazywanie i neutralizacja szkodliwych podziałów międzyludzkich, które są przyczyną nieuświadomianej często dyskryminacji osób lub całych grup społecznych.

Postawiliśmy naszym respondentom dziesięć pytań. Odpowiedzi publikujemy na łamach naszego kwartalnika w formie wolnych (najciekawszych) głosów i w ten sposób otwieramy dyskusję, mamy nadzieję owocną, na temat naszych wspólnych niepełnosprawności...

1. Jak rozumiesz pojęcie „niepełnosprawność”?

Do tej pory rozumiałam niepełnosprawność jako brak sprawności w sensie ruchowym, wzrokowym czy słuchowym, a raczej nie – emocjonalnym czy (nawet) intelektualnym. Nazywając je odpowiednio: chorobą psychiczną czy upośledzeniem umysłowym.

Psycholog (32 lata)

*

Niemożliwość panowania nad ciałem i umysłem w taki sposób, jak czyni to człowiek zdrowy.

Studentka (23 lata)

*

Niepełnosprawność już nie kojarzy mi się wyłącznie z wózkiem inwalidzkim, czy białą laską niewidomego. Mój syn, który jest po dziecięcym porażeniu mózgowym – w tym momencie sprawny fizycznie – nadal jest niepełnosprawny, jest bowiem dzieckiem hiperaktywnym. Starsza córka, której rozwój przebiegał „prawie” w normie – ma kłopoty z nauką i spore zaburzenia emocjonalne. Moje pojęcie o niepełnosprawności w ostatnich latach poszerzyło się znacznie: dysgrafia, dysleksja, dyskalkulia, nadruchliwość i wszystkie stany depresyjne.

Ojciec dziecka po porażeniu mózgowym

*

Jeśli człowiek potrzebuje pomocy innych osób przy wykonywaniu czynności wokół siebie jest wtedy niepełnosprawny.

Emerytka (61 lat)

*

Niepełnosprawność to rodzaj kalectwa, trwałej choroby.

Uczennica (18 lat)

*

Uważam, że może być niepełna sprawność zarówno fizyczna, jak i duchowa, emocjonalna np. egoizm. Ja jeżdżę na wózku inwalidzkim...

Student (24 lata)

*

Brak rąk, nóg, ale często również głowy, czyli głupota ludzka, która aż boli...

Odpowiedź z Internetu

*

Pojęcie „niepełnosprawności” w odniesieniu do ankiety rozumiem jako „sprawność ograniczoną”, tzn., że człowiek jest ograniczony wielością barier – duchowej, religijnej, intelektualnej, fizycznej, kulturowej, politycznej, ekonomicznej, rasowej etc. Natomiast w języku potocznym przeważnie jest ono przypisane komuś kto ma przede wszystkim wady fizyczne.

Polityk (lat 43)

2. Czy znasz ludzi niepełnosprawnych, jaki jest Twój osobisty do nich stosunek?

Dużo uczę się od tych ludzi i od ich najbliższego otoczenia. Większość niepełnosprawnych, których znam to ludzie, którzy zaakceptowali swoje kalectwo.

Nauczyciel (lat 39)

*

Nie znam bliżej osoby niepełnosprawnej w sensie ruchowym czy intelektualnym, ale jeden z moich znajomych jest osobą chorą psychicznie (schizofrenia). (...) przyznam się, że często zdarza mi się, iż unikam kontaktu z tym znajomym. Czuję się bowiem skrepowana i zakłopotana jego silnymi pozytywnymi uczuciami wobec mnie, gdy ja ze swojej strony nie odczuwam chęci kontaktu. Wydaje mi się, że ostatnio udało mi się wreszcie ustalić tzw. „granice”: staram się nie odrzucać go, będąc jednocześnie szczerą.

Psycholog (32 lata)

*

Nie znam, ale bardzo współczuję.

Anonim

*

Tak znam, należę do tej grupy ludzi, więc ich rozumiem.

Student (24 lata)

*

(...) czuję się przy nich skrepowany tym, że ja jestem zdrowy, a oni nie...

Anonim

*

Od czasu, kiedy złamałem kręgosłup, polubiłem niepełnosprawnych i w ogóle zacząłem na nich zwracać uwagę, przedtem nic mnie nie obchodzili.

Chłopak (lat 21)

*

Podziwiam ich, współczuję im, czasem jest mi wstyd, gdy użalam się nad sobą, podczas kiedy im jest trudniej, staram się traktować wszystkich ludzi tak samo, bez względu na wiek, płeć, stan fizyczny.

Odpowiedź z Internetu

*

Znam i bardzo im współczuję.

Emerytka (61 lat)

*

Znam wielu ludzi niepełnosprawnych, wspaniałych, mądrych i dzielnych ludzi!

Odpowiedź anonimowa z Internetu

*

Boję się ludzi niepełnosprawnych. Nie chciałabym być taka jak oni, a ich widok przypomina mi, że coś takiego może przytrafić się również mnie.

Studentka prawa KUL (23 lata)

*

Kiedy patrzę na dzieci niepełnosprawne, zawsze myślę o tym, gdzie jest w tej chwili Bóg...

Nauczyciel (lat 31)

*

Znam wiele osób i muszę przyznać, że mi imponują swoją wytrwałością w codziennej pracy, mimo iż są często uzależnieni w swojej aktywności zewnętrznej od innych. Mają wiele wrażliwości i charyzmatów. Często cierpienia, jakie ich dotyczą, czynią ich bardziej dojrzałymi.

Polityk (lat 43)

3. Czy boisz się niepełnosprawności (ruchowej i umysłowej)?

Ostatnio, gdy zostałam sama (po śmierci mamy), przyszła mi (chyba po raz pierwszy w życiu) taka myśl, ale wierzę, że jeśli jest mi to przeznaczone, to będzie po coś.

Psycholog (32 lata)

*

Boję się niepełnosprawności fizycznej, bo kojarzy mi się ona z pozostaniem na ubo-
czu, samotnością.

Odpowiedź anonimowa

*

Boję się niepełnosprawności, najbardziej umysłowej.

Uczeń (18 lat)

*

Tak, boję się. Nie umiem do niej dorosnąć.

Odpowiedź anonimowa

*

Tak, bo wiem, jak jest to bardzo bolesne...

Odpowiedź z Internetu

*

Każdy człowiek boi się niepełnosprawności i już!

Uczennica (15 lat)

*

Chyba się boję, ale nie jest to lęk paraliżujący.

Polityk (lat 43)

4. Czy nasze społeczeństwo jest życzliwe dla niepełnosprawnych?

Uważam, że ludzie potrafią być życzliwi dla niepełnosprawnych, ale część społeczeństwa (państwo, instytucje, urzędy) – nie.

Odpowiedź anonimowa

*

Nie, a widać to chociażby w nieszczęsnych rozwiązaniach architektonicznych.

Dziennikarz

*

Jest to życzliwość litująca się. Niepełnosprawny to dla wielu nie do końca człowiek!
Takie mam wrażenie z obserwacji.

Nauczyciel (32 lata)

*

Myślę, że najczęściej występującą postawą jest poczucie bezradności i niepewności jak się zachować, co może przejawiać się jako przesadna obojętność lub przesadne pomaganie.

Psycholog (32 lata)

Obojętne!

*

Odpowiedź anonimowa

*

Jest w większości obojętne (z własnych doświadczeń wiem, że czasem okrutne). Ale są oczywiście również ludzie wspaniali: tolerancyjni, uczynni, wyrozumiali, pomocni.

Student jeżdżący na wózku (24 lata)

*

Myślę, że nasze społeczeństwo raczej boi się niepełnosprawnych z widocznym inwalidztwem, co wynika raczej z braku zrozumienia dla problemów tych ludzi niż ze złej woli.

Odpowiedź anonimowa

*

Na co dzień to nie sądzę, że mamy takie postawy. Powoli zmienia się ludzka mentalność, ale jest nadzieja i są szanse na zmianę naszych zachowań. Wielką rolę odgrywają tu mass media, ta ankieta temu też będzie służyła.

Polityk (lat 43)

5. Czy, Twoim zdaniem, infrastruktura w naszym państwie dostosowana jest do potrzeb niepełnosprawnych?

Wydaje mi się, że zachodzą zmiany w tym kierunku, ale nadal jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Psycholog (32 lata)

*

Brakuje często zwykłych podjazdów czy wind w różnych obiektach użyteczności publicznej, a szczególnie, co dziwne i zatrważające, w kościołach i Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Odpowiedź anonimowa

*

Wcale nie jest!

Student (24 lata)

*

Z tym jest największa tragedia, szczególnie w toaletach, na dworcach, w urzędach. Ludzie częściej myślą o zwierzętach niż o niepełnosprawnych.

Odpowiedź anonimowa

*

Według mojej wiedzy są to dopiero początki, ale kierunek jest właściwy.

Polityk (lat 43)

6. Czy planując różnego rodzaju przedsięwzięcia w swoim życiu, brałeś pod uwagę złożone problemy ludzkich niesprawności?

Oczywiście!

Student (24 lata)

*

Są na bardzo dalekim planie.

Uczennica (19 lat)

*

Kto myśli o takich rzeczach? Dzięki ankiecie coś do mnie dotarło, może i do innych?

Odpowiedź anonimowa

7. Czy uważasz, że pojęcie „niepełnosprawny” jest związane tylko z inwalidztwem, czy też może mieć ono szersze odniesienie kulturowe?

Pytanie tendencyjne. Sądzę, że zbytne rozszerzanie tego pojęcia (choć rozumiem czemu ma to służyć) nie jest aż tak istotne, jak sugeruje ankietę. Myślę, że lepiej skoncentrować się na konkretnej działalności niż walczyć ze stereotypami, „wmawiając” (to celowo przesadne określenie) ludziom, że wszyscy jesteśmy niepełnosprawni.

Psycholog (32 lata)

*

Niepełnosprawność, poza widocznym inwalidztwem, ma odniesienie przede wszystkim do rodzin. Negatywne emocje utrwalone w rodzinie sprawiają chyba najwięcej trudności w życiu. Brak prawdziwej hierarchii wartości – pogoń za dobrami materialnymi, brak czasu, zrozumienia i miłości dla dzieci czynią, że to właśnie rodziny są niepełnosprawne.

Odpowiedź anonimowa

*

Pojęcie to rzeczywiście może mieć szersze odniesienie kulturowe – samotność to też swego rodzaju „niepełnosprawność” w „zdrowym” społeczeństwie.

Student (24 lata)

*

Pojęcie niepełnosprawność wykracza, moim zdaniem, poza inwalidztwo czy kaleczność, odnosi się także do umysłu, psychiki, ale też do nieumiejętności funkcjonowania w społeczeństwie czy w rodzinie; alkoholizm jest również niepełnosprawnością, tak samo narkomania, nienawiść, rasizm, obojętność wobec innych, agresja, lęki, przerosł żądzy władzy czy potrzeby posiadania, i mnóstwo innych jeszcze rzeczy...

Odpowiedź z Internetu

8. Czy uważasz się za człowieka „niepełnosprawnego”?

Jestem niepełnosprawna, ale czy nie prościej jest podkreślać, że każdy jest sprawny na swój własny sposób, niż że każdy jest niepełnosprawny?

Psycholog (32 lata)

*

Jestem sprawna, ale nie we wszystkim jednakowo dobra.

Uczennica (16 lat)

*

W dzieciństwie byłam niepełnosprawna fizycznie w znacznym stopniu, udało mi się to pokonać dzięki własnej pracy i jestem z tego dumna, ale moja niepełnosprawność w dziedzinie stosunków międzyludzkich jest nadal bardzo trudna do zrehabilitowania.

Odpowiedź z Internetu

*

Oczywiście, że tak. Mam wiele ograniczeń.

Polityk (lat 43)

9. Wymień główne obszary Twojej „niepełnosprawności”, jak myślisz dlaczego zostały Ci one dane?

Jestem niepełnosprawna w sensie emocjonalnym: mam 32 lata i nie założyłam jeszcze rodziny, odbiegam więc od standardów, tak jak osoba, która porusza się jeżdżąc na wózku, gdy inni robią to za pomocą nóg. Poza tym mam sporą wadę wzroku, tak że poruszanie się bez soczewek kontaktowych poza mieszkaniem jest bardzo utrudnione.

Psycholog (32 lata)

*

Zaburzenia emocjonalne. Dlaczego je mam nie wiem, natomiast wiem skąd się wzięły.

Uczennica (19 lat)

*

Jest to niepełnosprawność układu ruchu i narządu wzroku, i była chyba wynikiem nieodpatrzeń lekarzy.

Student (24 lata)

*

Moje niepełnosprawności – cóż, jest ich trochę, choć ogólnie mogę powiedzieć, że słabe emocje. Przez wiele lat żyłem w depresji, a co za tym idzie nie ukończyłem studiów, choć z nauką nie miałem kłopotów. Obwinałem siebie za problem swoich dzieci. A dlaczego? – Myślę, że brak ciepła w domu rodzinnym, zbyt duże oczekiwania ze strony rodziców, którzy byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by zaspokoić moje potrzeby emocjonalne.

Odpowiedź anonimowa

*

Niepełnosprawność emocjonalna w kontaktach z ludźmi, różne lęki, brak umiejętności asertywnego zachowania się w wielu sytuacjach, a poza tym niepełnosprawność fizyczna, z którą muszę walczyć...

Odpowiedź z Internetu

*

Niski poziom zdolności intelektualnych i słabe zdrowie.

Odpowiedź z Internetu

*

Główne obszary mojej „niepełnosprawności” są wielkie, wymienię tylko niektóre: nie mam zdolności manualnych, muzycznych, plastycznych, językowych, nawet fizycznych – nie mogę jeździć na nartach – uszkodzona łękotka, starczowzruczość – kłopoty z czytaniem, wielkie „dziury” intelektualne w wiedzy, a nawet emocjonalne, nie mogę jeść wszystkiego z powodów alergicznych. Jestem przede wszystkim niepełnosprawny jako chrześcijanin, który częściej jest zgorszeniem niż zaczynem, solą czy znakiem dla innych. Myślę, że te wszystkie niedoskonałości zostały mi dane do nawrócenia, czyli do pomocy. Te wszystkie ułomności jakie posiadam sprowadzają mnie do słusznych wymiarów i dają impuls, by wołać z głębokości serca do Pana Boga o pomoc, jednocześnie uczą i wymuszają na mnie pokorę, której mi po prostu brak

Polityk (lat 43)

10. Czy znasz ludzi w pełni sprawnych?

W moim wewnętrznym przekonaniu, tak. Człowiek sprawny to ktoś dobrze przygotowany i przystosowany do życia, radzący sobie i zadowolony z tego, że żyje. Dlatego, według mnie, osobą w pełni sprawną może być osoba niewidoma, a niepełnosprawną – ktoś bez ułomności fizycznych, ale nie umiejący odnaleźć się w życiu.

Psycholog (32 lata)

*

Niestety, nie znam ludzi w pełni sprawnych. Nawet osoby, które osiągnęły wiele w życiu zawodowym, nie czują się szczęśliwe, często nie widzą sensu życia.

Odpowiedź anonimowa z Internetu.

*

W pełni sprawnych fizycznie, owszem. Ale jeśli chodzi o psychikę, to na jej temat nie mogę nigdy powiedzieć czegoś absolutnego i pewnego.

Student (24 lata)

*

Nie spotkałem człowieka sprawnego w pełni, jeśli chodzi o głębsze i szersze rozumienie „niepełnosprawności”. Natomiast spotkałem całą masę „mięśniaków i głowaczy”, którzy w „niepełnosprawnym świecie” mogą uchodzić za „championów”.

Odpowiedź anonimowa

*

Nie znam takich.

Polityk (lat 43)

Marcin Skrzypek

Ograniczeni stereotypem (wszyscy jedziemy na tym samym wózku)

Stereotyp, który wpływa na nasze myślenie o niepełnosprawności – i któremu chciałbym poświęcić tu kilka słów – nie dotyczy tylko niepełnosprawnych, ale także, a może nawet przede wszystkim, osób sprawnych. Na obie grupy ludzi jesteśmy skłonni patrzeć przez pryzmat pewnych myślowych przyzwyczajzeń, co pozwala wprawdzie szybciej kojarzyć informacje, ale też czasem skrywa przed nami bardziej skomplikowaną rzeczywistość.

O tym, że istnieją stereotypy dotyczące ludzi niepełnosprawnych można łatwo się przekonać na przykładzie ewolucji, jaka zaszła w społecznym podejściu do ich problemów w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Patrzenie z perspektywy tego okresu jest nieco subiektywne, gdyż pokrywa się on z okresem świadomego i aktywnego życia pokolenia, które właśnie weszło w dorosłe życie, i do którego ja też należę. Istnieje więc niebezpieczeństwo, że wspomniana ewolucja zachodziła nie tyle w całym społeczeństwie, ile głównie w świadomości mojej i moich rówieśników w miarę, jak dojrzewaliśmy i naturalnie poznawaliśmy coraz to nowe sfery życia.

Okres ostatnich kilkunastu lat był jednak pod wieloma względami wyjątkowy dla naszego kraju, i to dlatego można mówić o wyjątkowości wszystkiego, co w nim zaszło. Obfitował on w wiele bardzo ważnych przemian politycznych, ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, na które wcześniej nie było miejsca, i bez których ewolucja w naszym myśleniu o ludziach niepełnosprawnych raczej by nie zaszła.

Analizując ją pod kątem przeciwstawiania się stereotypom można powiedzieć, iż pierwszy jej etap polegał na przypomnieniu społeczeństwu, że niepełnosprawni „w ogóle” istnieją. Oczywiście nie było tajemnicą, że niektóre osoby są inwalidami, że dostają rentę, ale był to ich własny problem, a czasami nawet przedmiot zazdrości otoczenia, ponieważ renciści mogli stać po mięso w osobnych, krótszych kolejkach. Cóż, takie to były czasy. Wiem też z autopsji, że uczniowie lubelskich szkół doskonale orientowali się, iż w szkole nr 26 uczą się „nienormalni”. Jeżeli ktoś chciał swojego kolegę z klasy mocno, acz kulturalnie i rzeczowo obrazić, mówił mu, że powinien „iść do dwudziestej szóstej” (ciekawe, jak jest teraz?).

Tak więc społeczeństwo było świadome, że niepełnosprawni „są wśród nas”. Chodziło jednak o to, aby wiedza ta była mniej „pasywna”, aby mogła mieć implikacje praktyczne, które nie ograniczałyby się wyłącznie do przyznawania renty, czy izolowania niepełnosprawnych w specjalnych ośrodkach rehabilitacyjnych.

Konsekwencje przewycięzania stereotypu „nieistnienia” ludzi niepełnosprawnych w społeczeństwie można zauważyć dzisiaj na każdym kroku. Większość instytucji publicznych ma przy wejściu osobny podjazd dla ludzi na wózkach, czasem też osobne, specjalnie przystosowane windy i ubikacje. Podobnie jest z nowymi autobusami, do których, przynajmniej w Lublinie, można wejść prawie z poziomu gruntu. Jakiś czas temu głośna była akcja „walka z trzema schodami”, której celem było robienie wjazdów wszędzie tam, gdzie istniały przysłowiowe „trzy schody”, czy wyższy krawężnik – coś niezauważalnego dla zdrowego człowieka, a przeszkoda nie do przebycia dla inwalidy. Podobnie zauważono też potrzeby ludzi gorzej widzących, zaopatrując bloki na niektórych osiedlach w duże, wyraźne numery. Wszystkie te usprawnienia pokazują, że wreszcie dostrzeżono niepełnosprawność jako problem nie tylko ludzi niepełnosprawnych.

Zmiany te, jakkolwiek niezbędne i pomocne, mają swój skutek uboczny w postaci formowania się nowego stereotypu. Jest nim wizerunek niepełnosprawnego, jako człowieka, którego istnienie objawia się dla reszty społeczeństwa głównie poprzez trudności ruchowe, jakie napotyka on żyjąc wśród „pełnosprawnej” większości. Wynikła stąd potrzeba pokazania, że oprócz niepełnosprawności ruchowej jest jeszcze wiele innych jej rodzajów, i że ludzie nimi dotknięci mają bardzo różne potrzeby. Przede wszystkim mają oni też coś do powiedzenia, mogą i chcą uczestniczyć aktywnie w życiu.

Efekty tak pojmowanej edukacji „pełnosprawnej” części społeczeństwa widać wokół nas. Powstają świetnie wyposażone ośrodki rehabilitacyjne i domy opieki społecznej. Działają bardzo wiele małych organizacji pozarządowych (stowarzyszeń, fundacji, grup samopomocowych itp.), które pomagają ludziom dotkniętym najrozmaitszymi chorobami i upośledzeniami. Na ulicach sprzedaje się pocztówki z kolorowymi obrazkami wykonanymi przez dzieci z porażeniem mózgowym, a na reklamach ulicznych pojawiają się plakaty poświęcone autyzmowi. Wszystko po to, aby ludzie niepełnosprawni nie jawili się jako anonimowi nieszczęśliwcy odizolowanymi od reszty społeczeństwa swoimi dziwnymi przypadłościami o niepokojących nazwach, które najchętniej chciałoby się zapomnieć zaraz po ich usłyszeniu.

Przykładem najbardziej spektakularnych prób przełamywania stereotypu niepełnosprawnego jako „kaleki” jest zastępowanie określenia „niepełnosprawni” przez „sprawni inaczej” – próba zwrócenia uwagi, że niepełnosprawni „także potrafią”, i to potrafią czasem więcej niż pełnosprawni. Niestety, kariera tego sformułowania była krótka, gdyż bardzo szybko na polityczną poprawność zaczęto w Polsce patrzeć z ironią i praktycznie każde sformułowanie z przysłówkiem „inaczej” otrzymywało znaczenie przeciwne do zamierzonego. Stąd „sprawni inaczej” – poprzez konotacje z „mądry inaczej” czyli „głupi” – może się dziś kojarzyć właśnie z „kaleką”.

Innym jeszcze znanym przykładem ukazywania niepełnosprawnych jako wrażliwych, aktywnych ludzi jest promowanie obrazów malowanych przez nich nogami. Niektóre z tak powstałych obrazów są naprawdę ładne. Podkreśla się przy tym, że zupełnie nie różnią się one od tych malowanych rękami. Choć sama akcja jest godna pochwały, moim zdaniem ma ona w sobie za dużo z pokazów cyrkowych. Za duży nacisk stawia się na sprawność nóg, które potrafią malować równie precyzyjnie jak ręce.

Obraz nie musi być namalowany dokładnie, aby był piękny – aby wyrażał malarza i działał na oglądającego. Większość malowanych dzisiaj obrazów zrywa z realizmem,

rozmazuje kreskę i plamy barwne, ucieka w niedopowiedzenie, abstrakcję. Dlaczego malarze „nożni” nie malują w ten sposób? Czyżby mieli kompleksy, mimo tego, że starają się pokazać, iż ich nie mają? Pewnie, że powinno się popularyzować sztukę tworzoną przez niepełnosprawnych i to nie koniecznie na równych prawach ze sztuką ludzi pełnosprawnych, ale odbierana jest ona przez pryzmat stereotypu niepełnosprawności, jako ciekawostka.

Dowodem na to może być fakt, że malujący nogami mają swoją własną organizację międzynarodową, która precyzyjnie określa reguły tego rodzaju twórczości. Nie mogła na przykład wstąpić do niej osoba trzymająca pędzel między brodą a ramieniem. Czy takie podejście nie przypomina ochrony reguł dyscypliny sportowej lub właśnie sztuki cyrkowej? Czy od względów formalnych nie jest ważniejszy fakt, że ktoś na przekór wielkim trudnościom szuka środków wyrazu dla swojej wrażliwości i zamiast popadać w zgorzknienie czy depresję maluje? Są to oczywiście pytania czysto retoryczne.

Powyższa analiza metod integracji niepełnosprawnych z resztą społeczeństwa nie jest ich krytyką. Metody te są jak najbardziej potrzebne, ale nie wystarczające, o czym może świadczyć los osób z lekkim upośledzeniem umysłowym, które w specjalnych ośrodkach zdobywają wykształcenie zawodowe. Kursom tym towarzyszą zwykle osobne programy rehabilitacji psychicznej i społecznej. Dzięki nim ludzie ci otwierają się na siebie i na innych, na świat, który ich otacza. Powrót do „normalnego” życia jednak często kończy się bolesnym rozczarowaniem, ponieważ otwarty, „zresocjalizowany” niepełnosprawny trafia z powrotem do zamkniętego, „nie zresocjalizowanego” otoczenia. W nim zmiany zaszły – w ludziach z jego otoczenia nie. Według mnie nie da się rozwiązać problemu izolacji niepełnosprawnych koncentrując się głównie na nich. Jak więc spowodować, aby otrzymali oni to, czego – jak wszyscy zresztą – potrzebują najbardziej: kontaktu z innymi ludźmi, na zasadach wzajemnej życzliwości i akceptacji?

Myszę, że pomysłem wartym wypróbowania jest swego rodzaju eksperyment, polegający na redefinicji pojęcia niepełnosprawności. W swoim podstawowym, najbardziej narzucającym się znaczeniu jest ono zarezerwowane dla ludzi dotkniętych najbardziej przynębiającymi i dokuczliwymi odmianami niepełnosprawności – np. brakiem kończyn czy upośledzeniem umysłowym. Tak naprawdę jednak jest o wiele więcej przypadłości (chorób, braków, nałogów), które czynią nas „nie w pełni sprawnymi”. Wśród nich jest np. dysleksja, nerwica czy alkoholizm.

Intuicyjnie wiele ludzi zdaje sobie sprawę, że w dosłownym tego słowa znaczeniu są to niepełnosprawności – ale rzadko myśli się o dyslektykach czy nerwicowcach jako o ludziach rzeczywiście niepełnosprawnych. Myszę, że oni sami woleliby w ten sposób o sobie nie myśleć. Różnica pomiędzy uznawaniem takich przypadłości jako „w pewnym sensie niepełnosprawności” a zaakceptowaniem ich jako „niepełnosprawności prawdziwych” jest więc dość subtelna. Można ją jednak zauważyć w owej niechęci do uznania siebie jako osoby niepełnosprawnej.

Sądzę, że właśnie tutaj ujawnia się ów najbardziej ukryty stereotyp niepełnosprawności jako czegoś zdecydowanie negatywnego – czegoś, co nie jest tylko cechą naszego ciała lub psychiki, ale dotyka i upośledza nas duchowo, sprawiając, że jako niepełnosprawni możemy czuć się „gorsi”, „niżsi”. Piszę cały czas o odczuciach ludzi tzw. „pełnosprawnych”, do których się zaliczam, a rozważania te opieram głównie na własnej auto-

obserwacji, odwołując się jednocześnie do autoobserwacji i autorefleksji Czytelnika. Nie podjąłbym się raczej obrony tych opinii na gruncie racjonalno-intelektualnym, chodzi bowiem o myślenie stereotypowe, leżące ledwie na horyzoncie naszej świadomości.

Zakres znaczenia niepełnosprawności rozszerzyłbym jeszcze bardziej. Sądząc po sobie i po ludziach, których spotykam, uważam, że do kręgu niepełnosprawności należałoby zaliczyć np. migrenę, okresy wzmożonej aktywności hormonalnej związane z wiekiem lub płcią, nerwice, nieśmiałość, a także niektóre cechy charakteru. Dość pocuzające byłoby też zastanowienie się w kontekście upośledzeń nad „niepełnosprawnością obywatelską” czy nieprzystosowaniem społecznym. Wiem, że w pierwszym odruchu Czytelnik może uznać te pomysły za absurdalne – bo nie można porównywać braku nogi z trudnościami w nauce, a ślepoty z bólem głowy – bo nie powinno się rozczulać nad zdrowymi, bądź co bądź ludźmi, którzy mogą pracować i normalnie funkcjonować.

To prawda. Przede wszystkim, aby proponowany przeze mnie semantyczny eksperyment się powiódł, nie można myśleć o niepełnosprawnościach w kategoriach licytacji, kto jest bardziej niepełnosprawny i bardziej nieszczęśliwy. Z drugiej zaś strony należy się strzec swego rodzaju hipochondrii, która polega na doszukiwaniu się w sobie różnych egzotycznych przypadłości. Ta hipochondria jest niewątpliwie cechą współczesnych społeczeństw, z czego czerpią korzyści firmy farmaceutyczne i psychoanalizy. Kiedy jednak uznamy już niepełnosprawność za cechę uniwersalną, może okazać się, że w naszym postrzeganiu świata i ludzi zajdą dwie ciekawe zmiany.

Po pierwsze może okazać się, że w swoim współczuciu i zrozumieniu przeoczailiśmy dotychczas bardzo wiele żyjących obok nas, w zasięgi ręki, osób. Na przykład ludzi starych, których umysł ma zmniejszoną wydolność umysłu, którzy mają trudności z poruszaniem się, których męczy choroba Parkinsona, a odcina od nas choroba Alzheimera. Są to jak najbardziej ludzie niepełnosprawni, nie mniej niż inwalidzi czy autycy, a może nawet czasem bardziej przygnębieni, ponieważ czują, że świat ich wyprzedza, że odchodzą. Być może też zauważymy koleżankę lub kolegę, którzy mają kompleksy i spróbujemy im pomóc – w nauce, w zaaklimatyzowaniu się w nowych warunkach, w pokonaniu strachu.

A skoro zaczniemy pomagać innym, to zaczniemy również pomagać sobie. Możemy wtedy także do własnych słabości podejść z większą wiedzą i motywacją do ich przezwyciężenia. Coś, co dotychczas postrzegaliśmy jako naszą immanentną cechę, którą wszyscy muszą tolerować, może nagle stać się wyzwaniem, które nas zmobilizuje tak, jak mobilizuje niepełnosprawnych malarzy. Możemy na naszą słabość spojrzeć jako na ograniczenie, które trzeba z ludzką godnością i ludzką siłą „zmóc”.

Drugą konsekwencją uniwersalizacji niepełnosprawności będzie nieoczekiwane odkrycie, że tak naprawdę każdy z nas jest w jakiś sposób niepełnosprawny lub będzie takim w przyszłości. Warte podkreślenia są tu słowa „naprawdę”. Nie ma więc w rzeczywistości osobnych grup „pełnosprawni” czy „niepełnosprawni” i kategoria tego podziału znika, jest bezużyteczna. Są tylko ludzie bardziej lub mniej w danym momencie dotknięci dysfunkcją niektórych możliwości. Jeżeli więc chodzi o pomoc takim ludziom i o ich integrację z „resztą” społeczeństwa to wszyscy jedziemy – jeżeli tak można powiedzieć – na tym samym wózku.

W ten sposób pokonujemy irracjonalną barierę podziału na „sprawnych” i „niesprawnych”, która zawsze będzie wytwarzała stereotypy. Bariera ta wytwarza nieświadomy najczęściej sposób myślenia w kategoriach MY-ONI. Odnosi się to w równym stopniu do obu grup. Najlepszym sposobem znoszenia tej bariery jest wzajemne poznanie, a także poznanie swoich własnych możliwości i ograniczeń. Dotychczas, tak pojęty proces integracji odbywał się tylko w jednym kierunku – poprzez dowartościowywanie osób niepełnosprawnych – ale istnieje chyba potrzeba spojrzenia na ten problem z przeciwnej strony, pokazując, że „pełnosprawni” także są pełni ograniczeń.

Jeżeli działania takie by się powiodły, okazałoby się, że pod względem „sprawności” czy „niesprawności” nie ma „nas” lub „ich” – jesteśmy tylko MY, tacy sami ludzie obdarczeni w życiu różnymi cechami, które potrafią ułatwiać lub utrudniać życie, ale nie są dla nas, ludzi, najważniejsze.

fot. M. Gajko



Mój chłopak na wózku (ankieta klasowa)

Na szkolnym korytarzu siedzi grupka trzecioklasistów. Kilka dziewczyn, kilku chłopaków. Dwójka z nich to z pewnością para. Dziewczyna przytulona siedzi na kolanach chłopaka. Pomyślicie – nic dziwnego, takie obrazki coraz częściej widuje się na korytarzach naszych szkół – a jednak ten przyciąga naszą uwagę. Spytacie, dlaczego? Chłopak, przystojny, uśmiechnięty siedzi na wózku. Ma na imię Paweł, jest uczniem jednego z lepszych lubelskich liceów. Za rok zdaje maturę. Chce być nauczycielem. Jego dziewczyna ma na imię Kaśka. Są razem ponad pół roku. Paweł jest naprawdę szczęśliwy – ma ładną dziewczynę, dobre stopnie, jest lubiany w szkole. Ale nie zawsze tak było. Gdy trzy lata temu pojawił się na rozpoczęciu roku szkolnego, klasa do jakiej trafił okazała się daleka od jego oczekiwań. Przez cały pierwszy semestr musiał znosić docinki i żarty na swój temat. Owszem miał dziewczynę, ale „chodził” z nią niespełna trzy tygodnie. Gdy zrywali powiedziała, że założyła się z koleżankami, że uda się jej sprawdzić, jak to jest mieć chłopaka na wózku. Niedługo potem Paweł przeniósł się do innej szkoły. Jest w niej już ponad dwa lata. Mówi, że nie wini dawnej klasy o to, jak był przez nią traktowany, ale myśli, że jest po prostu niedojrzała. Słuchając jego opowiadania pomyślałam, że ludzie nie są chyba tacy źli i okrutni. Z pewnością nie wszyscy tak myślą i robią. Z ciekawości postanowiłam porozmawiać z uczniami mojej szkoły. Zadawałam pytania typu: – Czy gdyby chłopak/dziewczyna na wózku poprosił/a cię o „chodzenie” zgodził/a byś się? Odpowiedzi jakie usłyszałam można podzielić na dwie grupy. Większość osób z jakimi rozmawiałam stwierdziła, że po pierwsze baliby się odpowiedzialności jaką by ich obarczono, a po drugie, nie chcieliby spędzać całego wolnego czasu ciężko pracując przy takim chłopaku czy dziewczynie. Jest to sensowna i szczerą odpowiedź, i rozumiem tych, którzy tak odpowiedzieli na zadane im przeze mnie pytanie. Nie rozumiem jednak tego, że tak jak to ujęło kilka z nich – po prostu wstydziłoby się gdziekolwiek pokazać z osobą na wózku, zwłaszcza na tak ostatnio modnych imprezach techno. Czyżby młodzi ludzie tak bardzo liczyli na poparcie swojej paczki, czy klasy? Co zaskakujące, to nie chłopaki, którzy z reguły „leczą” na wygody tak mówili, lecz właśnie dziewczyny. Kilka razy usłyszałam, że gdyby Tom Cruise czy Van Dame jeździli na wózku, to z pewnością bez wahania przystałyby na ich propozycję. Zabawną, lecz i smutną odpowiedź usłyszałam od koleżanki z klasy. Stwierdziła, że nie widziałaby jak z takim chłopakiem chodzić na spacer. Ale przecież ludzie na wózkach to nie zielone ludziki z Marsa, o których nie wiadomo, gdzie mają ręce, a gdzie nogi. Po nieźle „dojującym” fragmencie

czas na coś pocrzepiającego. Na czterdzieści osób z jakimi rozmawiałam, aż dziesięć odpowiedziało, że wózek czy inna forma kalectwa fizycznego nie stanowiłaby jakiegś ogromnej bariery dla ich związku. A podstawową rzeczą jaka by się dla nich liczyła byłaby prawdziwa miłość, a nie czy ktoś chodzi czy nie.

Kiedyś ktoś nas pyta czy jesteśmy tolerancyjni, odpowiadamy – tak. Ale czy na pewno, czy nie robimy tego dla świętego spokoju? Często nie zastanawiamy się nad tym. Jesteśmy ludźmi XXI wieku – wieku pokoju i równości dla wszystkich. Jak moglibyśmy odpowiedzieć – nie? Co ludzie pomyśleliby o nas – że jesteśmy, co najmniej, zacofani. Kolejny raz potwierdza się to, że bardziej liczy się dla nas co powiedzą o nas sąsiedzi czy przyjaciele, oraz to jak chcemy by nas widzieli, niż to jacy jesteśmy.

Dlatego, gdy ktoś kiedyś zada nam trudne pytanie, zastanówmy się nad nim chwilę, a później nie bójmy się odpowiedzieć na nie zgodnie z własnym przekonaniem, nie bojąc się pokazać nasze prawdziwe oblicze.

Rys. Marcin Kotarski, lat 20



**Anna Woźniak
Piotr Kot**

Kiedy maluje słońce, to ma się wrażenie, że ono świeci...

Pierwsze słowa Marek wypowiedział w wieku 15 lat. Potem zaraz zmarł Marek tato, mama musiała częściowo zrezygnować z pracy, by móc opiekować się synem. Sam nie dałby sobie rady, zresztą mógłby odkręcić gaz, albo wyjść gdzieś poza dom i nie wrócić. Teraz, od kilku lat mieszka z nimi też babcia Marka i szary kot, przygarnięty na wakacyjnym obozie. Dawniej, prawie całą noc w pokoju Marka paliło się światło. Zresztą czasem zdarza się to i teraz. Kiedy Marek nie może spać, denerwuje się, wtedy wciąż chodzi po mieszkaniu, czasem krzyczy. Po tych minionych, najtrudniejszych latach pani Halina wspomina te chwile z ogromną zadumą, płacze. Ale to już przeszłość – dodaje pani Halina – a ostatnio jest też coraz lepiej: Marek chodzi z mamą na zakupy, pomaga nieść ciężkie torby, otwiera drzwi mamie, nawet zaczął zmywać naczynia. – Wiem, że robi to mało dokładnie, ale dumna jestem z tego, że potrafi to robić, a nawet czyni to z przyjemnością – dodaje mama, spoglądając na syna z czułością.

Dla niej samej, jak mówi – Marek chory jest od zawsze. Kiedy był małym chłopcem nie wiedziała, że jest chory na autyzm, zresztą sami lekarze nie potrafili określić na jaką chorobę jest chory. W pierwszych latach życia rozwijał się tak, jak inne dzieci, dopiero później, kiedy opóźniło się to pierwsze „mama”, pani Halina zaczęła biegać od lekarza do lekarza. Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki choroby, lekarze okazali się bezradni, żaden z nich nie wiedział, co tak naprawdę jest małemu Mareczkowi. Niektórzy wskazywali na autyzm, ale nie wiedzieli jak można go leczyć, jeszcze inni przepisywali leki psychotropowe. Matka Marka na własną rękę zaczęła szukać czegoś, co pomogłoby zrozumieć chorobę jej syna, i co najważniejsze wyleczyć go z niej. Kilkanaście lat temu trudno było o jakąkolwiek fachową prasę traktującą o autyzmie, nie mówiąc już o prasie w języku polskim. Nie było książek, w telewizji nie zajmowano się problemami osób chorych i niepełnosprawnych, a co dopiero mówić chorymi na autyzm. – Postanowiłam więc szukać informacji w prasie zagranicznej, najwięcej wyczytałam w prasie niemieckiej – stwierdza pani Halina – dopiero wtedy, te moje żmudne poszukiwania pozwoliły mi zrozumieć, na czym tak na prawdę polega autyzm. Oczywiście Marek w tym czasie musiał łykać psychotropy, skutkiem czego dwukrotnie chorował na chorobę Parkinsona.

Kilka lat temu Marek pojechał z mamą na basen. Bardzo lubił przyglądać się innym dzieciom, jak bawią się w wodzie, naśladował ich, próbował ruszać rękami i nogami, tak jak inni ludzie. Tak nauczył się pływać na desce. Chociaż początki nie były najłatwiej-

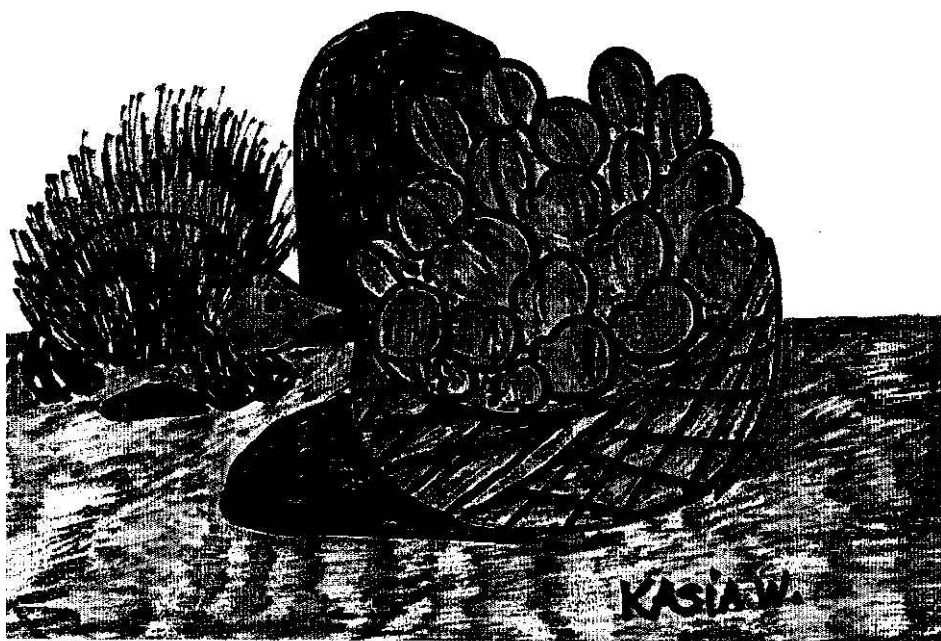
sze, Marek zaczął chodzić do szkoły, ale nie czuł się tam dobrze, poza tym nauczycielki twierdziły, że nie nadaje się, aby uczyć się i bawić w grupie. Pani Halina chodziła i prosiła, aby ktoś zajął się jej dzieckiem. Często słyszała, że Marka nie można już niczego nauczyć i trzeba pogodzić się z jego stanem, albo że dzieci się go boją. – To dziwne, bo sama jestem nauczycielką i często zabierałam i zabieram Marka na klasowe spotkania, choinki, spotkania opłatkowe, nie widziałam, żeby tam ktoś się go bał, wręcz przeciwnie, wszyscy dobrze się z nim bawią, a on sam ma nawet swoją sympatię – stwierdza z łzami w oczach mama Marka.

Kiedyś, gdy przyszła po Marka do szkoły (to był jeden z ostatnich dni zimy, padał deszcz i było przenikliwie zimno) weszła na szkolny dziedziniec i zobaczyła, że jej syn zmoknięty, pozostawiony samemu sobie grzebie w piachu przed szkołą. Od tamtego dnia postanowiła na własną rękę kształcić syna. Teraz przychodzą do niego do domu dwie nauczycielki, jedna uczy Marka pisać i czytać, druga uczy go grać na syntetyzatorze. Denerwuje się wtedy, kiedy przychodzi czas codziennych lekcji, a pani Danusi jeszcze nie ma. – Ja sama uczę go religii- dodaje mama. Marek pisze piórem w zeszytcie A-4, pisze wyraźnie i spokojnie. Czyta wolno i bardzo dokładnie. Sam mówi, że lubi się uczyć. Jego pokój jest wypełniony książkami i szkolnymi pomocami. Na szafce nad biurkiem stoją segregatory- język polski, przyroda, matematyka, religia. Pod spodem globus i pojemnik z ołówkami, na przeciwnej ścianie przyklejona mapa Polski. Wszystko pięknie poukładane, a zeszyty pękają w szwach od powklejanych nad tekstem ilustracji. Najładniejsze rysunki są u Marka w zeszytcie do nauki religii. Marek wkleja zdjęcia, podkreśla szlaczkiem trudniejsze wyrazy, rysuje. To nie są zwyczajne rysunki – kiedy maluje słońce to ma się wrażenie, że ono świeci. Zwierzęta są jak żywe, a morze szumi. Marek używa wszystkich kolorów, maluje spokojnie, tak jakby zapominał o całym otaczającym go świecie. Zapewne zdolności plastyczne ma po swojej mamie, która z wykształcenia jest plastyczką. Poza tym Marek lubi grać na syntetyzatorze razem ze swoją nauczycielką panią Danusią. Sam doskonale wie, kiedy odbędzie się lekcja muzyki, i sam zasiada przed instrumentem wyczekując pani. Kiedy nie ma jej w domu, jakby mgła unosi się w powietrzu cicha muzyka Chopina. Marek uspokaja się przy niej, tych kilka dźwięków i powtarzający się rytm sprawiają, że czuje się bezpiecznie. Dzisiejsza lekcja zaczyna się od ćwiczenia gam: do, re, mi... Marek zaczyna śpiewać. Jego dłonie szybko biegają po klawiaturze instrumentu, przed sobą ma rozłożony zeszyt z nutami. Zaczyna śpiewać swoje ulubione piosenki: „Zuzanna”, „Marina”, „Jeszcze Polska nie zginęła”. Po świętach Marka z mamą zaprosiły na spotkanie opłatkowe jej szkolni wychowankowie. Śpiewano kolędy, dzielono się opłatkiem, Marek zagrał zebranych swoje ulubione piosenki, oklaskom nie było końca. Marek nie pierwszy już raz uczestniczył w takim spotkaniu. Bywał już na obozach, gdzie razem z innymi dziećmi spędzał letni wypoczynek, chodził z mamą do cyrku, do teatru. – Zabieram Marka wszędzie, gdzie dziecko może zaznać chociaż odrobinę radości. Byliśmy w Sali Kongresowej na koncercie zespołu Mazowsze, chodzimy do kina, odważyłam się nawet pójść z Markiem na koncert fortepianowy. Kto powiedział, że osoby chore nie mają prawa do uczestniczenia w imprezach dla wszystkich, i dlatego mam zostawiać dziecko w domu – mówi oburzona mama Marka. – Zabrałam Marka na koncert, bo syn uwielbia muzykę – dodaje po chwili. Marek nie może nacieszyć się każdym wyjściem z domu. Mama Marka czyta z synem książki, rachuje

i uczy go religii. Dzięki niej Marek jest w stanie napisać prawie każde słowo, od niedawna pisze też na maszynie. Wszystko to sprawia mu ogromną radość, a mamie Marka satysfakcję, że jej syn może uczyć się wszystkich przedmiotów takich jak w szkole. Dużo opowiada o Marku, jego osiągnięciach, o swoich problemach i braku pieniędzy, bo za lekcje trzeba płacić. Chciałaby, żeby Marek mógł uczyć się i innych rzeczy, ale z jej nauczycielskiej pensji, niestety, nie starcza na wszystko. Mówi o tym wszystkim nie po to, aby się użalać nad swoim losem, ale by pokazać innym ludziom z podobnymi problemami, że nie można zamykać się z chorymi dziećmi w czterech ścianach. Nie można kryć ich przed światem, nie dając im szansy na normalne życie. Jak sama twierdzi – dziecko autystyczne trzeba kochać normalną miłością, nie, że on czegoś nie zrobi, a ja go wyręczone, nie, on musi sam wszystkiego się nauczyć, bo kto mu pomoże kiedy mnie nie będzie... . Mama Marka wie, że Marek nie jest taki jak inni jego rówieśnicy, wie też, że każda spędzona z nim chwila i trudy nauki sprawiają, że syn jest szczęśliwszy, i co bardzo ważne, chociaż bardzo powoli, to jest coraz samodzielniejszy. Marek, mimo, że jego zachowania wydają się czasem gwałtowne i pełne niepokoju, to swoją wdzięczność okazuje tak samo jak inne dzieci – z jedną różnicą – częściej całuje mamę w policzek.



Rys. Katarzyna Wojniak, lat 22



Jak sobie radzić?

Jak żyć z zanikiem mięśni?

Choroby mięśni są schorzeniami przewlekłymi. Ich przebieg jest rozciągnięty na wiele lat, a nawet na całe życie. Powodują one trwałe uszczerbek na zdrowiu który z czasem się powiększa. Człowiek z postępującym zanikiem mięśni powoli traci sprawność fizyczną. Są to w początkowym stadium choroby drobne kłopoty w poruszaniu się. Stopniowo powiększają się one, aż dochodzi do znacznego ograniczenia zdolności do chodzenia, a nawet do całkowitej utraty tej funkcji. Powstają tu zasadnicze pytania:

Jak żyć z taką przewlekłą chorobą?

Co robić?

Czego oczekiwać od życia?

Czy w ogóle coś robić, czy też biernie poddać się losowi?

Czy pogodzić się z chorobą, czy też za wszelką cenę szukać możliwości uzdrowienia?

Na te tematy upowszechniły się trudne do przyjęcia stereotypy. Świadczą o tym wypowiedzi, jakie często można na ten temat usłyszeć. Zdarzyło mi się słyszeć takie oto opinie: „jemu należy się tylko pomoc i opieka, reszta jest mało ważna”, „on jest przewlekle i nieuleczalnie chory, nie ma dla niego żadnych szans na przyszłość”, „taka osoba powinna umieć zrezygnować z wielu rzeczy”, „co tam taki może robić – najwyżej coś tam dla pozorów”, „jego to nawet nie warto leczyć!”.

Czy można się zgodzić z takimi wypowiedziami? Moim zdaniem nie można. Świadczą one bowiem o całkowitym braku zrozumienia człowieka dotkniętego chorobą i jego lekceważeniu. Czy rzeczywiście ktoś z przewlekłym schorzeniem powinien się martwić tylko o to, aby mieć zapewnione niezbędne minimum pomocy i opieki wystarczające do trwania z dnia na dzień? Czy rzeczywiście taki człowiek powinien egzystować gdzieś w izolacji od świata i być zadowolony, że swoim istnieniem nie sprawia nikomu kłopotów i nikogo nie razi jego widok? Czy tylko takie życie jest mu pisane? Z pewnością nie.

Trudno uznać taką ograniczoną, jałową egzystencję za dobry sposób na życie. Człowiek od życia potrzebuje czegoś więcej. Każdemu potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa, ważna jest też potrzeba akceptacji, uznania. Życie też powinno mieć jakiś sens, cel, do którego się dąży. Człowiek potrzebuje też uczuć, odrobiny ciepła, serdeczności, miłości.

Moim zdaniem, żadne schorzenie, nawet przewlekle, które powoduje trwałą utratę niektórych funkcji organizmu, nie umniejsza w niczym człowieczeństwa. Każdy człowiek, bez względu na stan funkcjonowania organizmu, ma takie same prawa do życia, do szczęścia, do radości czy miłości, do wyboru własnej drogi życiowej. Nikomu nie

powinno się tych praw odmawiać ani w jakimkolwiek stopniu ograniczać. Wprawdzie przewlekła choroba może w znacznym stopniu utrudniać możliwości korzystania z różnych praw ale to nie znaczy wcale, że trzeba je ograniczać. Wprost przeciwnie – powinno się je chronić. Właśnie ludzie poszkodowani przez przewlekłe schorzenia powinni być obdarzani szczególnie troską, a ich prawa być pod ochroną. Przecież tacy ludzie mają pełne prawo do układania sobie życia według własnych wyobrażeń, możliwości i umiejętności. Nikt nie powinien za nich decydować, co powinni robić a czego nie. Powinno się w większym niż dotąd stopniu brać pod uwagę opinie tych ludzi, ich potrzeby, nadzieje i obawy, życzenia i oczekiwania. Każdy dorosły człowiek odpowiada sam za siebie, nawet jeśli ma zanik mięśni albo inne przewlekłe schorzenia.

Pozostaje tylko pytanie: **jak żyć z przewlekłą chorobą, która czyni duże spustoszenia w organizmie?** Uważam, że najlepiej taką chorobę, jak zanik mięśni i wynikię z niej niedogodności traktować podobnie jak inne życiowe trudności. Takie stanowisko może umożliwić czuć się osobie z zanikiem mięśni w miarę normalnie, jak każdy inny człowiek. Przecież każdy ma w swoim życiu jakieś kłopoty, trudności, z którymi musi się zmagać. Czy ludzie z przewlekłymi schorzeniami mięśniowymi mają więcej trudności niż inni? To wcale nie jest takie oczywiste. Z pewnością te trudności są bardzo specyficzne. Ale można z nimi żyć i być szczęśliwym. To jest możliwe! Moim zdaniem, trzeba tylko pogodzić się z chorobą.

W żadnym przypadku nie powinno się koncentrować tylko i wyłącznie na chorobie, na własnych dolegliwościach. Życie ma wielorakie oblicza i trudno koncentrować się tylko na jednym jego wycinku związanym z chorobą i wynikłą z niej słabością. Oczywiście, trzeba dbać o leczenie i rehabilitację ale na tym nie poprzestawać. Nawet taka choroba, jak postępujący zanik mięśni, nie powinna być usprawiedliwieniem dla odłożenia na później bądź też w ogóle rezygnacji ze szkolnej nauki, studiów, podjęcia pracy, przygotowania do życia w małżeństwie czy też podjęcia jakiegokolwiek działalności gospodarczej, społecznej, artystycznej, literackiej albo naukowej. Nie powinno poddawać się rezygnacji.

Nie można z góry skazywać człowieka na niepowodzenie tylko dlatego, że ktoś uzna daną rzecz za nierealną. Raczej powinno się starać umożliwiać ludziom z trwałym kalectwem różnorodne formy aktywności. Osoby z zanikiem mięśni są zwykle obdarzone wysoką inteligencją. Chociaż potrzebują pomocy w wielu codziennych czynnościach, to jednak są obdarzone nieraz niepospolitymi, wybitnymi zdolnościami. Wśród ludzi z przewlekłymi schorzeniami mięśniowymi można spotkać zarówno artystów, malarzy czy grafików, literatów, jak i naukowców. Jest wiele możliwości do wyboru. Można mieć różnorodne zainteresowania, czytać książki, zająć się grami komputerowymi, szydełkować czy też robić na drutach, robić cokolwiek, aby tylko nie siedzieć beczynnie.

Jakakolwiek forma aktywności jest lepsza od beczynności. Aktywność to jest też forma rehabilitacji. Aktywność mobilizuje organizm, pobudza krążenie, reguluje oddech, zmusza do pewnego wysiłku. A jeśli uda się zrobić coś ciekawego – daje wiele radości. Jest to niezbędne do opóźnienia przebiegu choroby, do zachowania resztek sprawności, do dobrego samopoczucia. Natomiast beczynność jest najgorszym wrogiem w przewlekłej chorobie. Sprawia, że nawet mięśnie, które nie zostały dotknięte chorobą – zanikają.

Człowiek szybko traci całkowicie sprawność fizyczną, staje się niezdolny do najmniejszego nawet wysiłku. Robi się drażliwy, nerwowy i niecierpliwy. W końcu staje się uciążliwy dla otoczenia. W ten oto sposób unieszczęśliwia siebie i swoich bliskich. Zatem nie jest to dobry sposób na życie.

Warto podjąć pewien wysiłek, aby znaleźć dla siebie coś odpowiedniego, coś czym można się zająć, aby zyskać z tego odrobinę satysfakcji. Życie powinno być wypełnione różnymi formami aktywności. Trudno polecić tu jakieś ogólne sposoby dla wszystkich. Każdy powinien poszukiwać własnej drogi odpowiedniej do swojej sytuacji. Można tylko stwierdzić, że trzeba się starać coś dać z siebie tak, aby to życie miało pewien sens, cel, z którego można czerpać radość i siły do dźwigania własnego losu, aby było się przy tym akceptowanym i lubianym przez otoczenie, i to pomimo przewlekłej choroby.



Dysleksja – problem 10% społeczeństwa

– rozmowa z Anną Moraw

Anna Moraw – pedagog, Dyrektor Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 5 w Lublinie

Piotr Wawrzeński: *Co to jest dysleksja?*

Anna Moraw: Dysleksja to specyficzne trudności w czytaniu i pisaniu u dzieci o prawidłowym rozwoju umysłowym, u których współwystępują zaburzenia funkcji percepcyjno-motorycznych zaangażowanych w proces nabywania tych umiejętności. Dziecko nie poddane terapii może w starszym wieku popełniać błędy ortograficzne – dysortografia.

Piotr Wawrzeński: *Jak można przeciwdziałać temu zjawisku?*

Anna Moraw: Pomóc tu mogą tylko i wyłącznie zajęcia terapeutyczne pod kierunkiem specjalisty, w przypadku dzieci z dysleksją ciężka praca zainteresowanego, powtarzanie słów sprawiających trudności.

P.W.: *Jak duża liczba osób cierpi na dysleksję?*

Anna Moraw: Około 10% populacji. Średnio na trzydziestoosobową klasę trzy mają problemy z czytaniem i pisaniem.

P.W.: *A co powinien zrobić np. trzydziestolatek który odkrył u siebie dysleksję i chce się leczyć?*

Anna Moraw: Powinien przełamać wstyd i zgłosić się do psychologa, np. do gabinetu prowadzonego przez Polskie Towarzystwo Dyslektyczne. Tam uzyska diagnozę i wskazówki do pracy.

P.W.: *Czy zły program nauczania obowiązujący w polskiej szkole może być powodem tych dolegliwości?*

Anna Moraw: Jedną z przyczyn jest zbyt szybkie

tempo w nauce pisania i czytania w I i II klasie, małe opatrzenie się z pisownią.

P.W.: *Na czym polega badanie?*

Anna Moraw: Na początku są sprawdzane wiadomości z zakresu zasad ortografii i gramatyki. Analizowana jest pisownia w zeszytach szkolnych. Potem dziecko poddawane jest serii badań pedagogicznych i psychologicznych.

P.W.: *Dokument potwierdzający posiadanie dysleksji może być powodem do ulgowego traktowania w szkole. Czy nie zdarzają się przypadki symulowania dolegliwości?*

Anna Moraw: Dane osoby mogą symulować do czasu zgłoszenia się do poradni. Jesteśmy to w stanie wykryć przez przeprowadzenie odpowiednich badań.

P.W.: *Jakich zawodów nie może wykonywać dyslektyk?*

Anna Moraw: Nie może być np. księgowym, tłumaczem, pilotem. Często nie może podjąć takiej pracy, w której potrzebne jest przestrzenne widzenie, np. kartografa. Może wykazywać trudności w obsłudze komputera. Na pewno nie powinien wykonywać zawodów, w których potrzebna jest dokładność, spostrzegawczość, precyzyjnie odwzorowanie.

P.W.: *W oparciu o jakie publikacje można zmniejszyć trudności, i czy w tym przypadku można wykorzystać multimedia?*

Anna Moraw: Są programy edukacyjne do cwi-

czeń ortograficznych, pojawiają się specjalistyczne programy dla dyslektyków, zawierające np. zestawy ćwiczeń do koordynacji wzrokowo ruchowej. Obecnie na rynku istnieje wiele ćwiczeń ortograficznych. W poradni polecamy ćwiczenia adresowane do dzieci: „Zeszyt ćwiczeń do nauki ortografii” w opracowaniu Zdzisławy Saduś. Jeżeli ktoś chce poszerzyć informacje może sięgnąć do publikacji profesor Marty Bogdanowicz.

P.W.: *Czy dysleksja może być dziedziczna?*

Anna Moraw: Może być dziedziczna w linii męskiej.

P.W.: *Czy w przypadku dysleksji mogą wystąpić problemy z matematyką?*

Anna Moraw: Z matematyką nie, natomiast mogą wystąpić problemy z zapisem, pomyłki typu brak i przesunięcie przecinka, zamiana graficznie podobnych liczb np. 9 z 6. Część dyslektyków może mieć problemy z niektórymi działami geometrii. Generalnie, dyslektycy są uzdolnieni matematycznie. Myślenie logiczne i matematyczne funkcjonuje dobrze.

P.W.: *Czy dyslektykom zalecana jest tzw. książka mówiona, czyli książka nagrana na kasetę?*

Anna Moraw: Polecam dyslektykom słuchanie radia, więc tego typu wydania są korzystne.

P.W.: *Czy dysleksję można tłumaczyć brakiem chęci do nauki?*

Anna Moraw: Dysleksja może powodować obniżenie chęci do nauki, ale to nie jest przyczyna.

P.W.: *Czy dyslektycy są w Polsce dyskryminowani?*

Anna Moraw: W tej chwili już nie, teraz jest więcej wiedzy na ten temat. Na pewno jest to kłopotliwy uczeń dla nauczyciela, ale o dyskryminacji nie można mówić.

P.W.: *Czy na podstawie charakteru pisma można stwierdzić dysleksję?*

Anna Moraw: Charakteru nie, tylko jakości pisma. Charakterem zajmuje się grafolog, który może odczytać cechy osobowości, natomiast analiza jakości pisma jest pierwszą metodą, po którą sięga pedagog.

P.W.: *Czym jest dysgrafia i jaki ma związek z dysleksją?*

Anna Moraw: Dysgrafia to zakłócenie płynności pisma. Idzie w parze z dysleksją ale nie zawsze.

P.W.: *Jak ogólnie można scharakteryzować osoby zgłaszające się do poradni?*

Anna Moraw: Z reguły dzieli się je na dwie grupy. Pierwsza to dzieci z klas I-III, które nie radzą sobie z pisaniem i czytaniem, wtedy diagnoza pomaga dziecku pozbyć się etykiety leniwego. W młodszym wieku dzieci dostają wskazówki do zajęć korekcyjno-kompensacyjnych na terenie poradni lub szkoły. Druga grupa to młodzież, im nie można zaferować terapii pedagogicznej zaadresowanej do młodszych klas. Starszy uczeń może pracować pod kierunkiem specjalisty. Myślę, że pół roku terapii daje efekty.

P.W.: *Kiedy rozpoczęto badania nad dysleksją?*

Anna Moraw: Po raz pierwszy w 1896 roku angielski okulista zbadał czternastoletniego chłopca, który nie umiał pisać.

P.W.: *Kto ze znanych osób był dyslektykiem?*

Anna Moraw: Między innymi: wynalazca żarówki – Thomas Edison, bajkopisarz Hans Christian Andersen, rzeźbiarz – Rodin, brytyjczyk – Winston Churchill, król Norwegii Olaf V i jego córka, obecny król Szwecji Karol Gustaw, Rektor Uniwersytetu Gdańskiego oraz Albert Einstein.

P.W.: Dziękuję za rozmowę.

Opracował:
Piotr Wawrzeński

Krok po kroku*

Grupa teatralna „**Kruszynki**” działa przy Przedszkolu Specjalnym nr 11 w Lublinie. Prowadzą ją pedagodzy z tego przedszkola, m.in. Jagoda Naja, Beata Sprawka i Monika Stryjecka. Dzieci z tego teatru od pięciu lat uczestniczą w corocznych Spotkaniach Artystów Nieprzetartego Szlaku.

Spotkania te, współorganizowane przez Michała Stanowskiego, mają formę przeglądu teatrów integrujących dzieci niepełnosprawne z pełnosprawnymi. Na spotkaniach, oprócz przedstawień, odbywa się konkurs piosenki, konkurs na najciekawszy kostium, na znak Przeglądu, wystawa prac plastycznych dzieci, bal uczestników. Jest to kilkudniowe święto teatru i radości. Biorą w nim udział teatry z całego województwa.

To co robimy można nazwać teatrem, ale nie jest to teatr typowy. W innych ośrodkach prowadzący mają grupę dzieci, spotykają się tylko z nimi w ramach zajęć teatralnych i pracują nad konkretnym przedstawieniem. U nas wygląda to trochę inaczej. My tak naprawdę pracujemy z dziećmi przez cały rok, a dopiero na trzy, cztery miesiące przed spektaklem zajmujemy się tylko nim. Nasz teatr powstaje na zajęciach przez cały rok, a raczej przez wszystkie lata, kiedy dzieci są w przedszkolu.

Nie ma specjalnej grupy. Jeśli robimy pewne ćwiczenia na zajęciach muzyczno-ruchowych, to robią je wszystkie dzieci, a nie wybrana grupa. Często dzieje się tak, że dziecko nie daje sobie rady, bo są to przecież dzieci niepełnosprawne, wtedy nie zmuszamy go do przygotowywania spektaklu. Szukamy innego, takiego, żeby sprawiało mu to przyjemność.

Pomachaj rączką

Pracujemy z małymi dziećmi i w dodatku chorymi. Jest to przedszkole specjalne, więc mamy do czynienia z różnymi schorzeniami. Dlatego wymaga to specjalnego podejścia do dziecka. Starszym dzieciom można wytłumaczyć pewne rzeczy. Tutaj musimy wszystko pokazać, bo nasze dzieci nie znają pojęć i nie wiedzą, co znaczą słowa. One wiedzą, co to jest dom, mama, tata i tyle. Często nie potrafią pokazać, gdzie jest ich ręka, czy noga. My nie możemy nic wytłumaczyć. Raczej pokazujemy same, a dzieci naśladowują. Jest to praca krok po kroku. Jeśli np. dziś miałabym wystąpić z dziećmi trzyletnimi, które są u nas od września, to byłoby „Przywitaj się, machając rączką”. A część z nich nie potrafi tego do tej pory, nie reagując na swoje imię.

* Wypowiedzi Jagody Naji, Beaty Sprawki i Moniki Stryjeckiej na temat teatru dzieci niepełnosprawnych

W poszukiwaniu formy wyrazu

Nasz teatr zaczął działalność 5 lat temu od spektaklu, który prezentowałyśmy podczas Spotkań Artystów Nieprzetartego Szlaku, na zaproszenie Michała Stanowskiego. Pokazałyśmy tam 7 minutowy program, przygotowywany od 3 miesięcy na choinkę w przedszkolu. Wtedy okazało się, że jest to forma ciekawa także dla innych. W roku następnym już myślałyśmy pod kątem spektaklu.

Każde przedstawienie wymyślamy dużo wcześniej. Zawsze jest to forma ruchowo-muzyczna. Bez oparcia o tekst, bo tutaj nie ma tych możliwości. Większość dzieci w ogóle nie mówi. Na zajęciach robimy ćwiczenia, które usprawniają dziecko, uwrażliwiają je na muzykę. Np. reagowanie na tempo muzyki – szybko, wolno, na natężenie – przy cichej muzyce chodzimy na paluszkach, przy głośniejszej, ciężko na stopach. Wydaje się to bardzo proste, ale tutaj jest to żmudna praca trwająca miesiącami. Dopóki nie wypracujemy prostych reakcji u dziecka. I kiedy widzimy, że dzieci same reagują na odpowiedni sygnał muzyczny – chwytają się za rączki, łączą w pary, robią kółeczko itp. wówczas możemy wykorzystać te umiejętności w pracy nad spektaklem. Ze starszymi dziećmi ćwiczymy trudniejsze elementy, np. naśladowanie chodu niektórych zwierząt. Jedno jest pewne, bez systematycznej pracy na co dzień, nie ma mowy o jakimkolwiek spektaklu.

Co roku zmieniamy treść przedstawień, muzykę. Próbuje różnych form, chcemy, żeby to było ciekawe i dla nas, i dla publiczności. Ważny jest sam pomysł. Starannie dobieramy muzykę, dekoracje, szyjemy kostiumy. Chcemy, żeby dzieci wyglądały na scenie jak najładniej. Od pięciu lat, co roku zostajemy wyróżnieni na Przeglądzie, i publiczność pamięta nasze występy. Pamiętają, że Przedszkole Specjalne robi spektakle krótkie, ale ciekawe i pogodne. Trzeba mieć na uwadze, że dzieci są spontaniczne. Miałyśmy taką sytuację, która nas kompletnie zaskoczyła. Robiliśmy 4 minutowy program, w którym dzieci poprzebierane były za smerfy. Wszystkim bardzo się podobało, więc zaczęły klaskać. I Andrzejek, jedno z naszych dzieci, niespodziewanie wyszedł i stanął na głowie – a on stawał na głowie kiedy się cieszył. Publiczność myślała, że to było zaplanowane. Dzieci zaczęły biegać po scenie i było to nieoczekiwane zakończenie naszego programu.

Formę wymyślamy w zależności od możliwości dzieci. Jeśli są to dzieci najmłodsze, to czasem udaje nam się zainscenizować krótką piosenkę. Wcześniej nagrywamy ją, i na tym materiale pracujemy. Jeśli dzieci potrafią więcej, to program jest bardziej skomplikowany. Tak jak w opowieści ruchowej „Ptaki”. Dzieci ilustrowały ruchem i gestami różne nastroje w muzyce. Część była ptaszkami w gnieździe, potem powolutku wstawały, budziły się i wylatywały z tego gniazda. Za chwilę zmieniała się muzyka i kwiatuszki, które do tej pory siedziały skulone, podnosiły się. Pojawiła się tkanina imitująca chmurę, dzieci poruszały nią i to była burza. Za chwilę pojawiło się słońeczko, duża żółta piłka zawieszona na sznurku i bawiły się nią. Więc pojawiły się te ćwiczenia, które robimy na co dzień – reagowanie na zmiany tempa w muzyce, ilustracja gestem.

Integracyjny Klub Animatorów

Dzięki Michałowi Stanowskiemu, który zmobilizował nauczycieli do poważniejszego zajęcia się teatrem, możemy także rozwijać się same i uatrakcyjniac pracę dzieciom. Gdyby nie IKA, to właściwie nie miałybyśmy okazji do przygotowania spektaklu i pokazania go. W przedszkolu zawsze organizowana była zabawa choinkowa i zapraszano go-

ści, ale to jest impreza wewnętrzna. A teatru w pełniejszej formie nigdy prawdopodobnie nie robiłybyśmy. Po każdym przeglądzie chcemy czegoś więcej. Teraz zaczynamy pracować z oświetleniem, bo dostaliśmy reflektory. Wciąż rozwijamy się, szukamy nowych rozwiązań, bo mamy możliwość konfrontacji.

Dla nas, jako nauczycieli jest to także oderwanie od żmudnej, monotonnej codzienności, bo w pewnym momencie praca robi się zwyczajna. Pół roku pracujemy np. nad tym, żeby dziecko machnęło rączką czy usiadło przy stole.

Podczas przeglądu możemy zobaczyć, co robią instruktorzy w innych ośrodkach. Kiedy podpatrzmy coś ciekawego, jakieś ćwiczenia, zabawy, to wykorzystujemy je również na zajęciach dydaktycznych. Stworzono nam – ludziom pracującym z dziećmi niepełnosprawnymi, możliwość poznania się, wymiany doświadczeń. Na warsztatach można porozmawiać ze specjalistami, oni pomagają nam, doradzają. Bo właściwie na co dzień nie mamy okazji spotkać się z ludźmi z innych ośrodków i zobaczyć, jak pracują.

Na scenie

Bardzo ważna jest dla nas próba generalna na scenie, gdzie będziemy grać. Zawsze kilka dni wcześniej prosimy, żeby wpuścili nas z dziećmi na scenę. Bo nawet w pracy z dorosłymi istnieje ryzyko, że coś się nie uda. A dzieci tym bardziej muszą oswoić się z prawdziwą sceną, bo w przedszkolu jest to zwykła sala. Dwa lata temu, przed przedstawieniem pt. „Ptaki” byliśmy w Chatce Żaka na próbie. Jeden z chłopców, który miał grać ptaszka wykluwającego się z gniazda, zamiast fruwać, co zwykle robił na próbach, nagle stanął nieruchomo. Okazało się, że zobaczył swój cień. W przedszkolu nie było reflektorów, więc nie było też cienia. Trzeba było wycofać go ze spektaklu, bo nie można było mu wytłumaczyć, żeby biegał z innymi dziećmi. Cień był najważniejszy. Podobnie sześciolatnia dziewczynka, która bardzo dobrze spisywała się na scenie w przedszkolu, tutaj przestraszyła się i nie chciała wyjść, ale po dwóch dniach oswoiła się i zagrała. Gdyby to działo się w dniu spektaklu, nie wyszłaby na scenę.

Bez barier

Dzieci są oswojone z publicznością. Do przedszkola często przychodzą studenci psychologii i pedagogiki. Więc nie jest dla dzieci niczym dziwnym, że na sali jest grupa widzów. W naszym przedszkolu nie odczuwa się barier między społeczeństwem a tymi dziećmi. Chociaż zdajemy sobie z nich sprawę. Dzieje się tak dzięki temu, że przychodzi dużo ludzi z zewnątrz i my staramy się wychodzić z dziećmi jak najczęściej. Dbamy o to, żeby dzieci miały kontakt ze światem poza przedszkolem. Zabieramy je do Teatru Lalki i Aktora, do Ogrodu Botanicznego, ZOO, byliśmy w telewizji, na dworcu, żeby zobaczyć pociąg. Jeździmy na wycieczki. A pomimo to społeczeństwo nie jest przygotowane na kontakt z tymi dziećmi. Nawet studenci pedagogiki specjalnej, kiedy tu przychodzą pierwszy raz, przeżywają szok. Pierwszym odruchem jest wycofanie się, dlatego kontakt z ludźmi niepełnosprawnymi trzeba się uczyć.

Dla rodziców te przedstawienia są ogromnym przeżyciem. Kiedy przychodzą i widzą na scenie dzieci, ich radość, ogromny wysiłek uwieńczony sukcesem, entuzjazm publiczności, to wychodzą dumni i pełni nadziei.

Prawa pacjenta

Prawa pacjenta stanowią integralną część szeroko rozumianych praw człowieka. Wywodzą się one z wielu dokumentów międzynarodowej ochrony praw człowieka. Art. 3 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z dnia 10.12.1940 r. gwarantuje każdemu człowiekowi prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa swojej osoby. Prawo do opieki lekarskiej gwarantuje art. 25 pkt 1 tejże Deklaracji.

Zapis dotyczący prawa człowieka do opieki lekarskiej znajduje się również w Międzynarodowym Pakcie Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych z dnia 16 grudnia 1996 r. Art. 12 gwarantuje między innymi prawo każdemu do korzystania z najwyższego osiągniętego poziomu ochrony zdrowia fizycznego i psychicznego oraz stworzenia warunków, które zapewniłyby wszystkim pomoc i opiekę lekarską na wypadek choroby. W sferze problematyki bioetycznej podjęła również działania Rada Europy.

Materiał opracowany przez tę Radę zgrupowano w trzech działach: ochrona praw ludzi chorych, eksperymenty medyczne i zagadnienia inżynierii genetycznej oraz problematyka sztucznej prokreacji. Prace te można uznać jako pierwszy etap działań zmierzających do wypracowania w ramach Rady Europy – konwencji bioetycznej.

Prawo obywateli RP do opieki zdrowotnej

Prawo obywateli Rzeczypospolitej Polskiej do ochrony zdrowia wywodzi się z normy konstytucyjnej, zawartej w art. 70 ust. 1 i 2 Konstytucji RP.

Działania te polegają m.in. na:

- rozwoju ubezpieczeń społecznych na wypadek choroby, starości i niezdolności do pracy,
- rozwoju organizowanej przez Państwo ochrony zdrowia oraz podnoszeniu poziomu zdrowotnego ludności, bezpłatnej pomocy lekarskiej dla wszystkich ludzi pracy i ich rodzin.
- rozbudowie szpitali, sanatoriów, ambulatoriów, ośrodków zdrowia i urządzeń szpitalnych.

Artykuł ten można uznać więc za rodzaj deklaracji politycznej, stanowiącej wytyczną dla ustawodawcy. Stopniowo deklaracja ta wypełniana była treścią normatywną przez ustawy zwykłe w ciągu całego okresu powojennego. Prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej objęło stopniowo wszystkie grupy społeczne.

Proces ten zakończył się w 1972 r., kiedy to ostatnia wielka grupa społeczna – rolnicy indywidualni – uzyskała przymiot „ludzi pracy” korzystających z bezpłatnej opieki lekarskiej, niezależnie zresztą od ubezpieczenia społecznego, które objęło tę grupę znacznie

później. Obecnie z prawa do bezpłatnej opieki lekarskiej korzysta w zasadzie całe społeczeństwo, choć występują tu nieliczne wyjątki.

Na krótko prawa do bezpłatnej opieki zostali pozbawieni bezrobotni, którzy utracili zarazem prawo do zasiłku w ustawie z 16 października 1991 r. o zatrudnieniu i bezrobociu.

Ustawą z 3 października 1992 r. o zmianie ustawy o zatrudnieniu i bezrobociu parlament rozciągnął prawo do bezpłatnej opieki lekarskiej również na osoby bezrobotne, nie pobierające zasiłku.

Bezpieczeństwo zdrowotne gwarantuje więc już sama rejestracja w Urzędzie Pracy, niezależnie od rzeczywistej aktywności życiowej osób zarejestrowanych jako bezrobotne.

Obecnie z prawa do bezpłatnej opieki lekarskiej nie korzystają osoby nieubezpieczone oraz nie posiadające innego szczególnego tytułu ustawowego lub podstawowego do takiego uprawnienia, a zarazem nie zarejestrowane jako bezrobotne. Nawet i w tych jednak sytuacjach istnieje możliwość przyznania odpowiednich świadczeń medycznych na podstawie ustawy o pomocy społecznej, na koszt samorządu lokalnego.

Zgodnie z ustawą o ubezpieczeniu społecznym z dn. 28.03.1933 bezpłatna opieka lekarska należy się jedynie w przypadku choroby lub porodu. Oznaczałoby to, że ogół świadczeń udzielanych ze względu na profilaktykę zdrowia, a także postępowanie rehabilitacyjne po przebytych chorobach powinny być z zasady odpłatne, chyba że istnieje inny ustawowy tytuł prawny rozszerzający uprawnienia ogółu lub niektórych ubezpieczonych (jak np. ustawa z 13.07.1963 r. o zwalczaniu chorób zakaźnych).

Na tej podstawie właśnie pobiera się od pacjentów opłaty na niektóre, nieliczne świadczenia, nie mające celu leczniczego (np. zabiegi upiększające, zapłodnienie in vitro, operacje polegające na zmianie cech płciowych).

Kolejna, liczna grupa społeczna wywodzi swój tytuł prawny do bezpłatnej pomocy leczniczej z przepisów dotyczących zaopatrzenia emerytalnego (ustawa z 14.12.1982 r. o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin). Ostatnia wreszcie, wysoce zróżnicowana grupa uprawnionych wywodzi swoje prawo do bezpłatnej opieki leczniczej z różnych ustaw szczegółowych, jak np. ustawy z 06.04.1990 r. o policji, ustawy z 06.04.1990 r. o Urzędzie Ochrony Państwa, ustawy z 30.06.1970 r. o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz Uchwały Rady Ministrów z 18.09.1954 r. w Sprawie Kolejowego Lecznictwa Pracowniczego.

Osoby spełniające kryteria określone w poszczególnych przepisach mają prawo do korzystania z wyodrębnionych organizacyjnie systemów oraz leczenia osób chorych na choroby zakaźne.

Zgoda pacjenta na interwencję medyczną

Zasadę wskazującą na konieczność uzyskania zgody pacjenta na interwencję medyczną (badanie, zabieg, umieszczenie w szpitalu) można wywieść bezpośrednio z Konstytucji RP, która w art. 87 ust. 1 gwarantuje obywatelom nietykalność osobistą. Potwierdzeniem jej jest również konstrukcja dóbr osobistych człowieka zawarta w Kodeksie Cywilnym (ustawa z 23 kwietnia 1964), który w art. 23 udziela ochrony prawnej takim prawom jak wolność, prywatność życia.

Zasada ta została również sformułowana w art. 19 pkt. 2 ustawy z 30 sierpnia 1991 r. o zakładach opieki zdrowotnej, który stanowi, że pacjent ma prawo do wyrażenia zgody lub odmowy jej udzielenia na określone świadczenia – po uzyskaniu odpowiedniej informacji. Art. 21 uzależnia natomiast przyjęcie do szpitala od zgody pacjenta lub jego przedstawiciela ustawowego (opiekuna faktycznego).

Ustawa z 28 października 1950 r. o zawodzie lekarza w art. 17 ust. 1 zobowiązuje jedynie lekarza do uzyskania zgody pacjenta na wykonanie zabiegu operacyjnego oraz określa sytuację stanu wyższej konieczności umożliwiającą podjęcie działania bez zgody pacjenta.

Również inne szczegółowe rozwiązania ze sfery prawa medycznego stawiają zgodę pacjenta jako jeden z warunków legalności podejmowanej interwencji medycznej. Zgoda pacjenta warunkuje dopuszczalność eksperymentu medycznego zarówno o charakterze terapeutycznym, jak i naukowym – ustawa z 19 kwietnia 1969 r. – oraz badań klinicznych środków farmaceutycznych i materiałów medycznych (ustawa z 10 października 1991 r. o środkach farmaceutycznych, materiałach medycznych, aptekach, hurtowniach i nadzorze farmaceutycznym).

Zgoda kobiety ciężarnej stanowi niezbędną przesłankę legalności zabiegu przerwania ciąży (ustawa z 27 kwietnia 1956 r. o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży).

Zgoda potencjalnego dawcy krwi na umieszczenie w rejestrze dawców warunkuje możliwość pobrania krwi (rozporządzenie Ministra Zdrowia z 26 marca 1952 r. w sprawie krwiodawców).

Zgoda pacjenta musi odpowiadać obowiązującym w prawie polskim standardom i warunkom dotyczącym oświadczeń woli, a więc powinna być udzielona świadomie, swobodnie i dobrowolnie. Brak sprzeciwu pacjenta lub też złożony przez niego automatycznie podpis na dokumencie stwierdzającym historię choroby nie może być potraktowany jako zgoda na zabieg.

W polskiej praktyce medycznej dominuje jednak paternalistyczny model relacji pacjent-lekarz, opierający się na założeniu, że lekarz, kierujący się dobrem chorego, dokonuje w jego imieniu samodzielnie wyboru metod leczenia, a niepomyślna dla chorego prawda powinna być w miarę możliwości przed nim zatajana. Pewna zmiana została wprowadzona w Kodeksie Etyki Lekarskiej, który został uchwalony 14.XII.1991 r. przez Krajowy Zjazd Lekarzy, będący najwyższą władzą samorządu lekarskiego.

Zgoda substytucyjna

a) osoby małoletnie

Ustawodawstwo medyczne przyjęło za konstrukcjami prawa cywilnego zasadę braku zdolności do skutecznego wyrażenia oświadczeń woli osób małoletnich. Ustawa o zawodzie lekarza przyznaje w art. 17 prawo do wyrażania zgody na zabieg operacyjny u małoletniego jego przedstawicielowi ustawowemu (rodzicom) lub opiekunowi faktycznemu. Należy podkreślić, że **prawo nie różnicuje sytuacji osób małoletnich zależnie od ich wieku, uznając, że do ukończenia 18 lat decyzje w sprawach zdrowia i sposobu leczenia podejmowane mają być przez rodziców.**

W projektach nowych rozwiązań ustawowych coraz częściej jednak dąży się do uwzględnienia woli samego małoletniego.

b) chorzy psychicznie

Zgodnie z założeniem, że status prawny pacjenta psychiatrycznego nie powinien różnić się od statusu pacjentów w innych dziedzinach medycyny, stosowane są wobec nich przepisy ustawy o zakładach opieki zdrowotnej z 30 sierpnia 1991 r., które określają relacje lekarz-pacjent. Zgodnie z art. 19 tej ustawy pacjent ma prawo do:

- wyrażenia zgody lub odmowy jej udzielenia na określone świadczenia – po uzyskaniu odpowiedniej informacji (pkt 2),
- uzyskania informacji o stanie zdrowia (pkt 3),
- poszanowania jego intymności i godności w czasie udzielania świadczeń zdrowotnych (pkt 4).

Szczegółowe uregulowania statusu pacjentów psychiatrycznych znalazły się w Ustawie o ochronie zdrowia psychicznego z dnia 19 sierpnia 1994 r. Zgodnie z tą ustawą warunkiem przyjęcia do szpitala jest:

- stwierdzenie przez lekarza dyżurnego, po osobistym badaniu, że zachodzą wskazania do przyjęcia,
- wyrażenie przez pacjenta pisemnej zgody na przyjęcie.

Uwzględniając specyfikę pacjenta psychiatrycznego przewidziano, że w praktyce lekarz może mieć poważne wątpliwości co do zdolności pacjenta z zaburzeniami psychicznymi do wyrażenia zgody na przyjęcie. Wątpliwości takie nie mogą być pomijane bez szkody dla praw pacjenta i dlatego ustawa zobowiązuje lekarza do odnotowania tego faktu w dokumentacji medycznej i do przedstawienia adnotacji sędziemu wizytującemu szpital. Adnotacja ta będzie dla sędziego ważnym sygnałem dla sprawdzenia, czy pacjent hospitalizowany w tych warunkach rzeczywiście wyraża zgodę na przyjęcie.

W przypadku tzw. zgody zastępczej wyrażonej przez przedstawiciela ustawowego osoby małoletniej powyżej 16 roku życia lub ubezwłasnowolnionej całkowicie, ale zdolnej do wyrażenia zgody, Ustawa wprowadza istotne uzupełnienia. Twórcy ustawy stanęli na stanowisku, że potrzeba uwzględnienia podmiotowości tych osób wymaga uznania ich prawa do wyrażania osobistej zgody na przyjęcie, obok zgody przedstawiciela ustawowego. W przypadku sprzecznych oświadczeń obu tych podmiotów, o przyjęciu decydować będzie sąd opiekuńczy.

Postępowanie lecznicze wobec osoby przyjętej do szpitala psychiatrycznego za jej zgodą, odbywa się na podstawie akceptacji przez nią poszczególnych czynności leczniczych.

W praktyce trzeba się również liczyć z możliwością sprzeciwu pacjenta wobec jakichś określonych czynności lub leczenia w całości.

W takiej sytuacji rysują się trzy możliwe rozwiązania:

1. wypisanie pacjenta, gdy brak jest bezwzględnych wskazań do leczenia,
2. pozostawienie pacjenta w szpitalu bez leczenia w oczekiwaniu na zmianę jego stanowiska, gdy są względne wskazania,
3. zmiana statusu pacjenta z przyjętego za zgodą na przyjętego bez zgody, gdy są odpowiednie przesłanki medyczne.

Przymus leczenia

Leczenie przymusowe w Polsce może mieć miejsce w stosunku do:

- więźniów – obowiązek poddania się zabiegom sanitarnym, badaniom lekarskim oraz zarządzonemu przez lekarza leczeniu odwykowemu, łącznie ze stosowaniem przymusu bezpośredniego, oraz możliwość wykonania zabiegów lekarskich łącznie z chirurgicznymi pomimo sprzeciwu pacjenta w wypadku poważnego zagrożenia życia, a w wypadku odmowy przyjmowania pokarmów – zagrożenia zdrowia. Możliwe jest również, po uzyskaniu zezwolenia sędziego penitencjarnego, usunięcie, pomimo sprzeciwu zainteresowanego, tatuażu o treści obraźliwej lub nieprzyzwoitej – art. 61-63 ustawy z 19 kwietnia 1969 r. kodeks karny wykonawczy,
- osób, które w związku z nadużywaniem i uzależnieniem od alkoholu powodują rozkład życia rodzinnego, demoralizację małoletnich, uchylają się od prac albo systematycznie zakłócają spokój lub porządek publiczny. O obowiązku podania się leczeniu w zakładzie odwykowym orzeka sąd – art. 24-36 ustawy z 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi,
- osób uzależnionych od alkoholu, umieszczonych w zakładach poprawczych i schroniskach dla nieletnich – po zezwoleniu sądu – art. 37 ustawa z 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości (...);
- osób uzależnionych od środków odurzających i psychotropowych, które nie ukończyły 18 lat, na wniosek ich przedstawiciela ustawowego, krewnych w linii prostej lub rodzeństwa, albo poradni wychowawczo-zawodowej, po zezwoleniu sądu rodzinnego, na okres nie dłuższy niż 2 lata – art. 25 ustawa z 31 stycznia 1985 r. o zapobieganiu narkomanii,
- osób chorych na choroby zakaźne w zakresie określonym przez władze sanitarne – art. 2 i 3 ustawy z 13 listopada 1963 r. o zwalczaniu chorób zakaźnych,
- osób chorych na choroby weneryczne, włącznie z zarządzeniem przymusowej hospitalizacji – art. 13 ust. 1 i 2 dekretu z 16 kwietnia 1946 r. o zwalczaniu chorób wenerycznych,
- osób chorych na gruźlicę wyłącznie z możliwością zarządzenia przez organ administracji umieszczenia chorego na gruźlicę w szpitalu – art. 2 i 6 ustawy z 22 kwietnia 1959 r. o zwalczaniu gruźlicy,
- osób chorych psychicznie.

Ustawa przewiduje dwa tryby przyjęcia do szpitala psychiatrycznego bez zgody pacjenta.

Według pierwszego trybu osoba chora psychicznie może być przyjęta do szpitala psychiatrycznego bez zgody tylko wtedy, jeżeli jej dotychczasowe zachowanie wskazuje na to, że z powodu tej choroby zagraża bezpośrednio swojemu życiu albo życiu lub zdrowiu innych osób.

Według drugiego, tzw. trybu wnioskowego, tj. na podstawie poprzedzającego orzeczenia sądu opiekuńczego, osoba chora psychicznie może być przyjęta do szpitala psychiatrycznego bez zgody gdy:

- jej dotychczasowe zachowania wskazują na to, że nieprzyjęcie do szpitala spowoduje znaczne pogorszenie stanu jej zdrowia psychicznego,

- jest niezdolna do samodzielnego zaspokajania podstawowych potrzeb życiowych, a uzasadnione jest przewidywanie, że leczenie w szpitalu psychiatrycznym przyniesie poprawę jej stanu zdrowia.

Przymus bezpośredni wobec pacjenta psychiatrycznego

Ustawa reguluje również zagadnienie stosowania przymusu bezpośredniego – najbardziej drastycznej formy pogwałcenia nietykalności osobistej i cielesnej pacjentów psychiatrycznych. Może on być stosowany tylko wtedy, gdy osoby te dopuszczają się zamachu przeciwko życiu lub zdrowiu własnemu, życiu lub zdrowiu innej osoby, bezpieczeństwu powszechnemu, bądź w sposób gwałtowny niszczą lub uszkadzają przedmioty znajdujące się w ich otoczeniu. Tak stanowi art. 18 ust. 1 tejże Ustawy. O zastosowaniu przymusu bezpośredniego decyduje lekarz, który określa rodzaj zastosowanego środka przymusu oraz osobiście nadzoruje jego wykonanie. Każdy taki wypadek powinien być odnotowany w dokumentacji medycznej.

Ustawa precyzuje również dopuszczalne środki przymusu. Może to być: przetrzymanie, przymusowe zastosowanie leków, unieruchomienie lub izolacja.

Prawo pacjenta do informacji

Prawo pacjenta do informacji można potraktować jako autonomiczne, łączące się w wielu punktach z tak istotnymi dobrami osobistymi człowieka, jak prywatność życia i wolna wola w różnych jej aspektach.

Odpowiedni zasób wiedzy o własnym stanie zdrowia, a także proponowanych metodach leczenia i zakresie związanego z nim ryzyka, jest warunkiem prawidłowego wyrażania zgody.

Prawo uzyskania informacji o swoim stanie zdrowia zostało sformułowane w art. 19 pkt 3 ustawy z 30 sierpnia 1991 r. o zakładach opieki zdrowotnej. Na podkreślenie zasługuje fakt, że prawo to przysługuje w myśl cytowanego przepisu bezwarunkowo. Ustawa nie przewidziała bowiem sytuacji, w których można by je ograniczyć. Jest to całkowicie nowe rozwiązanie, pozostające w wyraźnej kolizji z ukształtowaną i utrwaloną praktyką medyczną. Polski lekarz czuje się bowiem wręcz zobowiązany do zatajenia przed pacjentem dramatycznej prawdy tak o rozpoznaniu, jak i rokowaniach.

Charakterystyczne jest wreszcie, że uchwalony już po przyjęciu cytowanej ustawy Kodeks Etyki Lekarskiej przewiduje w art. 18 możliwość nieprzekazania choremu wiadomości o rozpoznaniu i złym rokowaniu, jeśli lekarz jest głęboko przekonany, że jej ujawnienie spowoduje bardzo poważne cierpienie chorego lub inne niekorzystne dla zdrowia następstwa.

Te dwa różniące się w istotny sposób rozwiązania, przyjęte przecież w zbliżonym czasie, wskazują na podstawowy dylemat, jaki wiąże się z prawem do informacji. Z jednej strony niekwestionowane prawo człowieka do poznania prawdy o własnym stanie zdrowia, z drugiej strony obawy lekarzy przed ujawnieniem prawdy, która w ich ocenie może się okazać zbyt trudna dla pacjenta. Prymat ma jednak rozwiązanie ustawowe gwarantujące pacjentowi prawo do informacji.

Prawo dostępu do danych medycznych

Prawo wglądu pacjenta do własnej dokumentacji medycznej łączy się w oczywisty sposób z prawem do informacji.

Ustawa z 30.08.1991 r. o zakładach opieki zdrowotnej, po raz pierwszy w polskim ustawodawstwie zapewnia dostęp pacjenta do jego dokumentacji medycznej. Ustawa ta nie przewiduje żadnych wyjątków ograniczających te uprawnienia, choćby z akceptowanych przez lekarzy powodów, takich jak np. humanitarne zatajenie prawdy o istocie schorzenia. W tym więc zakresie przytoczone wyżej rozwiązania kodeksu Etyki Lekarskiej pozostają w sprzeczności z uregulowaniami zawartymi w Ustawie o Zakładach Opieki Zdrowotnej. Podobnie jak w wypadku prawa do informacji, należy uznać priorytet rozwiązania ustawowego.

Tajemnica lekarska

Nakaz poszanowania tajemnicy lekarskiej jest wyraźnie sformułowany w przepisach ustawy z 1950 r. o zawodzie lekarza oraz w Kodeksie Etyki Lekarskiej. Związane jest to również z prawem osobistym człowieka, takim jak prywatność życia.

Obowiązek zachowania dyskrecji obejmuje nie tylko informacje dotyczące ściśle stanu zdrowia pacjenta oraz metod leczenia, lecz rozciąga się na całą sferę życia prywatnego, rodzinnego, a w niektórych sytuacjach również zawodowego pacjenta, jeżeli uzyskane informacje mają związek z wykonywaniem zawodu lekarza. Kodeks Etyki Lekarskiej do sfery tajemnicy zawodowej włącza wiadomości o pacjencie i jego otoczeniu, uzyskane przez lekarza w związku z wykonywanymi czynnościami zawodowymi.

Wyłączenie tajemnicy lekarskiej

a) Wyłączenie tajemnicy lekarskiej w stosunku do rodziny pacjenta

W świetle ustawy o zawodzie lekarza ujawnienie informacji objętych tajemnicą komunikolwiek, w tym również najbliższym krewnym, jest dopuszczalne jedynie za zgodą pacjenta. Zgoda ta może być wyrażona w dowolnej formie, nawet w sposób pośredni, poprzez zachowanie chorego, które wskazuje, że jest on zainteresowany „scedowaniem” na osobę bliską sprawy kontaktu z opiekującym się nim lekarzem.

Również Kodeks Etyki Lekarskiej w art. 25 zakłada zwolnienie z obowiązku zachowania tajemnicy za zgodą chorego, nie przewidując szczególnego uprawnienia osób bliskich do zapoznania się z informacjami objętymi tajemnicą. Ponadto w art. 17 zastrzeżono, że informacje o stanie zdrowia mogą być przekazywane osobom wskazanym przez pacjenta, a informowanie rodziny powinno być – jeśli jest to możliwe – uzgodnione z chorym.

b) Wyłączenie tajemnicy lekarskiej ze względu na interes publiczny

Na mocy Ustawy o zawodzie lekarza, zwolniony on jest od obowiązku zachowania tajemnicy, gdy na mocy szczególnych przepisów obowiązany jest donieść władzom o określonych okolicznościach, gdy obowiązany jest donieść uprawnionej władzy, urzędowi lub instytucji prawa publicznego o wyniku badania lekarskiego przeprowadzonego na ich żądanie, oraz gdy zachowanie tajemnicy mogłoby spowodować istotne niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia pacjenta lub dla otoczenia. W tej ostatniej sytuacji decyzja o ujawnieniu informacji i zakresie tego ujawnienia zależeć będzie od samego leka-

rza i jego mniej lub bardziej subiektywnej oceny stanu faktycznego. Problem jest bardzo delikatny i w pewnych przynajmniej sytuacjach może wywoływać poważne kontrowersje (np. w stosunku do osób chorych psychicznie potencjalnie niebezpiecznych dla otoczenia, czy chociażby chorych lub nosicieli wirusa HIV).

Wyraźnie kompromisowy charakter mają rozwiązania dotyczące możliwości uchylecia tajemnicy zawodowej (a więc nie tylko lekarskiej) w postępowaniu sądowym. Art. 261 § 2 kodeksu postępowania cywilnego dopuszcza jedynie możliwość odmowy przez świadka (lekarza) odpowiedzi na zadane mu pytania, jeżeli zeznanie miałoby być połączone z pogwałceniem istotnej tajemnicy zawodowej. Przepis ten nie nakłada na lekarza obowiązku zeznań. Odmienne kształtuje się natomiast sytuacja lekarza przesłuchiwanego w charakterze świadka w postępowaniu karnym. Lekarz nie należy w świetle art. 161 kodeksu postępowania karnego do osób objętych bezwarunkowym zakazem przesłuchiwania, a art. 163 tego kodeksu, ustanawiający warunkowe prawo odmowy zeznań na rzecz osób związanych tajemnicą zawodową, dopuszcza zarazem zwolnienie z obowiązku dochowania tej tajemnicy przez sąd lub prokuratora.

Należy więc uznać, że art. 163 kodeksu postępowania karnego tworzy wyjątek od zasady respektowania tajemnicy lekarskiej.

Do tej kategorii wyłączeń należy również art. 13 pkt. 2 ustawy o zawodzie lekarza nakładający na lekarza obowiązek informowania władz powołanych do ścigania przestępstw i innych władz o każdym przypadku zabójstwa, ciężkiego uszkodzenia ciała, samobójstwa lub zatrucia, oraz pozostającego w związku z przestępstwem lekkiego uszkodzenia ciała, gdy powziął o tych przypadkach wiadomość przy wykonywaniu zawodu. Ponadto, za przepisy szczególne, do których odsyła art. 14 ust. 2 pkt. 1 ustawy o zawodzie lekarza, należy uznać art. 6 ust. 1 o zwalczaniu chorób zakaźnych.

Przyjęty w 1991 r. Kodeks Etyki Lekarskiej podejmuje próbę wzmocnienia ochrony tajemnicy lekarskiej, uznając, że jedynie zgoda pacjenta lub wzgląd na życie lub zdrowie pacjenta lub innych osób uzasadniają ujawnienie informacji objętych tajemnicą.

Tendencje do wzmocnienia ochrony tajemnicy lekarskiej znalazły swoje odbicie we wcześniej wspomnianej Ustawie o ochronie zdrowia psychicznego. Przepis art. 50 ust. 1 tejże Ustawy nakłada na wszystkie osoby wykonujące czynności w niej przewidziane obowiązek zachowania tajemnicy, obejmującej informacje uzyskane w związku z wykonywaniem tych czynności. Ustawa ustala jednak tylko ogólny obowiązek zachowania tajemnicy, przy jednoczesnym wskazaniu, że powinien on być spełniony „stosownie do odrębnych przepisów”.

Istotne zmiany wprowadza art. 52, zgodnie z którym wprowadzono zakaz przesłuchiwania osób obowiązanych do zachowania tajemnicy jako świadków na okoliczność przyznania się osoby z zaburzeniami psychicznymi do popełnienia czynu zagrożonego karą.

Zakaz ten stosuje się do lekarzy wykonujących czynności biegłego. Nie ciąży zatem na nim obowiązek doniesienia władzom, że badana osoba z zaburzeniami psychicznymi jest sprawcą określonego czynu przestępczego, jeśli dowiedział się o tym w toku wykonywania czynności zawodowych.

Jako świadków nie wolno również przesłuchiwać:

1. obrońcy – co do faktów, o których dowiedział się udzielając porady prawnej lub prowadząc sprawę,

2. duchownego – co do faktów, o których dowiedział się przy spowiedzi.

c) Udostępnianie dokumentacji medycznej osobom trzecim

Szczególną formę uchylecia tajemnicy lekarskiej stanowią przypadki udostępnienia dokumentacji medycznej pacjenta. Przesłanki określające dopuszczalność udostępnienia dokumentacji w art. 18 ust. 3 ustawy o zakładach opieki zdrowotnej nie odbiegają co do istoty od rozwiązań dotyczących generalnie uchylecia tajemnicy lekarskiej. Poza sytuacją, gdy dokumentację udostępnia się osobie upoważnionej przez pacjenta, możliwe jest ponadto przekazanie dokumentacji jednostkom organizacyjnym służby zdrowia i osobom wykonującym zawody medyczne, jeśli jest to niezbędne do dalszego leczenia, właściwym do spraw zdrowia organom państwowym oraz organom samorządu lekarskiego w zakresie niezbędnym do wykonywania nadzoru i kontroli, sądom i prokuratorom oraz rzecznikom odpowiedzialności zawodowej w związku z prowadzonym postępowaniem, uprawnionym na mocy odrębnych ustaw organom i instytucjom, jeżeli badanie zostało przeprowadzone na ich wniosek, organom rentowym lub zakładom ubezpieczeniowym w związku z prowadzonym przez nie postępowaniem oraz szkole wyższej lub jednostce badawczo-rozwojowej do wykorzystania dla celów naukowych bez ujawniania nazwiska i innych danych umożliwiających identyfikację osoby, której dokumentacja dotyczy.

Wątpliwości budzi jednak brak generalnego zastrzeżenia o podporządkowaniu zakresu udostępnianej dokumentacji konkretnej potrzebie, a także możliwość udostępnienia danych medycznych zakładom ubezpieczeniowym, bez wskazania celu takiego udostępnienia.

Inne ustawowo chronione prawa pacjenta

Pośród praw obecnych w ustawie, prócz omówionych już wcześniej, należy wymienić prawa pacjenta do:

- świadczeń zdrowotnych odpowiadających wymaganiom wiedzy medycznej (art. 19 pkt 1),
- poszanowania intymności i godności (art. 19 pkt 5),
- opieki pielęgnacyjnej przez osobę bliską lub inną wskazaną przez chorego (pkt 1),
- kontaktu osobistego, telefonicznego i korespondencyjnego z osobami z zewnątrz (pkt 2),
- opieki duszpasterskiej (pkt 3).

Istotne wydaje się również uprawnienie zawarte w art. 23 ust. 2 ustawy, stanowiące istotną gwarancję otoczenia opieką każdego pacjenta, który znajduje się w stanie zdrowia uzasadniającym umieszczenie w szpitalu. Szpital jest więc zobowiązany do udzielenia pierwszej pomocy pacjentowi.

Reprezentacja interesów pacjenta

Wraz z rozwojem instytucji demokratycznych w Polsce pojawiły się nowe możliwości realizacji ustawowo chronionych praw pacjenta.

Wśród instytucji publiczno-prawnych podejmujących tę problematykę, na szczególną uwagę zasługuje działalność Rzecznika Praw Obywatelskich (ustawa z 15 lipca 1987 r. o Rzeczniku Praw Obywatelskich). Tylko w latach 1990-1992 wystąpienia Rzecznika dotyczyły m.in.:

- sprawy przyznania odszkodowań osobom, które w zakładach społecznych służby zdrowia zostały zarażone wirusem HIV,
- bezprawnego pobierania w aptekach opłat za leki od osób uprawnionych,
- wprowadzenia trybu odwoławczego od zaświadczeń o stanie zdrowia wydawanych osobom ubiegającym się o prawo jazdy.

Problematyka praw pacjenta stanowiła również przedmiot rozstrzygnięć Trybunału Konstytucyjnego, utworzonego ustawą z 29 kwietnia 1985 r.

Za instytucje specyficzne z punktu widzenia ochrony praw pacjentów należy uznać komisję nadzoru nad dokonywaniem badań na ludziach.

Na mocy zarządzenia nr 13 Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dnia 11 czerwca 1982 r. utworzono przy Radzie Naukowej MZiOS Komisję Nadzoru nad Dokonywaniem Badań na Ludziach – w celu zapewnienia odpowiedniej kontroli w dziedzinie eksperymentów medycznych. Komisja ta, w porozumieniu z rektorami akademii medycznych, powołuje w ośrodkach akademickich komisje terenowe, które rozpatrują i kwalifikują wnioski o dopuszczalności badań na ludziach pod kątem ich zgodności „z zasadami naukowo-etycznymi”. Komisje terenowe odrzucają lub aprobuja zgłoszone wnioski. Niestety, powołane zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej nie przewiduje wyraźnie obowiązku kierownika programu badawczego lub osoby podejmującej eksperyment z udziałem człowieka, zgłoszenia do komisji wniosku o zatwierdzenie programu badawczego, ani też nie określa sankcji na wypadek przeprowadzenia eksperymentu bez zasięgnięcia opinii komisji. Regulamin Komisji Nadzoru nakłada natomiast na nią obowiązek współpracy z redakcjami czasopism medycznych i innych czasopism naukowych, której celem jest wyeliminowanie możliwości publikowania wyników badań, których przedmiotem byli ludzie, jeżeli projekt badań nie był akceptowany przez właściwą komisję terenową.

Wydaje się, że daleko bardziej skuteczną metodą byłoby rozwiązanie (przyjęte w wielu krajach europejskich) uzależniające przyznanie funduszy na realizację programu badawczego od jego zatwierdzenia przez właściwą komisję.

Inną instytucją, utworzoną przede wszystkim w celu reprezentowania praw pacjentów, są rady nadzorcze w publicznych zakładach opieki zdrowotnej. Są one powoływane spośród przedstawicieli różnych ogniw samorządu terytorialnego (gmin, sejmików wojewódzkich) w zależności od obszaru działania zakładu oraz przedstawicieli organów administracji rządowej lub samorządowej, które utworzyły zakład. Zgodnie z ustawą o zakładach opieki zdrowotnej, do kompetencji rady nadzorczej należy m.in. uchwalenie statutu zakładu (art. 11 ust. 2 i art. 39 ust. 2), co przesądza o zakresie udzielanych w nim świadczeń zdrowotnych, zatwierdzenie regulaminu porządkowego zakładu w części dotyczącej praw i obowiązków pacjentów (art. 46 pkt 3) oraz okresowe analizy skarg i wniosków pacjentów, z wyłączeniem spraw podlegających nadzorowi medycznemu (art. 46 pkt 5). Zważywszy ponadto na zakres wnioskodawczych i opiniodawczych uprawnień rad nadzorczych (m.in. w sprawie nagród dla kierownika zakładu, odwołania kierownika, przekształcenia lub likwidacji zakładu), a nadto udział w komisjach konkursowych na stanowiska kierownicze w zakładzie, można uznać, że przynajmniej teoretycznie problematyka praw pacjenta zyskała nowe wsparcie instytucjonalne.

Prawne środki egzekwowania praw pacjentów

W niektórych sytuacjach naruszenie praw pacjenta prowadzi do uruchomienia środków prawnych umożliwiających osobie pokrzywdzonej bezpośrednio ich egzekwowanie.

Ustawa o ochronie zdrowia psychicznego wprowadziła możliwość sądowej kontroli w stosunku do decyzji o przymusowej hospitalizacji osób psychicznie chorych.

Sędzia wizytujący szpital wysłuchuje osobę przyjętą do szpitala psychiatrycznego bez zgody nie później niż w terminie 48 godzin od otrzymania zawiadomienia. W razie stwierdzenia, że pobyt tej osoby w szpitalu jest bezzasadny, sędzia zarządza natychmiastowe jej wypisanie ze szpitala i wnosi o umorzenie postępowania.

Sposób sprawowania nadzoru nad wykonywaniem decyzji sądu w sprawach przymusowego przyjęcia do szpitala psychiatrycznego i domu pomocy społecznej reguluje art. 43 ust. 1 Ustawy. Zgodnie z tym przepisem „do szpitala psychiatrycznego i domu pomocy społecznej przeznaczonego dla osób chorych psychicznie lub upośledzonych umysłowo, ma prawo wstępu o każdej porze sędzia w celu kontroli legalności przyjęcia i przebywania w takim szpitalu lub domu pomocy społecznej osób z zaburzeniami psychicznymi, przestrzegania ich praw oraz kontroli warunków w jakich one tam przebywają”.

Szczególnością trudność stwarzają natomiast naruszające prawa pacjenta orzeczenia lekarskie. Szeroko rozwinięta medyczna działalność orzecznicza stanowi warunek realizacji wielu uprawnień obywatelskich (np. orzeczenia o stanie zdrowia osób ubiegających się o zatrudnienie na określonym stanowisku pracy, orzeczenia o dopuszczalności przewożenia ciąży etc.). Powszechnie przyjmuje się, że orzeczenie stanowiące swoisty akt wiedzy nie ma i nie może przyjąć formy decyzji administracyjnej. Nie ulega jednak wątpliwości, że nieprawidłowo wydane orzeczenie (obojętne z jakiej przyczyny, choćby ze względu na niedostateczne przygotowanie zawodowe) może mieć dla pacjenta daleko idące skutki. Dlatego też w tych sprawach prawodawca tworzy swoiste procedury odwoławcze, które mają doprowadzić od merytorycznej weryfikacji wydanych orzeczeń.

Nadal jednak niedoskonała wydaje się ochrona dóbr osobistych pacjentów, jeżeli dokonane naruszenie nie wiąże się ze szkodą majątkową. Przyczyną tego stanu rzeczy jest wysoce niewystarczający zestaw środków ochrony prawnej.

Wobec nieodwracalności skutków naruszeń dóbr osobistych (np. naruszenie prawa intymności, ujawnienie tajemnicy lekarskiej etc.) brakuje obiektywnie możliwości zadośćuczynienia osobom pokrzywdzonym. Warto by się zastanowić nad formą pieniężnego wynagrodzenia strat osobom, które je poniosły.

Pomijając już kwestie prawne związane z upowszechnianiem nowoczesnych technologii medycznych, w polskim prawie medycznym występuje wiele luk prawnych.

Przykładem jest brak uregulowania problemu transplantacji tkanek i narządów. Nadal obowiązuje bowiem konstrukcja tzw. domniemanej zgody dawcy, umożliwiająca pobranie ze zwłok tkanek i narządów w celu transplantacji, jeżeli osoba zmarła nie wyraziła za życia sprzeciwu.

Za zupełnie nie rozwiązany od strony legislacyjnej należy natomiast uznać problem pobierania tkanek i narządów od żyjących dawców. W sprawach dotyczących tzw. sztucz-

nych metod prokreacji również nie ustalono nic konkretnego. Tymczasem problematyka ta ściśle wiąże się ze sferą podstawowych praw pacjenta i człowieka. Prawo polskie nie udziela odpowiedzi na tak podstawowe pytania, jak status embrionu *in vitro* czy ochrona anonimowości dawcy materiału genetycznego.

Za nie odpowiadające standardom Rady Europy z 1990 r. należy uznać rozwiązania prawne podejmujące problematykę eksperymentów naukowych z udziałem człowieka. Brakuje w nim podstawowych gwarancji dla osób poddanych tym eksperymentom.

Niezależnie od niewątpliwych usterek i luk normatywnych, trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wiele fundamentalnych kwestii, pojawiających się w związku z rozwojem współczesnych biotechnologii, dopiero oczekuje na pogłębioną dyskusję.

W tej sytuacji na poparcie zasługiwałaby inicjatywa powołania na szczeblu krajowym Narodowego Komitetu Etycznego, grupującego osoby różnych profesji i światopoglądów. Inicjatywa ta pozostaje w pełnej zgodzie z zaleceniami Komitetu do Spraw Bioetyki Rady Europy.

Bibliografia

1. *Prawa pacjentów i problemy etyczne współczesnej medycyny w dokumentach Rady Europy*, Helsinska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1994.
2. *Prawo do opieki zdrowotnej w systemie gospodarki rynkowej*, Helsinska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1993.
3. K. Motyka, *Prawa człowieka. Wybór źródeł*, Lublin 1996.
4. I. Wrońska, *Wybrane zagadnienia z etyki pielęgniarstwa*, Warszawa 1991.
5. Ustawa o zakładach opieki zdrowotnej z 30 sierpnia 1991 r..
6. Ustawa o zawodzie lekarza z 28 października 1950 r..
7. Kodeks Etyki lekarskiej z 14 grudnia 1991 r..
8. Ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi z 26 października 1982 r..
9. Ustawa o zapobieganiu narkomanii z 31 stycznia 1985 r..
10. Ustawa o zwalczaniu chorób zakaźnych z 13 listopada 1963 r..
11. Ustawa o zwalczaniu gruźlicy z 22 kwietnia 1959 r..
12. Ustawa o ochronie zdrowia psychicznego z dnia 19 sierpnia 1994 r..

Biuro Porad Obywatelskich
ul. Gałczyńskiego 3, 00-362 Warszawa
tel. (0-22) 828-12-95

Maciej Mirnowicz

Współdziałanie jako podstawa świadczania opieki w środowisku lokalnym (Analiza przypadku)

Podczas wakacji 1995 oraz 1996 byłem uczestnikiem studenckich obozów naukowych w Wąwolnicy pod Lublinem. Studenci pod kierownictwem socjologa, prof. Zofii Kawczyńskiej-Butrym badali najpierw problemy zdrowotne i warunki życiowe mieszkańców gminy, a następnie przekazywali im swoją wiedzę i przekonywali ich do potraktowania własnego zdrowia i zdrowia rodziny jako ważnej sprawy. Przekonywali ich także do wspólnego działania dla poprawy warunków życia w gminie. W tę działalność zaangażowali się wszyscy – nie wyłączając miejscowego księdza proboszcza, nauczycieli, bibliotekarza i wójta.

W referacie postaram się scharakteryzować gminne środowisko. Przedstawię etapy świadczenia opieki nad rodziną w wybranej społeczności lokalnej. Materiał badawczy to dwuletnia obserwacja i praca na rzecz rodziny żyjącej w Wąwolnicy.

Gmina liczy około 5 tysięcy mieszkańców, trudniących się głównie rolnictwem. Położona jest w malowniczej okolicy nad Wisłą, blisko Kazimierza Dolnego – znanego już w XIV wieku jako miasto na szlaku handlowym, a współcześnie jako centrum turystyki i życia kulturalnego. Dotychczasową swoją pracę w środowisku, o którym chcę mówić, mogę podzielić na kilka etapów. Wyznacznikami podziału są szczególne zdarzenia zaszłe na przestrzeni dwóch lat.

Pierwszy etap to obserwacja rodziny i pierwszy z nią kontakt – lato 1995. Przypadkowe spotkanie ich na ulicy, potwierdziło wcześniejszy opis. Były to charakterystyczne trzy postacie, z transportowym wózkiem na 2 kółkach, w otoczeniu psów różnej maści i wielkości. Udało mi się wymienić kilka zdań i ustalić termin wizyty. Po raz pierwszy przyjęto mnie na podwórzu. W tym czasie wspólnie zamieszkałą rodzinę stanowiły trzy osoby: Leokadia, urodzona w 1926 roku z utrwalonym skrzywieniem kręgosłupa, inwalidka II grupy; Zofia, urodzona w 1931 roku, rodzona siostra Leokadii, inwalidka I grupy po chorobie Heinego-Medina, z prawostronnym niedowładem; Marian – 40-letni siostrzeniec, upośledzony umysłowo.

Rodzina nie utrzymywała żadnych kontaktów towarzyskich na terenie swojego domu. Nikt nie był do niego wpuszczany. Teren dookoła domu był bardzo zaniedbany, zaśmiecony różnymi zbędnymi rzeczami, szmatami. Niektóre udawały suszące się pranie. Dom był murowany, podpiwniczony, światło i woda doprowadzone, niestety brakowało kanalizacji. Potrzeby fizjologiczne były załatwiane w bliskim otoczeniu.

W pobliżu stała murowana obora, w której trzymano bydło i trzodę (tak sądziłem rozpoznając dochodzące z niej dźwięki). Po podwórzu chodziły kury, kaczki i gęsi. Mimo braku kontaktów na terenie własnego domu, dwie kobiety i ich upośledzony siostrzeniec pozostawali w kontaktach z mieszkańcami gminy. Jednak nikt z rodziny i ze społeczności lokalnej nie spieszył im z pomocą.

Po wstępnych rozmowach uznałem za pierwszoplanowe, a nawet naglące, poprawienie stanu higienicznego. Kobiety zapewniały mnie, że zrobią to same. Natomiast ja zająłem się Marianem. W czasie kąpieli okazało się, że będziemy musieli odwiedzić gabinet lekarski z powodu rozległej przepukliny.

Problemów przybywało, jedne były następstwem drugich. Ja miałem pomagać rozwiązywać je, wspierać, doradzać co i jak trzeba zrobić. Cieszyłem się, gdy Marian czysty, przebrany w świeżą odzież, pachnący, z założonymi do tyłu rękoma wędrował ulicą Wąwolnicy. Zaczynałem wierzyć, że pękają bariery nieufności. Próbowałem przekonywać jaką wartość stanowi zdrowie, jak należy postępować, by utrzymać je na odpowiednim poziomie. Później wykorzystywałem różne okoliczności, by odwiedzać to środowisko. Nie chciałem dopuścić do zerwania kontaktów. Zdawałem sobie sprawę jak ważne są dla nich moje wizyty.

Kolejnym, drugim etapem bezpośredniej pracy w tym środowisku był obóz studencki w lipcu 1996 roku. Nastąpiły zmiany w rodzinie, nad którą sprawowałem opiekę. Marian został ubezwłasnowolniony. Sąd przyznał opiekę nad nim jego siostrze. W związku z tą sytuacją opuścił dom ciotek i zamieszkał razem z rodziną siostry w bloku, w mieszkaniu zakładowym, w miejscowości odległej o kilka kilometrów od Wąwolnicy. Gdy dotarłem do nowego miejsca pobytu Mariana, jego siostra, pani Barbara zapewniała, że ma tu lepsze warunki. „Jest zadbany, czysty, ma ugotowane, głodny nie chodzi. Jest pod stałą opieką psychiatry, dostaje leki” – mówiła. Zwróciłem uwagę, że trzeba pomyśleć o tym, by ciotki mogły go widywać (byli mocno ze sobą związani). Ustaliliśmy, że zostaną umożliwione spotkania. Ciotki będą mogły zabierać go do Wąwolnicy. Sytuacja ta, to nowe zadania dla mnie. Bycie negocjatorem skłóconych kobiet nie było łatwe. Zdawałem sobie sprawę, że potrzebują wsparcia, możliwości porozumiewania się ze mną. Dobrym rozwiązaniem okazała się korespondencja. Średnio otrzymywałem, i otrzymuję do dziś, jeden list na miesiąc. Na tym etapie moich obserwacji i działań nie zauważyłem włączania się środowiska do pomocy tej rodzinie. Nawet, gdy jesienią, w czasie odwiedzin Mariana w Wąwolnicy pani Leokadia została potrącona przez samochód. Nie zgodziła się wówczas na odwiezienie do szpitala, mimo że na miejsce wypadku przybyło pogotowie ratunkowe. Choć zdecydowała o pozostaniu w domu, nikt nie spieszył z pomocą. O tym co zaszło powiadomiono mnie listownie. Pojechałem natychmiast. Wtedy to po raz pierwszy przekroczyłem próg ich domu.

Zaczął się kolejny, trzeci etap moich działań. Poszkodowana nie wstawiała z łóżka. Nie miała zapewnionej żadnej opieki z zewnątrz. Wszystkie obowiązki spadły na Zofię. Wnętrze domu wymagało remontu, systematycznego ogrzewania. W sieni trzymano prosięta. Nalegałem, by znalazły się we właściwym miejscu. Chciałem ustalić kolejność porządków oferując swoją pomoc. Wciąż szukałem możliwości wspólnego działania, nie wyręczania, nie narzucania własnego zdania. Usiłowałem być doradcą. W tej trudnej sytuacji nie mogłem oczekiwać szybkich efektów.

Podczas kolejnej wizyty dowiedziałem się, że w obawie przed zemstą sprawcy wypadku samochodowego, Leokadia wycofała swój wniosek o odszkodowanie. Na tę decyzję nie miałem wpływu. Z późniejszych listów wynikało, że czuła się bardzo samotna, często zamykana przez siostrę w domu. Nikt ich nie odwiedzał, mimo iż ta sytuacja była znana w środowisku. Z niewyjaśnionych dla mnie przyczyn nie otrzymywała pomocy medycznej.

W styczniu 1997 roku Leokadia nagle zmarła. Zostałem powiadomiony o dacie pogrzebu, na który pojechałem. Osierocona Zofia oczekiwała mnie. Towarzyszyłem jej podczas ceremonii. W pogrzebie brali udział prawie wszyscy mieszkańcy Wąwolnicy. Z rozmowy z Zofią dowiedziałem się, że jestem jej jedynym przyjacielem, że nie ma już nikogo na tym świecie. Potrzebowała wysłuchania, wyzalenia się komuś. Wybrała mnie. Przy rozmowie byli obecni członkowie rodziny: Marian, siostrzenica Barbara. Tłumaczyliśmy teraz wspólnie, że nie jest sama, że wkoło są życzliwi ludzie. Nie zostawili jej, pomogli w tak trudnej chwili i na pewno pomogą na tyle, na ile im sama pozwoli. Barbara prosiła o zlikwidowanie inwentarza. Nie włączałem się do tej części rozmowy, gdyż uważałem to za sprawę majątkową dotyczącą wyłącznie członków rodziny.

Namawiałem do zastanowienia się co można poprawić, ulepszyć, żeby Zofii żyło się lepiej. Usiłowałem przekonać, że w końcu znajdują się ludzie, którzy chętnie pomogą. Tyle prac czekało na wykonanie.

Zaczął się kolejny, czwarty etap realizacji procesu opieki. Od momentu pogrzebu wydarzyło się bardzo wiele. Zofia przeżyła operację wyrostka. Jak pamiętam przekonanie jej o konieczności wykonania zabiegu graniczyło z cudem. Święta Wielkanocne spędziła w szpitalu. Odwiedzałem ją tam. W tym czasie do prac w gospodarstwie udało się uzyskać pomoc sąsiedzką. Wspólnie z dalszą rodziną doprowadzano dom do porządku. Sukcesywnie wyzbywano się inwentarza. Uzyskane w ten sposób środki przeznaczano na materiały do koniecznego remontu. Po powrocie Zofii ze szpitala nadzór nad jej zdrowiem powierzyliśmy na miesiąc opiekunce z Ośrodka Pomocy Społecznej.

Imieniny Zofii odbyły się w nieoczekiwanej scenarii, przy zastawionym stole, w posprzątanym, odnowionym pokoju. Przybyli z serdecznymi życzeniami sąsiedzi, rodzina, znajomi. To co wydawało się niemożliwym stało się faktem. Żegnając się z nami Zofia zapewniała, że to początek zmian. W przyszłości będą następne. „Żeby nie wiem co, muszę to zrobić... Będę żyła jak ludzie” – mówiła. To zupełnie nowe życie Zofii, a może również nowe dla lokalnego środowiska gminy Wąwolnica. Czyż to nie to, o co chodzi w pielęgniarstwie rodzinnym: stworzenie płaszczyzny współdziałania osoby, jej rodziny i sąsiadów, oraz pielęgniarki czy pielęgniarza, jak również przekonanie, by zainteresowany aktywnie uczestniczył w tym procesie?

Nie krzyczą, że żyją

Problem integracji osób niepełnosprawnych w społeczeństwie jest w Polsce bardzo aktualny. Mimo inwestycji mających na celu sprawniejsze poruszanie się tych osób w środowisku, istnieją nadal poważne braki. Bariery architektoniczne, niewystarczająca pomoc ze strony innych – „zdrowych”, brak odwagi samych osób dotkniętych kalectwem, powoduje, że izolują się w czterech ścianach swoich mieszkań, że żyją w samotności, że nie korzystają z życia. Niepełnosprawni to często osoby o szczególnej wrażliwości. Niestety, rzadko zdarza się, aby korzystały z dóbr kultury. Duże potrzeby kontaktu z muzyką, sztuką, teatrem z przyczyn oczywistych nie są zaspokajane. Filharmonia Narodowa już od 22 lat jest organizatorem tzw. akcji „Via Spei” („Droga Nadziei”) – dzięki której osoby te mają możliwość uczestniczenia w koncertach.

Ruszamy

Czwartek, godzina piętnasta. Przy ulicy Jasnej 5, obok Filharmonii Narodowej w Warszawie widać przegubowiec MZA – czerwony „blaszak”, bez wygod, bez obniżanej podłogi. MZA posiada bardziej nowoczesne autobusy, ale niestety podczas transportu większej ilości osób niepełnosprawnych nie zadają one egzaminu – są po prostu za małe, przystosowane do przewozu co najwyżej 3-4 wózków. Pan Kazimierz – kierowca – otwiera drzwi, bo dostrzegł znajome osoby z „obsługi” Młodej Filharmonii (jak sami siebie nazywają członkowie „Via Spei”). Zaraz szybko je zamyka, bo mróz daje znać o sobie.

Historia działalności Młodej Filharmonii sięga roku 1970. Wtedy to powstał Ruch Społeczno-Kulturalny, założony przez Bogdana Pilarskiego. W jego ramach zaczęto organizować czwartkowe koncerty dla młodych przygotowywane z myślą, że: „dla młodzieży trzeba grać tak samo jak dla dorosłych, tylko jeszcze lepiej”. Do obsługi czwartkowych koncertów powołano zaś tzw. służbę Młodej Filharmonii, której członkami byli społecznicy – osoby, które chciały bezinteresownie pomagać. Słusznie przewidywano, że jeśli młodzi zachwycają się muzyką poważną, to już całe życie będą do filharmonii przychodzić, zawsze ją kochać. A choćby nawet przestali być stałymi bywalcami, to usłyszane przez młode dusze harmonijne dźwięki odcisną w nich trwałe ślad.

– Poczekajmy jeszcze chwilę, bo mają dojść dwie osoby – słychać głos z tyłu. – Najwyżej dwie minuty, jest już późno – decyduje Artur – możemy nie zdążyć.

Artur to obecny szef „Via-Spei”, już 15 lat związany z akcją. Wygląda na dwadzieścia parę lat. W rzeczywistości jest po trzydziestce. Ma krótko przycięte włosy, łagodne, pełne radości oczy, do tego tak szczery uśmiech, że nie ma wątpliwości, iż to, co robi spr-

wia mu przyjemność. Podchodzi do „nowych twarzy”, wita się ze wszystkimi. Dla każdego znajduje miłe słowo.

Ma swoją rodzinę, dlatego – jak sam przyznaje – trochę mniej czasu może poświęcać na to niż kiedyś. O swojej funkcji myśli w kategoriach odpowiedzialności, obowiązku. – Dla mnie być tutaj to moralny obowiązek – mówi. – Zresztą moja osoba jest najmniej ważna – dodaje skromnie. Są ludzie, którzy angażują się bardziej ode mnie – myślę o dziewczętach: Grażyna, Dorota, ale i Włodek Terlecki. Oni, oprócz obecności na wyjazdach, dbają o organizację, wkładają w to całe serce.

– Panie Kazimierzu – ruszajmy, bo mało czasu nam zostało – ponagla Krzysztof, uczeń trzeciej klasy liceum. On jest dzisiaj przewodnikiem, z pomocą Artura „dogra” ten wyjazd technicznie. Dzwonili do poszczególnych ośrodków, umawiali ludzi, przygotowali trasę, a teraz z mapą w rękę wspomagają kierowcę. Na całkowite przygotowanie wyjazdu poświęcili kilka wieczorów. Spoglądam na 18-latkę i myślę sobie, jak bardzo rozwijające jest właśnie takie spędzanie wolnego czasu: wyjazd na koncert z osobami niepełnosprawnymi, zwyczajna-niezwyczajna ludzka pomoc. Jakże odbiega to od modelu szalonego nastolatka zauroczonego dyskoteką i „kafejkami”, typowego dla kreowanego przez media pokolenia „Frugo”.

Jedziemy. Dzisiejsza trasa nosi nazwę Konstancińskiej. Jest ona pierwszą, najstarszą trasą „Via Spei”. Wiąże się z działalnością wspaniałego lekarza, znanego w kraju i zagranicą twórcy STOCERU (Społecznego Centrum Rahabilitacji), prof. Mariana Weissa. Człowiek ten, kochając osoby niepełnosprawne, znając ich potrzeby, był jednym z pomysłodawców i założycieli „Drogi Nadziei”. To właściwie dzięki niemu osoby z konstancińskich ośrodków do dziś mogą uczestniczyć w koncertach.

Za oknem biało, słychać szum silnika. Jedziemy oczekując spotkania. – Mam tam koleżanki i dlatego lubię jeździć, choć robię to od niedawna – mówi mi Gosia – uczennica liceum. – Co prawda w szkole mam tyle nauki, że trudno się wyrwać, ale jakoś sobie radzę, w końcu szkoła to nie wszystko – wyjaśnia z uśmiechem.

A jednak udział w takim wyjeździe to też pewnego rodzaju szkoła – przychodzi mi na myśl, gdy zerkam na młodych. Można naprawdę wiele się nauczyć: przede wszystkim dostrzec drugiego człowieka, dać mu całkiem bezinteresownie trochę swojego czasu i sił. To nie zawsze przychodzi od razu, to trzeba w sobie wypracować.

Na koniec świata

Już Reumatologia. Stajemy. Wsiada kilka osób, idą do ośrodka. Po paru minutach wyjeżdżają na wózkach ich pasażerki – są to głównie młode dziewczęta. Na pierwszy rzut oka niczym nie różnią się od większości zdrowych rówieśniczek. Ani bardziej wesołe, ani bardziej smutne, choć bez wątpienia bardziej doświadczone przez życie, bo przecież wiedzą co znaczy cierpienie. Dlatego może trochę bardziej dorosłe... .

Teraz wózki trzeba wstawić do autobusu. To już robota wybitnie dla mocnych dłoni. Schodek po schodku, ostrożnie, ale zdecydowanie. Trochę wysiłku, i już chłopcy sobie poradzili.

– Kochani, wchodźmy na przód, a tył jeszcze zostawmy wolny, i troszkę się ścieśnijmy – woła Artur.

– Rozumie się – odpowiadamy chórem. Bo tutaj pamięć o innych jest całkiem naturalna.

Wąskimi uliczkami jedziemy od ośrodka do ośrodka.

– Z naszymi kierowcami to nie zginiemy – przekonuje Dorota. – Mamy ich dwóch. Jeden to Pan Henryk, dzisiaj go nie ma, ale trzeba przyznać, że to wspaniały człowiek, a drugi to Pan Kazimierz, zawsze uśmiechnięty, gotowy do pomocy. Nieraz było trudno, a zawsze sobie radziliśmy.

– Bo ja to z taką młodzieżą mogę jechać na koniec świata – komentuje kierowca. – To są naprawdę kochane dzieci. Ile oni się tutaj wózków nanoszą, opiekują się słabszymi, i zawsze tacy radośni, że aż dziw bierze – z lekkim podziwem mówi pan Kazimierz.

Stale przybywają nowi pasażerowie. Jest gwarno i wesoło. Młodzi cieszą się, że jadą, cieszą się, że spotkali znajomych, opowiadają co nowego wydarzyło się od czasu poprzedniej akcji. A wydarzyć się mogło dużo, bo wyjazdy nie są tak częste jak kiedyś. Nie ma tylu osób, które chętne byłyby do pomocy, nie ma środków. Zwykle na akcję wyjeżdża jeden autobus. Może więc zabrać osoby tylko z jednej części Warszawy. Żeby było sprawiedliwie, raz jadą ludzie z Konstancina, a raz inni.

– Ja chciałbym siedzieć koło mojej pani, bo ją lubię – mówi Bartek z zespołem Dówna. – Dobrze, dobrze. Zaraz do ciebie przyjdę – uspokaja Marta swego „wielbiciele”. Nie daje długo na siebie czekać, zaraz siada koło niego i z jakąś naturalną sympatią rozpoczyna rozmowę.

– Nasi podopieczni przyzwyczajają się do nas, a my do nich. Po prostu lubimy ze sobą być – tłumaczy Dorota, która jest już w akcji siódmy rok. – Zresztą, myślę, że w dzisiejszym świecie często ludzie czują się samotni. Moim zdaniem tutaj można spotkać wielu otwartych, chętnych do rozmowy ludzi. Chociaż niektórzy mają niesprawne nogi, to wewnętrznie bywają dużo zdrowsi niż osoby sprawne fizycznie. Zresztą muszę wyznać, że mam czasem większe opory, aby nawiązać znajomość z osobami zdrowymi niż z niepełnosprawnymi. One mają w sobie coś takiego, co bardzo przyciąga. Taką dużą otwartość, zyczliwość – dodaje szczerze.

Zostańcie ze mną

Jedziemy w kierunku stolicy. Młodzi, siedząc grupkami żartują, rozmawiają, cieszą, że mogą ze sobą być. Słysząc brzmienie gitary i słowa „Hej, przyjaciele, przyjaciele, hej – zostańcie ze mną...” . Rzeczywiście zostaną, przynajmniej w czasie tego popołudnia. Gdzieś w rogu ktoś komuś opowiada dowcip, a obok mnie mała Madzia na wózku prosi Dorotę – zaśpiewaj dla mnie piosenkę. Po chwili słyszę jak Dorotka, gładząc małą po drobnej rączce nuci jej do ucha: „Opadły mgły i miasto do snu się budzi...”. Madzia próbuje śpiewać razem z nią i uśmiecha się szczęśliwa. Choćby tylko dla tej małej, choćby dla chwili radości warto organizować wyjazdy, zdaje się mówić twarz opiekunki.

Lubicie tę Dorotę? – pytam, udając, że nie dowierzam. – No pewnie, jej się nie da nie lubić – odpowiada mi siedzący koło okna i obserwujący wszystko Romek, który ma problemy z chodzeniem. – Zresztą tak samo jak i innych, np. Grażynkę. Jak dzisiaj do mnie zadzwoniła i powiedziała, że nie przyjedzie, bo jest chora, to tak mi się smutno zrobiło, że nie wiem. A w ogóle – dodaje – byłoby najlepiej, żeby takie wyjazdy były codzienne, i to dwa razy w ciągu dnia: rano i wieczorem, a co! Bo wie Pani, tutaj to jest cudowne, że

nie ma zakłamania, wszyscy są sobą, nie musimy udawać, nikt nie uważa, że jesteśmy gorsi, inni. Nikt nas nie wytyka palcami, nie dogryza. Liczy się po prostu człowiek. W świecie jest różnie. Często zapomina się o nas. Zapomina się, że na osiedlu może mieszkać człowiek niepełnosprawny, nie ma podjazdów. Nie ułatwia się nam życia, często musimy sami o siebie dbać. To jest smutne.

Słowa Romka uświadomiły mi, jak bardzo przepełnione bólem muszą być osoby, które co pewien czas czują się, jakby o nich zapomnieli wszyscy ludzie. Zbyt często nie brało się ich pod uwagę przy budowaniu osiedli, traktowało tak, jakby nie istnieli. A przecież nie jest ich wcale mało. Choć może onieśmieleni, załęknieni rzadko wychodzą z domu, nie krzyczą, że żyją.

Dojeżdżamy do Warszawy. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze, by zabrać kilku podopiecznych z domów prywatnych. Przybywają nowe osoby i nowe wózki.

Mały promyk nadziei

– Ten autobus to się naprawdę rozciąga. Jedzie nas tu chyba z 80 osób – spostrzega ktoś z przodu. I rzeczywiście, na pierwszy rzut oka już chyba nie zmieściłby się ani jeden wózek. O dziwo właśnie taka specyficzna sytuacja sprzyja atmosferze szczególnej bliskości. Ktoś wyjmuje cukierki, oczywiście nie po to, by zjeść samemu. Cała gromadka robi wrażenie jednej wielkiej rodziny.

– A teraz, panie Kazimierzu, gazu, żebyśmy zdążyli na czas – słychać głos niecierpliwego. – Zrobi się co będzie można – odpowiada kierowca. – Nie zawsze da się przyspieszyć. Raz, że zima – ślisko, po drugie trzeba bardzo ostrożnie jechać z ludźmi na wózkach. Niektórzy kierowcy, widząc specjalną tabliczkę, która wskazuje, że jadą osoby niepełnosprawne, traktują nas jak uprzywilejowanych, a niektórzy wprost przeciwnie, nawet wymuszają pierwszeństwo – tłumaczy mi pan Kazimierz.

Dojeżdżamy. Chłopcy wybiegają na dwór, chwytają wózki, pomagają zejść osobom słabszym. Dziewczęta asekurują. Teraz szatnia, pomoc w zdjęciu wierzchnich ubrań, winda i na górę.

Co prawda jest już pięć po osiemnastej. Straciliśmy trochę ze słowa o muzyce, ale występ artystów jeszcze się nie zaczął.

Na koncercie każdy z opiekunów zajmuje się co najmniej jednym podopiecznym. Tak musi być. Trzeba być do dyspozycji przez cały czas. Trzeba czuć, a w razie potrzeby służyć pomocą.

W ten wyjątkowy dzień mamy możliwość posłuchać muzyki Chopina. Koncert odbywa się z okazji 150 rocznicy śmierci artysty. Występuje Polska Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna Państwowej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina w Bytomiu. Dyryguje Andrzej Affeltowicz. Młodzi, uzdolnieni artyści m.in. jako soliści: Wojciech Światała, Agnieszka Kulikow-Światała grają dla nas – w większości młodych, i w dodatku nieśmiertelnego Chopina... Niesamowite przeżycie: piękna muzyka – pożywka dla ducha i szansa wyciszenia. Pyszne wnętrza i wspaniała akustyka filharmonii sprzyjają niepowtarzalnym doznaniom. Tak dobrze choć na dwie godziny oderwać myśl od codziennych problemów. Tak cudownie zapomnieć o wszystkim i całkowicie oddać się nastrojowi tego niecodziennego wydarzenia. – Jak ja to lubię – zwierza się w czasie przerwy Romek (podopieczny). – Te koncerty są zdecydowanie za rzadko... – A ja to słucham często in-

nej muzyki, trochę mi się spać chciało – mówi otwarcie inny podopieczny, ale i tak lubię tu przyjeżdżać – zaznacza. – Pięknie było, pięknie – dodaje któraś z pań – ale z chęcią poszłabym również do kina, tylko chyba z funduszami jest problem.

Rzeczywiście, finanse to jeden z głównych problemów, z jakimi borykają się obecnie członkowie „Via Spei” – Staramy się szukać sponsorów, ale mimo wszystko brakuje pieniędzy zwierza się Artur. – Bywa, że nie wystarcza nawet na wynajęcie autokaru. Zdarza się, że obsługa daje ze swoich. Dlatego największym moim marzeniem jest otworenie fundacji – kontynuuje.

– Gdyby były środki, moglibyśmy więcej zrobić. Marzy mi się organizowanie jeszcze innych rozrywek (np. wyjście do kina, teatru). Marzą mi się obozy rehabilitacyjne. To byłoby wspaniałe doświadczenie zarówno dla niepełnosprawnych jak i opiekunów. Być dłużej razem i wreszcie nacieszyć się sobą... .

Druga część koncertu minęła bardzo szybko. O dwudziestej, po gromkich brawach wszyscy zaczęliśmy kierować się ku szatni.

Roześmiane buzie zdają się zapewniać, że przyjazd nie był daremny. Choćby po to, by spowodować mały promyk radości jestem przekonana, że warto to robić. Na dole czekają wytrwali opiekunowie, aby pomóc w ubieraniu podopiecznych. Chłopcy gotowi do dźwigania wózków. Dziewczęta służą pomocą bardziej sprawnym osobom. Są oparciem, szczególnie przy schodzeniu i wchodzeniu na schodki. Nie każdy uświadamia sobie jak ważne może być zwykłe podanie dłoni – to trzeba zobaczyć, aby zrozumieć.

Okolo pół do dziewiątej ruszamy. Wesoły nastrój. Rozgadany i rozśpiewany autobus, trochę nie z tego świata, bo świat mówi, że nadzieja matką głupich, a on na przekór temu, dla wielu jest właśnie nadzieją.

Jest jeszcze dużo dobrych ludzi

– Te wyjazdy to dla nas jedyna rozrywka, takie oderwanie od rzeczywistości, zwłaszcza gdy człowiek siedzi w czterech ścianach – zwierzają się pani Marianna i pani Stasia, które już 15 lat biorą udział w akcjach. Korzystamy od samego początku – dodają. – W dodatku ta młodzież jest taka wspaniała, że czujemy się tutaj bardzo dobrze, po prostu jak ze swoimi. A wie pani, teraz to tak jakoś na tym świecie się dzieje – dodają – że człowiek boi się człowieka, ludzie się zamykają na kilka zamków, kratują, żeby być bezpiecznym. A tutaj widać, że jest jeszcze dużo dobrych ludzi na świecie.

Pani Marianna jako jedna z niewielu osób ma możliwość uczestniczenia w koncertach. Piętnaście lat temu, kiedy jeszcze Towarzystwo Walki z Kalectwem organizowało obozy rehabilitacyjne, wyjechała do Kamienia Podolskiego, gdzie poznała Dariusza Góreckiego, ówczesnego szefa „Via Spei”. Za jego namową, na jego zaproszenie pierwszy raz skorzystała z pomocy młodych. Od tamtego czasu jeździ, kiedy tylko może. Jest to jej główna rozrywka, tym bardziej, że wyjechać na obóz czy do sanatorium obecnie nie ma szans. – Kiedyś, przynajmniej raz w roku mogłam być na obozie, teraz są z tym duże problemy. Ostatni raz byłam siedem lat temu – mówi ze smutkiem.

Trzeba wysiadać, zbliżamy się do osiedla, na którym panie mieszkają. Sprawne ręce chłopców transportują wózek z autobusu. Teraz grupa „obsługi” idzie odprowadzić obydwie kobiety. Okazuje się, że pani Marianna ma dzisiaj urodziny. O tym nie mogły dziewczęta zapomnieć. Znalazły się kwiaty i kartka imiennowa, a potem „sto lat” i życzenia.

Solenizantka nie ukrywa wzruszenia. – Oj, gdyby było więcej czasu, moi kochani, to byśmy trochę posiedzieli – mówi nieco zmieszana. – Chociaż cukierkami poczęstujcie się moje dzieci – dodaje, wyjmując słodycze. – Tak, nasza Marianko kochana, ale teraz autobus czeka, musimy uciekać. Pa, zadzwonimy – obiecują dziewczyny, i już jesteśmy za drzwiami.

Jedziemy dalej. Tym razem już bez gitary, ale za to słychać głośny śpiew „Za te czarne oczy” i „My cyganie”. Dominują niskie tony, słychać basy chłopców. Jest gwarno i wesoło.

– Ostatnio – opowiada podopieczny Romek – byliśmy na sylwestrze organizowanym przez Młodą Filharmonię. Tak się wytańczyłem, że aż mnie nogi bolały. Było naprawdę niesamowicie. Bawiliśmy się wszyscy razem do rana. Ja dopiero przed piątą wróciłem do domu. Był nawet Pan Terlecki z żoną – dodaje z radością.

Władysław Terlecki to Szef Młodej Filharmonii, współzałożyciel i opiekun „Via Spei”. Prowadzi sekcję koncertów czwartkowych – To on czuwa nad całością, jest duchowym przewodnikiem – opowiada Grażyna, która już 8 lat działa w ramach akcji. – Jest kierunkowskazem, ale takim, który sam kroczy drogą, którą wskazuje – dodaje z nieukrywanym podziwem. – Władek, to główny motor napędowy całej akcji – podkreśla Artur. – Jestem pewien, że bez niego tej akcji by nie było. To on o nią zabiega, wkłada całe serce, on o nią walczy.

Nie mówi się o Chrystusie, ale On jest

A energii do walki panu Terleckiemu nie brak. Rozmawiając z nim odnosi się wrażenie, że mimo dojrzałego wieku jest bardziej młody niż niejeden dwudziestolatek. Opowiada, ile jeszcze można byłoby zrobić, zachwyca się muzyką, koncertami. Tyle ma planów, tyle pragnień. Przede wszystkim z podziwem patrzy na młodych opiekunów. Ta akcja istnieje tylko dzięki nim – podkreśla. 95 % inicjatywy jest w rękach samej młodzieży. Jakie to jest wychowawcze, jak uczy odpowiedzialności. Pytany o początki akcji wymienia szereg nazwisk, wszystkim składa podziękowania, wszystkim jest bardzo wdzięczny. O sobie raczej nie wspomina, nie przydziela żadnych zasług, choć od początku najbardziej zabiegał o jej istnienie.

– W tamtejszych czasach w wielu osobach dojrzewała taka myśl, że trzeba umożliwić osobom niepełnosprawnym dostęp do filharmonii – tej świątyni sztuki – wspomina. Bo niby dlaczego tylko zdrowi mieliby z tego dobra korzystać? Zresztą nie od dziś wiadomo, jak wielkie terapeutyczne znaczenie ma muzyka – tłumaczy z wielkim zaangażowaniem.

– Więc prowadziliśmy intensywne rozmowy w szeregu gremiów. Na Żoliborzu, w Społecznym Domu Kultury WSM, w Uniwersytecie Zdrowia Powszechnego, w PCK. Same dyskusje trwały dwa lata. Kiedy już zapadła decyzja, że akcja będzie, to trzeba było zacząć ją organizować. A nie było łatwo. Brakowało funduszy, brakowało autobusów. A jednak udało się. Pierwszy autobus wyjechał 27 października 1977. Naszym kierowcą był wspaniały człowiek Józek Kucharski, który bardzo nam pomagał. Jak widać „Droga Nadziei” istnieje do dnia dzisiejszego. Jedno, co mogę śmiało powiedzieć, to to, że jest to wspaniała praca, wspaniała służba. Tutaj nie mówi się o Chrystusie, ale On jest. I to jest chyba powód tego, że przetrwaliśmy. Były okresy naprawdę ciężkie. Przetrwaliliśmy dzięki siłom nie tylko ludzkim, to jest pewne – wspomina w zamyśleniu pan Terlecki.

Słowa nie są nic warte, gdy nie mają pokrycia w uczynkach – dopowiadam w myślach. „Droga Nadziei” to jedno wielkie działanie, tu nie chodzi o puste słowa, ale liczą się konkrety. Tutaj trzeba pochylić się nad słabym człowiekiem, dlatego, że jest ważny, jedyny, kochany. Liczy się po prostu miłość, chociaż wprost się o tym nie mówi. A tam, gdzie jest miłość jest Pan Bóg, bo On jest Miłością. Teraz już rozumiem co chciał mi przekazać pan Władysław.

Trzeba wracać do domu

Tymczasem zbliżamy się do Konstancina. Zmrok już dawno zapadł, ale twarze osób nie są wcale mroczne. Wręcz przeciwnie, humory dopisują. Ostatnie rozmowy. Tu i ówdzie odbywa się wymiana adresów i numerów telefonu. -Wszystko, co dobre, to się szybko kończy – komentuje z nutą żalu w głosie ktoś w tyłu.

Podjeżdżamy pod pierwszy ośrodek. Wsiadają dziewczęta. Chłopcy jak zwykle gotowi do pomocy. Żaden nie okaże, że zmęczony. Jeszcze ostatnie uściski, „eskorta” pod same drzwi, trochę smutne oczy, bo coś dobrego się skończyło. Ale pozostaje nadzieja, że wkrótce znów będzie spotkanie.

Autobus już prawie pusty, niedługo zostaną sami opiekunowie. Póki co podjeżdżamy pod Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Chylicach. Dziewczęta otoczone przez nas podchodzą do ogrodzenia. Na powitanie pierwsza wybiega znajoma suczka. Za dużo chyba ludzi, bo zaczyna szczekać. – Sunia to my przecież, nie poznajesz? – obrusza się jedna z dziewcząt.

Za chwilę otwiera się brama, za którą znikają ostatnie podopieczne. Jest dwudziesta druga trzydzieści. Tak szybko minął czas. Jeszcze tylko wszyscy wpiszą się do pamiątkowej księgi.

– Dzisiaj to był dzień – komentuje Agnieszka. Było naprawdę dużo ludzi, z 50 osób samych „gości”. Wyszło chyba nieźle. – Oj, gdyby nas było więcej – dodaje Dorota – to moglibyśmy więcej osób zabierać, moglibyśmy więcej robić.

Brak silnych rąk

– Mówiłem już pani, że pierwszym problemem są fundusze, drugi leży w ludziach – zwierza się Artur. – Wydaje mi się, że dzisiaj jest jakoś trudniej ludziom się zaangażować. Dla przeciętnego człowieka nie jest atrakcją trochę się potrudzić, podźwigać. Nie jest też łatwo dać siebie w sensie emocjonalnym. Wielu woli pójść gdzieś się „rozerwać”. Obecnie obserwujemy dużą rotację. Młodzi przyjdą kilka razy i odchodzą do swoich spraw, do swojego życia, nie zostają. Szczególnie brakuje nam chłopaków. Bez facetów ta akcja nie mogłaby istnieć, dziewczęta przecież nie mają tyle siły fizycznej, nie powinny dźwigać wózków. Ale chłopców, niestety, nam nie przybywa. To prawda, że nasza praca nie jest ani nagradzana pieniędzmi, ani o niej nie słychać w mediach. Pracuje się przez cały rok i tego nie widać. A człowiek lubi czasem, aby go pochwalono, doceniono. Ale właśnie dlatego że tak jest, wydaje mi się to bardzo rozwijające. Pracuje się nie po to, by dostać medal, nie dla splendoru, tylko dla jakiegoś dobra. Człowiek uczy się robić coś w cichości, skromności i to jest piękne. I chyba to właśnie jest najbardziej prawdziwe. Ja myślę też, że jest to dzisiaj ogromna szansa dla młodych ludzi. Tak bardzo niektórzy gonią za pieniędzmi, a jak już je zdobędą, to okazuje się, że to im nie wystarcza. Uświada-

miają sobie, że żyją w jakiejś ciągłej depresji, że nie cieszą się życiem. Mają w sobie ogromną pustkę – dodaje.

Słowa Artura zapadły mi głęboko w serce. Z pewnością są osoby, które poszukują właściwej drogi, takie, którym nie wystarcza codzienna pogoń za pieniędzmi. Jest wielu szukających sensu swojego życia, pragnących robić coś dobrego, pożytecznego, odpowiedzialnego. Co prawda zło jest krzykliwe, przez to bardziej rzuca się w oczy. Dobro zaś zwykle ciche i mniej widoczne ale ... istnieje i jest go przecież więcej. Dlatego trzeba wskazywać je młodym, aktywizować. Piękne akcje należy nagłaśniać. Wydaje się, że „Via Spei” jest jeszcze za mało znana, za mało reklamowana.

A może by znów komunikaty?

Parę lat temu w Filharmonii Narodowej w czwartki były tzw. komunikaty. Przed rozpoczęciem koncertu mówiono o obyczajach sal koncertowych, wskazywano na pewne oznaki dobrego wychowania, wszystko to w dowcipny, przystępny sposób. W czasie takich komunikatów z estrady zapraszano młodzież do udziału w akcji „Via Spei”, tłumaczono na czym ona polega. Zapraszano wszystkich „o mocnych dłoniach i wielkim sercu”. – Ja właśnie przez taki komunikat tutaj trafiłam – wspomina jedna z dziewcząt. – Pomyślałam, że może mocnych dłoni to nie mam, ale serce chciałabym mieć wielkie i... tak się zaczęło. Niestety, później dyrekcja filharmonii zdecydowała, że takich komunikatów już nie będzie. Szkoda. Moim zdaniem była to fantastyczna rzecz. Młodzież, która interesowała się muzyką mogła zobaczyć osoby z „obsługi”, podopiecznych, w czasie przerwy dopytać o pewne rzeczy i zaangażować się – dodaje z niekrytym smutkiem.

Tymczasem dyrektor naczelny Filharmonii Narodowej Kazimierz Kord zapewnia, że działania młodzieży popiera całkowicie. – Jest to bardzo dobra akcja, która pozwala wielu ludziom mającym problemy z poruszaniem się uczestniczyć w koncertach – podkreśla. – Jednak samych komunikatów z tą akcją bym nie łączył, jest to osobna sprawa. Dawniej zawierały one treści, które niekoniecznie powinny być komunikowane w czasie koncertu – wyjaśnia. Natomiast sama sprawa apelu zachęcającego młodzież do uczestniczenia w akcji jest do rozważenia, trzeba byłoby to tylko zrobić w umiejętny sposób – zaznacza. Nic mi nie wiadomo że „Via Spei” ma jakiegokolwiek trudności, że brakuje osób. Uważam, że zasięg akcji jest naprawdę duży. Jeśli będą jakiegokolwiek problemy, niech pani będzie pewna, że dyrekcja będzie robić wszystko, żeby akcję podtrzymać, rozszerzać i jeszcze bardziej propagować – dodaje na zakończenie rozmowy.

Dojeżdżamy do Warszawy. Jest już po jedenastej, za chwilę wszyscy rozejdą się do domów. Jeszcze tylko przypomnienie, że za dwa tygodnie znów się spotykamy, o piętnastej przy Jasnej. Jeszcze pożegnanie z panem Kazimierzem, podziękowania i już dojeżdżamy do Centrum.

Ciekawe, czy podopieczni są teraz w łóżkach, czy są zadowoleni? Bo przecież o to chodziło, żeby dać im choć trochę radości – zastanawiam się po drodze. Ciekawe, czy dyrekcja filharmonii wywiąże się z obietnicy i będzie jeszcze bardziej wspierać młodych? Ciekawe, czy znajdą się nowe, poważne osoby o „mocnych dłoniach i wielkim sercu”, gotowe raz, czy dwa razy w miesiącu poświęcić czas drugiemu człowiekowi....

Dotknąć czegoś prawdziwego

Artur Kuczbajski (szef „Via Spei”): „Mnie osobiście akcja zmieniła „o 180 stopni”. Moim zdaniem jest to dzisiaj naprawdę szansa dla młodych, aby znaleźli coś dobrego w sobie. Sam fakt, że mogą zobaczyć inny świat, otrzeć się o czyjeś cierpienie, może być przełomem, może pomóc dojrzeć. Jest to dla wielu osób szansa, żeby dotknąć czegoś prawdziwego. Dla mnie jest to wystarczający powód, żeby na tej akcji być, żeby o nią walczyć. Akcja jest ważna ze względu na osoby niepełnosprawne, bo daje im jakiś promyk nadziei, ale też dlatego, że ma w sobie właściwości, powiedziałbym, pedagogiczne, terapeutyczne dla osób pomagających. Dlatego zachęcałbym wszystkich, żeby spróbowali...”.

P.S. Wszystkim osobom zainteresowanym wzięciem udziału w akcji „Via Spei” (lub jej wsparciem) podajemy numer telefonu, pod którym można uzyskać szczegółowe informacje: (0-22) 8267281 (wew. 115;170).



Rys. Marcin Kotarski, lat 20

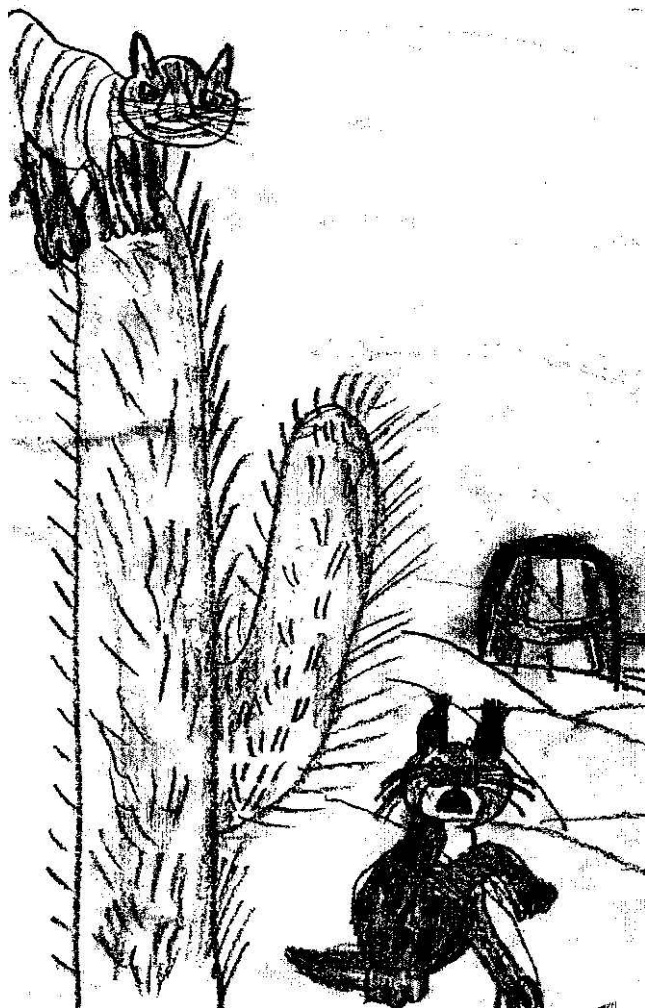
ŚRÓDMIEJSKIE FORUM KULTURY w Łodzi
OŚRODEK INICJATYW ARTYSTYCZNYCH – TEATR „77” w Łodzi
ogłaszają
III KONKURS NA UTWÓR DRAMATURGICZNY
dla młodzieży szkół średnich i studentów
„MY – NA PROGU NOWEGO WIEKU”

REGULAMIN KONKURSU

1. W konkursie mogą wziąć udział młodzi twórcy (do lat 30-tu), których dramaty nie były dotąd publikowane ani wystawiane przez teatry profesjonalne.
2. Prace konkursowe w formie dramatu lub monodramu powinny poruszać problemy młodego pokolenia we współczesnej rzeczywistości i wynikać z własnego widzenia świata dziś lub wyrażać niepokoje związane z przyszłością.
3. Prace w trzech egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem, należy nadesłać (albo złożyć osobiście) do Śródmiejskiego Forum Kultury, 90-056 Łódź, ul. Roosevelta 17, do dnia 14 maja 1999r.
4. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w połowie czerwca 1999r. O dokładnym terminie autorzy prac konkursowych zostaną powiadomieni pisemnie lub telefonicznie.
5. Prace konkursowe oceniać będzie jury powołane przez organizatorów.
6. Najciekawszym pracom jury przyzna nagrody i wyróżnienia.
7. W kolejnym etapie przewidujemy realizację nagrodzonych prac. Najciekawsze realizacje zostaną zaprezentowane w WIELKIM FINALE, w styczniu 2000 roku, w Teatrze „77”.

Bliższe informacje dotyczące konkursu można uzyskać pod nr telefonu 636-68-38

Rys. Katarzyna Wojniak, lat 22



Z dziejów odrzuconych

**Edyta Kopiel
Andrzej Szejgic**

Niepełnosprawni w średniowieczu

W epoce średniowiecza osoby ułomne, tj. chore, kalekie, upośledzone, były traktowane jako ludzie marginesu, wyrzutki. W nowej rzeczywistości człowiek przestawał czuć się bezradny wobec przyrody i własnego losu. Jednak pomimo rozkwitu kultury, gospodarki średniowiecznej, bieda i ubóstwo były widoczne na każdym kroku. Społeczeństwo podzieliło się na dwie warstwy: biedną i bogatą. Jednakże ubóstwo często było wynikiem własnego wyboru, a nie zrzędzeniem losu. Ludzie uważali, że żyjąc biednie i skromnie będą bardziej podobali się Bogu, aniżeli żyjąc w dostatku. Zaczęły tworzyć się w tym okresie ruchy dobrowolnego ubóstwa. Animatorami ruchu byli wędrowni kaznodzieje, do grona których należeli ludzie świeccy, często kupcy. Wzywali oni do wyrzeczenia się dóbr osobistych, naśladowania apostołów. W bogactwie Kościoła i Jego hierarchii upatrywali przeszkody w realizacji Królestwa Bożego na Ziemi. W okresie tym zaczęły tworzyć się tak zwane zakony żebracze, które odgrywały bardzo ważną rolę w życiu społeczeństwa. Były to zakony, które wyrosły ze środowisk miejskich i z ich potrzeb religijnych, dlatego też ich nadrzędnym celem było duszpasterstwo wśród świeckich. Klasztory te nie posiadały żadnego majątku, utrzymanie braciom miała dawać jakakolwiek praca, a w ostateczności jałmużna. Jednak wcześniej istniejące zakony nie uległy i nie przyłączyły się do nowo powstałego „programu” żebrzących. Zakonnicy woleli nieść pomoc innym poprzez ciężką pracę, aniżeli siedzieć i przyglądać się wzrastającej biedzie. Dzięki swej działalności dobroczynnej oraz dzięki środkom jakie mieli w tym czasie do dyspozycji organizowali szpitale, przytułki, szkoły, a przede wszystkim opiekę społeczną. Ich pomoc miała dobroczynny charakter, bowiem wydawali posiłki dla biednych, kupowali używaną odzież i obuwie dla nędzarzy. Wszystko czynili w imię Boga, uważając, że każdego przybysza i biedaka należy przyjąć jak Chrystusa. W okresach głodu, które nierzadko trafiały się w średniowieczu, działalność klasztorów mogła osiągnąć rozmiary prawdziwej opieki społecznej. Organizowały one tzw. „zupy dla ludzi”. Panujący głód zagrażał niemal co roku, gdyż „nowe zboże jeszcze nie dojrzało, a w spichrzach brakowało zeszłorocznego”. Klasztory ułatwiały ludziom przeżycie, rozdając zboże, zupę oraz odzież. Akcja ta często zwana była „chlebem majowym”.

Jak wcześniej napisaliśmy, oprócz braci zakonnych zebrała również większa część społeczeństwa, bowiem „owoce” z rozwijającej się gospodarki nie były dostępne jeszcze dla wszystkich. Ci, którzy mieli pieniądze mogli zdobyć wszystko. Biedni mogli liczyć jedynie na okruchy. Z dostępnej literatury wiadomo, że rozkwit gospodarki średniowiecznej miał plusy, ale i wiele minusów. W błyskawicznym tempie zaczęły rozwijać się prze-

różne choroby z którymi ludzie nie byli w stanie walczyć. Jedną z takich chorób była dżuma zwana „czarną śmiercią” lub „morową zarazą”. Epidemia dżumy wywoływała wszędzie panikę i przerażenie. Objawami tej choroby były: bóle głowy, dreszcze, wysoka gorączka. Na skórze występowały zmiany krwotoczne, które ropiały i pękały. Osoby z takimi objawami czekała niechybna śmierć. Inną nieuleczalną w tym okresie chorobą był trąd, który objawiał się gniciem ciała. Przyczyną roznoszenia tych chorób były wymiany towarowe pomiędzy różnymi państwami. Żeglarze, którzy wypływali w morze z dużymi zapasami żywności. Żyjące na statkach szczury miały znakomite warunki bytowania. Kiedy statki zakotwiczały w docelowym porcie, miejscowe szczury mieszały się z tymi ze statków. Pchły żywiące się krwią gryzoni zarażały się chorobą, którą przenosiły na inne szczury. Kiedy szczury zaczęły masowo ginąć, pchły znalazły sobie nowych żywicieli – ludzi. Żywiąc się krwią marynarzy i pasażerów – ich z kolei zarażały tą straszliwą chorobą. Kiedy statki dopływały na ląd, w ten właśnie sposób za pośrednictwem szczurów, pcheł – nosicieli pałeczek dżumy, i zarażonych ludzi ze statku, „czarna śmierć” szybko się rozprzestrzeniała i zbierała miliony ofiar ludzkich. Podczas epidemii różnych chorób umierało wiele osób. Umierali wszyscy – biedni i bogaci, starzy i młodzi. Ludzi chowano w pośpiesznie wykopanych, zbiorowych grobach. Gdy nie nadążano z kopaniem grobów, pozostawiano zmarłych tam, gdzie dopadła ich śmierć. Ludzie chorzy uważani byli w społeczeństwie za kogoś gorszego, za „podludzi”. Człowiek średniowieczny nie był tolerancyjny – chorą osobę spisywał na straty. Taka sytuacja wywoływała w ludziach przerażenie, panikę i egoizm. Każdy martwił się o siebie. Bojąc się zarażenia straszliwą chorobą, gotów był nawet zabić członka własnej rodziny. Jak już wyżej wspomnieliśmy, ludzie chorzy byli potępiani przez ludzi zdrowych – nastąpiła separacja trędowatych. Separacja ta polegała między innymi na tym, iż biskup podczas nabożeństwa, przez symboliczne gesty odcinał trędowatych od społeczeństwa i czynił z nich umarłych dla świata. Na kazaniach biskupi nastawiali ludzi przeciwko chorym. W swoich kazaniach głosili, iż chorzy dla Boga nie istnieją – są przez Niego wyklęci. W wyniku tego powstawały Sądy Kościelne zwane Trybunałami Inkwizycyjnymi. Zadaniem Trybunału było wyznaczanie praw trędowatych, a w ostateczności kar. Trędowatym nie wolno było niczego dotykać, czego dotyczą zdrowi, a swoje nadejście musieli sygnalizować głosem kołatki. W trochę innej sytuacji pozostawali chorzy mający ogromne pieniądze oraz pozycję społeczną. Czy byli kalekami, ułomnymi, czy chorymi na trąd zawsze znajdowali się w lepszym położeniu niż ci biedni, o których mówiliśmy wcześniej. Mimo swej ułomności nie należeli do marginesu. Dzięki swemu statusowi społecznemu oraz sytuacji materialnej mieli zapewnioną opiekę. Nawet w wypadku trądu zdarzało się, że nie stosowano wykluczenia chorego z społeczeństwa.

Po wielkim głodzie panującym w Europie w latach 1315 – 1318, zarówno chorzy, jak i ludzie innego wyznania niż katolickie byli oskarżeni o zatrucie studzien i źródeł wodnych, czego wynikiem była nagła śmierć kilku tysięcy ludzi. W tym czasie straszliwą rolę odegrały Trybunały Inkwizycyjne przeprowadzające masowe przesłuchania, które zawsze kończyły się karą śmierci (przeprowadzanie egzekucji odbywało się poprzez spalenie na stosie, rozciąganie ciała, ćwiartowanie, a także zbiorowe wieszanie).

W 1340 roku sytuacja chorych radykalnie się zmieniła. Zaczęły powstawać w dynamicznym tempie szpitale. Jednak z powodu małych dotacji ze strony państwa leczenie

chorych nie było „kompletne”. Leczenie takie było jedynie teoretyczne, a nie praktyczne. Nikt nie przejmował się chorymi. Po kilku dniach pobytu w szpitalu chory był wyrzucany na bruk, mimo, że choroba wymagała co najmniej kilku miesięcy specjalistycznego leczenia. W wyniku wielkich represji antyżebrańczych bezdomni, często chorzy zaczęli masowo wstępować do band zbójceckich, aby ochronić się przed inkwizycją, zapewnić sobie byt oraz wyżywienie. Spowodowało to, iż zaczęły radykalnie wzrastać przestępstwa i morderstwa. Jednak ta ochrona przed inkwizycją nie dała pozytywnego wyniku. Członkostwo w grupie przestępczej kończyło się zwykle dożywotnimi galerami, banicją, chłostą lub śmiertelnymi torturami. Mimo tak drastycznych kar przestępczość nie malała. Kobiety trudniły się nierządem, mężczyźni morderstwami na zlecenie, dzieci kra- dzieżą.

Najmniejszą możliwą karą było więzienie, chociaż życie w nim nie było łatwe. Ciągłe panował głód, który prowadził do śmierci.

W celu zmniejszenia żebractwa otwierano szpitale dla ubogich. Po 1350 roku już około 2000 ubogich znalazło się w takich szpitalach. Przetrzymani tam mieli tylko wyznaczony okrąg do poruszania się. Po pewnym czasie nastąpiła przymusowa rekrutacja siły roboczej. Była to rekrutacja antyżebrańcza. W wyniku tego zatrudniono bezdomnych w wielu szpitalach. Jednak nie zatrudniono wszystkich. Resztę oskarżono o niepodporządkowanie się rozkazowi. Takie osoby aresztowano i brutalnie zamordowano.

Po 1350 roku wprowadzono prawo opieki nad żebrakami. Dawano im mieszkanie, wyżywienie. Dzieci wysyłano do szkół, natomiast obcym – z innych miast – nakazano wrócić do siebie.

Polskie Stowarzyszenie Syndrom Tourette'a
Ośrodek Informacji TOPOS
00-238 Warszawa, ul. Długa 38/40

Katarzyna Krakowska

Potrzebujący na ulicy

W każdym czasie i w każdym społeczeństwie istniała (i obecnie też istnieje) pewna liczba ludzi, którzy nie mogli sobie zapewnić środków utrzymania własnym wysiłkiem. Zwano ich ubogimi. Ubodzy, którzy podejmowali wędrowkę mającą na celu uzyskanie jałmużny, będącej podstawą ich egzystencji, przeżycia w społeczeństwie, zwani byli żebrakami lub „dziadami”. Pochodzili najczęściej z ludności chłopskiej lub uboższej miejskiej, do podejmowania wędrowki żebraczej zmuszało ich kalectwo, starość, choroby uniemożliwiające podjęcie pracy, śmierć bliskich, ucieczka od rodziny, być może również ciekawość świata albo pobożność pielgrzyma. Ich istnienie w społeczeństwach, począwszy od gmin wczesnochrześcijańskich, przez długie wieki Średniowiecza, aż do czasów nam nieodległych, ugruntowane było zasadami chrześcijańskimi, przede wszystkim obowiązkiem miłosierdzia względem ubogich. Wspieranie biednych zajmowało wysokie miejsce wśród dobrych uczynków zadośćczyniących za grzechy, jałmużna przeznaczona dla żebraka była cząstkowym środkiem do osiągnięcia zbawienia, była również rezultatem naturalnego współczucia, lub manifestacją własnego bogactwa. Szlachcic, kupiec czy rzemieślnik, rzucając grosz „dziadowi”, poprawiał własne mniemanie o sobie i czuł się usprawiedliwiony w sumieniu za pomnażanie swojego bogactwa. Filantropia taka potrzebna była obu stronom: biorącym, by przeżyć i dającym, by spokojnie posiadać i pomnażać.

Spontaniczny i doraźny charakter jałmużny zaostrzył z czasem zjawisko żebractwa, które stało się rzemiosłem, wytwarzając określone techniki żebrania, obyczaje, strój. Żebraków przyciągało szczególnie miasto ze swoją nieokreśloną masą ludzką oraz wielością rąk dających jałmużnę.

Kwalifikacją zawodową żebraka była jego niezdolność do pracy poświadczona ułomnością, kalectwem lub chorobą, również branie ze sobą dziecka na żebraninę było jednym ze sposobów budzenia litości u ofiarodawcy. Obraz żebractwa lubelskiego (Lublin był miastem atrakcyjnym dla żebraków, w pewnych okresach czasu nawet bardziej niż Warszawa) z końca XVIII wieku przedstawia Józef Rulikowski w pamiętnikach: „Smutny widok żebractwa, kalectwa, starości w mnogiej liczbie [...]. Żebractwem wypełnione były wszystkie miejsca zgromadzeń publicznych, domy zabawy, kościoły, ulice miejskie i trakty większe. [...] zbierało się to żebractwo, dziady, baby, kaleki, dzieci obojga płci, ślepi i kulawi, pełzający i czołgający, najokropniej pokoślawieni...”. Ubierali się w sposób jak najbardziej nędzny, w rzeczy podarte, łatanie wielokrotnie, najczęściej brudne, nosili ze sobą jedną lub dwie torby, naczynie na wodę w postaci butelki lub tytkwy, czasami jakiś instrument muzyczny, z pomocą którego śpiewali pieśni z tzw. reper-

tuaru „dziadowskiego”. Znaczną liczbę osób proszących o jałmużnę starano się ograniczać przez wydzielenie z tej grupy takich jednostek, które mogły pracować. Traktowano ich jak włóczęgów i stosując represje zmuszano do uczciwej pracy. Utrwalił się dzięki temu podział żebraków na „prawdziwych” i „fałszywych”. Ci pierwsi, albo dostawali pozwolenie na żebranie w wyznaczonych do tego miejscach, albo byli odsyłani do szpitali lub przytułków, tych drugich-fałszywych kierowano najczęściej do pracy. Ważnym przedsięwzięciem było poddanie tych rzesz żebraków ewidencji i kontroli, lecz nawet w Oświeceniu takie reformy nie powiodły się. Dopiero wiek XIX przyniósł pozytywne wyniki działań ewidencyjnych.

W ograniczeniu liczby żebraków potrzebujących wsparcia pomagały policji instytucje opiekuńczo-charytatywne powstałe w kilku miastach Królestwa Polskiego przy końcu XVIII i na początku XIX wieku, również w Lublinie. Były to tzw. Towarzystwa Dobroczyńności. Lubelskie Towarzystwo Dobroczyńności zostało powołane w 1815 roku przez ludzi „dobrej woli”, aby „prawdziwie nieszczęśliwym umniejszać nędzę i cierpienia”. Głównym celem było zwalczanie żebractwa przez tworzenie przytułków dla żebraków, udzielanie zapomóg, szukanie pracy dla tych, którzy mogli ją podjąć. Dla żebraków, którym pomocy od razu nie można było udzielić sporządzano „świadczenia ubóstwa”. Były to zezwolenia na żebranie, a ci którzy ich nie posiadali podlegali pościgowi policji z czym wiązały się kary, gdyż żebranie było prawnie zabronione, nie biorąc pod uwagę pewnych wyjątków.

Zadaniem policji, współdziałającej z Towarzystwem Dobroczyńności, było chwyatanie osób podejrzanych o żebractwo, a następnie wpisywanie pewnych informacji o nich do specjalnie w tym celu sporządzanych protokołów. Zamyśl takich działań był następujący: zorientowanie się w liczbie żebraków przebywających w Lublinie, ocena stanu zdrowia zatrzymanych ludzi, co równało się stwierdzeniu przynależności do żebraków „prawdziwych” lub „fałszywych”, a co za tym szło: odsyłanie tych prawdziwie potrzebujących pomocy do Dobroczyńności, a żebrzących z lenistwa karanie i odsyłanie do miejsca stałego zamieszkania albo za rogatki miejskie, ewentualnie kierowanie do pracy, jeśli takowa była.

W protokołach, spisanych przez policję po zatrzymaniu człowieka podejrzanego o żebranie, zawartych jest wiele cennych informacji, które pomagają przybliżyć nam współczesnym obraz żebraków XIX-wiecznych, jak również lepiej zrozumieć ich działania, a jednocześnie łaskawszym okiem spojrzeć na dzisiejszych żebraków, bo ich istnienia wyprzeć się nie możemy. Zastrzeżenie przy wyciąganiu wniosków z Protokołów jest następujące: nie możemy stwierdzić, na ile informacje podane przez osobę zatrzymaną są prawdziwe, gdyż akta policyjne nie skłaniały zapewne do prawdziwości, jeżeli osoba przesłuchiwana wiedziała, że może zostać ukarana. Przekazywane przez schwytych dane o sobie były najprawdopodobniej takie, aby dzięki nim można było uzyskać jak najwięcej korzyści np. w formie pomocy w Dobroczyńności. Dlatego przedstawionych zeznań kilku ludzi zatrzymanych na żebranie w roku 1851 nie będziemy poddawać ocenie, pozostawiamy ją czytelnikowi, fundując Mu małe, ale także bliskie spotkanie z wycinkiem historii, odtworzonym z Akt Szczegółowych Magistratu Miasta Lublina („Dziadom zbronie chodzenia po mieście, 1841-1866”, o numerze sygnatury 854).

Józefa Szczepańska zatrzymana 11.09.1851 roku, katoliczka, analfabetka, jako miejsce urodzenia i zamieszkania podała Lublin. Przyznała, że utrzymuje się z żebractwa, ma 70 lat i „siły osłabione”, wcześniej zajmowała się praniem bielizny. Nie ma dzieci ani krewnych, jednak miała dwóch mężów: lokaja i wojskowego, ośmioro dzieci lecz wszyscy zmarli. Upomniano ją, aby przy taktach, domach zajezdnych i ulicach nie ważyła się żebrąć, ale pozostawały jeszcze place przy kościołach, a o tych w zakazie nie wspomniano.

Maryanna Sielska, protokół spisany w tym samym dniu co Józefy, tak jak poprzednia jest katoliczką i analfabetką. Mieszka na stałe w Lublinie i tu się urodziła, mieli z mężem dom na Kalinowszczyźnie nr 763, który spalił się w 1831 roku, odbudowała go, lecz jest w zajęciu sądowym w wyniku zadłużenia do 1852 roku, potem do niej wróci; mąż już nie żyje, ma tylko córkę Teresę. Ma 72 lata ale ciągle jeszcze pracuje na siebie, jeżeli nie wypracuje tyle, ile jej potrzeba to wtedy prosi o wsparcie i żebrze, ale się tym wyłącznie nie zajmuje „bo by się wstydziła”. Zabroniono jej żebrania w miejscach publicznych, pozwolono prawdopodobnie w miejscach „mniej publicznych”.

Te dwie przedstawione kobiety przyznają się do żebrania, a policja uznaje słuszność ich racji, pozwala na żebranie, ale w wyznaczonych miejscach, a były to przeważnie place przed kościołami.

Następne dwie osoby, które zostaną przedstawione, nie chcą przyznać się do zarzucanego im podejrzenia o żebranie. Franciszek Skubicki, zatrzymany 12.09.1851 roku, katolik, analfabeta, nie podał miejsca swojego zamieszkania. Lat 68, był malarzem pokojowym, mówi że nie jest żebrakiem i że został niesłusznie zatrzymany. Spisujący zeznania zanotował, iż zatrzymany miał na sobie płaszcz wojskowy, podarty i stary, zakazano mu nosić taką odzież. Zabroniono mu żebrąć, uznano że jest zdolny do pracy. Odesłano transportem wojskowym do wojska gminy Dąbrowica.

Zofia Paprocka zatrzymana 12.09.1851., katoliczka, lat 37. Urodziła się i mieszka na stałe we wsi Zdziechowice w powiecie zamojskim, ma syna Józefa 17-letniego, parobka w Kraśniku, innych krewnych nie ma. „Niesłusznie posądzono ją o żebranie, gdyż była na żniwach w Konopnicy, zachorowała i przyszła do Lublina zobaczyć się z panią, nie myślała o żebraniu”. Odesłano ją do Naczelnika Powiatu Zamojskiego.

Tych dwoje ludzi nie zakwalifikowano do grupy żebraków „prawdziwych”, a jak postąpiono jeszcze z kilku innymi?

Ewa Szarzyńska, zatrzymana 13.09.1851., lat 60, urodziła się we wsi Biskupie, powiatu lubelskiego, mieszka na stałe w Lublinie, jest wdową bezdzietną, ma dwóch braci: Jędrzeja i Iacentego, którzy mają swoje rodziny. Utrzymuje się z wyrobku i jałmużny, o ile może to pracuje, ale gdy już nie może na siebie zapracować musi żebrąć. Dostała pozwolenie na żebranie przy kościele parafialnym. Również przy kościołach pozwolono żebrąć Maryannie Wojcikówniej, która jest chora i może utrzymać się tylko z jałmużny.

Michał Wadowski, zatrzymany 11.09.1851., kaleka, ma 17 lat, utrzymuje się z jałmużny. Często przebywa w szpitalach, kiedy wyszedł wczoraj ze szpitala i chciał zarobić albo wyprosić na jedzenie został ujęty przez policję, a sam nie może zarobić na życie bo nie ma sił i zdrowia. Z najbliższych krewnych ma tylko stryja garmcarza w Lublinie, ale on też jest biedny. W tym protokole brak decyzji policji, co do dalszych losów zatrzymanego.

Jak widać istnieje duża różnorodność w opowieściach tych zatrzymanych ludzi, to czy mówili prawdę pozostawiamy im samym.

Czy spojrzymy teraz trochę z innej strony na obecnych, którzy wyciągają rękę w naszą stronę, oczekując wsparcia. Czy wszystkich zaliczymy od razu do grupy żebraków „fałszywych”, a może jednak czasami pozwolimy sobie na odrobinę tej rozkoszy duchowej jaką sprawia każdy datek osobiście udzielony żebrakowi, choćby ten najmniej zasługiwał na naszą litość.

Bibliografia:

1. H. Gawarecki, *O dawnym Lublinie*, Lublin 1974.
2. P. Matuszak, *Margines społeczny Lublina w latach 1855-1864. Los dziada*, „Tygodnik Domywy. Magazyn Lubelski” 1993, nr 9, s. 7.
3. J. Kracik M. Rożek, *Hultaje, złoczyńcy, wszetecznicze w dawnym Krakowie*, Kraków-Wrocław 1986.
4. W. Dawid, *Kwestia żebractwa ulicznego w Lublinie* [w:] „Kalendarz Lubelski” 1871, s. 5-9.
5. Cz. Kępski, *Towarzystwa dobroczynności w Królestwie Polskim (1815-1914)*, Lublin 1993.
6. Cz. Kępski, *Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności (1815-1952)*, Lublin 1990.
7. B. Geremek, *Litość i szubienica*, Warszawa 1989.
8. *Akta Szczegółowe Magistratu Miasta Lublina. Dziadom zbronie chodzenia po mieście, 1841-1866*, sygn. 854, s.n.n.

**Biuro Pośrednictwa Pracy
dla Osób Niepełnosprawnych (Polskiej Organizacji Pracodawców Osób Niepełnosprawnych)
00-375 Warszawa, ul. Gałczyńskiego 4
pokój 610 (VI półpiętro)
tel./fax (0-22) 826-65-90**

Sławomir J. Żurek

Katalog pamięci ocalonych

Książka Henryka Hoffmana *Z Drohobycza do Ziemi Obiecanej* jest pierwszym tomem, zaplanowanej przez lubelską prywatną i katolicką oficynę „Norbertinum”, serii wydawniczej – „Głosy ocalonych”. Zarówno prezentowany tytuł, jak i następna, przygotowywana obecnie do druku relacja Sabiny Kałowskiej *Uciekać aby żyć*, wydają się być wydarzeniem bezprecedensowym w historii relacji polsko-żydowskich oraz żydowsko-chrześcijańskich. Oto bowiem katolicki wydawca, inspirowany zachętą Soboru Watykańskiego II (Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich *Nostra aetate*) oraz nauczaniem Jana Pawła II, poczuł potrzebę utrwalenia głosów „starszych braci”, tak nielicznie ocalonych. Dziś świadectwa Żydów pamiętających Holocaust rozlegają się coraz rzadziej, są cichsze, słabsze, zagłuszane rytmem codziennego życia. Norbert Wojciechowski zauważył niepowtarzalny charakter tych ostatnich głosów oraz nagłą potrzebę ich utrwalenia, w myśl starej talmudycznej zasady: „Kto ratuje jedno życie (...)”, ratuje jeden głos, a kto ratuje jeden głos, „(...) ocala cały świat”. Bowiem świat, jak wierzą Żydzi istnieje dlatego, że ktoś o nim mówi, ktoś daje świadectwo o jego istnieniu, świadectwo, które w konsekwencji zawsze staje się deklaracją najbardziej czytelną i zrozumiałą w porządku teologicznym. Dlatego też ambicją „Norbertinum” stało się nie tylko opublikowanie wspomnień, ale również, co wydaje się najważniejsze, stworzenie archiwum ludzkiej pamięci, katalogu głosów tych, którzy Zagładę przeżyli. Cieszyć się zresztą należy, że nie pierwsza to lubelska inicjatywa ratowania świata żydowskiego od zapomnienia. Z najważniejszych warto przywołać działania widoczne w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” i wystawę „Wielka Księga Miasta”, czy liczne sesje „Żydzi lubelscy”, upamiętnione tomem materiałów.

Dlaczego książka Henryka Hoffmana jest tak niezwykle wartościowa dla czytelnika korzystającego z oferty wydawnictwa „Norbertinum”? Przede wszystkim pozycja ta przypomina oczywistą, choć przez niektórych zapomnianą prawdę o wielokulturowym charakterze II Rzeczypospolitej, w której żyli przyjaźnie obok siebie, tak jak w królewskim mieście Drohobyczu, Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Hoffman utrwalił historyczną prawdę o tym, że przedstawiciele tych trzech narodów chodzili w tym mieście do jednej szkoły, a więc wychowując się razem stawali się posiadaczami uniwersalnego dziedzictwa kulturowego, że razem spędzali czas po lekcjach, razem wyjeżdżali na wakacje. Oddzielnie tylko, lecz w wielkim porządku i wzajemnym szacunku, udawali się na własne nabożeństwa, lecz po to by modlić się w różny sposób do tego samego Boga i w tej samej sprawie. Ukraińcy, Żydzi i Polacy, zarówno w cerkwi, w synagodze jak i w kościele spotykali się na modlitwie z okazji 3-Maja czy 11-listopada. Mieli więc nie tylko jednego

Ojca, ale także jedną Matkę – Polskę. Ta pluralistyczna mozaika kulturowa widziana oczyma kilkuletniego chłopca, pochodzącego z inteligentkiej, żydowskiej rodziny, jest dowodem na to, iż możliwe jest pokojowe istnienie obok siebie tak odmiennych grup kulturowo-religijnych. „Ekumeniczną” jedność dawnych Kresów Rzeczypospolitej zakłócił dopiero nazizm, który w książce Hoffmana pojawia się pulsacyjnie, wyznaczając rytm zbliżającej się katastrofy.

Cóż jeszcze zapisała pamięć kilkuletniego chłopca żydowskiego? Twarze swych polskich i ukraińskich przyjaciół, którzy nie zawiedli w godzinę próby, dając schronienie żydowskim sąsiadom i przychodząc z pomocą, ryzykując często własne życie. Zapamiętał święta żydowskie: Jom Kippur, Sukot, a najbardziej Pesach. Co ciekawe, we wspomnieniach Henryka Hoffmana obok siebie pojawiają się zarówno nostalgiczne opisy świąt chrześcijańskich (wigilia w szpitalu ojca), jak i żydowskich (wieczór sederowy).

W pamięci autora wspomnień utrwalił się również obraz sowieckiego okupanta, który na zajętych terenach Polski przeżywał swoisty kryzys kulturowy: „(...) widać było, że forma i kultura życia oraz stan posiadania naszego społeczeństwa w porównaniu z ich ograniczonymi w tym względzie możliwościami, robił na nich niemałe wrażenie”. Opisy działania radzieckiej, nowej władzy przemieniają szybko Drohobycze z królewskiego miasta w zapadłą sowiecką wieś. Najbardziej tragiczne są jednak opisy „Drohobyckiego Szoah”, pełne goryczy świadectwa skazanych na zabicie przyjaciół Henryka, poniżanych, prześladowanych, a w końcu bestialsko mordowanych. Wstrząsającym fragmentem jest opis Jom Kipur 1943 roku, podczas którego zapisane zostały skrupulatnie na kartach książki wydarzenia (modlitwa w getcie), dzięki którym ocalała w tych apokaliptycznych dniach дума żydowska. Fragmenty mówiące o doświadczeniu Zagłady pełne są również drobiazgowo wymienianych nazwisk oprawców, bowiem ten obszar ludzkiej pamięci jest dla autora również ważny.

Powrót do świata żywych okazał się dla bohatera wspomnień niezwykle trudny. Najwięcej cierpień przysparzał mu utrwalony przez lata okupacji, a zalegalizowany przez nazistów antysemityzm, obecny wszędzie – w nowych socjalistycznych szkołach, urzędach, fabrykach, uniwersytetach, a na końcu również, niestety, w polskich kościołach. Mimo doświadczenia Holokaustu, demoniczna nienawiść do Żydów, wykorzystana sprytnie w gomułkowskiej maszynie uniwersalnej nienawiści do człowieka, ostatecznie wypchnęła wiosną 1968 roku ocalałych z Holokaustu Żydów poza granicę ich europejskiej ojczyzny. Jednym z wypędzonych był Henryk Hoffman oraz jego żona Elżbieta, dla których nowym miejscem zamieszkania stał się Izrael, archetypiczna Ziemia Obiecana Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Henryk Hoffman, *Z Drohobycza do Ziemi Obiecanej*, „Norbertinum”, Lublin 1999, ss. 135.

Niepełnosprawni w społeczeństwie

Rozwój cywilizacji ludzkiej powoduje nie tylko odkrywanie nowych obszarów otaczającej nas rzeczywistości, lecz również przemiany wśród tych dobrze nam znanych. W zależności od sytuacji, niektóre elementy mogą stracić ważność, zniknąć z pola widzenia, inne – wręcz przeciwnie. Podobnie rozwiązania, stosowane na przestrzeni wieków przez naszych przodków, mogą okazać się niewystarczające dla nas. Przykładem może być kwestia niepełnosprawnych – w odległej przeszłości problem był różnie, czasami w sposób dla nas szokujący, rozwiązywany: jeśli człowiek rodził się z wadą, oczywiście było, że nie przyda się ogółowi, w związku z czym eliminowano go (takim, być może skrajnym, przykładem była Sparta). Ciężkie warunki życia, możliwość praktycznie tylko pracy fizycznej, nie pozwalały marnotrawić sił na pomoc człowiekowi, który był nieproduktywny. Z biegiem czasu rozwój technologiczny umożliwił uniezależnianie się w coraz większym stopniu od rytmu przyrody, pojawiły się nowe jakości w społeczeństwie, a co za tym idzie – można było w bardziej konsekwentny sposób realizować rozmaite etyczne nakazy. Systemy religijne uległy głębokim przemianom, co widać porównując, np. politeistyczny system grecki z monoteistyczną religią chrześcijańską. Jak trafnie ujął to Albert Camus, różnica między nimi polegała na tym, że w tym pierwszym zachodziła idealizacja realności, a w drugim realizacja ideału. Słaby, nie rozumiejący rządzących otaczającym go światem żywiołów człowiek starożytny nie miał okazji do skupienia się na sobie. Chrześcijaństwo, poprzez przeniesienie środka ciężkości z przyrody na człowieka, wniosło w tym aspekcie nową jakość. Religia ta wprowadziła pojęcie indywidualizmu, osobistej wartości, a co za tym idzie – pojawił się niespotykany wcześniej imperatyw, nakazujący władzy opiekę nad wszystkimi obywatelami społeczeństwa bez względu na ich obiektywną przydatność. W ten sposób niepełnosprawni przestali być bezużytecznym elementem, a stali się pełnowartościowymi ludźmi, którzy mają swoje własne potrzeby.

Rozwiązania tej sprawy nie były jednak zawsze udane. Brak możliwości technicznych, a także mentalność społeczeństwa nie sprzyjały odpowiednim działaniom. Panujący przez wiele wieków ustrój feudalny wprowadzał nierówność we wszystkich dziedzinach życia – zaczynając od materialnej, a kończąc na oświatowej. Większość społeczeństwa stanowiło chłopstwo, które nie miało praktycznie dostępu do żadnych szkół itp., co powodowało katastrofalne skutki. Bardzo rozpowszechnione były rozmaite zabobony, czary itp. Większość zjawisk i zdarzeń (a w tym i niepełną sprawność) tłumaczono za pomocą magii. Problemy zdrowotne rozwiązywał znachor, którego wiedza

stała często na wątpliwym poziomie. W takiej sytuacji istniejąca opieka społeczna (szczętkowa) nie mogła dotrzeć do potrzebujących, co w pewnym sensie było dla nich zbawieniem, jeśli przypomnimy sobie sytuację panującą chociażby w szpitalach dla psychicznie chorych, gdzie schizofrenicy musieli cały czas sztywno leżeć w ciasnych, zeszląd okratowanych łózkach, praktycznie bez możliwości ruchu.

Zmiana ustroju społecznego nie przyniosła z początku zbyt wiele, gdyż nierówność wynikająca z pochodzenia zastąpiła nierówność wynikająca z sytuacji materialnej, zwłaszcza, że na początku różnice były ogromne. Wysokie koszty leczenia (w stosunku do płac większości społeczeństwa, z której, jak nietrudno się zorientować, wywodziła się przeważająca liczba niepełnosprawnych) nie pozwalały na skuteczną opiekę.

W XX wieku sprawa niepełnosprawnych zaczęła zyskiwać coraz poważniejsze znaczenie, co znajdowało odbicie w różnych postanowieniach dotyczących owej grupy ludności. Ponad trzydzieści lat temu powstała polska szkoła rehabilitacji, której program przedstawiał się następująco:

1. rozpoznanie upośledzenia;
2. leczenie;
3. rekompensata finansowa, zawodowa i społeczna;
4. readaptacja społeczna,

Ustrój komunistyczny rozwinął szeroką opiekę nad społeczeństwem, w tym również nad niepełnosprawnymi. Rozwiązanie to było skrajną przeciwnością poprzedniej sytuacji, zbudowaną na kruchych fundamentach. Zaczęto tworzyć spółdzielnie inwalidów, powstały rozmaite grupy zrzeszające osoby niepełnosprawne, np.: Polski Związek Niewidomych czy Polski Związek Głuchych.

Spółdzielnie służyły zlikwidowaniu problemu pracy wśród osób upośledzonych. Planowana centralnie gospodarka pozwalała obejść zasady konkurencji – zakłady produkowały na zamówienia rządowe nawet wtedy, gdy nie było popytu na wytwarzane w nich towary. Pośredniczącą rolę pomiędzy nimi a rządem pełniły Centralny i Wojewódzkie Związki Spółdzielczości Inwalidów. Niestety, szybko pojawiły się tutaj charakterystyczne dla scentralizowanego systemu państwowego patologie: nadmierny rozrost biurokracji, niska rentowność, przerost różnych działań pozaekonomicznych nad właściwymi funkcjami produkcyjnymi. Doszło do tego, że Związki Spółdzielczości, zamiast ułatwiać działalność podlegającym im podmiotom gospodarczym, stały się dla tych prawdziwą kulą u nogi.

Rehabilitacyjne zadania mogły być pełnione dzięki zwolnieniu z powinności odprowadzania podatków. Firmy wpłacały 60% zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy na konto Zakładowego Funduszu Rehabilitacji Inwalidów, resztę przekazywały Wojewódzkim Związkom Spółdzielczości Inwalidów. Zgromadzone w ten sposób środki przeznaczone były na działalność leczniczą i rehabilitacyjną.

Każda spółdzielnia stanowiła swojego rodzaju kompleks, który zaspokajał potrzeby osób tam pracujących. Znajdowały się przy niej małe przychodnie (biedniejsze zakłady umiejscawiały je w budynkach biurowych), w których pracowali przeciętnie:

- jeden lub dwaj interniści,
- lekarz specjalista oraz stomatolog,
- dwie pielęgniarki,

– rehabilitant (magister wychowania fizycznego).

Pracownicy byli dowożeni do i z miejsca pracy środkiem transportu będącym własnością firmy. Sytuacja w rzeczywistości nie wyglądała jednak tak dobrze – poprawa zdrowia zachodziła rzadko, a praktyczne działania miały charakter pozorny. W ogóle była to konstrukcja sztuczna. Planowanie centralne, upaństwowienie gospodarki, zlikwidowanie wolnego rynku, po pewnym czasie zaczęło wykazywać swój negatywny wpływ na życie państwa i społeczeństwa. Mimo trudności gospodarczych, nadal składano zamówienia rządowe, aż cały system załamał się w 1989 roku. Przełom ów był ciężką próbą dla państwowych firm, w tym spółdzielni inwalidów. W jednej chwili zniknął parasol ochronny rozciągany do tej pory przez państwo, zakłady przyzwyczajone do niskiej rentowności musiały nagle stanąć do walki o miejsce na rynku. Próby tej nie przeszły mniejsze spółdzielnie, które musiały zamknąć swoje podwoje i zwolnić pracowników. Większe, którym udało się utrzymać, zapłaciły za możliwość egzystencji zmniejszeniem świadczeń socjalnych: zmniejszeniem liczby lekarzy, ograniczeniem usług transportowych oraz zredukowaniem ilości pracowników.

Losy spółdzielni w pewien sposób ilustrują problemy ludzi niepełnosprawnych związane z możliwością pracy. Zmiana ustroju, do której doszło w '89 roku zmusiła zakłady państwowe do racjonalnej polityki. Wiązało to się między innymi z ograniczeniem nadmiernej liczby pracowników, co ciężko odbiło się na inwalidach, którzy byli pierwsi wpisywani na listy zwolnionych, gdyż:

1. potoczny sposób myślenia każe myśleć o owej grupie ludzi, jako o grupie mniej produktywnej;
2. zatrudnianie niepełnosprawnych wiąże się z dodatkowymi kosztami, na które firmy nie mogą sobie pozwolić.

Nowe rządy starały się dopomóc w tej sytuacji, umożliwiając odpisy od podatków związane z kosztami zatrudniania inwalidów, udzielając pożyczek niepełnosprawnym na prowadzenie prywatnej działalności gospodarczej itd. Warto wspomnieć o uchwalonej 9 maja 1991 roku Ustawie o zatrudnieniu i rehabilitacji zawodowej osób niepełnosprawnych, która poprzez zniesienie pojęcia spółdzielczości i zastąpienie go pojęciem zakładu pracy chronionej umożliwiła posiadanie tego typu firmom dwóch form: spółdzielczej i prywatnej, stworzyła Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON) oraz określiła dokładnie zasady prowadzenia działalności rehabilitacyjnej.

Nowa sytuacja doprowadziła do głębokich przemian wśród organizacji działających na rzecz owej grupy osób. Przed rokiem '89 próby samoorganizacji środowiska inwalidów napotykały na trudności. Kontrola administracyjna, która preferowała większe struktury, blokowała większość inicjatyw oddolnych. Przełom sprzed dziesięciu lat zmienił zasady, dając wolność zrzeszania się. Inną konsekwencją było zniknięcie lub przynajmniej ograniczenie ochrony państwa. Starsze stowarzyszenia albo przetrzymały okres bez większych zmian, albo musiały przeprowadzić poważne zmiany. Niektóre organizacje, takie jak Polski Związek Niewidomych, Związek Inwalidów Wojennych czy Polski Związek Głuchych, były w korzystnej sytuacji, gdyż w czasach trwania poprzedniego systemu otrzymywały wysokie dotacje z budżetu państwa. Wiele jednak znalazło się w trudnej sytuacji materialnej z powodu braku dawniejszego dofinansowania, co zmusiło je do ograniczenia liczby oddziałów terenowych (Polskie Towarzystwo Walki z Kalectwem mu-

siało zlikwidować 20 z 48), przeniesienia się do mniejszych siedzib, zredukowania nakładu lub całkowitego zaprzestania wydawania własnych biuletynów informacyjnych. Oddziały bądź stowarzyszenia, które w nowej rzeczywistości okazały się nieefektywne lub po prostu niepotrzebne zostały zlikwidowane, czego przykładem może być los Koła Zmotoryzowanych Inwalidów, które straciło rację bytu z chwilą uwolnienia przez państwo cen samochodów oraz zniesienia reglamentacji paliw.

Jednakże pomimo tych negatywnych tendencji, zaczęło pojawiać się wiele nowych stowarzyszeń (w 1994 roku ich liczba wynosiła ponad 800). W dynamice tego procesu można dostrzec dwa nurty: pierwszy polega na usprawnianiu działania istniejących już struktur, drugi polega na tworzeniu zupełnie nowych (twórcy zakładają, że nowe organizacje będą lepiej spełniać swoje role niż dawniejsze). Niestety, większość wykazuje niską skuteczność, która spowodowana jest między innymi słabym obiegiem informacji wśród ludzi potencjalnie zainteresowanych. Okazuje się bowiem, że bardzo niski procent działających organizacji dociera do niepełnosprawnych i ludzi im bliskich. Ponadto dochodzi pomiędzy nimi do rozmaitych antagonizmów, co prawdopodobnie jest spowodowane konkurencją w walce o nowych członków.

Wiele upadło po krótkim okresie działalności, jednakże niektóre (np. Polskie Stowarzyszenie Surdo-Pedagogiczne „Edukacja Dzieci niesłyszących” czy Stowarzyszenie Niepełnosprawnych „Głos bez Głosu”) działają wciąż (dane z 1994 roku). Występuje również tendencja odwoływania się do tradycji, która owocuje reaktywaniem starych organizacji, na przykład Polskiego Związku Sportowego Głuchych.

Na szczeblu administracyjnym doszło do skomplikowania sytuacji, a mianowicie utrudniona została sprawna realizacja programu Polskiej Szkoły Rehabilitacji. Utrudnienie to wynika z podziału punktów programu między dwa ministerstwa – punkty 1 i 2 realizuje się w obrębie Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, a punkty 3 i 4 w obrębie Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej. Ponadto zainteresowane organizacje mają utrudniony kontakt z MZiOS, którego sama struktura sypcha na bok niepełnosprawnych.

Na szesnaście komórek, jedynie pięć zajmuje się podstawową działalnością. Z tematem niepełnej sprawności są związane cztery Departamenty:

1. Polityki Zdrowotnej – jego zadaniem jest kształtowanie polityki zdrowotnej. Nie koncentruje się on jednak wyłącznie na rehabilitacji – jest ona traktowana w kontekście innych problemów. Wśród sześciu Wydziałów nie ma ani jednego, który zajmowałby się wyłącznie niepełnosprawnymi.

2. Rehabilitacji i Opieki – kształtuje i koordynuje politykę dotyczącą rehabilitacji medycznej, opieki paliatywnej, leczenia uzdrowiskowego oraz wspierania ruchów społecznych działających na rzecz niepełnosprawnych. W jego skład wchodzi sześć zespołów. Sam Departament ma słabszą niż inne pozycję organizacyjną.

3. Techniki Medycznej – zaopatruje ośrodki zdrowia w specjalistyczny sprzęt, w tym również ortopedyczny.

4. Nauki i Kształcenia – odpowiada za wyznaczanie kierunków badań i kształcenia resortu, a także za wdrażanie osiągnięć nauki do praktycznej działalności.

Współpraca organizacji pozarządowych z ministerstwem ma charakter ściśle biurokratyzowany – MZiOS gra przesadzoną rolę profesjonalisty w tej dziedzinie. Sytuacja ta nie występuje natomiast w przypadku kontaktów z innymi resortami – relacje mają cha-

rakter partnerski. Wadliwy wewnętrzny obieg informacji przyczynia się do małej skuteczności podejmowanych działań.

W okresie powojennym kilkakrotnie nagłaśniano potrzebę likwidowania barier architektonicznych, jednakże z realizacją głoszonych postulatów było różnie. Do początku lat osiemdziesiątych problem ów praktycznie nie istniał w świadomości społecznej. Podjętych zostało parę inicjatyw, lecz ich wyniki nie były zadowalające. W roku 1974 i 1977 za pomocą odpowiednich zarządzeń ustalono zasady projektowania, budowania i wyposażania domów dla niepełnosprawnych, emerytów oraz rencistów. Niestety, w całym kraju wybudowano jedynie około 50 budynków tego typu, a mieszkania nie zawsze otrzymali najbardziej potrzebujący. Oczywiście trzeba pamiętać, że oprócz wyżej podanego przykładu podejmowane były jeszcze inne inicjatywy, ale ich skuteczność stała na marnym poziomie. Wzrost działań w sprawie udostępniania przestrzeni i budynków niepełnosprawnym był po części rezultatem działań samych potrzebujących. Należy bowiem pamiętać, że wcześniej środowiska te nie wykazywały specjalnej aktywności w owym temacie.

W ankiecie przeprowadzonej w 1993 roku jako jedną z najtrudniejszych rzeczy niepełnosprawni podawali załatwianie spraw urzędowych. Pomijając już „uprzejmość” urzędników, problemem było nieprzystosowanie budynków do potrzeb niepełnosprawnych. Mimo, iż sprawa ta była poruszana wielokrotnie (często przez samych zainteresowanych), spotykała się z chłodnym przyjęciem wśród przedstawicieli władz odpowiednich szczebli. Teraz jednakże, gdy zbliżamy się do Unii Europejskiej, musimy przestrzegać jej norm, w tym również norm dotyczących niepełnosprawnych. Nie można powiedzieć, że nic się nie robi w tej sprawie, ale nie jest to wystarczające. Ostatnimi czasy można się spotkać z coraz większą liczbą inicjatyw, często oddolnych, które są skutecznie realizowane: projekty nowych budynków uwzględniają potrzeby osób niepełnosprawnych, w miastach pojawiają się specjalne usługi transportowe (często mogą pracować tam inwalidzi jako łącznicy w centrali), PKP oraz MPK dostosowują swoje pojazdy. Miejmy nadzieję, że aktualne nagłośnienie potrzeb osób niepełnosprawnych nie jest kolejnym z rządu tymczasowym ożywieniem, jak miało to miejsce w przeszłości, ale doprowadzi do rzeczywistego zniesienia barier uniemożliwiających tym ludziom normalne funkcjonowanie.

Aby uzyskać jak najlepsze rezultaty, trzeba zacząć pracować na poziomie samych organizacji. Sytuacja tutaj nie wygląda zadowalająco: istnieje duża liczba rozmaitych stowarzyszeń, lecz ich skuteczność często jest niska. Wynika to z niedoinformowania środowiska osób niepełnosprawnych. Często nie wiedzą one o swoich przywilejach prawnych, możliwości uzyskania pracy, działaniach różnych stowarzyszeń. Obieg informacji w tej grupie stoi na bardzo niskim poziomie. Po części przyczyniają się do tego same organizacje, które inne stowarzyszenia postrzegają nie jako sojuszników, lecz jako konkurentów. Współpracę zakłada również silne pragnienie autonomii – małe, słabe organizacje często obawiają się, że zostaną wchłonięte przez większe, silniejsze i utracą tym samym niezależność. Kooperacja jest wyższą, skuteczniejszą formą egzystencji, jednakże niektórzy przywódcy takich związków zdają się tego nie rozumieć.

Podsumowując można stwierdzić, że problem niepełnosprawnych, mimo rozmaitych deklaracji, pozostaje rozwiązany w małym stopniu. Gdy czytam o wynikach działań w tej dziedzinie, przypomina mi się cytat z Yeatsa:

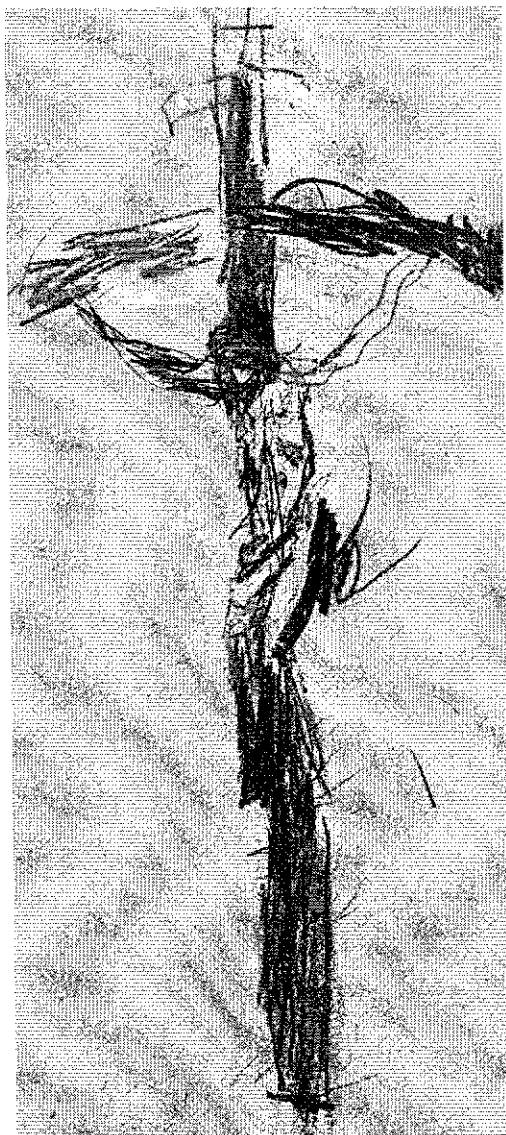
*Wpadliśmy w mrzonki, które wiecznie żywi
Tchną w mętne tremo świata, by potem
Przecierać je rękami z kości słoniowej i wzdychać.*

Charakterystyczne jest, że pojawiają się swoistego rodzaju fale zainteresowania tą problematyką, które po pewnym czasie opadają. Kwestia ta niejednokrotnie była wykonywana przez polityków w celu zdobycia popularności, po czym szybko zapominana. Niektórzy mogą powiedzieć, że nie jest to ważna sprawa – w końcu niepełnosprawni stanowią mniejszość – jest to złe podejście, gdyż problem ten nie ma charakteru ilościowego, ale jakościowy. Nie chodzi o liczbę osób upośledzonych, ale o prawo do normalnego, godnego życia, które przysługuje każdemu człowiekowi bez względu na stan jego zdrowia.

Bibliografia:

1. A. Ostrowska, J. Sikorska, Z. Sufin, *Sytuacja ludzi niepełnosprawnych w Polsce*, Warszawa 1994.
2. M. Fedorowicz (red.), *Droga przez instytucje. Instytucje działające na rzecz osób niepełnosprawnych*, Warszawa 1994.
3. A. Ostrowska, *Niepełnosprawni w społeczeństwie*, Warszawa 1993.

**Centrum Metodyczne
Pomocy Psychologiczno-Pedagogicznej MEN
Zespół do Spraw Integracji
00-644 Warszawa, ul. Polna 46a, pok. 13
tel. (0-22) 825-44-51 wew. 102**



Od rozpacz do Nadziei

Marcin Romanowski

Zamknięci w świecie przedmiotów

Przyczyną największej tragedii człowieka, czyli zerwania harmonii z Bogiem i samym sobą było to, iż biblijna Ewa uwierzyła szatańskiej interpretacji Bożych darów i poleceń. Skutki tego są dla człowieka żałosne. A wszystko zaczęło się od tego, że dała się przekonać, a mówiąc nieco dosadniej, że dała się zwieść. Od tej pory techniki przekonywania, uzasadniania własnych racji, wykorzystywania ludzkiej naiwności były stale udoskonalane, a dziś są niemal perfekcyjne.

Już wśród starożytnych filozofów wyodrębniła się taka grupa mędrców, która na tyle opanowała umiejętność retoryki, że dzięki tej sztuce bez trudu zdobywała wpływy polityczne, prestiż społeczny i tym sposobem zarabiała na życie. Oczywiście bronione przez nich racje zmieniały się w zależności od potrzeb dyskusji. Począwszy więc od sofistów prawda przestała być wartością nadrzędną. Jej miejsce zajął interes człowieka. Doprowadziło to do tego, że człowiek jako jednostka ma coraz mniejszy wpływ na obraz swojego życia, coraz bardziej jest determinowany przez przytłaczające go systemy, układy i środowisko, w którym żyje.

Skrajnym, ale jakże trafnym obrazem tych mechanizmów, jest system totalitarny, gdzie władza bazuje przede wszystkim na propagandzie, fałszu, zakłamaniu, na otumanianiu ludzi. Jak pogodzić z tym wszystkim ludzką godność, wolność, rozumność? Totalitaryzmy praktycznie upadły, ale problem ten istnieje nadal. Chociaż inaczej, jednakże i dziś próbuje się manipulować ludźmi. Są to działania bardziej wyrafinowane, do tego nawet stopnia, że dzieją się one w sposób dla wielu nieuświadomiony, a co za tym idzie są bardzo skuteczne. Człowiek obdarzony rozumem potrafi rozemnać prawdę, potrafi bronić swoich racji, wie do jakich celów dąży i chce je realizować. Są jednak takie płaszczyzny życia, na których ma niewielkie szanse wykazać się tymi swoimi przymiotami. Choćby we wspomnianym totalitaryzmie. Działanie każdego opozycjonisty przypominało bicie głową w mur. Dlaczego tak się działo, czy tylko dlatego, że system wydawał się skałą niemożliwą do poruszenia? Otóż nie, powodem tego była znikoma ilość kontestatorów. Mimo, że byli to ludzie szlachetni, myślący i odważni, to jednak ich przykład nie pociągał zbyt wielu naśladowców. Ci, którzy nie chcieli się wychylić, czuli się dobrze w istniejących warunkach. Propaganda święciła więc sukcesy, a system wydawał się być skutecznym.

Można mówić, że społeczeństwo egzystujące w takich warunkach było ograniczone. Jedni walczyli za idee, inni żyjąc spokojnie i nie narażając się nikomu dbali o swoje małe interesy. Podstawową zasadą było to, by się nie przepracować, a wyjść na swoje. To ograniczone społeczeństwo było więc niepełnosprawne, było chore. Źródłem tego był sys-

tem. Ale co ciekawe system runął, a chora społeczność pozostała. Transformacja ustrojowa wcale tej masie nie pomogła, a raczej pogрузzyła ją w egoizm, materializm, braku wszelkiej wrażliwości, chciwości, żądzy bogacenia się itd. Ludzie, którzy szybko i łatwo się wzbogacili zatracili zupełnie wrażliwość na rzeczy istotne, na wartości wyższe.

W tym właśnie leży klucz do sterowania masą bezrefleksyjnych ludzi. Tragiczne są dla człowieka dzisiejsze techniki manipulacji, ponieważ jest ich zupełnie nieświadomy, atakują go one zewsząd, nie prowokują do myślenia, a nierzadko są nawet przyjemne. Do tych najgroźniejszych metod sterowania ludźmi należą informacja i reklama.

Przecież człowiek ma pełne prawo do tego, by wiedzieć co dzieje się w świecie, ma prawo do poznawania świata; powinien, choćby biernie, uczestniczyć w życiu społeczno-politycznym, musi więc wiedzieć jakie decyzje są podejmowane i na ile będą one rzutować na jego rzeczywistość. W czym więc tkwi niebezpieczeństwo informacji? Przede wszystkim w tym, że bardzo często jest ona zafałszowana, nieprawdziwa, a przeciętny człowiek nie posiada żadnego obiektywnego kryterium, według którego mógłby jej rzetelność weryfikować. Problem jest tym większy, że każdy jest dziś bombardowany informacjami: prasa, telewizja, radio, internet, szkoła itd. Wystarczy przejrzeć kilka dzienników, które na bieżąco informują i komentują naszą rzeczywistość. Przedmiot, którym się zajmują, zasadniczo jest ten sam, ale treści w nich zawarte bywają już mocno zróżnicowane, a komentarze są zupełnie odmienne. Słuchając radia czy telewizji można usłyszeć jeszcze bardziej zróżnicowane opinie na poruszany temat, a kontekst ukazywania problemu będzie zupełnie inny. Jest to w pełni zrozumiałe i absolutnie nie mam zamiaru odbierać żadnemu dziennikarzowi prawa do takiego, a nie innego przekazywania informacji, czy sposobu komentarza. Chcę wyakcentować inny problem, mianowicie jak się w tym wszystkim nie pogubić, jak zachować w miarę obiektywne ogląd świata?

Można tu przyjąć różne klucze, ale żaden nie jest chyba do końca skuteczny. Na przykład, wiadomym jest, że każdy ma jakieś własne sympatie polityczne, światopoglądowe czy kulturowe. Łatwo wtedy jest mu wybrać jedną czy nawet dwie gazety propagujące daną opcję i trwać zadowolonym w swojej rzeczywistości. Trudniej już będzie mu znaleźć stację radiową i telewizyjną opowiadającą się jednoznacznie za konkretnymi rozwiązaniami proponowanymi przez jego środowisko. Wtedy to korzystanie z takiego środka społecznego przekazu będzie go drażniło i nie da mu takiej satysfakcji, jak czytanie „swojego” tytułu prasowego. Chyba tylko „Nasz Dziennik” idealnie koreluje z pewną specyficzną rozgłośnią radiową, ale telewizji o takim profilu na szerszą skalę jeszcze nie ma. Czy wobec tego środowisko skupione wokół Radia Maryja nie ogląda wcale telewizji? Bardzo w to wątpię.

Widać więc, że klucz przeze mnie zaproponowany nie do końca funkcjonuje sprawnie. Można by tu szukać innych rozwiązań, ale zasadniczo prowadzą one do tych samych wniosków: człowiek nie uwolni się od zalewu informacji. Jeśli nie przeczyta o czymś w gazecie, to zobaczy to w telewizji, bądź usłyszy o tym w radiu. Jeśli nawet nie włączy w tym dniu radia, to zapewne posłyszyci jakieś komentarze w pracy, szkole czy autobusie. Szczęśliwy ten, kto potrafi selekcjonować dopływające do niego informacje, kto ma na tyle mocno ugruntowany światopogląd, że potrafi obiektywnie je ocenić i zdystansować się od bzdur; kto nie żyje sensacyjkami z brukowych popołudniówek. Niestety, coraz mniej takich ludzi. Iluż jest takich, którzy z entuzjazmem chłoną wszystko co do nich do-

ciera, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, że właściwie na żaden temat nie potrafią powiedzieć własnego zdania? Czyż to nie jest ograniczenie, czy to nie jest intelektualne kalectwo? Powszechność tego zjawiska prowadzi do zobojętnienia ludzi na rzeczy ważne, nie chce się im myśleć, wolą żyć marzeniami o cudownym świecie z kolorowych gazet. Przemysł medialny doskonale zdaje sobie z tego sprawę i zasypuje rynek coraz to nowymi pismami, w gruncie rzeczy poza tytułem niczym między sobą się nie różniącymi. Ogromna poczytność tego typu czasopism wskazuje na wielkie zapotrzebowanie wśród ludzi na takie rozrywki. Najsmutniejsze jest to, iż rynek prasowy przepełniony jest takimi tytułami przeznaczonymi dla najmłodszych. To perspektywiczne działanie jest tym skuteczniejsze, że nie ma żadnej konkurencyjnej alternatywy.

Warto się zastanowić komu zależy na tym, by wychować bezrefleksyjną masę, społeczeństwo nie myślące, nie szukające, nie pytające, a co za tym idzie, łatwe do kierowania. Przypomina się tu starożytne hasło: *panem et circenses* – „chleba i igrzysk”, którego wypełnienie wszystkim dawało satysfakcję. Komu tak bardzo na tym zależy? Myślę, że nie tylko medialnym potentatom mającym ogromny i łatwy zysk, ale chyba w równym stopniu elitom kreującym sytuacją społeczno – polityczną.

Wystarczy wspomnieć ostatnią kampanię prezydencką, gdzie jeden z pretendentów, ponoć inteligent, skądinąd człowiek wysoce kulturalny, stały bywalec wielkich sal operowych i teatralnych, jako główny motyw napędzający wyborczą karuzelę wziął bardzo melodyjną piosenkę, oczywiście z mocno sugestywnym tekstem wyśpiewanym przez mega gwiazdę polskiej sceny disco polo. Dlaczego schodzi tak nisko? Odpowiedź jest prosta: bo muzyka, którą wybrał do reklamy swojej osoby, jest nośnikiem elektryzującym rzeszę ludzi. Kto ją tworzy? Właśnie ci wspomniani, intelektualnie zubożeni, zobojętniali ludzie, żyjący w małych światkach swoich interesów. Każda więc metoda jest dobra by pozyskać trochę bezideowego, ale jakże ważnego elektoratu. Można to robić odwołując się choćby do upodobań „muzycznych”. O skuteczności takich zabiegów nikogo nie trzeba przekonywać. Jak się okazało opozycja zareagowała wówczas zbyt późno, chociaż też wylansowała spory przebój cytując znamienne słowa swojego lidera: „Ani me, ani be, ani kukuryku”. Z drugiej strony to przykre, że ludzie ubiegający się o władzę nierzadko nie mają nic mądrzejszego do powiedzenia, ale jeśli jest to skuteczne to czemu nie, wszak cel uświęca środki.

Na tym przykładzie widać więc jak łatwo można kierować ludźmi. Warto się jednak zastanowić dokąd zmierzamy. Narastające zobojętnienie, panująca powszechnie znieczulica, agresja, coraz większa alienacja człowieka staje się naszą rzeczywistością. Czy to nie świadczy o tym, że mamy chore społeczeństwo, że jest ono niepełnosprawne? Ale przecież społeczność kształtowana jest przez konkretnych jednostkowych ludzi i tu należałoby szukać źródeł tej choroby. Przypadłość tę można nazwać po imieniu: to po prostu **konsumpcja**.

Dziś jest to już pewien model życia nastawionego na używanie, na korzystanie bez umiaru z dóbr tego świata. Człowiek nastawiony jest jedynie na arystotelesowskie *bonum delectabile* – dobro zakładające przyjemność. Konsument – to człowiek o niedookreślonej osobowości, bezrefleksyjny, przytłoczony przez otaczającą go rzeczywistość, ulegający wszelkim lepszym czy gorszym modom, itd. Rodzi się pytanie, czy ktoś taki może

być szczęśliwy? Otóż nie, bo żądza posiadania, gromadzenia, bogacenia się jest niezaspokajalna, ciągle rośnie.

Co jest źródłem takiej postawy, co sprawia, że jest ona tak powszechna? Nie jest ona wytworem tylko tego, który ją przyjmuje. Można tu mówić o swoistym sprzężeniu zwrotnym, gdyż człowiek jest w ogromnej mierze determinowany przez społeczeństwo, w którym przyszło mu żyć. Często nieświadomie przyjmuje mentalność grupy w której się rozwija, zwyczaje, cele, marzenia. Wydaje się więc, że to koło mentalności materialistycznej jest zamknięte i kręci się coraz szybciej. A napędza je wszechobecna i potężna reklama.

Jest to drugi obok informacji środek urabiania ludzi, a konsekwencje jego działania są nawet trudne do oceny. Ciężko wyobrazić sobie dzisiejszy świat bez reklamy. Jest ona wszędzie: w telewizji, w radio, w gazetach, w autobusie, na olbrzymich miejskich billboardach, a listonosze codziennie roznoszą tysiące ton rozsyłanych przez firmy z żenującym natręctwem reklamowych ulotek. Za wszechobecnością reklamy stoi potężny przemysł, który maksymalnie wykorzystuje wszystkie możliwości, a sztaby specjalistów opracowują coraz to doskonalsze techniki trafiania do świadomości i podświadomości konsumentów.

Po co to wszystko? Po to, by jak najwięcej sprzedać, by zarobić, by pieniądź był w ciągłym obrocie. Firmy łożą niebotyczne nakłady na reklamę, by wielokrotnie mnożyć swoje zyski. Finansowa karuzela kręci się coraz szybciej, ale czy to nie jest błędne koło? Pieniądź stał się wartością nadrzędną, celem życia. I znów jawi się pytanie postawione przez Gabriela Marcela: „Być czy mieć”? Dziś każdy niemal problem rozpatruje się w kategorii opłacalności. I faktycznie tak myśląc, „mieć” bierze górę nad „być”. Bo kto więcej ma, ten więcej znaczy: może zajmować stanowiska, bawić się w politykę i filantropię, rządzić, podróżować. Żądza pieniądza kieruje dzisiejszym światem. Człowiek uwielbia wydawać, kupować, gromadzić, chce mieć najszybszy samochód, najlepszy komputer, najnowszy telewizor, najdroższy telefon i można by tu jeszcze długo wyliczać mieć, mieć i jeszcze raz mieć. To cecha typowa konsumenta. A przecież, jak twierdził słynny egzystencjalista Carl Jaspers: „Człowiek zamknięty w świecie przedmiotów jest ślepy na transcendencję”.

I faktycznie tak się dzieje. Największą świątynią końca XX wieku jest supermarket. Tam konsument znajduje swojego „Boga” – rzeczy, które może nabyć, może je mieć, może je zjeść. One są jego bóstwem. Swojego bożka może zobaczyć, dotknąć, zapragnąć i po prostu sobie kupić. Konsument nie musi angażować całego siebie, intelektu, woli, uczuć by doświadczyć Boga. Jego bóstwo nie jest wymagające, nie ogranicza go, lecz daje przyjemność. Ale to tylko pozory, wszak człowiek taki, mimo iż niczego praktycznie od swojego bożka nie otrzymuje, na dodatek się od niego uzależnia. Chce mieć coraz więcej, chce zjeść coraz więcej i nigdy nie jest i nie będzie na dłuższą metę szczęśliwy. Choć „boskość” tego bóstwa wydaje się nam śmieszna, to jednak miliony ludzi adorują je godzinami w wypełnionych po brzegi hipermarketach. Przykładem może tu być pewna babcia, która przez pół godziny potrafiła wybierać kolor i wzorek papieru toaletowego. Coraz popularniejsza jest praktyka spędzania „rodzinnych” niedziel w supermarkecie. Jeśli ludziom tym sprawia to przyjemność, to OK., ale patrząc na to z drugiej strony, czyż to nie jest ogromne duchowe ubóstwo, mentalna choroba, pustka. Najgorsze w tym

wszystkim jest to, iż owo kalectwo jest nieuświadomione, powszechnie akceptowane i propagowane.

Taki styl życia, choć najpowszechniejszy w Stanach Zjednoczonych, staje się coraz popularniejszy także w zjednoczonej Europie, a co za tym idzie, również w Polsce, która chociaż nieoficjalnie (jeszcze), to przecież jest jej integralną częścią. Zapewne wkrótce i nasz kraj przejmie te najgorsze wzorce kulturowe. A mówi się, że Europa to Golgota, Akropol i Kapitol. Golgota to dziedzictwo kultury chrześcijańskiej, Akropol to tradycja całej greckiej filozofii, Kapitol zaś to rzymskie prawo. Co z tych wartości zostało w dzisiejszej kulturze? Jak mawia Wojtek Waglewski: „Świat stanął na głowie, że jeszcze stoi to cud”. Nasz świat jest chory i wcale nie widać jakichś konkretnych rozwiązań, które by mogły coś w tej kwestii zmienić. Rządzi nami pieniądz i nic nie jest w stanie nas od niego uwolnić. Sztuką jest nie dać się ogłupić i zachować choć trochę cech nam, ludziom charakterystycznych.

Konsument

*Konsument mówi, że je aby jeść,
Konsument pije, aby pleść,
Jego bracia stoją, radia wokół słuchają, politycznego bełkotu.
A potem wszyscy razem siadają,
piją wódkę, gadają, fioletowe twarze mają.
A gdy więcej nie zjedzą i nie wypiją,
gromadzą się wspólnie przed telewizją.
Konsument, gdy wie, że to jest w modzie
rozmawia o wojnie na Wschodzie,
mówi to, co słyszał w radio i z gazety,
czy konsument to TY?
TAK wam zależy, abym był konsument!
Nie myślał, ale działał jak instrument.
Konsument mówi, że je aby jeść.
Więc pomyśl, czy jesz aby jeść?
Wszyscy oni bombardowani śmieciami
Wszyscy oni zasypywani informacjami
Wszyscy oni bombardowani śmieciami
Wszyscy oni zasypywani informacjami
Wszyscy oni bombardowani śmieciami
Wszyscy oni zasypywani informacjami
Wszyscy oni bombardowani śmieciami
Wszyscy oni zasypywani informacjami*

Mówię ci, Stasiu... (zasłyszane)

Chwiejąc się zaciskał pięści. – Mówię ci, Stasiu, że go zabije. – Wypił następny kieliszek i otarł usta rękawem. – Jak psa zabije. Tymi rękami, Stasiu, zabije. Choćbym miał w kryminale zdechnąć, zabije. No powiedz sam, Stasiu, żone mi zabrał, a ja nic ? Sam powiedz, ja nic ? – Popił znowu. – Już ja im bał wyprawie. Nie spudziwaju sie nawet. Ale ja, Stasiu, słowa dotrzymuje. Powiedziałem, że zabije, to zabije. Bóg mi świadkiem, zabije. Bo kto to, Stasiu, słyszał, żeby żone drugimu zabirać. Najpirw to niby do ojca mojigo przyjiżdżał, jakieś sprawunki załatwiał. Ludzie sie ze mnie podśmiwać zaczęli, że to niby on do Anuszki przyjiżdża. Że to niby śpi z niu, rozumisz. Wierzyć mi sie, Stasiu, nie chciało. Gupišta, mówie do nich, i tyle. Śmieli sie tylko ze mnie, żem ślepy. Ale kto by, Stasiu, babe przejrzał. Nawet raz coś tak kiele tego zapytałem ji, co to ludzie gadajom, a ona, Stasiu, jak na mnie nie warknie. To ty, krzyczy, żonie własny nie wierzysz. Ty jakiś tam ludziów słuchasz. Co to, niedobra dla ciebie jestem, jeść ci ni daje czy co. I beczyć zaczyna. Gupio mi sie, Stasiu, zrobiło, żem tak moje kobite, Anuszke znaczy sie, oskarżył. Trzy dni sie do mnie nie odzywała. Że to niby obraziła sie, czy co. Nie powim, wstyd mi było tak własne kobite potraktować. Bo też co una, stara wiejska baba, z miastowem chłopem mogła mieć wspólnego. Un jak malowany, samuchodem przyjiżdżał. Te perfumy to już z daleka czuć było. Ubrany był zawsze jak z żurnala jakigo abo z telewizji. Nie powim, flaszeczke zawsze wzion ze sobo, dla mnie niby. Ale pić to nigdy nie chciał. Że to niby kierowca i ni może, gadał. Dobra wódka, ni powiem, miastowa jakaś abo nawet zagraniczna. Nie to co u nas, po cimku pędzona. I w butelkach zalakowana, Stasiu, z naklijkami. Ale co to wszystko, Stasiu, znaczy, jak mi babe zabrał. Zabije go, Stasiu, jak psa zabije. Oboich zabije. Una tyż, psiajucha, nic warta. Co una w niem widziała, to nie wim. Te perfumy chyba, czy co. Kwiaty ji przywoził, że to u nich niby taki zwyczaj, rojczki całował, szelma. – Popił znowu. – Mie to już od ślubu ludzie mówili, że una nie dla mie. Ani sie obejrzysz, gadali, a ci z innem pójdzie. Una nie do wsi stworzona, gadali. Śmiał sie tylko człek, niech se gadajom. Zobaczym, kto sie będzie jeszcze śmiał, myślałem se wtedy. Z zazdrości gadajom, myślałem. Bo też taki jak ja kobity nicht w okolicy ni miał. Bogata, szkoły miała, a ładna była, Stasiu, jak z obrazka. Ale człek nigdy sie nie dowi, co w babie za szatan siedzi. Wystarczy, że ktoś na niu lepi spojrzy, oczkiem mrugnie, a już by w ogień za niem poleciała. Już ani dzieciaki, ani mujż nic nie wart. Jeno im fatalaszki i komplimenty w głowie, a robić sie nie chce. – Popił znowu. – Co ja, Stasiu, za wstyd przeżył, to moje. Nikt nie wi, com sie nabłagał, żeby została. Mówie do ni, Anuszka, gdzie

tam do miasta bedziesz z obcem chłopem laźła. To nie dla ciebie. Co to ci u nas źle, gadam. Kuń jest, krowe mamy, toć niczygo nam wiency nie trza. Dzieciaki zdrowe, do szkoły pódóm, lży im bedzie. A nam tu, Anuszka, życie dukończyć pisane. Dzień i noc gadam, ale gdzie tam, nie słuchała. Poszła za niem i koniec. Słowa ji nie powisz. Matka to mi jeszcze przed ślubem gadała, że babe to i czasem złać trza, bo inaczej rozumu nie nabirze. Alem nigdy ji, Stasiu, nie kłnuł. Co to to nie, żeby ja kobite kiedy uderzyć się poważyl. Pijądze nawet czasem dawałem na te ji fatalaszki, ale do głowy mi nie przyszło, że to dla nigo tak się stroi. Nawet bielizne, Stasiu, w kuronki kupować zaczęła. A co to ty, Anuszka, gadam do ni, za królowe jakeś sie przebirasz czy do telewizji idziesz. A una na to, że wszystkie damy w takich kuronkach tera chodzm. Śmiszno mi było tak ju z tych koronków odplotać, ale co robić. Z babo nigdy nic ni wiadumo. No i poszła, Stasiu, do miasta. Przyjechał po niu, dziciaki zabrali i tylem jo widział. Trzy lat już będzie na wie-sne, jak poszła. Dzieciaków tyżem nie widział, czy jem tam dobrze u tych miastowych. – Popił znou. – Ale znajde ja jich, mówie ci Stasiu, że znajde. Tego paniczyka to ze skóry obedre i na pal wbije, żeby go wszystkie ludzie mogli obejrzyć. Tak, powim, zdychajom te, co to sakramentów świntych nie szanujom i za obcemi babami sie uganiajom. Bo, powidz sam, Stasiu, czy taki na co innygo zasłużył? Sam powidz, Stasiu. A ju też zabije, ni bede miał litości. Ze skóry obedre, jak psów. Dzieciaki to aż puszczeli, jak ich zabirali. Wcale jem te miastowe życie nie w smak było. Ale bez litości byli, zapakowali do zamochodu i we świat wywiźli. Adresu ich nawet ni mom, ale znańde, Stasiu, już moja w tem głowa. – Popił znou. – Zabije jak psów. Choćby mie powisić mieli, zabije. No bo za co, Stasiu, uni mie to zrobili. Że to niby pijak jestem, czy co? Toć nie powim, czasem człek i kieliszek wychyli, jak to chłop. A co to, pytam sie, baby to niby takie świnte, że kieliszka sie brzydzom? Un sam wódeczke mi wozil, miastowo jakuś czy czort wi skund. Nie powim, dobra była, nie śmirdziała drożdżami jak nasza. Ale ja by tam do miasta dla wódki nigdy ni poszed. A moja, widzisz Stasiu, dla takiego paniczyka, co to ji perfumy i kuronki kupował, mejża zostawiła. Potem to już i nic robić nie chciała, obiadu nawet nie gotowała. Do restanracji ju zabirał, a dziciaki mie tu z głodu puszczeli. Co jażem przeżył, Stasiu, to sie nie da opowiedzić. Tera to mie już wszystko jedno. O jednym tylko myślę, jakby tu ich znalizć i pozabijać. Ale znańde ich Stasiu. Jak Boga kocham, znańde. Ze skóry jigo obedre. Masz tu swojigo paniczyka, powim do ni, co to od mejża był lepszy. Za te moje zgryzoty zrobie. – Popił znou. – Take mi widzisz, Stasiu, Sudome i Gomore w dumu wyprawili. Prosiłem ju, Stasiu, żeby ostała, ale gdzie tam, ani se przytłumaczyć ni dała. Z tobum to nie życie, gadała, tylko wódka ci we łbie. A co ja, Stasiu, mum robić. Ze zgryzoty pije, ot co. Mie tam już zreszto wszystko obujentne. Choćbym i zdechnąć miał. Ale najpirw jem sie do skóry dobiore. Znajde jich, choćbym spod ziemi własnemi rękami miał ich wykopać. – Popił znou. – Znajde jich i jak psów zabije. Mówie ci, Stasiu, zabi-je. Jak psów zabije.

Bolesław Bryński

Eutanazja

– Paweł, Paweł, jebniesz z flachy? zapytał młody mężczyzna, podjeżdżając na wózku inwalidzkim do wysokiego wyciągowego łóżka.

– A masz coś? – szepnął leżący na nim chłopak. Przez jego klatkę piersiową i nogi przebiegały szerokie białe pasy, którymi był do łóżka przywiązany. Był zupełnie bezwładny, jedynie głową mógł nieznacznie poruszać.

– Toć bym się nie pytał, gdybym nie miał! – odparł nerwowo mężczyzna. – Gdzie masz rurkę?

– W szafce, w szufladzie – odrzekł ściszym i nieco zachrypniętym głosem chłopak, wskazując oczami na białą metalową szafkę, która stała przy jego łóżku.

Tamten żwawo podjechał do niej i energicznie wyciągnął górną szufladę. W niewielkim pomieszczeniu rozległ się głośny, tępy zgrzyt. Minęła dłuższa chwila, zanim wyjął z niej podniszczoną plastikową rurkę, podjechał do zlewu, wypłukał w letniej wodzie, potem dojechał do swego łóżka, spod którego wysunął dużą torbę, wyjął z niej butelkę wódki, zwolnił zakrętkę i podjechał ponownie do chłopca. Gdy jeden koniec wężyka włożył do butelki, a drugi przytknął mu do ust, z korytarza dobiegł nagle spazmatyczny męski głos:

– To wypierdalaj stąd, pizdo jebana, wypierdalaj! Nie potrzebuję twojej łaski, nie potrzebuję!!! – Chwilę później odpowiedział mu krótki szept kobiety, a potem w korytarzu rozległ się silny grzmot zamykanych drzwi.

Wtem do pokoiku weszła niespodziewanie szczupła, wysoka, o długich, jasnych włosach pielęgniarka. Kiedy zobaczyła, że mężczyzna poił wódką leżącego chłopaka, rzuciła od niechcienia:

– Rozpijasz, Kaziu, znowu kolejnego „tetrusa”.

– Nic ci do tego, nie ty kupujesz – rzucił szorstko mężczyzna.

– O Boże, przecież ja nic nie mówię! – jęknęła cicho pielęgniarka – Rób co chcesz! Przyszłam tylko wylać Pawłowi z worka mocz, bo chyba ma już pełen.

Zapadła cisza. Mężczyzna wyjął chłopcu z ust wężyk i odjechał od łóżka. Pielęgniarka, stojąca tuż przy łóżku, odchyliła lekko kołdrę i zdjęła z wieszaka plastikowy worek, który był przymocowany pod materacem. Cały worek wypełniał rzeczywiście jasnożółty płyn.

– Czego Marek tak darł mordę? – zapytał mężczyzna, gdy pielęgniarka wróciła z opróżnionym workiem.

– Bo podobno jego panienska powiedziała mu, że znalazła sobie innego, czy coś w tym stylu... – odparła beznamiętnie dziewczyna.

Mężczyzna zaśmiał się głośno i rzekł zjadliwie:

– A co on myślał!... Ona ma być teraz siostrą miłosierdzia?! To dupiasta dziewczucha i potrzebuje faceta ze sztywną, a nie zdechlaka, którym będzie się musiała całe życie opiekować...

– Nie uważasz, że jesteś zbyt cyniczny? – westchnęła pielęgniarka.

– Może nie mam racji?... – rzucił mężczyzna, po czym butelkę, którą trzymał w ręku, przytknął do ust i wlał w siebie to, co jeszcze w niej było.

– Też miałem przed wypadkiem dziewczynę – podjął temat, gdy postawił butelkę na podłodze – ale kiedy się dowiedziała, że nie będę już po nim chodził tylko jeździł na wózku, wypięła się na mnie... A przecież faktycznie mam tylko niewładne nogi: jestem „tandemem”... Jestem samodzielny, mogę gdzieś pracować... zawiesił głos. – To Paweł ma przechłapano: ma trafione ręce i nogi, złamał piąty krąg. Jest zupełnie bezwładny, w dodatku nie ma czucia. Na dobrą sprawę jest w stanie tylko gwizdać lub śpiewać...

– Przesadzasz, koleś! – przerwała mu pielęgniarka. – Ludzie z tym żyją i mają się dobrze. Pamiętasz? Irek Kociński, leżał u nas. Też „szyjniak”. Ożenił się, pracuje, chyba prowadzi własną firmę...

– Tak, ale to wyjątki! – zaczął zdudzony mężczyzna. – Większość i tak siedzi w domach, i wegetuje! Jedni się podcinają albo usypiają, a drudzy nie robią tego tylko ze strachu. Nie są pewni, czy rzeczywiście po tamtej stronie jest coś, albo obawiają się jakiejś tam kary! – zakończył śmiejąc się gorzko.

– To dlaczego ty z sobą nie skończyłeś? – zapytała bez żenady pielęgniarka.

Mężczyzna milczał. Przez chwilę patrzył na dziewczynę w białym fartuchu, na jej szczupłą sylwetkę i zamyśloną twarz. Ona też patrzyła na niego: przyglądała się jego dużym oczom, nikłym bruzdom pod nimi, wydatnym, mięsistym wargom, wokół których zaznaczał się kilkudniowy silny zarost.

Spojrzał w okno. Zobaczył, że na liściach drzewa, które z niego było widać, migotały promienie słońca. W niewielkim pokoiku ciszę przerywał tylko oddech chłopaka, który zapadł w głęboki sen.

– Paweł jest dopiero dwa miesiące po wypadku – zaczął lekko ściszone głosem – Chyba jeszcze nie jest świadomy, co go dalej czeka. Jest teraz w zawieszaniu... Też byłem w takim stanie po wypadku... W Konstancinie leżałem dobre pół roku, potem pojechałem do Koszyna, później do Cieplic. Prawie rok byłem poza domem. Gdy wróciłem, myślałem, że jestem w obcym miejscu... Ojciec już nie żył. Siostra zwała się do nas z dwójgiem swoich dzieci, bo podobno jej mąż zaczął już sprowadzać baby do domu... – Chrząknął krótko. – Oblęd, matka była załamana. Dwa nieszczęścia na raz... gdzie? Trzy, no bo ojciec! Dobrze, że wtedy pomagał nam Rysiek, mój starszy brat. Mieszka z rodziną niedaleko, jakieś trzy ulice dalej... Dopiero tam, w domu, uświadomiłem sobie, że życie mam przejebane, że tylko wegetacja... Niby mogłem wszystko koło siebie zrobić, mogłem gdzieś pracować... Ale gdzie tam, w Maleńsku, psiej dupie koło Olsztyna, mogłem tylko pluć i łapać... Żadnych szans na normalne życie! Z domu wychodziłem tylko w te dni, kiedy brat przychodził i mnie sprowadzał na dół. W dodatku wychodziłem tylko wtedy, kiedy było ciepło. Mieszkamy dość wysoko, na drugim piętrze. Przed wyjściem umawiałem się z kumplami, no i szyliśmy... – wskazał ręką na szyję. – Ale ile mo-

zna pić, skąd brać forszę? Z czasem i koledzy się wykruszyli... Poza tym w domu były siostry dzieci, więc nie wypadało, aby wujek na wózku wciąż się zalewał...

Przerwał na chwilę, ponieważ chłopak na łóżku gwałtownie poruszył głową, zamamrotał coś niezrozumiale i mlasnął głośno. Pielęgniarka odwróciła się do łóżka i nakryła leżącego kołdrą po samą szyję. Moment później chłopak już spał spokojnie.

– Pierwsze miejsce w domu były straszne – zaczął ponownie mężczyzna, kiedy pielęgniarka odwróciła się do niego. – Ani rodzina do mnie, ani ja do rodziny nie mogłem przywyknąć. Wydawało się, że pomiędzy mną a nimi jest ogromna przepaść... Byłem poza domem rok. No i mój wózek też swoje zrobił. Przez pierwsze tygodnie rodzina patrzyła na mnie jak na zjawisko. Wprawdzie widzieli już mnie parokrotnie na wózku, bo mnie odwiedzali, ale w domu, w codzienności patrzy się inaczej. Ja też od nich się odzwyczaiłem. Szpital, potem sanatoria. Znalazłem się wtedy w nieco innym świecie. Tak, – zamyślił się chwilę – z perspektywy tych paru lat, jakie minęły od wypadku (rozwaliłem się na motocyklu), tak to widzę. Przez dwa tygodnie po wypadku byłem w szoku: nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Gdy się zupełnie już ocknąłem, po obu stronach łóżka leżeli faceci w jeszcze gorszym stanie niż ja. Nie powiem, nawet fajnie było, przyjeżdżali do nas chłopaki na wózkach, przywozili flachy, żarcie, nieraz papierosy. Miałem dobrze, bo łeb mogłem podnieść, a kiedy zupełnie usiadłem na wózku, to byłem zupełnie niezależny, okazało się, że mam sprawne łapy... Ale wtedy się dawało! – wskazał dłonią na szyję – a pili prawie wszyscy. Nie mówię o wózkowiczach, no bo oni dają równo, ale zdarzało się, że piły pielęgniarki, salowe, pili noszowi. Nigdy tak dużo nie chlałem, jak w tamtym czasie... Ale było nieźle, nie myślało się jeszcze o przyszłości...

Przerwał ponownie, gdyż do pokoiku wtoczył się wolno wózek, na którym siedział szczupły, o pociągłej twarzy blondyn. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Jego duże, ciemnoniebieskie, zapadnięte oczy były mocno zażawione.

– Kaziu masz coś?... – rzekł cicho i zawiesił głos.

– Już nie, właśnie przed chwilą wypitem ostatni łyk – odparł mężczyzna wskazując głową na butelkę, która stała na podłodze.

– Kurwa mać – rzucił pod nosem przybyły, po czym odwrócił wózek przodem do drzwi i wyjechał.

– Znam ten ból – zaczął spokojnym głosem mężczyzna, kiedy tamten był już na korytarzu. – Też strasznie przeżywałem, gdy moja dziewczyna, Karolina, rzuciła mnie. To było tak cztery miesiące po wypadku. Siedziałem już na wózku. O tym, że Karolina na mnie leje, powiedziała mi matka... Podobno widziała ją którejś soboty jak szła z jakimś facetem na dyskotekę... Pamiętam, potem chyba przez tydzień albo dwa nie trzeźwiałem. Właściwie to nie musiałem tak od razu robić, bo przecież matka mogła zobaczyć nie tak jak powinna, lecz kilka dni później dostałem od Karoliny list, w którym faktycznie... Cóż, trzeba było się z tym pogodzić. Znowu jakiś okres strasznie piłem. Wiesz, warunki sprzyjały, chłopaki mieli ciągle coś pod ręką. Teraz widzę, że tamto picie było odskocznią od rzeczywistości... Już nie wiem, czy dobrą, czy złą. Może było chwilowym uspianiem świadomości, oderwaniem od tego, co jest i już będzie. Może dlatego niektórzy faceci po złamaniu tak się zalewają. Ta świadomość, że wypadek, kalectwo zmienia dotychczasowe życie, że pewne rzeczy będą już nieosiągalne dla nich, to wszystko może tych ludzi strasznie dołować. Wódka łagodzi, wódka przytępia, rozcieńcza. Tak, ja wiem, to nie

jest wyjście, lecz czasem, kiedy już nic... – zakasłał ochryple i przełknął ślinę. – Powiesz, że nie powinienem tak mówić, że jestem wierzący... Nieraz jednak myślę... – Że Bóg nie doświadcza? – weszła mu w zdanie pielęgniarka. – Jeśli tak, to jesteś w błędzie!.

– Oj, przecież wiem! – jęknął mężczyzna – Też przecież chodziłem... Wiem, każdy ma na swój sposób przepieprzone... choćby moja siostra!... No, ale wózek naprawdę zmienia życie!

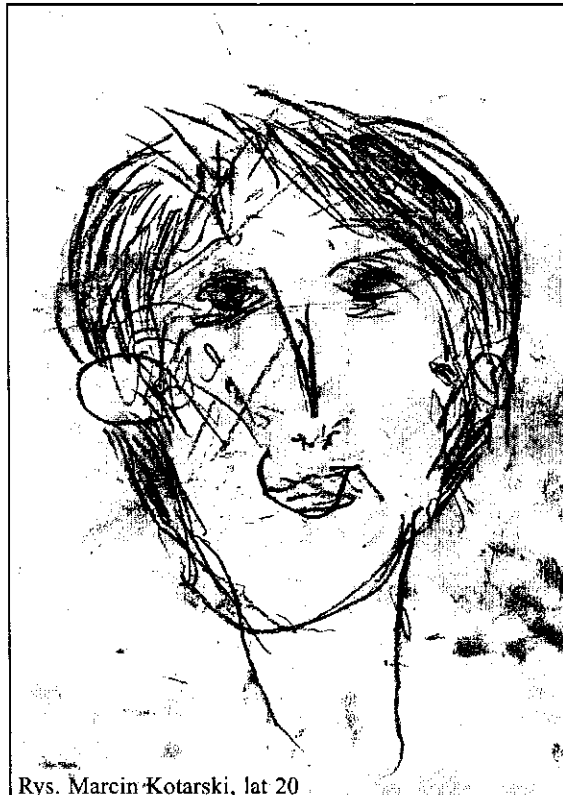
Zapadło milczenie, moment później z korytarza dobiegł piskliwy kobiecy głos:

– Ula, Ula, gdzie jesteś?!

– Tutaj, u Kazika! – krzyknęła dziewczyna, po czym wybiegła. – Co się stało?!

– wrzasnęła tuż za drzwiami.

Śpiący chłopak poruszył głową nerwowo i silnie zakasłał, lecz nie obudził się. Mężczyzna schylił się, podniósł butelkę z podłogi, podjechał do łóżka i schował ją do czarnej torby, która leżała teraz na pościeli, potem energicznie zasunął suwak, położył ją pod łóżkiem i wyjechał na korytarz. W pokoju, w panującą ciszę wpływały krople wody, które miarowo kapiąc z kranu uderzały o zlew, jednostajny oddech śpiącego i głosy dochodzące od drzwi.



Rys. Marcin Kotarski, lat 20

Adam Dobrzyński

O starości inaczej

*Upływają godziny I dnie, miesiące i lata,
czas, który minął, nigdy się nie cofa,
co dalej nastąpi – tego wiedzieć nie sposób.
I dlatego człowiek powinien być zadowolony
z tego odcinka czasu, jaki mu los na życie wyznaczył*
Cyceron, *Katon Starszy o starości*

C. G. Jung porównuje życie do drogi słonecznej, dzieląc je na okresy nazwane metaforycznie porankiem życia, zenitem i wieczorem. Wszystkie owe etapy życia są, według Junga, równie ważne. Bo tak jak dopełnieniem dnia jest wieczór, tak dopełnieniem życia jest starość. W ciągu całego życia człowiek, wypełniając swoje życiowe zadania i realizując wyznaczone cele, powoli lecz nieubłaganie zbliża się do niej.

Niestety, we współczesnej cywilizacji europejskiej ceniącej głównie młodość i wartości materialne, ludzie starzy zdają się być zepchnięci na margines życia społecznego, a sama starość została zdewaluowana – nie cieszy się ani szacunkiem, ani poważaniem. Obowiązuje zasada użyteczności, która mówi, że człowiek dopóty jest przydatny dopóki jest w stanie coś z siebie dać. Zasada ta godzi najbardziej w ludzi starych, którzy nie nadążają za tempem życia. Nie znajdując zaś w społeczeństwie zrozumienia i poparcia, czują się niepotrzebni. Natomiast poczucie zbędności przyspiesza proces starczej degradacji. W ten sposób koło się zamyka.

Trudno jest podać jednoznaczną definicję starości. Niewątpliwie jednak należy rozpatrywać ją w powiązaniu z procesem starzenia się. Starzenie zaś możemy rozważać w aspektach: biologicznym, psychologicznym i społecznym. I tak, od strony fizjologicznej starzenie się jest postępującym procesem zmniejszania się sprawności psychofizycznej, co jest następstwem zużywania się tkanek narządów w organizmach żywych. W funkcjonowaniu psychicznym ludzi starych można natomiast wyodrębnić takie cechy wspólne jak: spowolnienie reakcji psychicznych, zmienność nastrojów, osłabienie pamięci, zmniejszenie zdolności adaptacyjnych oraz – niekiedy – zawężenie i osłabienie zainteresowań. Od strony społecznej zaś starzenie wiąże się głównie ze zmianą ról społecznych i spadkiem aktywności człowieka. O ile jednak starość jest naturalnym i nieuniknionym etapem w życiu człowieka, to starzenie się jest procesem rozwojowym o charakterze dynamicznym.

Tak jak sama starość, również jej początek nie jest ściśle określony. Według klasyfikacji Światowej Organizacji Zdrowia starość dzieli się na trzy podokresy: lata 60-75 to

wiek podeszły, 75-90 starczy, a po 90 roku życia wiek sędziwy, tzw. długowieczność. Najczęściej jednak ludzi starych dzieli się na tych, którzy dopiero wchodzą w okres starości i liczą 60-70 lat, a za właściwą starość przyjmuje się lata od 70 roku życia wzwyż. Po siedemdziesiątym roku życia objawy starości są bowiem najbardziej zaznaczone.

Rozpatrywana jedynie od strony biologicznej starość wydawać się może brzemieniem trudnym do udźwignięcia. Somatyczne objawy starości dobrze są znane. Ciało stopniowo słabnie, stając się mniej sprawne. Skóra staje się sucha i pomarszczona, włosy siwieją i przerzedzają się. Proces odwapniania powoduje większą łamliwość kości, a zmiany zachodzące w kręgach są przyczyną pochylonej postawy ciała. Chodzenie jest charakterystycznie wolne, wysiłek fizyczny wiąże się z trudnościami. Mięśnie słabną i zanikają, zaś stawy ulegają usztywnieniu. Ubożeje również mimika i zmieniają się rysy twarzy. Ponadto pogarsza się wzrok i słuch oraz zmysł smaku i powonienia.

Jednakże w rozwoju psychicznym i duchowym człowiek u schyłku życia ma szczególne zadanie do spełnienia. Ma bowiem przed sobą wielką szansę osiągnięcia dojrzałości, zbliżenia się do prawdziwej, ludzkiej pełni. Stopniowe wyłączenie się z życia zewnętrznego otwiera przed człowiekiem możliwość odkrycia życia wewnętrznego. Duchowe odrodzenie, to według Junga, najważniejsze zadanie drugiej połowy życia. Wymaga ono jednak gruntownej przemiany wewnętrznej, zmiany zadań i przewartościowania wartości, co często nie odbywa się bez kryzysu.

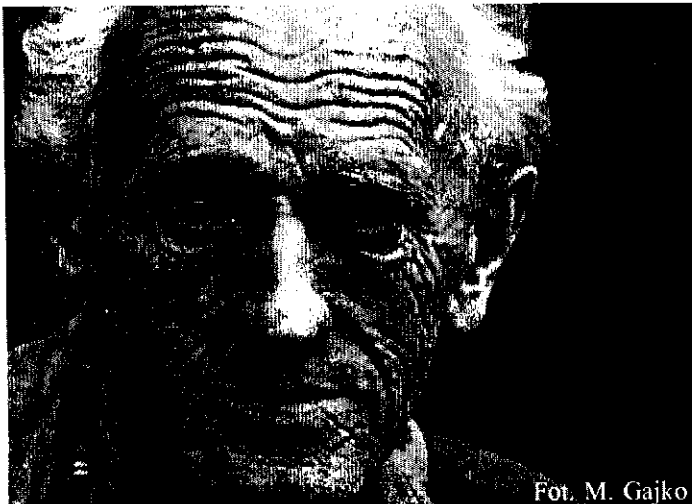
Należy jednak pamiętać, że na starość pracujemy przez całe życie. Albowiem każdy etap życia wpływa na etap następny. W ten sposób starość każdego człowieka jest jego losem indywidualnym, zależnym od tego, jak ukształtował swoje życie. Zadowolenie ze starości jest wynikiem zadowolenia z życia, które miało miejsce już we wcześniejszych jego okresach.

Jak w każdym innym okresie życia, tak i w tym coś tracimy i jednocześnie coś zyskujemy. Do niewątpliwych zalet starości należy: bogate doświadczenie, mądrość życiowa, refleksyjność, duża ilość czasu wolnego, trzeźwość oceny oraz znajomość świata i ludzi, dzięki czemu człowiek stary potrafi łatwiej i rozsądniej oceniać życiowe sytuacje. Możliwość niedalekiej śmierci sprawia, że pojawia się pewien dystans wobec spraw doczesnych, wzrasta natomiast zainteresowanie religią. Religia stanowi punkt oparcia, a jednocześnie zmusza człowieka do stałej refleksji nad sobą. Taka religijna refleksja pomaga odnaleźć spokój i pogodę ducha, pełniej wykorzystywać wartości już nagromadzone i odkrywać nowe, a także wzmacnia poczucie własnej wartości i godności. Religia, ukazując zbawczą perspektywę, nadaje teraźniejszości człowieka specyficzne znaczenie, wskazuje, że pomimo słabości psychofizycznej jego życie może być nadal twórcze i piękne.

Myśli człowieka starego coraz częściej krążą również wokół przeszłości. Wspomnienia nabierają barw, stają się żywe, a na plan pierwszy wysuwają się w nich wydarzenia przyjemne i pogodne. One stanowią główne źródło oparcia, gdy otaczający świat staje się coraz bardziej obcy i niezrozumiały. W ten sposób człowiek, snując refleksję nad własnym życiem, w sposób mniej lub bardziej świadomy dokonuje jego bilansu. Poszukuje odpowiedzi na pytanie: kim stał się jako człowiek? Aktualne stają się pytania o sens istnienia, cierpienia, śmierci i poniesionego trudu. Udzielone zaś nań odpowiedzi mają wpływ na przystosowanie się oraz na ukształtowanie postawy wobec własnej starości.

U progu starości człowiek dokonuje bilansu swego życia. W zależności od niego kształtuje obraz samego siebie. Gdy bilans jest dodatni, to i obraz rozjaśnia się, a gdy ujemny – maluje się w ciemnych barwach. W przeciągu życia wielokrotnie dokonuje się jego oceny, co jest jednym z kryteriów dojrzałości społecznej i emocjonalnej, jednak znaczenie bilansu zależne jest od okresu życia. W młodości, czy dorosłości człowiek analizując swoje porażki i osiągnięcia ma szerokie możliwości zmiany swojego postępowania. Natomiast w okresie starości, kiedy wraz z upływem kolejnych lat, przeszłość coraz wyraźniej przeważa nad przyszłością narasta w człowieku poczucie, że już wszystko ma za sobą i niewiele da się zmienić.

Tak pojmowany bilans życiowy staje się ważnym wyznacznikiem stanu emocjonalnego człowieka, i co za tym idzie, wywiera wpływ na jego przystosowanie. Jeśli ocena własnego życia jest dodatnia, to człowiekowi starszemu lżej znosić klęski starości, gdyż ma za sobą dobrze spełnione życie. Gdy ujemna, to wówczas obraz samego siebie staje się jeszcze ciemniejszy i smutek starości tym dotkliwszy. Niewątpliwie jednak, aby ocena minionego czasu była pozytywna, konieczne jest zaakceptowanie starości i dostrzeżenie w niej szansy dopełnienia życia. Konieczne jest pogodzenie się ze swoim wiekiem, uświadomienie sobie, że pewnych zadań nie można już podejmować. Starość jest nieunikniona, jednakże im trudniej ją zaakceptować, w tym ostrzejszej fazie występuje. Ponadto, w starości można dostrzec wiele elementów pozytywnych. Przykładem może być tutaj Cynceron, który w swoim traktacie „Katon Starszy o starości”, obala zarzuty wysuwane przeciw starości, przedstawiając ją jako wspaniały okres życia, który cechuje wielką dojrzałość, mądrość i użyteczność dla społeczeństwa. Czynnikiem, który rozstrzyga o tym, jak człowiek znosi starość jest jego własny charakter, zaś broń przeciwko starości to przede wszystkim świadomość dobrze przeżytego życia, zainteresowania intelektualne i nieustanne ćwiczenie się w cnotach. Mimo upływu dwu tysięcy lat od czasu powstania traktatu o starości, myśli Cyncerona w nim zawarte są ciągle aktualne. Natomiast tak pojęta starość jest dla każdego człowieka zadaniem i jednocześnie wyzwaniem.



Fot. M. Gajko

Eugeniusz Łastowski

Śmierć

Zgrzytnął klucz w zamku i po chwili otworzyły się drzwi. Do celi wpuszczono człowieka w średnim wieku, o bladej, anemicznej twarzy.

— Dzień dobry – powiedział na przywitanie.

Położył swoją zgrzebną torbę obok mego kozucha i westchnął:

— Oni robią ze mnie balona.

— Dlaczego? – nieśmiało zapytałem.

— Człowiek może stracić nerwy – skarżył się nieznajomy – przerzucają mnie z celi do celi ...

Tylko z kapusiami tak robią – wtrącił się do rozmowy obok siedzący Rząbek – bo kapuś donosi, co dzieje się w celach.

— O panie – jęknął nieznajomy – nie posądzajcie mnie, że jestem kapusiem, brzydkie to stworzenie i przykre...

— My pana nie posądzamy jako kapusia – usprawiedliwiał się Rząbek – i nie widać to zresztą z twarzy!

— Ja do takich ludzi nie należę.

— To w takim przypadku jesteśmy szczęśliwi, że do naszej celi nie trafiła taka łachudra.

Nieznajomy powiedział, że nazywa się Bachwoł i jest skazany na 15 lat więzienia.

— Wszystko dobrze – mówił załamany głosem – nie jestem kapusiem, nikogo nie zabiłem i nikogo nie ograбіłem. Tylko jedną mam wadę...

— Jaką? – – podnieśliśmy z ciekawości głowy.

— Ale to nie z mojej winy – oznajmił drżącym głosem – jestem chorym człowiekiem, sami widzicie – powiedział i splunął na dłoń. – Niech panowie zobaczą – podniósł rękę wyżej do światła.

— Co pan tu straszy – burknął z wyrzutem Rząbek – i niedbale spojrzął na dłoń więźnia.

— Ślina taka, jaka powinna być – dorzucił w końcu.

— Oj, nie taka – westchnął żałośnie Bachwoł i wytarł dłoń o spodnie.

— Nie mam zamiaru was straszyć, tylko nie wiem, dlaczego oni dali taki wysoki wymiar kary, przecież przedstawiłem sądowi zaświadczenie lekarskie i sędziowie doskonale wiedzieli, że długo nie pociągnę... – skarżył się.

— A co panu właściwie jest? – zapytałem i spojrzałem mu w oczy.

— Suchoty – ledwie wykrztusił załamany głosem. Schylił na dół głowę, jakby wstydził się tego, co powiedział.

— Rzeczywiście, gruźlica to straszna choroba i zaraźliwa – potwierdziłem ze strachem. Tylko nie wiadomo, czy pan prątkuje?

— Jeśli w ślinie widoczne są ślady krwi, to myślę – zwierzał się – że gruźlica jest w ostatnim stadium.

— Proszę jeszcze raz splunąć na dłoń – zaproponowałem, aby dokładnie sprawdzić.

Kiedy wnikliwie przyjrzałem się ślinie, zauważyłem ślady drobnych niteczek krwi.

— Oj panie, teraz jestem pewny, że ma pan do czynienia z otwartą gruźlicą – przestraszyłem się tym razem.

— Nie wiem, dlaczego mnie wtoczyli do tej ciasnej, dusznej celi, w dodatku do zdrowych, młodych ludzi, przecież mogę was łatwo zarazić – mówił zrezygnowanym, przybitym głosem.

— To widocznie robota Dosiuka – zauważył Rząbek – być może chce nas wszystkich wykończyć.

— Najwięcej żał pana – wskazał na mnie – pan jest najmłodszym u nas w celi.

— A gruźlica atakuje młody organizm najskuteczniej – zauważył w kącie siedzący Kurlejko.

Tym razem milczałem. Odsunąłem się na bok od gruźlika i obserwowałem go dosyć długo. W błyszczących, załamanych oczach widziałem odbicie śmierci, która wdarła się do naszej celi. Przyszła wraz z tym człowiekiem.

Do mego cierpienia przyłączyła się teraz świadomość, że mogę w każdej chwili zachorować na tę straszną chorobę. Dochodziłem teraz do wniosku, że przez sąd zostałem skazany na 3 lata cierpień, a więzienie skazało mnie na śmierć.

— Gdzie tu sprawiedliwość? – powstawał w mojej duszy wciąż narastający bunt.

Zauważyłem, że gruźlik był uczciwym człowiekiem, odwracał w czasie ataku kaszlu twarz do ściany, zakrywał usta rękawem i dusił się w spazmatycznym, gwałtownym wysiłku. Twarz jego była blada, jak papier. Nawet w czasie wysiłku nie widać było na twarzy żadnych oznak przyływu i odpływu krwi.

Chciałem zapytać, ile czasu już siedzi, ale ta chwila była nie stosowna, bo atak kaszlu powtarzał się coraz częściej i chory coraz bardziej cierpiał. Przypuszczałem, że każdy podmuch z jego piersi wyrzucał zarazki na całą celę, być może je wdycham z pozostałymi więźniami.

Usiłowaliśmy później skutecznej odizolować chorego od reszty celi, jednak szczupła, ciasna powierzchnia pomieszczenia mało nas broniła przed gruźlikiem.

Myślałem teraz, że nadszedł koniec. Wcześniej, czy później w tej ciasnej, dusznej celi zarazę się gruźlicą. Zauważyłem – że Rząbek i Kurlejko mało zwracali uwagi na chorego i nie przejmowali się suchotami.

— Raz kozie śmierć – rozważał lekceważąco jeden z nich – umierać trzeba w życiu jeden raz. Im wcześniej to nastąpi, tym lepiej, bo w ten sposób skróci się cierpienie.

— Nie sztuka umrzeć, ale sztuka żyć – dorzuciłem.

— Może pan ma rację – zamyślił się Rząbek – to prawda, że każdy głupi potrafi umrzeć...

— Dlatego należy coś robić, aby nie zarazić się gruźlicą – radziłem z powagą.

— Ma pan rację – zamyślił się Rząbek – to prawda, mamy przecież dzieci, musimy je wychować. Powinniśmy na wolność wyjść jako zdrowi ludzie.

Poprosiłem chorego, by przy wieczornym apelu stanął do raportu i oznajmił przodownikowi, że jest chory na gruźlicę, dlatego zachodzi konieczność przeniesienia do innej celi.

— Czy uczyni to pan? – zapytałem.

— Czemu nie? – zdziwił się – przecież jestem wierzącym człowiekiem i nie chcę was wszystkich mieć na sumieniu.

— To pan jest porządnym człowiekiem – chwalił tym razem Rząbek.

Wieczorem przy apelu, kiedy oddziałowy zamierzał zamknąć drzwi, chory wystąpił nieco naprzód i krzyknął:

— Chwileczkę.

— Co chcecie? – warknął przodownik Silewski.

— Do raportu.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie przeniesienia do innej celi.

— Dlaczego? Krzywdzą tu was?

— Ja ich krzywdzę – odparł krótko chory.

— Nie rozumiem.

— Jestem chory na gruźlicę – zwierzył się smutno – i z tego powodu proszę o przeniesienie do izolatki.

— Człowieku, czyś oszalał, zginiecie tam w samotności, z ludźmi obcować lepiej – zauważył cynicznie funkcjonariusz.

— Ten pan jest młodym człowiekiem – pokazał palcem na mnie – łatwo się zarazi.

— Nie gadajcie – krzyknął Silewski – temu człowiekowi nic się nie stanie, zdrów jest jak tur, wszystko wytrzyma...

Nie zdążył dokończyć, bo oddziałowy pośpiesznie zamknął drzwi. Nastąpiła chwila ciszy i zadumy. Po chwili odezwał się Rząbek:

— Jeśli oni tak podle z nami postępują, to i my coś wymyślimy. Raz kozie śmierć – powiedział nieco głośniejszym głosem i zamyślił się.

Po apelu położyliśmy się na posadzce i słyszeliśmy, jak chory z początku kaszłał cicho, lecz przed północą poszedł do kibla i odjąwszy dekiel płuł do niego nerwowo, starając się to robić jak najciszej, aby nie obudzić nikogo. Później kaszłał długo i natarczym. Otwarty kibel zionął. Powietrze napełnione było dusznym, gryzącym fetorem.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Stała mi przed oczami gruźlica. Wyobrażałem ją sobie w postaci niezliczonych ilości małych, niewidzialnych gołym okiem bakterii, które unoszą się nade mną, wślazają do nosa, przedostają się do wnętrza organizmu, osiadają niezliczoną rzeszą na płucach, niszczą organizm, który walczy z nimi nieustannie, zabija. Ale czy wystarczy mi na długo żywotnych sił do odparcia niebezpiecznej choroby? Na to nie umiałem w myślach dać odpowiedzi. Miałem żal do władzy więziennej, tylko nie wiedziałem kogo obarczyć tą odpowiedzialnością. Przypuszczałem, że funkcjonariusz, który skierował go do naszej celi jest zbrodniarzem. Martwi-

tem się teraz, że życie moje jest zagrożone. Wiedziałem, że życie jest największym skarbem, dlatego postanowiłem o nie stanowczo walczyć. Przypomniała się mi dziewczynka z rodzinnej wsi na Wileńszczyźnie, która umarła na suchoty. Stała mi ona teraz przed oczyma. Patrzyła na mnie zmęczonymi źrenicami, a na beznadziejnej, bladej twarzy malowała się rozpacz i strach przed nieuchronną śmiercią. Wiedziałem ją, jak wachała polne kwiatki, jak cieszyła się wiosną, jak w wolnych chwilach robiła szydełkiem dla mojej mamy serwetkę na stół. Nie dokończyła pracy, bo przerwała ją śmierć. Zdawało mi się, że bakcyle uwijają się teraz nade mną, biją mnie, dręczą strachem, wyciskają krople potu i przejmują dreszczem niepewności.

— Co robić? – pytałem sam siebie w duchu. – Do kogo się zwrócić w tak żywotnej sprawie? – Do oddziałowego? – Do przodownika? – Do samego naczelnika? – Gdyby był lekarz, to może on coś poradziłby? Całe więzienie nie ma żadnej opieki lekarskiej.

Rano przed śniadaniem, kiedy panowała jeszcze grobowa cisza na korytarzu, zapukałem do drzwi.

— Co jest? Która cela? – krzyczał na korytarzu ochryply, zaspany głos oddziałowego.

— 44-ta – odpowiedziałem.

— W jakiej sprawie?

— Osobistej.

— Zostawcie to dla siebie – krzyknął oddziałowy i usłyszałem oddalające się jego kroki.

— Widzi pan – zauważył smutnym tonem Rząbek – oni postępują w myśl starej zasady: ty mów, a ja zdrów.

— Będę nadal dobijał się do drzwi – zapewniłem swoich współtowarzyszy.

Zastukałem ponownie.

— Oj, panie – przestraszył się tym razem Kurlejko – oni gotowi za to wsadzić pana do karca!...

— I tego się nie boję. Gruźlica jest gorsza od karca – odparłem z goryczą.

— Niech pan weźmie dekiel i wali żelazem w drzwi – poradził Rząbek – wtedy ktoś przyjdzie i otworzy.

Zdjąłem pokrywę z kibla i waliłem żelazem w deski. Przestraszony gruźlik powstał z kąta. Kurlejko i Rząbek stali w oczekiwaniu, że prędko coś się stanie.

I rzeczywiście. Klucz zgrzytnął w drzwiach i ukazał się w nich oddziałowy w asyście przodownika Silewskiego.

— Który z was stukał w drzwi? – zapytał spokojnie przodownik.

— Ja! – przyznałem się bez wahania.

— Nie możecie zapukać po ludzku?! – zapienił się tym razem Silewski..

— Przecież pukałem – odparłem – jednak bez skutku.

— Oddziałowy nie jest głuchy.

— Czym waliliście tak głośno?! – zapytał ze złością.

— Obcasem od trzewika i dekle od kibla – przyznałem się bez wahania.

— Dlaczego tak złośliwie postępujecie?

— W obronie własnego życia – odpowiedziałem śmiało.

— Chyba pomyłony! – krzyknął przodownik i ze złością zatrzasnął drzwi.

— Ty mów, a ja zdrów! – powtórzył znany slogan Kurlejkę – widzi pan, jako się upiekło, że pana nie ukarali! – i odetchnął z ulgą.

— Będę nadal stukał, aż do skutku – powiedziałem stanowczym głosem.

— Mądrze pan robi – pochwalił gruźlik – bo inaczej nic nie będzie. Jeżeli każdy będzie siedział spokojnie, to gruźlica wszystkich tu wykończy.

Po śniadaniu prosiłem oddziałowego, aby zapisał mnie w formie raportu do naczelnika.

— W sprawie?

— Gruźlicy.

— Ot, głupi! – wrzasnął oddziałowy – oni was nastraszyli, a wy boicie się choroby. Gruźlica jest dla ludzi, a ludzie dla gruźlicy – krzyknął funkcjonariusz i znowu zatrzasnął drzwi. Szamotałem się w czterech ścianach ciasnej celi i myślałem: – Co robić? Byłem bezradny. Jediną rzeczą możliwą do wykonania, to interweniować za pomocą stukania w drzwi.

Gruźlik tymczasem kaszłał, parsknął, zaciskał usta rękawem i wycierał łzy, które po kaszlu zazwyczaj płynęły mu z oczu.

Po południu, kiedy nastąpiła zmiana w dyżurze oddziałowym, zacząłem znowu pukać.

— W sprawie? – odezwał się za drzwiami głos.

— Gruźlicy.

— Jakiej?

— Tej choroby.

Otworzył drzwi.

— Dawno chorujecie? – Tym razem oddziałowy zapytał dość grzecznie.

— Nie wiem – odparł gruźlik.

— Gdzie dostaliście gruźlicę?

— Nie wiem.

— W więzieniu, czy na wolności?

— Przypuszczam, że na wolności...

Oddziałowy zamyślił się. Po chwili zapytał:

— Więc co mam zrobić?

— Przenieść do izolatki – zaproponowałem bez wahania.

— Nie mam prawa – przyznał się funkcjonariusz.

— A kto może to uczynić?

— Kierownik działu specjalnego.

— To on nam wsadził tu gruźlika?

Oddziałowy zamyślił się. Po chwili odpowiedział: – Nic w tej sprawie nie wiem i nic nie poradzę...

— To żądamy, aby odwiedził nas inspekcyjny Radulski lub Madewski. A jeśli oni nie poradzą, to chcemy, aby odwiedził nas naczelnik więzienia... – prosiłem błagalnie i głos załamywał mi się z żalu.

— W takim razie wysoko sięgacie!

— Ja nic nie poradzę – powtórzył oddziałowy i zamknął za sobą drzwi.

W tej chwili Rząbek chwycił dekiel od kibla i z furią cisnął nim w deski. Żelazo z hałasem upadło na posadzkę. Na korytarzu słychać było oddalające się kroki oddziałowego.

— Bierzmy kibiel i walmy w drzwi! – zachęcał tym razem Rząbek.

— Świetna myśl – potwierdziłem z entuzjazmem.

Ująłem ciężki, żelazny kubek za rączkę z lewej strony, Rząbek z drugiej, Kurlejo chwycił za dno i biliśmy nim w drzwi. Głuchy, ciężki loskot roznosił się po całej celi i odbijał się echem po pustym korytarzu. Po każdym uderzeniu deski lekko się ugiwały i drżały.

— Bijmy aż do skutku – krzyczał tym razem Rząbek, ocierając pot z czoła.

— Jeszcze raz – zachęcał Kurlejo.

Rozhuściliśmy ciężkie naczynie i waliliśmy nim zawzięcie.

— Jeszcze raz – zachęcał Kurlejo.

— Drugi raz – ponaglał tym razem przyglądający się gruzlik.

— Jeszcze, jeszcze i jeszcze!

Rozkołysaliśmy któryś raz z rzędu naczynie, by uderzyć silniej – raptownie otworzyły się drzwi. Kibel wypuściliśmy z rąk. W drzwiach ukazał się inspekcyjny z czerwoną opaską na rękawie, przodownik i oddziałow.

— Wychodzić wszyscy na korytarz! – rozkazał donośnym, grubym głosem inspekcyjny.

— Ustawić się twarzą do ściany.

Rozkaz inspekcyjnego wykonaliśmy. Wbiłem wzrok w ścianę.

W celi został gruzlik.

— A wy co? Po polsku nie rozumiecie?! – krzyknął funkcjonariusz.

Chory podniósł się ociężale z posadzki i ustawił się tak samo jak my, pod ścianą. Z trudem podniósł ręce do góry.

— Trzymajcie prosto swoje graby.

— Tu nie jest karczma, tu jest dom karny! – krzyczał teraz inspekcyjny chodząc za naszymi plecami. Zachciewa się wam zabawy, pokażemy wam igraszki!

Po chwili posłyszeliśmy czyjeś kroki. Spostrzegłem, że stał za mną kierownik działu specjalnego.

— To wam, jak widać, sprzykrzyło się siedzieć w celi! – szturchnął mnie w plecy – wam zachciało się karca? Kto był inicjatorem tej burdy?

— Ja! – przyznałem się śmiało.

— A czego wy chcecie?

— Wybawić się od gruzlicy.

— To czeka was kara! – straszyl.

— Mnie już spotkała – odparłem i odwróciłem lekko do niego twarz.

— Trzymajcie głowę przy ścianie, bo dostaniecie w księżyc! – krzyknął kierownik.

— Gorszej kary nie będzie od tej, która mnie już spotkała.

— Milczeć! – krzyknął tym razem ze złością.

— A wy co? – szturchnął w plecy Rząbka.

— Nie wiem, o co chodzi?

— Biliście kibelem w drzwi?

- Biłem.
- A wy? – pytał dalej.
- Biłem – przyznał się Kurlejk.
- A wy? – pytał teraz gruźlika.
- Biłem – Ƙłamał chory.
- Nie rozumiem, o co chodzi? Oni zdrowi bronią się od choroby, a wy dlaczego?
- Ja bronię ich od choroby, bo nie chcę tych ludzi mieć na sumieniu – wyjaśnił bez wahania gruźlik.
- Będziecie i wy odpowiadać! – straszyl.
- Ja niczego się nie boję – powiedział załamany głosem gruźlik – mnie powinni ludzie bać się, bo ja roznoszę bakterie strasznej choroby...
- Skąd jesteście pewni, że macie gruźlicę? – zapytał tym razem łagodniej kierownik.
- Ślina mi mówi...
- Jak to?
- W ślinie jest krew!
- Błuznierstwo, i więcej nic! – krzyknął z cynizmem w głosie.
- Nie odwracajcie głów i równo trzymajcie przy ścianie – rozkazał – Graby trzymajcie do góry!
- Gruźlik z trudem utrzymywał ręce w górze.
- Pytam, który z was pierwszy zaczął bić kiblem o drzwi? – zaczął od nowa kierownik.
- Ja byłem inicjatorem – przyznałem się na poczekaniu.
- Wy jesteście chojrakiem – krzyknął pogardliwie.
- Wszyscy maszerujcie do celi! – rozkazał w końcu.
- Opuściłem ręce i ruszyłem pierwszy.
- Powietrze w celi było duszne, ciężkie, kwaśne od moczu, który rozlał się na posadzkę wskutek uderzeń kiblem o drzwi, zapachu świec i rozkładającego się ciała.
- Ilekróć uczestniczyłem w swoim życiu w pogrzebach znajomych mi ludzi, to tyle razy wahałem podobny zaduch grobowej atmosfery.
- Co dalej będzie? – pytał zatrwożony Rząbek – wsadzą nas do karca, czy nie wsadzą? – zagadywał zakłopotany głosem.
- Na drugi dzień, po wieczornym apelu przyszedł oddziałowy w asyście inspekcyjnego i wymienił moje nazwisko.
- Jazda do karca! – rozkazał – Możecie zebrać ze sobą marynarkę! – dorzucił pogardliwym głosem.
- A wy – spojrzął na gruźlika – zabierajcie swoje rzeczy. Pójdziecie do innej celi! Szedłem do karca podniesiony na duchu.

Jan Rogowski

Niepełnosprawność a poznawanie Boga

Niepełnosprawność budzi lęk. Doznaje tego każdy, kto w najmniejszym stopniu styka się ze swoją bezsilnością. Analiza samego terminu „niepełnosprawność” prowadzi do daleko posuniętych wniosków. Wydaje się, że słowo to zostało wymyślone w celu złagodzenia pierwotnych terminów oznaczających ludzką niemoc, chorobę. W słowie tym wyczuwa się tendencję do spoufalenia się z „innym”. Kiedyś mówiono inwalida, kaleka, chromy, oznaczało to wówczas osobę wyłączonej poza nawias społeczeństwa. Osoba taka skazana była na pewnego rodzaju niebyt społeczny. Tymczasem nowoczesne określenie „niepełnosprawny” ma za zadanie przybliżyć ten stan każdemu z nas, bo przecież, pomijając jego łagodny charakter, stykamy się tu z próbą asymilacji określonej kondycji człowieka. Niepełnosprawny to po prostu ktoś nie będący w stanie sprostać wymaganiom współczesnej kultury. A przecież pomija się tu określoną istotowość zjawiska, polegającą na trwałej zmianie kondycji fizycznej, psychicznej i duchowej. Sprawnym jest się zawsze do czegoś. Sprawność nie jest cechą konstytutywną istoty ludzkiej. Jest zawsze relacją określonej możliwości do zadania jakie stoi przed człowiekiem. Wydaje się również, że tak zwana pełna sprawność jest rzeczą umowną. W jaki sposób bowiem, można być absolutnie w pełni sprawnym? Pobieżna obserwacja pozwala zauważyć jakie to złudne. Owszem, są sytuacje i ludzie, którzy wydają się działać w sposób absolutnie sprawny.

Choroba, która pojawia się w sposób zawsze nieprzewidziany i absurdalny, jest wyłączeniem człowieka z kręgu szeroko rozumianej sprawności. Każda choroba choćby najłżejsza powoduje, że czujemy się nie w pełni sprawni, ale oczywiście nie ma tu mowy o chorobach, które trwale uszkadzają ludzkie *phýsis* bądź *psyche*.

Staramy się szybko wyjść ze stanu choroby, a więc niepełnosprawności. Kiedy się to nie udaje, rozpoczyna się coś zupełnie nowego. Znane są te wszystkie fazy, przez które przechodzi osoba dotknięta niepełnosprawnością wynikłą z poważnej choroby.

Bunt, żal, rezygnacja, apatia, walka, bezsilność, złość to tylko niektóre z nich. Sprawiają one poważne przewartościowanie postawy wobec siebie i otoczenia.

Rozpoczyna się żmudny proces stawiania się „Innym”. Doświadczenie, o którym tu mowa jest nieprzekazywalne. Zawsze ma charakter jednostkowy, wyjątkowy. Wszelkie opisy stają się „liryką”, która aczkolwiek wzruszająca, zawsze pozostaje obca. Wchodzi my tu mianowicie w problem tak zwanego współczucia. Rzadko komu udaje się stanąć przy drugim człowieku w pełnym zrozumieniu i akceptacji.

Tutaj jednak pozostajemy przy opisie tego co niewyraźalne, a które jednak w jakis sposób musi być usensowione. Sytuacja niepełnosprawnego, która jest diametralnie nowa

musi nabrać swoistego znaczenia. Jeżeli pozostawimy ją w kręgu tajemnicy nieznanego, nieakceptowanego, będzie udręką i będzie zawsze czymś bezsensownym.

Oczywiście rozważania tej sytuacji wymaga jakiejś wizji człowieka i jego usytuowania w kosmosie. Wizji, która mogłaby być odniesieniem, i w której można by znaleźć pewne modele postaw. Sięgamy tu do ostatecznych rozwiązań dotyczących bytu ludzkiego. Zawsze pozostajemy bytem niepełnym, przypadkowym, ułomnym, taka od początku jest nasza natura. Dopiero później, w procesie rozumowego konstruowania własnej tożsamości, schodzimy na manowce. Pyszny rozum podpowiada nam, że jesteśmy absolutnie doskonali, samowystarczalni, niezależni i sami możemy zapanować nad swoją kondycją. Tego typu myślenie stało się rozpowszechnione szczególnie teraz w XX w., kiedy panuje kultura sportu, pięknego i silnego ciała, i nie ma miejsca na refleksję, która pokazywałaby prawdę i pomogła znaleźć właściwe proporcje.

Równocześnie tworzy się złudzenia, że w sposób mniej lub bardziej dostępny możemy usprawnić własną kondycję. Organizm ludzki będący jednością elementów fizycznych, psychicznych i duchowych stanowi pewnego rodzaju mikrokosmos, w którym poszczególne poziomy wpływają nawzajem na siebie i samoregulują się. Różnego rodzaju techniki paramedyczne starają się wzmacniać przekonanie o tej samoregulacji. Sporą rolę odgrywają również pewne teorie psychologiczne, niestety nie mają one wspomnianej wyżej podbudowy filozoficznej. Stajemy tu w obliczu sytuacji pewnego rozdarcia.

Wrodzony optymizm skłania nas ku wersji samowystarczalności, jednocześnie każda słabość przekonuje nas, że jest to tylko nasze pobożne życzenie.

Im bardziej racjonalnie podchodzimy do własnej choroby w tym większą pułapkę wpadamy. Sens naszej choroby znajduje się poza nami i żaden wysiłek intelektualny na nic się tu nie zda. Próby samodzielnego generowania zmian w organizmie prowadzą co najwyżej do przestrojenia organizmu. Tymczasem tzw. przestrojenie musi mieć odniesienie do jakiegoś rodzaju częstotliwości (żeby pozostać przy terminologii radiowej) i tu odkrywamy coś charakterystycznego dla specyfiki funkcjonowania ludzkiego organizmu. Jest tym przekazywanie informacji. Przekazywanie informacji rozumiane w sensie najszerszym z możliwych. Bez przesady można mówić, że jest to istota życia. Przekazywanie informacji jest też istotą sprawności. Chwila zastanowienia pozwoli nam dostrzec, że bez sprawnie funkcjonującego układu neurologicznego organizm nie jest w stanie wypełniać swych przyrodzonych i nabytych funkcji. Choroba jest właśnie zakłóceniem przekazu informacji. Zakłócenie to dotyczy zarówno organizmu wewnętrznego jak i relacji człowieka z otoczeniem. Niepełnosprawność wprowadza tu element trwałości tego zakłócenia. I o ile w przypadku samego organizmu trudno te zakłócenia eliminować, o tyle na linii człowiek otoczenie wszystko pozostaje umowne. Umowne nawet do tego stopnia, że wprost pewne kultury uważają za normalne i zdrowe to, co szkodzi samemu organizmowi. Jeśli więc z jednej strony mamy człowieka, który tak naprawdę nigdy nie jest w pełni sprawny ani zdrowy, gdyż choroba i niepełnosprawność są niejako konstytutywnie wpisane w jego byt, a z drugiej strony istnieje totalna wolność w sferze jego myślenia, to należałoby zapytać o sens tej niepełnosprawnej konstytucji.

Otóż wydaje się, że sens ten znajduje się w ogólnym porządku rzeczy, wszechświata. Aby poznać niepełnosprawność, własną niepełnosprawność, a także istotę niepełnosprawności w ogóle należy przyjąć określoną postawę umysłową.

Musi to być postawa otwartości na rzeczywistość, postawa zdziwienia i zadziwienia przyjmująca bez żadnych uprzedzeń czy założeń. W tego typu postawie jest nadzieja na samoistne ujawnienie sensu. Bowiem sens jest poza nami. Bezsensy natomiast rodzą się w naszej głowie. I właśnie w tak rozumianej postawie niepełnosprawność jawi się jako określony byt, który ma swoje zadanie do spełnienia.

Niepełnosprawność jest bytem realnym nie wymyślonym, a jako taki ma swoje racje istnienia w samym Bogu.

Jest w niepełnosprawności coś co ułatwia jej odnalezienie własnego sensu. A jest tym niemoc materialna. Duch jakby uzyskiwał tu szersze pole manewru. Materia stając się niemocą ulega porządkowi ducha.

Okazuje się, że sami nie jesteśmy w stanie nic uczynić, by wyprowadzić się ze stanu bezsensu niesprawności. Pomoc zawsze przychodzi z zewnątrz. Rozpoczyna się dialog w którym padają pytania typu: „Dlaczego to mnie spotkało?”, „Co mam ze sobą teraz zrobić?”, „Jak dalej żyć?”. Odpowiedzi, które są udzielane pochodzą od Kogoś Nieznanego, a jednocześnie Kogoś Bliskiego. Mówi On: „Jesteś kimś ważnym i potrzebnym”; „Masz szczególne zadanie do wykonania”, „ja ci wskażę drogę i pomogę ją przejść”. Odpowiedzi te padają w ciszy. Są dziwnym kontrastem do naszych własnych wyobrażeń i mowy świata. Zaprzeczają medycynie i całej tzw. „kulturze zdrowego ciała”. Stanowią wyjście z kręgu śmierci. I w takim ujęciu niepełnosprawność jawi się jako szansa znalezienia prawdziwego sensu i spełnienia życia w pokoju.

Sanok 26.11.1998 r.

Fundacja Pomocy Matematykom i Informatykom Niepełnosprawnym Ruchowo

(Komputerowe Laboratorium Inwalidów Ruchu)

00-818 Warszawa, ul. Twarda 51/55

tel. (0-22) 654-75-51, 697-87-84, tel./fax 697-87-86

Magdalena Przybyła

Wspólnota to wielkie dobro! O życiu i pracy we francuskich wspólnotach życia „Arka”*

Marek odwiedził francuskie domy wspólnotowe dwukrotnie, w sierpniu 1995 i 1996 roku... Communauté la Rebbelerie, w której pracował, znajduje się blisko miasta Angers nad Loarą w departamencie Maine-et-Loire. Jak się tam znalazł? Po prostu (?), zdobył adresy różnych wspólnot osób upośledzonych i wysłał oferty z propozycją pomocy. Pierwszy raz pojechał ze swoim bratem, „na stopa”!

Spotkałem Rafała i Filipa w schroniskach niedaleko Paryża, gdzie byli zamknięci za wysokimi murami, pozbawieni – tak jak wszyscy tam – jakichkolwiek zajęć. To było miejsce godne pożałowania, wypełnione krzykami gwałtu i rozpacz. Rafał jako dziecko chorował na zapalenie opon mózgowych, w wyniku czego utracił zmysł równowagi i zdolność mówienia. Podobny los spotkał Filipa. Obaj zostali przysłani do tego schroniska po śmierci rodziców.

Kupiłem mały, odrapany dom w Trosly, wiosce na północy Francji, i zaprosiłem ich, aby zamieszkali ze mną. Tak się zaczęła przygoda Arki.

*Jean Vanier***

Communauté la Rebbelerie jest częścią Communauté de l'Arche (Wspólnota „Arka”) założonej przez Jeana Vanier. Jest to wyjątkowa wspólnota. Większość wspólnot „Arka” żyje w miastach, a ta znajduje się na wsi i panuje w niej ów wiejski, rustykalny porządek, rytm życia i pracy.

Wspólnotę tworzy szereg ognisk (foyers) – pewnych zamkniętych całości, na które składa się dom z przylegającymi do niego zabudowaniami. W każdym ognisku mieszka 10 – 15 osób, zachowana jest proporcja między upośledzonymi i opiekunami. Ogniska są podzielone na męskie i żeńskie, nie może być również żadnych związków międzyplciowych wśród asystentów...

* Tekst napisany na podstawie rozmowy z Markiem Osmańskim – studentem V roku psychologii i asystentem na Wydziale Filozofii KUL, – członkiem jednej z lubelskich wspólnot Muminkowych.

** Jean Vanier (ur. w Kanadzie w 1928 roku) – mówca, kaznodzieja, autor wielu książek, założyciel pierwszej wspólnoty „Arka”, we Francji w 1964 roku. Z tej wspólnoty powstało wiele innych na całym świecie, a Jean Vanier jest ich charyzmatycznym „ojcem duchowym”. Wszystkie cytaty pochodzą z książki jego autorstwa pt. „Serce Arki. Duchowość na każdy dzień.” (seria Biblioteka Arki ; Verbinum, Warszawa 1996).

Communaute la Rebbellerie jest wspólnotowym gospodarstwem wiejskim, jego członkowie razem żyją i zarabiają na swoje utrzymanie (pieniądze z funduszu rządowego nie wystarczą przecież na wszystko). Nie traktuje się jednak pracy jako źródła zysku i obszaru efektywności. Praca jest tym, co łączy upośledzonych i ich opiekunów – pracują wszyscy, choć każdy jest odpowiedzialny za co innego, według innych zasad rozdziela się tu obowiązki. Niczego nie wolno zmieniać – jeśli w każdy wtorek Pierre przygotowuje na obiad naleśniki, to tak ma być, upośledzeni potrzebują poczucia stabilizacji, na każdym kroku i w najmniejszych drobiazgach.

Marek mieszkał we wspólnocie rolniczej. Na czym owa „rolniczość” polegała? Ogniska specjalizowały się w hodowli kóz i uprawie winorośli (produkowano i sprzedawano również wino). Praca rozdzielona była ze względu na umiejętności i możliwości (np. nad skomplikowaną aparaturą do produkcji wina czuwał ojciec zdrowej rodziny, która mieszkała również ze wspólnotą, kóz i winorośli doglądali chorzy i opiekunowie, posiłki przygotowywano wspólnie itp.). Nikogo się tu jednak nie wyróżniało! Kim byli upośledzeni? Przede wszystkim to osoby dorosłe, które nie miały już żadnych opiekunów (ich rodzice lub rodzeństwo zmarli). W tej wspólnocie przebywały osoby z lekkim upośledzeniem, ale we wspólnotach miejskich (czy w takich jak pierwsza wspólnota Jeana Vanier) mieszkają chorzy z upośledzeniem psychoruchowym. Tam życie wygląda trochę inaczej, upośledzeni wymagają większej uwagi i pomocy, większej ilości opiekunów...

Niektórzy rodzice naszych ochotników, będąc dobrymi chrześcijanami, byli jednak zmartwieni, że ich synowie czy córki decydują się na życie w Arce. Gdyby ich dzieci wybrały życie księdza albo siostry zakonnej, byłiby z nich dumni. Ale decyzja dzieci, by mieszkać z „takimi ludźmi”, przekraczała ich możliwości zrozumienia. Niektórzy mówili: To taka strata, że mój syn jest w Arce. Mógłby zrobić coś naprawdę pożytecznego ze swym życiem!

Jean Vanier

Kim są opiekunowie? Tu trzeba dokonać pewnego podziału – są dwie grupy opiekunów: niezmienny, stały trzon ludzi, którzy zdecydowali się na całe życie we wspólnocie oraz grupa osób, którzy z różnych powodów przyjeżdżają do wspólnot i pomagają im pracując tam przez pewien czas. Tę „zmienną” grupę tworzą ludzie z różnych krajów, odbywają tu praktyki zawodowe (rolnicze, skautowskie), reprezentują organizacje rządowe. „Życie we wspólnocie było dla mnie doświadczeniem momentalnym, duchowym wolontariatem, ale dla innych było decyzją na znaczną część życia, sposobem na życie.” – mówi Marek. W skład wspólnoty wchodzi także rodziny. Nie opiekują się upośledzonymi tak jak robią to opiekunowie. Ich zadanie polega na tym, aby być blisko... Mieszkają w obrębie wspólnych zabudowań mieszkalnych i gospodarczych, nadzorują prace gospodarskie, spożywają wspólne posiłki, modlą się, biorą udział w dużych spotkaniach (reunion). Reunion jest podstawowym momentem jednoczącym wszystkie ogniska (foyer) – uczestniczą w nim wszyscy na zasadzie wolnej rozmowy dotyczącej nadchodzącego tygodnia, planów i obowiązków każdego członka wspólnoty.

Celem Arki jest stwarzanie wspólnot, w których ludzie cierpiący z powodu upośledzeń mogą żyć razem z ludźmi powołanymi, aby być ich przyjaciółmi. Wy-

zwanie naszych wspólnot polega na stworzeniu jedności ludzi silnych i utalentowanych z ludźmi ubogimi i zepchniętymi na margines.

(...) Oni są ważni: mają swoją funkcję do spełnienia w naszych wspólnotach i w Kościele. Arka zmierza do tego, by być ciałem, w którym jednoczą się słabi i mocni.

Jean Vanier

Jakie wartości tworzą świat Communauté la Rebbelerie, świat „Arki”? „Arka” nie jest wspólnotą jednego tylko wyznania (chrześcijaństwa), choć niewątpliwie Ewangelia wyznacza rytm życia. Tu nikogo nie dotknie ostracyzm, jest miejsce dla agnostyków! Bycie razem jest dla upośledzonych wielkim dobrem, daje im poczucie bezpieczeństwa, miłości, akceptacji. Przynależą do kogoś, mają się o co i o kogo troszczyć. Nie zawsze jest kolorowo, jak w każdej wspólnotcie, zdarzają się kryzysy. „Z zewnątrz wydawałoby się, że chorzy są wykorzystywani, pracować muszą wszyscy. Czasem krzyżowały się kompetencje, bo brakowało konkretnej osoby odpowiedzialnej za całość. Często relacje między „młodymi” (przebywającymi tam tylko przez pewien czas) i „starymi” (stałymi) były dość napięte” – opowiada Marek. To napięcie wynikało z tego, iż niekiedy „młodzi” nie mogą się przyzwyczaić do żelaznego kanonu zasad i reguł rządzących wspólnotą. Dotyczy to zwłaszcza zakazu związków między-płciowych. Asystenci nie mogą sobie na nie pozwolić, bo nie są one tolerowane między upośledzonymi. Nawet rodziny nie mieszkają we wspólnym domu, ale trochę dalej, choć jeszcze w obrębie gospodarstwa.

Jeśli będę zbyt egocentryczny lub będę próbował zawsze wykazać swą wartość, to wystuchanie innych będzie dla mnie bardzo trudne. Wystuchanie słów albo język ciała innej osoby zakłada umiowanie mojego „ja”, zakłada otwarcie na przyjęcie tego, co on czy ona chce dać: czasem ciemność i bunt, ale również i wewnętrzne piękno. W Arce nauczyłem się, co znaczy słuchanie bez uprzednich warunków. Gdy ktoś jest gwałtowny, głęboko zdenerwowany czy zniechęcony, wtedy pomocnicy konsultują się z zespołem lekarzy, usiłując zrozumieć, co się dzieje w życiu tej osoby, co on lub ona chce powiedzieć przez swoje gwałtowne zachowanie. Zrozumienie pozwala pomóc tym ludziom w podejmowaniu wyborów i wyjściu ze świata ciemności. W miarę jak uczę się słuchać, uczę się również nie osądzać według zasad „normalności”. Przeciwnie, staram się ustalić źródło ich bólu i pomóc im w przezwycięzeniu siebie.

Jean Vanier

Twórca i „ojciec” pierwszych wspólnot „Arka”, Jean Vanier odwiedza każdą wspólnotę, każde małe ognisko. Jest odpowiedzialny za całość, koordynuje całą organizację, regularnie pisze listy. Najwięcej wspólnot „Arka” żyje w Kanadzie i we Francji, ale są również wspólnoty w USA, Anglii, Indiach, Afryce, a nawet w Polsce (chodzi o tzw. wspólnoty życia – takie wspólnoty są tylko dwie, w Śledziejowicach koło Poznania i pod Warszawą). Co dał Markowi pobyt we francuskich wspólnotach? Markowi i wielu innym asystentom z różnych zakątków świata... Dużo dobrego. Brzmi to banalnie, ale jest najbliższej prawdy. Każdy kto zetknął się choć na krótko z Muminkami (tak nazywa się cho-

rych z Zespołem Downa lub innymi upośledzeniami ; zdrowi opiekunowie nazywani są Paszczakami...) doświadczył kontaktu ze specyficznym środowiskiem. Kontakt z takimi wspólnotami nie jest łatwy, bo są bardzo zwarte, bo stawiają mnóstwo wymagań. Nie jest też bezbolesny, bo obnaża rany i lęki jakie nosi każdy – upośledzony i pozornie zdrowy... Do wspólnot przychodzą również osoby sfrustrowane, przychodzą, aby się uleczyć. Wszyscy jednak muszą zaakceptować strukturę wspólnot, porządek Muminkowego świata, ale – jak przekonuje Marek – „struktura nie determinuje ludzi, to od ludzi zależy jaka ich wspólnota będzie!”

Musiałem zaakceptować moje osobiste trudności i ubóstwo oraz wołać o pomoc. Postawiony wobec własnego gniewu i niezdolności kochania, spotkałem w sobie moje własne człowieczeństwo i stałem się pokorniejszy. Odkryłem, że moje ciemne strony przerażały mnie, że zawsze chciałem odnosić sukcesy, być podziwiany i mieć na wszystko gotowe odpowiedzi. Ukrywałem swoje ubóstwo. Łatwo dostrzegać wady w innych i osądzać ich. O wiele trudniej jest przyznać się do własnych wad. Jakże szybko usiłujemy usprawiedliwić siebie i obwiniać innych zamiast pokornie przyznać się do naszych własnych słabości i win. Czyż możemy być pełni miłości i współczujący wobec Rafała i Filipa, zaakceptować ich ubóstwo i słabość, jeśli nie potrafimy zaakceptować samych siebie? Fakt, że mieszkamy razem z ludźmi upośledzonymi i stajemy się ich przyjaciółmi, zmusza nas do zejścia z piedestałów i rozpoznania własnego pospolitego człowieczeństwa wraz z trudnościami jakie mamy w pokochaniu innych.

Uświadomiłem sobie, że aby stać się przyjacielem ludzi w potrzebie, musiałem się modlić i pracować nad sobą z pomocą Ducha Świętego i dobrego duchowego towarzysza – kogoś zdolnego do wspólnego wędrowania i dzielenia ze mną życia. Musiałem zaakceptować siebie samego bez żadnych złudzeń. Musiałem odkryć, jak przebaczać i jak przyjąć przebaczenie. Krok po kroku ludzie słabi i bezsilni pomogli mi zaakceptować moje własne ubóstwo, stać się pełniejszym człowiekiem i wzrastać w wewnętrznym scaleniu.

Jean Vanier

Nadzieja Artymowicz

*rdza twój cień
jak muzyka
w białych palcach
ten niepowszedni wiersz
rdza muzyka cień
ten niepowszedni wiersz
jak milczenie matki
oniemiały próg
wiersz jak czas*

*nieruchomo stoją
moje dni
szczeliny czasu
coraz większe
mój kalendarz potrzaskany
nieruchomo stoją
moje dni
jak zalękniony cień
człowieka*

*z niebezpieczną lekkością letniej pory
stukam w zbolaty korzeń jesieni
głęboko
jak we śnie*

*wrócić tam
gdzie żyły jeszcze nie przerwane
dopóki w kropki życia
nie zachichocze śmierć*

* * *

*ikona
listopadowy śnieg
błękitny ranek*

*sen jednoskrzydły i lekki
w błękitnym lustrze*

*stoję
minuta piękna
ocean cudu
chwila*

*wierzę w odwieczne piękno
wierzę w niewypowiedziane słowo
wierzę w białe milczenie*

*wieczór w Bielsku – kamień i krzyż
wieczór w Bielsku – błękitna mgła*

Bielsk – ikona modlitwa sen życie

* * *

*w Bielsku stara muzyka
łagodny czas – l a t o
zapomniana cerkiew*

dojść do Pierwszego słowa modlitwy

przekład: Tadeusz Karabowicz

Zgrzebna samotność *Łagodny czas* a pierwsze słowo modlitwy w twórczości Nadziei Artymowicz*

Wydany jesienią 1998 r. zbiorek poetycki Nadziei Artymowicz *Łagodny czas* uświadamia obecność poetki w literaturze białoruskiej i polskiej. Czy to umieszczenie autorki *Łagodnego czasu* w obu arealach literatury zabrzmiało (zabrzni) paradoksalnie? Czy krytycy literatury białoruskiej nie wypowiedzą się o Nadziei Artymowicz, jako o poetce białoruskiej zaznaczając jedynie kontekst „zagranicznego Bielska” w życiu poetki?

Teresa Zaniewska pisząc o Nadziei Artymowicz użyła sformułowania: *Historia życia zrodzonego na skrzyżowaniu dróg (...) ma swoje konsekwencje aksjologiczne (...). Droga wiedzie (...) poprzez „powrót do źródeł” – zapewnia ocalenie własnej osobowości, której ceną staje się samotność.*

Nadzieja Artymowicz jest poetką białoruską, pisze w języku białoruskim, jest w tym języku zakotwiczona. Myślę, że w wierszach najlepiej czuje się właśnie w tym języku. To, że „wybrała” ten język nie jest kwestią przypadku, ale raczej naturalności „zagranicznego Bielska” i jego osadzenia w pograniczu.

Nadzieja Artymowicz mieszka w Bielsku Podlaskim, jej najbliższą przestrzenią jest przestrzeń miasta, łagodnego miejsca osadzonego w kontekście literackim „zgrzebnej samotności” poetki, gdzie drzewa mają coś z dostojnej, dramatycznej łagodności, a ciemno-brązowa ziemia przytkana różnymi porami roku przypomina o przemijaniu. Niezwykłość jej twórczości polega na trudnym i niepowtarzalnym odbiorze świata i jego swoistym wyrażaniu. Jest to twórczość ze zwielokrotnionym poczuciem czasu, gdzie aksjologiczne pytania stawiane rzeczywistości bołą, są uwikłane w tkankę realności doświadczonej i zasmakowanej. W tej tkance poetka czuje się dobrze, w tej tkance samotności jest jej do twarzy. Poetka jest lirykiem mimo „ciemnych symboli”, które ją otaczają,

* 18 listopada 1998 roku w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” odbyła się promocja dwujęzycznego tomiku poezji *Łagodny czas* Nadziei Artymowicz. Promocja zakończyła rozdział związany z projektem wydania książki. Zbiorek powstał dzięki środkom finansowym uzyskanym z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wybór i opracowanie wierszy są dziełem Tadeusza Karabowicza. Wiersze z języka białoruskiego tłumaczyli: Beata Kapij, Tadeusz Karabowicz, Jan Leończuk, Jerzy Litwiniuk, Florian Nieuważny i Wiktor Woroszyński. Autorem fotografii na okładce jest Wiktor Wołkow. Korektę wierszy białoruskich zrobiła Nina Sajewicz.

Promocję tomiku uświetniła obecność autorki, tłumaczy: B. Kapij i J. Litwiniuka oraz Wojciecha Siemiona – czytającego wiersze poetki, i śpiewającej je Agnieszki Deski, aktorki Teatru NN. Wieczór prowadził T. Karabowicz.

mimo „dramatycznych przestrzeni dni utraconych”, nadrealizmu twarzy ojca, matki, brata, „w srebrze dobrego czasu”. Artymowicz, niepokodzona z przemijaniem, uobecnia i zwielokrotnia poczucie czasu w swojej twórczości:

*nieruchomo stoją
moje dni
szczeliny czasu
coraz większe
mój kalendarz potrzaskany
nieruchomo stoją
moje dni
jak zaleźniony cień
człowieka*

Autorka wie, że sprawcą „stawania się rzeczywistości” jest czas, dlatego zadaje aksjologiczne pytanie o sens samotności w perspektywie przemijania. Zaborczo otacza ciepłem dłoni wspomnienie rodzinnego Bielska, jego zaułków, drzew, gdzie obok starej muzyki współlistnieje słowo:

*w Bielsku stara muzyka
łagodny czas – l a t o
zapomniana cerkiew
dojść do Pierwszego słowa modlitwy*

Dla poetki Bielsk to „chleb i woda”, ocalenie i skazanie na samotność. Twarze ikon zanurzone w cerkiewnym świetle wotywnych świec, modlitwy i zapach kadzidła to:

*jedno maleńkie
słowo – ziarno
ziarenko
które upadłszy
na ziemię (...)
(...) wyrośnie (...)*

W twórczości Nadziei Artymowicz można prześledzić stopniowe wrywanie się poetki ze stanu „pomiędzy” i odszyfrować etapy uświadamiania cudownej siły więzi z dzieciństwem, z miejscem, gdzie odradzało się poczucie bezpieczeństwa, a świat był znajomym w klimacie pejzażem. Milczenie potęgowało się i poetka zaznała urealnienia się chwil, udratyzowania się „snów utraconych”. Nagość świata, jego „ciemność” znalazła się w wierszu *** *mój sen tęskni*, jako coś boleśnie obecnego, jako lekcja dramatycznej podróży:

*mój sen tęskni za spokojem zielonym
i dziecięcą harmonijką*

*a tu trzecia wiosna rychtuje pierwszą lekcję
kto gotowy do trzeciej wiosny*

Poetka nie boi się określeń, które są trudne do określenia, myśli, które trudno wyrazić, nie boi się słów, które trudno wypowiedzieć. Dla Nadziei Artymowicz czas jest sprawcą „stawania się rzeczywistości”. Pytania stawiane samej sobie poetka powtarza, mając świadomość iluzoryczności, a jednocześnie powabu świata. Często wyraża niepokój z powodu trwożnej konstatacji zadawanej samej sobie. Jest nią pytanie „zawsze pomiędzy”, które pojawiając się od czasu debiutu w 1970 roku trwa niezmiennie. Dopiero w tomie „Dzwierzy” (Drzwi) z 1994 roku, pisarz Aleś Razanau podejmuje się w formie prozy poetyckiej rozsupłać zagadnienie „zawsze pomiędzy”. Ale odpowiedzi nie ma – jest dwugłos. Piękny, łagodny dwugłos na obsesyjnie piękne, czy okrutnie piękne – jak by to powiedział Edward Stachura, wiersze Nadziei Artymowicz.

W jakiś sposób „podróż daremna” Nadziei Artymowicz w krajobrazie poezji, odbywa się poprzez porządkowanie świata od siebie. Poprzez kartkowanie własnej biografii w samotności słowa, przeglądając dzień po dniu, poddając psychologicznej wiwisekcji każdą chwilę, filozoficznemu oglądowi zdarzenie dnia powszechnego, etycznej ocenie wszystko, co było:

*I pewne będzie jedynie to
że droga nigdy się nie skończy
że idę
 idę
 idę
a ty zawsze będziesz tylko w moich
 błękitnych marzeniach...*

W tym przesłaniu powracają myśli, nostalgii i wątpliwości. „Bielska samotność” podkreślona jest poprzez refleksję niedomówień. Poetka ucztuje w swoim zamkniętym kręgu symboli, niczego nie wymyśla, nic nie kreuje – jest sobą. Intrygującym jest jednak to, że dla tomiku wierszy – dużego przecież wyboru utworów i tłumaczeń – Nadzieja Artymowicz wybrała tytuł *Łagodny czas*. Co ten tytuł oznacza, czym jest łagodny czas dla autorki filozoficznie tragicznych wierszy?

*przejsć
zgorzkniałą agonię wspomnień
wybielić kopię
pory słonecznej i pory deszczowej
zmieszać do końca ręk z krwią*

*przelknąć
pejzaż bez słów
wszystko to sata morgana*

Samotna wśród ludzi, rozczarowana, niespokojna. Nadzieja Artymowicz w swojej twórczości zaokrągla poczucie zwyczajności bólu. „Zgrzebną samotność” przyodziewa jeszcze większą samotnością. Bohaterka wierszy Nadziei Artymowicz boleśnie doświadcza lęku egzystencjalnego; w jej niepokoju pojawia się milczenie zamknięte w obecności, w zwerbalizowaniu oraz „łagodności”. Tomik jest próbą odpowiedzi na pytania stawiane przez Nadzieję Artymowicz. Być może czytelnicy, krytycy oraz miłośnicy jej poezji pytania te odczytają we właściwy sposób.



Nadzieja Artymowicz

KAŻDA CHOROBA DZIECKA WYWOŁUJE NIEPOKÓJ W SERCACH NAJBLIŻSZYCH

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia jest zespołem opieki domowej działającym na terenie województwa lubelskiego. Obejmuje opieką nieuleczalnie chore dzieci w sytuacji, gdy lekarze podjęli decyzję o zakończeniu leczenia szpitalnego.

Opieka ta sprawowana jest w domu rodzinnym chorego dziecka. Ma ona na celu przede wszystkim usmierzenie bólu i innych dokuczliwych objawów oraz niesienie ulgi w cierpieniu, także duchowym. Umożliwia ona aktywne włączenie rodziców w prowadzenie fachowej opieki nad dzieckiem. Służy wszechstronnym wsparciem w ostatnim okresie życia dziecka, a także później w czasie żałoby. Swoim działaniem obejmuje całą rodzinę.

W skład zespołu wchodzi pielęgniarki wyszkolone w opiece nad dziećmi, lekarze, kapelan, psycholog, pedagog, pracownik socjalny oraz wolontariusze.

Hospicjum dysponuje specjalistycznym sprzętem do prowadzenia opieki domowej.

Dyżur hospicjum trwa 24 godziny na dobę, przez 7 dni w tygodniu. Opieka prowadzona przez hospicjum jest bezpłatna.

Działalność hospicjum jest częściowo finansowana przez Kasę Chorych, a częściowo z darowizn osób prywatnych, firm i instytucji.

Choroba nieuleczalna rodzi rozpacz – zapowiada nieuchronny kres życia. Śmierć nadchodzi często powoli, lecz nieubłagalnie. Dziecko umiera. Umiera nieraz bardzo świadomie. Stajemy bezradni wobec tej okrutnej niesprawiedliwości losu. Czy nie ma sposobu, aby tę nieuchronną śmierć uczynić mniej trudną i bolesną?

- Można coś zrobić!
- Ty również możesz coś zrobić!
- Dzięki Twemu wsparciu dzieci umierające na nieuleczalną chorobę mogą odchodzić mniej boleśnie.
- Twoje wsparcie może pomóc rodzicom tych dzieci łatwiej przejść przez te najtrudniejsze chwile i wytrwać w okresie żałoby. Nie prosimy o hojne datki.
- Każdy nawet najskromniejszy dar płynący z odruchu serca pozwoli nam zrealizować nasz cel – złagodzenie okrucieństwa nieubłaganej śmierci niewinnych, tak ciężko doświadczanych dzieci.
- Prosimy, nie odmawiaj!

POMÓŻ!

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia

ul. Króla Stanisława Leszczyńskiego 6

tel. (081) 743 77 99; tel/fax 743 75 55

e-mail hospic@kki.net.pl

nr konta: Big Bank S.A. O/Lublin 11501156-01687001

Rys. Marcin Kotarski, lat 20



Niezdolni do wolności

Magdalena Pokrzycka-Walczak

Niezdolni do wolności (reportaż ze Schroniska dla Nieletnich w Dominowie)

Schronisko dla Nieletnich w Dominowie, miejscowości położonej na peryferiach Lublina, kilka kilometrów od centrum miasta, jest największą spośród siedemnastu tego typu placówek w Polsce. Już od dawna, śledząc wydarzenia – za pośrednictwem mediów, relacjonujących coraz to nowe ludzkie dramaty – których sprawcami w większości byli i są nieletni, nosiłam się z zamiarem odwiedzenia Dominowa.

Kran się nie leje...

– Nikt nikogo nie zabił, kran się nie leje, nie ma żadnych sensacji, nic ciekawego się nie dzieje – mówił przez telefon dr Tomasz Wach, dyrektor Schroniska dla Nieletnich w Dominowie. Po dłuższej rozmowie dyrektor Wach zgodził się na moją wizytę.

To nie jest przedszkole

Budynek schroniska przypomina szkolny gmach. Nieopodal jest boisko i sala gimnastyczna. Jedyna, ale istotna różnica to wszechobecne kraty i wysokie ogrodzenie. A także strażnicy broniący wstępu na teren placówki osobom niepowołanym.

W Dominowie przebywają chłopcy w wieku 13-17 lat, którzy oczekują na rozprawę sądową. Ich obecność w schronisku nie jest przysłowiowym zbiegiem okoliczności.

Część pensjonariuszy ma na swoim koncie włamanie i kradzieże. Niemal połowa mieszkańców – z liczby 60 – podejrzana jest o dokonanie rozbojów, gwałtów i zabójstw.

Podczas pobytu w placówce chłopcy uczą się w szkole podstawowej i pierwszej klasie zasadniczej szkoły zawodowej, uczą się zawodu ślusarza i stolarza oraz prowadzą w miarę normalne życie, jeżeli tak można określić pobyt za wysokim ogrodzeniem, w trzy-piętrowym budynku z zakratowanymi oknami, pod stałą opieką wychowawców i psychologów.

Szef placówki, dyrektor Tomasz Wach (magister pedagogiki opiekuńczej i doktor socjologii) jest młodym, sympatycznym człowiekiem z dużym poczuciem humoru. Jednocześnie bardzo zdecydowanym w stosunku do swoich podopiecznych. W Dominowie pracuje od dwóch lat – to nie jest przedszkole, tylko schronisko – mówi – żaden chłopak nie znalazł się tu „za darmo”.

Zadaniem pracującej tu kadry i wchodzącego w jej skład zespołu diagnostycznego jest wydanie opinii dla potrzeb sądu o każdym przebywającym tu młodym człowiekiem. Sporządzona informacja ma pomóc przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości przy

orzekaniu sposobu dalszego traktowania nieletniego. Do wyboru są – w myśl ustawy – dwa rodzaje środków: wychowawcze lub pograniczne (skierowanie do Zakładu Poprawczego).

Nie opłaca im się kłamać

Chłopcy mieszkają w 2-3 osobowych pokojach, które jako żywo przypominają te w domach studenckich. Są dywaniki, szafki na rzeczy osobiste, plakaty na ścianach (żądnych reklamówek papierosów, napojów alkoholowych, czy aktów – zastrzega dyrektor Wach), cicho grające radio (w każdym pokoju), zasłane łóżka, porządek...

Wychowankowie, oprócz samodzielnego utrzymywania czystości w pokojach, starają się upiększać swoje otoczenie. W czasie zajęć warsztatowych wykonują listwy na ściany, kinkiety, ramki do obrazów... Popołudnia spędzają w świetlicach (po jednej dla każdej z sześciu grup), grają w szachy, ćwiczą w siłowni, oglądają programy telewizyjne lub rozmawiają z wychowawcą. Sporadycznie – przykładowo w karnawale – organizowane są dyskoteki. Przychodzą na nie studentki resocjalizacji w ramach godzin zajęć i praktyk. Jedną z dawnych studentek, Magdalena Bloch, jest obecnie pedagogiem w schronisku. Wcześniej pracowała tu jako nauczycielka. Należy do grona kilku kobiet, które są zatrudnione w Dominowie. Szczupła, średniego wzrostu, ciemnooka, o kruczoczarnych, pięknych, długich włosach zawróciła już pewnie w głowie niejednemu chłopakowi. – W takiej placówce potrzebne są kobiety – mówi pani Magdalena. – Czasem chłopak potrzebuje przyjść, żeby się wyzalić, a ja wtedy jestem dla niego jak matka lub siostra. Doskonale wie, że nie opłaca mu się kłamać i nadużywać mojego zaufania.

– Niejeden już dał się nabrać na pozorną kruchość tej dziewczyny – śmieje się dyrektor.

Podopieczni na apelu

Jak wygląda powszedni dzień pensjonariuszy Dominowa? Pobudka o 6.30, gimnastyka, mycie, śniadanie, o 8⁰⁰ apel i część chłopców rozchodzi się do zajęć szkolnych, pozostali zaś – do warsztatów. Około południa ponownie apel i zmiana – grupa ze szkoły wyrusza na zajęcia warsztatowe. O 11⁴⁵ kolejny apel i obiad. Po posiłku opiekę nad chłopcami przejmują wychowawcy poszczególnych grup. Jest ich sześć, a przynależność do każdej z nich zależy od rodzaju popełnionego przestępstwa. Zwyczajowo w grupie jest dziesięciu podopiecznych. Po południu odbywają się zajęcia socjoterapeutyczne i rozmowy z wychowawcami. Jest również czas na rozrywki – gry świetlicowe, itd. Po kolacji kolejny apel, przygotowanie do snu i o 21³⁰ cisza nocna. Światła gaszone są we wszystkich pokojach za pośrednictwem specjalnego wyłącznika.

„Bierze się za pasek...”

Marcin, niski, szczupły chłopak nie wygląda na 14 lat. Trafił tutaj razem z kolegą, który przebywa w sąsiedniej grupie.

— Co zrobiłeś?

— Włamywałem się do samochodów, kradłem radia, wrywałem torebki...

— Sam?

— Nie, z kolegami.

- Gdzie oni teraz są?
- Jeden tutaj, w Dominowie, a pozostali – na wolności.
- Czy można z tego żyć?
- Jeszcze jak.
- Kiedy wyjdiesz?
- Na przepustkę, na święta.
- Odwiedzasz rodziców?
- Tylko tatę, z flaszką. Mama jest zajęta młodszym rodzeństwem.
- Jak spędzisz tych kilka dni świąt?
- Spotkam się z kolegami i obejdziemy trochę mieszkań. Ludzie wyjeżdżają przecież na święta, nikt nam nie będzie przeszkadzał...
- Nie boisz się, że cię złapią?
- I co z tego? Przecież nic mi nie zrobią. I tak będę miał sprawę...
- Jakie masz plany na dorosłe życie?
- Pójdę do kryminału i będę grypsował...

x x x

Kolega Marcina z pokoju to 15-letni Andrzej.

— Zostałem pomówiony o współudział w gwałcie. Dziewczyna miała 18 lat. Kole-dzy byli ode mnie starsi. Ja się tylko przyglądałem. Chciałbym kiedyś skończyć szkołę i pójść do pracy.

— Gdzie?

— Jeszcze nie wiem. Ale naprawdę bardzo bym tego chciał.

Nad łóżkiem Andrzeja obrazki z wizerunkiem Pana Jezusa.

— Modlisz się?

— Tak, żeby to wszystko już się skończyło...

x x x

16-letni Sebastian jest specjalistą w dziedzinie wrywania torebek. Oczekuje na rozprawę w związku ze współudziałem w rozboju.

— Bierze się za pasek, na dół, do siebie i pieniądze już moje – objaśnia. – Najlepiej wrywać torebki starszym kobietom – taka nie ma siły biec i krzyżeć. Gorzej z młodymi dziewczynami – taka to wrzasku narobi i kłopot gotowy – zdradza tajemnice swojego „warsztatu”.

— Co będziesz robić w przyszłości?

— To, co umiem najlepiej...

Gdyby nie było zbytu...

Skąd pochodzą nastolatki czasowo przebywające w Dominowie? – Z rodzin niewydolnych wychowawczo, w których pieniądze przesłaniają inne, nie mniej ważne potrzeby – mówi dyrektor Wach. – Dla dziecka nie ma się czasu, jest, no bo jest, trzeba dać mu jeść, musi mieć gdzie spać, a inne potrzeby? Nie ma na nie czasu – przecież trzeba zarabiać pieniądze. A dziecko ma kolegów, niech rozmawia z nimi. Zdarza się, że rodzice nie

mają pracy, są na zasiłku lub właśnie go stracili – co wtedy? Bieda w domu skłania już kilkuletniego człowieka do szukania „zajęcia”.

Prawie 95 proc. wychowanków pochodzi z rodzin biednych, o niskim poziomie wykształcenia rodziców. Nie ma tu naturalnych sierot, wszyscy mieli i mają swoje rodziny, czasem niepełne, domy. Kilku chłopców „wyszło” z tzw. dobrych rodzin.

Przysłowie, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni” ma swoje przełożenie właśnie tutaj, w Dominowie. Coraz częściej zdarza się, że synowie trafiają do placówki, w której kilkadziesiąt lat wcześniej przebywali ojcowie.

Gdzie, poza rodziną, leżą przyczyny wzrostu przestępczości wśród nieletnich? Ogólnie mówiąc przestępczość wzrosła, bo życie uległo przyśpieszeniu – mówi dyrektor Wach. Zdaniem dyrektora, przestępczość jest naturalnym elementem rozwoju społecznego i rozwija się wraz z innymi sferami. Jednakże wraz ze wzrostem przestępczości, radykalnej zmianie powinny podlegać również mechanizmy kontroli społecznej, które są odpowiedzialne za zapewnienie bezpieczeństwa lokalnym społecznościom. Nie bez znaczenia jest tu również tzw. społeczna fikcja, pozwalająca na pewne zachowania nieletnich. – Weźmy przykładowo włamania do samochodów i kradzieże radiodbiorników – objaśnia dyrektor – ktoś przecież te radia kupuje za niewielką cenę i instaluje w swoim samochodzie. Musi mieć świadomość, że pochodzi ono z kradzieży, a mimo to ten zakup finalizuje. I przyzwala na kolejne włamania... A przecież gdyby nie było zbytu, nie byłoby tylu kradzieży...

Moja wizyta w Dominowie dobiegła końca. Dyrektor Wach tymczasem zostaje wezwany przez strażników do bramy wjazdowej, gdzie na przyjęcie do schroniska oczekuje, pod eskortą policji, trzech chłopców podejrzanych o dokonanie kradzieży z włamaniem...

Obszerne fragmenty tekstu opublikowane zostały w nr 40 Miejskiej Gazety Powszechnej.

Jacek Wojtysiak

„Każdy chce złapać trochę tej wolności” (Zapiski z więzienia)

Do więzienia wchodzę pierwszy raz. Na początku trochę biurokracji. Sprawdzanie dokumentów, rewizja, czekanie, przejście przez jedne drzwi, czekanie, potem następne... Niestety, nie ma zgody dyrektora na magnetofon. Mogę wziąć papier i długopis. Towarzyszy mi ks. Grzegorz i – wyróżnienie! – Elegancki Strażnik. Idziemy...

– Więzienie, jak każde miejsce, wszystko jest... Musi być i szpital, bo tu też ludzie chorują, i kuchnia, i pralnia... jak wszędzie – mówi Strażnik, odpowiadając na moje zdziwienie, gdy przechodząc przez teren Zakładu dostrzegam kolejne budynki. Coraz to nowe kraty... Dzwonki, „domofony”, klucze, przejścia...

Dochodzimy do „naszego” oddziału. Za kratami grupki mężczyzn, w tym młodych chłopaków. Chodzą, rozmawiają, śmieją się, wypatrują, czy coś się nie wydarzy... Pierwsze skojarzenie: jak na kolonii w drużynie męskiej, gdy nie ma pogody i nie można wyjść – trzeba siedzieć, co robić?... Jest dość głośno, jak na korytarzu w szkole podczas przerwy.

Wchodzimy do pokoju wychowawców. Warunki słabe. Stare krzesła i stoły, wieszak, szafka... Jakieś zeszyty i gazety. Dym papierosów, zapach herbaty w starych szklankach. Co chwila ktoś – najczęściej ze skazanych – wpada z jakąś sprawą. Atmosfera poczekalni dworcowej.

Siadam i piszę. Pierwsze informacje: cela – 16 metrów kwadratowych dla maksimum sześciu osób; w oddziale otwartym (tutaj) można chodzić po całym oddziale. Przeciętny koszt miesięcznego utrzymania jednego więźnia (wraz z wszelkimi opłatami, w tym personelu): 1200 zł. Funkcjonuje Fundusz Samopomocy Skazanych i więzienna kantyna (skromnie zaopatrzona). Plan dnia: 7 – pobudka, śniadanie; 7.30 – czas „wolny” (np. zajęcia w małej świetlicy, sport); 12-13 – obiad, czas „wolny”; 15 – czas na spotkania, np. projekcje filmów, konkursy, mityngi AA czy grup religijnych; 17 – kolacja, zajęcia własne; 22 – cisza nocna. Można korzystać z biblioteki, w której m.in. prenumeruje się „Przegląd Sportowy”, „Dziennik Wschodni”, „Gazetę Wyborczą”, „Ekspres Wieczorny”. Spaceruje: 8-10.30 i 12-15.30. „Kwadracik” do chodzenia widać za oknem. Dyscyplinę utrzymuje się poprzez apele, kontrole i kary dyscyplinarne.

Wchodzi dwóch skazanych: pan Tomek i pan Krzysiek. Rozmawiamy. Widać, że wychowawcy i ks. Grzegorz (więzienny kapelan) mają z nimi dobry kontakt. Zresztą pan Tomek i pan Krzysiek to potwierdzają: „Dużo nam pomagają; starają się, jak mogą; wiele dla nas robią.”

– Pan jest z gazety. Mówcie wszystkim, co Wam leży na sercu. Mówcie o wszystkich Waszych problemach... – sugeruje jeden z wychowawców... Elegancki Strażnik przegląda prasę.

Z rozmowy wynika, że główny problem, to problem widzeń i problem pracy. Ludzie chcą pracować, ale pracy nie ma. Więzienny zakład, produkujący klamki, zatrudnia tylko 20 osób (skazani narzekają, że są tam finansowo oszukiwani). Trochę osób pracuje w obsłudze więzienia, ale to mało. Nie ma pracy dla tych, co jej najbardziej potrzebują: zadłużonych, obciążonych alimentami... Nowy Kodeks przewiduje 3 godziny widzeń na miesiąc, plus jedną godzinę dla dziecka; uzyskanie widzeń dodatkowych jest bardzo trudne.

– Ledwo zaczęłam rozmawiać z dzieciakiem, już trzeba kończyć, a mały płacze... A jak człowiek jest sam i nikt do niego nie przyjedzie, to widać tę przykrość... Czasami mama jedzie kilkaset kilometrów, potem musi czekać kilka godzin na chłodzie, wreszcie jest widzenie, ale tylko 20 minut, bo nie wolno łączyć czasu... Na „mokre widzenia” to właściwie nie ma warunków... A z przepustkami jest gorzej niż tragicznie: większość podań załatwia się odmownie... – żalą się więźniowie.

Mówią poprawną polszczyzną. Są rozmowni, choć „przygaszeni”, rozgorzyczeni... Ubrani niedbale, ale „porządnie” (jakby mieszkańcy hotelu robotniczego). Gdybym ich spotkał na ulicy, nie powiedziałbym, że to mają być „przestępcy”. Raczej: normalni ludzie z miejskiego tłumu. Ich najgorszym problemem jest... wolność. Z nim związany jest alkohol.

– Wszystko zaczęło się, gdy miałem 18 lat. Wszystko przez alkohol... Padło na mnie... niesprawiedliwie... Więzienie, a potem... co dalej? Wychodzi się w ciemno. Masz bilet i kilkadziesiąt złotych. Gdzie masz iść? Do pracy Cię nie chcą! Nawet rodzina! Znowu się wraca w stare towarzystwo na melinę... Na wolności strach: człowiek boi się przestać pić, i ten brak zajęcia... I znów wszystko w koło Wojtek... Teraz już bym niedługo wyszedł, a tu drobne przekroczenie, mała wpadka, jeden łyk wina, i znowu Ci przedłużają... Akurat musieli mnie kontrolować, i to bardzo dokładnie... Jedyne moje nadzieje, że wreszcie stąd wyjdę i założę rodzinę. Ale czy moja dziewczyna wytrzyma? Ileż można czekać? Tylko ona mnie zna z tej lepszej strony... – oto skrawki ze zwierzeń pana Krzyśka. Wychowawca go pociesza, wyliczając, jak wiele jeszcze przed nim lat życia na wolności, w rodzinie...

– Najważniejsze, że utrzymałem mój związek. I chcę zmienić życie. Chyba mi się to nie odmieni... Dzięki AA dużo się tutaj nauczyłem: uświadomiłem sobie, że jestem alkohikiem, i że mogę się z tego leczyć... Trzy razy w tygodniu doprowadzają nas, chętnych, na dobrowolne mitingi AA, chociaż niektórzy śmieją się z nas: „pijaki!”. Wcale nie zachęcają, jest nas nieduża grupka. Czasem nawet strażnicy się spóźniają, jakby specjalnie. Ale chodzimy... W większości siedzą tu ludzie słabi psychicznie... Są przypadki, że ludzie nie zdążą wrócić na czas z przepustek. Są bardzo krótkie. A każdy chce złapać trochę tej wolności... Każdy człowiek indywidualnie nie jest przecież taki zły... – oto garść z refleksji pana Tomka.

Gdyby nie AA i wspólnoty religijne, ich pobyt tutaj byłby „czasem straconym”, „wycięciem z życia”, bo „człowiek staje się tu gorszy, agresywny”. („Ci co piszą, że są tu luksusy, jak w hotelu, to niech sobie tu miesiąc posiedzą, a zobaczą, jak jest naprawdę. Samo to siedzenie jest straszne..., choć w celi można jakoś się dogadać”). Kurs dla bezrobot-

nych się nie powiódł: chodziło tylko kilka osób, ale „na nic się to zda; człowiek się przycgotuje, a pracy i tak nie dadzą”. Z duchową pomocą przychodzili tu świadkowie Jehowy, zielonoświątkowcy, prawosławni (do tych zza Buga). Wreszcie ks. Grzegorz zorganizował rekolekcje. Swym świadectwem dzielili się ludzie świeccy ze wspólnot Odnowy w Duchu Św. i z Drogi neokatechumenalnej. Przemawiał też sam o. Ricardo Arganaraz ewangelizator, przemawiający na spotkaniach ewangelizacyjnych do tysięcy osób w wielu krajach.

Przyszło około 10% skazanych (tyle też na wolności chodzi na rekolekcje). Niektórzy przyszli z nudów (nie można w wolnym czasie tylko grać w karty lub oglądać telewizji). No i co?...

– Łzę wyciskał... Miło, gdy dotknął człowieka głębiej... Człowiek był oddalony... Utraciłem wiarę w Boga, a teraz uwierzyłem... Można żyć inaczej... Wewnętrznie człowiek jest podbudowany... To dużo pomaga... – mówią niektórzy. Ich formacja duchowa jest kontynuowana. Spotykają się w grupach modlitewnych. Redagują własne katolickie pismo więzienne (na wysokim poziomie!), mają kontakt z religijną literaturą i filmami.

Rozmawiam z wychowawcami. Na jednego wychowawcę przypada 65 skazanych. Większość wykonywanej przez wychowawców pracy to obligatoryjna praca biurowa, reszta to opiniowanie podań skazanych oraz bieżące interwencje w sprawach potrzebujących. Na osobistą rozmowę z człowiekiem brakuje czasu. W jeszcze gorszej sytuacji jest więzieniolog (tylko czasem uda mu się zorganizować jakiś wykład czy pogadankę).

– Gdybym codziennie choć kilka minut mógł pograć z podopiecznym w ping-ponga i zwyczajnie z nim pogadać – stwierdza wychowawca – to byłaby jakaś resocjalizacja... Nasz system penitencjarny wymaga zmiany, odbiurokratyzowania, byśmy mieli więcej czasu dla ludzi. Jesteśmy dla nich życzliwi, lecz napotykamy na odgórne, administracyjne opory... Jednak na samą pracę trudno narzekać. Pracowałem w szkole, ale tam był hałas i agresja. Tu jest spokojnie...

– Rzeczywiście – potwierdza ks. Grzegorz – w szkole jest mnóstwo problemów, a tutaj żadnego, przynajmniej ze strony skazanych...

Musimy już kończyć. Wracamy tą samą drogą. Mijamy grupkę prowadzonych więźniów. Jeden z nich – młody chłopak – gdy widzi ks. Grzegorza, woła: „Cześć Grzesiek! Kiedy do nas przyjdiesz? Chcę się u Ciebie wyspowiadać...” Na „kwadraciku” spaceruje nerwowo jakiś „facet” w dresie i w ciemnych okularach. Wygląda, jak z mafii...

Wychodzę. Znów trochę formalności. Wszyscy strażnicy są trochę obcesowi, jak w wojsku. Tylko Elegancki Strażnik żegna się bardzo kulturalnie: „Wie Pan, praca jak praca, jak każda inna...” Drzwi się zamykają. Jestem na wolności w samochodzie ks. Grzegorza. A teraz szybko... byle zdążyć na autobus do Lublina, byle dalej...

Siedzę w autobusie. Wreszcie jadę. Coraz dalej od tego miasta... A może by jednak tu kiedyś wrócić... A może by jednak tu wpaść, zajrzeć... i pogadać, jak człowiek z człowiekiem. Człowiekiem, który czeka w więzieniu...

(Przytaczane z pamięci wypowiedzi, oprócz wypowiedzi ks. Grzegorza, nie są autoryzowane. Imiona – z wyjątkiem ks. Grzegorza, który zorganizował opisane spotkanie – zostały zmienione. Wszystkim, którzy w nim uczestniczyli lub się do niego przyczynili, dziękuję).

*ptak przecina niebo
jest w powietrzu
jak w domu

a ja...

piszę wciąż
ten sam wiersz
o kratkach w okiennych ramach
o drzwiach bez klamek

zamkniętych drzwiach
do których nie mam klucza*

Andrzej Sobiczewski

*Przepraszam
To ja...
Wcale nie chciałem się urodzić.
To oni zmusili mnie do przyjścia na świat.
Dali klapsa i kazali płakać
abym mógł zachłysnąć się
swoim życiem.
Mówiłem im że to jakaś pomyłka...
nie słuchali.
Przepraszam...
To ja...
Wcale nie chciałem się urodzić...*

Grzegorz Jegor

* Wiersze stanowią przedruki z dwóch almanachów poezji więziennej: *Transport z Jeruzalem* (Krasnystaw 1997) oraz *Nasze światy podzielone* (Krasnystaw 1996).

W tej pustce
bezgranicznej
siedzę
wsluchany w kluczy zgrzyt
i liczę —
które drzwi
otworzył właśnie anioł stróż

Trzasnęły drzwi w pobliżu
zamieram cały —
raz... dwa... trzy...

To tylko
cela po sąsiedzku
a już myślałem
że Twój list

Andrzej Sobiczewski

Zabalsamowany naftalinowym
białym proszkiem
odgradzony od świata murem
innego życia
trwam w egzystencji
nie spełnionych marzeń
jak drzewo
wyroste w bezdrożach

Andrzej Sobiczewski

Modlitwą, szeptem,
wiatrem słów
przywitaj jak nadzieję — dzień.
Jeśli nie ten — nie żałuj.
Może jutro nadejdzie
błogostawionym krokiem?...

Grzegorz Jegor

Transport z Jeruzalem

Wczoraj do naszej celi
Przywieziono z transportu
Chrystusa

Mówił że Pilat śmierć
Na krzyżu
Zamienił mu na dożywotnie
Więzienie

Patrzyliśmy na Pana
Z wyrzutem
Jego oczy przepraszały nas
Za to że zawiódł nasze oczekiwania
i nie został ukrzyżowany

Jeżeli jego miejsce jest
W więzieniu
To gdzie jest
Nasze

Jeżeli miejsce Niewinnego
Jest w odosobnieniu
To kto ma prawo żyć na
Wolności.

Jan Więzień

Rekolekcje w ZK Włocławek

W więziennej kaplicy
Więzienny Chrystus
Patrzy ze ściany
Na skruszonych
Złodziei

Zadowolony kapelan
Pasterskim okiem
Obejmuje modlących się
Z gorliwością neofity
Więźniów

Tylko w oczach Pana
Nie ma radości

*Z nawróconych grzeszników
Gorliwie fałszujących
Pieśni
Z więziennego śpiewnika
Traktujących spotkanie
Z Panem
Jak bajkę
Z kumplem spod celi*

Jan Więzień

*Daj mi dzień zapomnienia
ucieczkę w przestrzeń
gdzie gwiazd nieprzebrane ilości
a czas nieuchwytny
jak wiatr o zapachu wiosny*

*Daj mi zwykły uśmiech
miły skrawek nieba nad twoją głową
odcisk stopy na gorącym piasku plaży*

*Daj mi nadzieję otwarcia drzwi do przeszłości
gdzie wszystko było zwyczajne
jak słowo przyjaciel
matka ojciec rodzina
Bóg – jako wieczność
śmierć – jako koniec początku istnienia*

*Daj mi kroplę deszczu
bym mógł ją zatrzymać w dłoni
zwilżyć usta wędrowca na pustyni
umierającemu podać na łożu śmierci*

*Daj mi jeden dzień zapomnienia
bym mógł otworzyć zatrzaśnięte drzwi
i pójść przed siebie.*

Wiesław Cisak

Rys. Magdalena Kisielewska, lat 26



Niepełnosprawności ekumeniczne

Istota Ewangelii i hierarchia prawd

Termin „hierarchia veritatum” pojawił się w soborowym *Dekrecie o Ekumenizmie*, w numerze 11: „[...] teologowie katoliccy [...] niech pamiętają o istnieniu porządku czy «hierarchii» prawd w nauce katolickiej, ponieważ różne jest ich powiązanie z zasadniczymi podstawami wiary chrześcijańskiej”. Sformułowanie to potwierdza fakt istnienia prawd centralnych dla chrześcijaństwa oraz takich, które choć otaczane przez wielu szacunkiem, nie należą do samego centrum wiary. Za fundament nauki chrześcijańskiej uważa się powszechnie dogmat trynitarny i chrystologiczny (DE 12; Conf. Aug. I, III)¹.

Mówiąc o „hierarchii prawd” trzeba się bliżej przyjrzeć samemu pojęciu prawdy. Koncepcja idealistyczna widzi prawdę jako rzeczywistość monolityczną, jedną, niepodzielną, niezmienną, absolutną. Tak może przedstawiać się prawda jako czysta idea. Faktycznie prawda jest jednak prawdą dla osoby, a więc różni ludzie mogą mieć różne rozumienie tej samej, niezmiennej prawdy. Cenne myśli wnosi tu nurt egzystencjalistyczny i personalistyczny we współczesnej filozofii i teologii. Na odbiór prawdy czy prawd religijnych wpływają uwarunkowania historyczne, socjologiczne, a wreszcie także indywidualne doświadczenie życiowe – swoiste *Sitz im Leben*. Kolejna kwestia to *prawda jako osoba*.

Dla chrześcijaństwa, zwłaszcza w jego wczesnym okresie, prawdą jest Jezus Chrystus, jako ten, który przyszedł, by swoim życiem dać świadectwo prawdzie. I to Jego Osoba, Jego bosko-ludzkie doświadczenie, stanowi właściwą prawdę, centrum chrześcijaństwa. Fundamentem naszej wiary nie jest więc nawet najtrafniej wyrażona doktryna, ale Wcielony Bóg². Tylko opierając swoje życie na Nim człowiek może dojść do poznania prawdy o zbawieniu, którą Bóg objawia mu w wierze. Zaznacza się w tym miejscu charakter soteryjny prawdy. Prawda bowiem nie jest (tylko) do wyznawania czy nauczania, ale przede wszystkim jest dana ku zbawieniu. Bóg objawił się w swoim Mesjaszu ku zba-

¹ „(...) niech wszyscy chrześcijanie wyznają wiarę w Jednego i Troistego Boga, we Wcielonego Syna Bożego, naszego Pana i Zbawiciela...” (DE 12); „(...) naucza się i utrzymuje, zgodnie z uchwałą soboru nicejskiego, że jest jedna istota boska, którą się nazywa i która jest prawdziwie Bogiem; a jednak w tej samej istocie boskiej są trzy osoby równej mocy, jednakowo odwieczne: Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Święty...” (Conf. Aug. I); „(...) Syn Boży stał się człowiekiem [...] dwie natury, boska i ludzka, zjednoczone w jednej osobie zupełnie nierozdzielnie, stanowią jednego Chrystusa, który jest prawdziwym Bogiem i człowiekiem, który się prawdziwie narodził, cierpiał, był ukrzyżowany, umarł i był pogrzebany, aby być ofiarą nie tylko za grzech pierworodny, lecz także za wszystkie inne grzechy [...] Naucza się także, że tenże Chrystus zstąpił do piekieł, trzeciego dnia prawdziwie wstał z martwych...” (Conf. Aug. III)

² Por. Kol 2, 2.9; Ef 3, 4.18n.

wieniu człowieka, ludzkości, świata. W tradycji luterńskiej tak pojęta prawda obecna jest w wierze opartej na zaufaniu (*fides fiducialis*)³.

Człowiek nie jest skłonny do tego, by oprzeć na serio swoją wiarę na orzeczeniach dogmatycznych. Tylko prawda, która opiera się na relacji z osobą może być poważnie traktowana. Jest wtedy prawdą konkretną, doświadczoną. Także w dialogu ekumenicznym uznanie relacyjnego wymiaru prawdy może zaowocować zrozumieniem i pojednaniem. Jest ona „na pierwszym miejscu wydarzeniem osobowym, a dopiero na drugim planie jest prawdą zdaniową. Jako chrześcijanie nie żyjemy sformułowaniami, które odgraniczają naszą wiarę od wiary innych. Jednej prawdzie zdaniowej łatwo przeciwstawić inną prawdę zdaniową, ale to uniemożliwia rzeczywiste spotkanie osób”⁴. Dialog zawężony do kwestii swoistych sylogizmów teologicznych pozostanie dialogiem „niepełnosprawnym”. Jego ograniczona skuteczność nie przyniesie owoców w postaci przyjaznej koegzystencji różnych wyznań. Dopiero dialog egzystencjalny, w którym ponad doktrynę (jej kontrowersje i niejednoznaczności) stawia się relacje z drugim człowiekiem, z drugim Kościołem, może ułatwić bliższe kontakty między chrześcijanami poszczególnych denominacji. Większość ludzi w gruncie rzeczy nie wie na czym polega problem *Filioque*, nie zawsze rozumie różnice w kościelnych koncepcjach usprawiedliwienia, ani nie potrzebuje filozoficznych spekulacji na temat przemiany eucharystycznej.

Wspomniana wyżej soborowa idea hierarchii prawd nie jest jednak ostatnim słowem w dialogu; „należy ją traktować raczej jako postawienie problemu niż jako rozwiązanie”⁵. Jest to pewna zasada hermeneutyczna, którą należy posługiwać się w dialogu ekumenicznym na wszystkich jego poziomach, zwłaszcza w dialogu doktrynalnym. Sam tekst *Dekretu* już stosuje tę zasadę stwierdzając m.in.: „W tym ruchu ku jedności, który zwie się ruchem ekumenicznym, uczestniczą ci, którzy wzywają Boga w Trójcy Jedyne-go, a Jezusa wyznają Panem i Zbawcą”⁶. W innym miejscu znajdujemy fragment o teologicznej doniosłości, której nie można przecenić: sposób wyrażania doktryny „należy stanowczo odróżnić od samego depozytu wiary”⁷. Podobne słowa można odnaleźć w ogłoszonym w 1971 r. tzw. *Raporcie z Malty*. Jeden z rozdziałów tego dokumentu Wspólnej Luterkańsko-Katolickiej Komisji Studyjnej zatytułowany „Istota Ewangelii i hierarchia prawd” podnosi problem rozumienia fundamentalnych prawd chrześcijaństwa.

To, co w posoborowej teologii rzymskokatolickiej określa się mianem „hierarchii prawd”, w pewnym sensie, ale nie do końca, pokrywa się z protestancką zasadą „istoty albo centrum Ewangelii” (*Mitte des Evangeliums*): „Podczas, gdy w myśli o hierarchii prawd na plan pierwszy wysuwa się moment całości i pełni, to myśl o istocie implikuje – zwłaszcza jeśli rozważy się jej teologiczno-historyczne zastosowanie – akcent krytyczny, streszczający się w pytaniu, czy kościelne tradycje prawidłowo przedstawiają świadectwo Ewangelii”⁸.

³ Por. W. Hryniewicz, *Hermeneutyka w dialogu*, Opole 1998, s. 219.

⁴ *Ibid.*, s. 211.

⁵ *Ibid.*, s. 193.

⁶ DE 1.

⁷ DE 5.

⁸ *Ewangelia u Kościół czyli tzw. Raport z Malty* nr 25; (w:) S. C. Napiórkowski, *Wszyscy pod jednym Chrystusem*, Lublin 1985, s. 123.

Zagadnienie „hierarchii prawd” łączy się z soborową zachętą do *aggiornamento* i *ridimensionamento*. Zwłaszcza ten drugi termin posiada doniosłe znaczenie dla ekumenizmu. *Ridimensionamento* – jak pisze ks. prof. Hryniewicz – to „przywracanie słusznych proporcji poszczególnym twierdzeniom i doktrynom”⁹. W obliczu licznych orzeczeń dogmatycznych przyjętych przez Kościół rzymskokatolicki, szczególnie podczas **zachodnich** soborów-synodów, kwestia ta wydaje się dosyć istotna. Jak zauważył ewangelicki teolog U. Valeske, „soborowa wypowiedź o «hierarchii prawd» w obrębie nauki katolickiej przyczyniła się do częściowo już wyczuwalnego przesunięcia akcentu z elementu formalnego na materialny oraz z ilościowego na jakościowy”¹⁰.

W teologii katolickiej, jeszcze bardzo powoli, zaczyna się proces koncentrowania się na przesłaniu wiary w jej istocie (element materialny), z jednoczesnym „osłabieniem” zainteresowania autorytetem Magisterium, angażowanym w wypowiedzi doktrynalne (element formalny). Czas już na to, by skupiać się na prawdzie centralnej chrześcijaństwa, i to też nie poprzez ilość orzeczeń, zamiast obudowywać ją sformalizowaną nauką, dotyczącą zagadnień marginalnych lub wręcz nieistotnych (w teologii protestanckiej stosuje się tu termin *adiaphora*).

Zasada związana z centrum Ewangelii łączy się z uznaniem nauki przekazanej przez cztery pierwsze sobory ekumeniczne (powszechne): nicejski, konstantynopoliński, efeński i chalcedoński. Wszystkie te sobory zajmowały się tematyką trynitarną bądź chrystologiczną. Dlatego większość Kościołów przyjmuje je jako wydarzenie ważne dla historii doktryny chrześcijańskiej. „Marcin Luter nazwał cztery pierwsze sobory ‘die vier grosse haupt Concilia’ [cztery główne wielkie sobory]. Kalwin uznał naukę tych soborów oraz im podobne (‘ac similes’) za zgodne z Pismem św. [...] Według obydwu reformatorów sobory nie posiadały wartości normatywnej w sobie samych, lecz jedynie według stopnia ich zgodności z Pismem św.”¹¹.

Również tradycja prawosławna z szacunkiem podchodzi do tych czterech soborów (za normatywne dla Kościoła uważa zresztą wszystkie siedem soborów pierwszego tysiąclecia). Wyrażona przez nie nauka określiła „wiarę Kościoła w samych jej podstawach i wymiarach soteriologicznych”¹². Chrześcijański Wschód, obok pojęcia dogmatu, zna także *theologoumena*. Prawdy wiary określane jako *theologoumena* nie posiadają jednak mocy wiążącej całej Kościoła. Niektórzy teologowie prawosławni, mianem *theologoumenon* określają np. łacińską naukę o pochodzeniu Ducha Św.

Trzeba jednak zauważyć (często przypominał o tym Daniel Rufeisen), że każdy z wymienionych wyżej soborów, formalizując doktrynę wykluczał jednocześnie pewne grupy chrześcijan ze wspólnoty Kościoła. Tych, którzy wybierali (gr. *haireomai*, *hairetidzo*) inny sposób formułowania swojej wiary, określano pogardliwym mianem heretyków. Chrześcijaństwo z trudem akceptowało istnienie różnorodnych koncepcji teologicznych. Pluralizm teologiczny, wynikający przecież z odmiennych doświadczeń, uwarunkowań kulturowych i językowych, nie zawsze znajdował zrozumienie wśród biskupów i patriarchów. Już na soborze nicejskim (325 r.), zwołanym w celu wyjaśnienia kontrowersji chry-

⁹ W. Hryniewicz, *op.cit.*, s. 205.

¹⁰ *Ibid.*, s. 204.

¹¹ *Ibid.*, s. 229.

¹² *Ibid.*, s. 215.

stologicznych, znaczna grupa chrześcijan została ekskomunikowana. Podobnie zakończył się sobór efeski i chalcedoński. W pewnym sensie były to więc sobory „niepełnosprawne”.

Chrześcijaństwo, w niektórych kwestiach ewidentnie kontynuujące elementy wierzeń innych religii (także nie-monoteistycznych), nie potrafiło czasem uznać tolerancji za jedną ze swoich naczelnych wartości. A takim poważaniem cieszy się tolerancja w znaczących religiach Wschodu. Można już w pierwszych wiekach dostrzec pewną nieumiejętność godzenia ze sobą odmiennych nurtów teologicznych. Łatwiej było o tolerancję etyczną¹³ niż doktrynalną¹⁴.

Zasadę centrum Ewangelii w sposób naturalny i spontaniczny znała już najstarsza tradycja chrześcijańska. W *Didache* czytamy: „Jeśli możesz w całości nieść jarzmo Pana, będziesz doskonały; jeśli nie możesz, czyn, co możesz”¹⁵. I nieco dalej: „Niech nikt nie je ani nie pije z waszej Eucharystii oprócz tych, co zostali ochrzczeni w imię Pana”¹⁶. Ten kerygmaticzny charakter chrześcijańskiej prawdy wiary poświadcza także *List do Diogeneta*: „Bóg, który stworzył wszystko [...] jest nie tylko pełen miłości do ludzi, lecz i bardzo cierpliwy. On zawsze był taki, taki jest i będzie: miłosierny, dobry, nieskory do gniewu, wierny swojemu słowu. On jeden jest dobry”¹⁷. „O jakże niewypowiedzianie wielka jest łaskawość Boga i Jego miłość dla ludzi. Nie znienawidził nas, nie odtrącił, nie pamiętał nam złego. Lecz długo okazywał cierpliwość, długo nas znośił. [...] Niegodziwość wielu znikła w sprawiedliwości Jednego, a sprawiedliwość Jednego wielu niegodziwych usprawiedliwiła. W czasach minionych dowiódł, że nasza natura nie może dostąpić życia, teraz zaś wskazał Zbawcę, który zbawia i to także, co nie może być zbawione. W ten dwojaki sposób chciał w nas wzbudzić wiarę w swoją dobroć, chciał, byśmy widzieli w Nim żywiciela, ojca, mistrza, doradcę, lekarza, rozum, światło, godność, chwałę, siłę, życie”¹⁸.

W świetle tych i podobnych dokumentów starochrześcijańskich należy zapytać, czy termin „centrum Ewangelii” słusznie stosuje się (tylko) do kwestii doktrynalnych (chrystologia i trynitologia). Czy w samym środku przesłania Ewangelii jest doktryna o trzech Osobach Boskich lub o Bóstwie Chrystusa? Tym bardziej: czy do serca Ewangelii należy nauka o dwóch lub siedmiu sakramentach, o konieczności chrztu przez zanurzenie lub o sukcesji apostołskiej przekazywanej przez gest włożenia rąk podczas ordynacji (święceń)? Istota chrześcijańskiego kerygmatu wyraża się raczej w przesłaniu soteryjno-etycznym. Bóg pragnie przekonać człowieka, że Jego zbawienie jest darmowe, że usprawiedli-

¹³ Por. przyp. 15.

¹⁴ Inaczej przedstawiając się do kwestie w dżainizmie. W łonie tej religii od samego początku istniały różne grupy (nīpāta), które dopuszczały jednak (w ogromnej większości) dyskusje na temat doktryny. Postawę tę ilustruje stwierdzenie o charakterze aforyzmu: *droga Mądrości wiedzie wieloma ścieżkami*. Paulc Letty-Mouroux, *Une nouvelle approche du jainisme*, Paris, 1988, s. 59. Fakt istnienia 54 różnych dżainskich nīpāta w chwili śmierci założyciela dżainizmu – Mahaviry – daje świadectwo wolności myśli i wyrazu, która musiała być wspólną regułą tej religii. Tamże, s. 57. W dżainizmie przyjmuje się nawet paradoksalne zdanie, że *Bóg nie jest Bogiem, będąc jednocześnie Bogiem*. Tamże s. 27.

¹⁵ *Didache* VI.2, (w:) *Pierwsi świadkowie*, red. M. Starowieyski, Kraków 1998, s. 35-36.

¹⁶ *Ibid.*, IX.5, s. 37.

¹⁷ *List do Diogeneta* VIII.7, (w:) *Pierwsi świadkowie*, s. 344.

¹⁸ *Ibid.*, IX.2-3, s. 345.

wia grzesznika, bo jest Bogiem łaskawym¹⁹. Zapewnia o swojej wierności²⁰. Jednocześnie zachęca też do prawego życia, które ma się wyrażać przede wszystkim w poszanowaniu drugiego człowieka.

Wydaje się, że zasada hierarchii prawd domaga się poszukiwania istoty (centrum) Ewangelii, a to, co najistotniejsze w Ewangelii samo wyznacza pewną hierarchię prawd chrześcijańskich. Najważniejszą z nich zawsze pozostanie zachęta (przykazanie) do miłości. Jeśli spory doktrynalne przybierają taką postać, że uniemożliwiają jedność wiary i pełną wspólnotę modlitwy, to dlatego, że doktryna zastąpiła miłość, nauczanie katechizmu stało się ważniejsze niż praktyka codziennego życia. Jeśli chrześcijan kojarzy się (tylko) z wyznawaniem wiary w dogmat chrystologiczny i trynitarny, a nie z postawą dobroci i szcunku dla drugiego, to znaczy, że ich religia została zdegenerowana, sprowadzona do wymiaru intelektualno-jurydycznego.

Dopóki różnice teologiczne, terminologiczne i liturgiczne będą tak wyraźnie podkreślane, że wspólna Wieczerza Pańska i wzajemne uznanie posługowań wciąż pozostanie utopią, dopóty chrześcijaństwo będzie tkwić w mrokach niewiedzy²¹. Będzie nie tylko religią rozdartą, ale wręcz skompromitowaną. Religią przeczącą istnieniu Jednego, a tym bardziej dobrego Boga.

¹⁹ Por. Ps 103: „On odpuszcza wszystkie twoje winy, / On leczy wszystkie twe niemoc, / On życie twe wybawia od zguby, / On wciągnie cię łaską i zmiłowaniam, / [...] Miłosierny jest Pan i łaskawy, / nieskory do gniewu i bardzo łagodny” (3-4; 8).

²⁰ Por. Iz 54, 10; Oz 11, 8n.

²¹ Istnienie różnic może być bogactwem, jeśli postrzegane jest jako wyraz różnorodności ludzkich doświadczeń i upodobań, a nie jako zagrożenie jedności. Inne tradycje teologiczne i liturgiczne mogą być inspiracją do wnikliwej refleksji, mogą być szansą poszerzenia horyzontów własnej wiary. Czasem są wręcz konieczne, aby dostrzec zafałszowania bądź nicudolne sformułowania nauki poszczególnych wyznań. Pluralizm religijny, także w obrębie jednej religii, sprzyja formowaniu ku otwartości, poszanowaniu inności, akceptacji tego, z czym się nie zgadzam. W *Syad-Varda*, jednej z głównych ksiąg dżainizmu, można znaleźć zachętę do tego, by „rozważać sprawy w ich całości, aby w ten sposób uzyskać poznanie syntetyczne”. P. Letty-Mouroux, *Une nouvelle approche...*, s. 27.

Jedność w różnorodności

– rozmowa z **Henrykiem Kufeldem**
pastorem Kościoła Chrześcijan Baptystów w Lublinie
oraz **Jackiem Marciniakiem**
przygotowującym się do posługi pastora

Jacek Wojtyśiak: *Jak powstały Kościoły bapty-
styczne i co jest w nich specyficznego?*

Pastor Henryk Kufeld: Nie jestem znawcą historii baptyzmu, ale postaram się przybliżyć historię mojego Kościoła. Kościół baptystyczny powstał jako ruch na przełomie XVI i XVII w. na Wyspach Brytyjskich. Wyłonił się z Kościoła Anglikańskiego, z ruchu pietystycznego. Ludzie, którzy chcieli więcej czytać i praktykować Biblię nie mieścili się w ramach Kościoła Anglikańskiego i musieli odejść. Zakładali swoje wspólnoty. Z czasem też odkryli w Nowym Testamencie prawdę o chrzcie w wieku świadomym. Każdy, kto się szczerze nawrócił do Boga powinien potwierdzić to przez chrzest (poprzez zanurzenie, jak precyzuje to Biblia). I zaczęli chrzcić dorosłych. Od tego też pochodzi nazwa „baptyści”, nadana przez ludzi jako przydomek – podobnie jak nazwa chrześcijanie była przydomkiem, które nadali poganie uczniom Chrystusa. Od samego początku baptyści byli Kościołem, który przyjmował do swego grona jedynie ludzi odrzdzonych, świadomie wierzących. Kościół rozwijał się, powstawały zbory. Baptyści zawsze walczyli o oddzielenie państwa od Kościoła, co do dzisiaj w Wielkiej Brytanii nie zostało osiągnięte. Walczyli też o wolność słowa i wyznania. Ówczesnym władzom to się nie podobało. Baptyści byli prześladowani, i dlatego w większości emigrowali do Ameryki. Tam dopiero mogli rozwijać swoje idee. Założyli państwo Rhode Island, gdzie przyjęli

zasady wolności sumienia i wyznania, i równości wszystkich obywateli. Konstytucja tego państwa stała się podwaliną obecnej konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Sebastian Rejak: *A w jaki sposób baptyści znaleźli się w Polsce?*

Pastor Henryk Kufeld: Baptyści przybyli do Polski przez Niemcy. Z Wysp Brytyjskich baptyści przywędrowali do Hamburga w Niemczech. Powstał tam silny zbor baptystyczny, też prześladowany. Pierwszy chrzest odbył się w nocy, gdyż było to nielegalne. Członkowie Kościoła kupili jakiś stary budynek za miastem, prawdopodobnie był to w przeszłości młyn, i przystosowali go do celów kościelnych. W tym czasie stało się nieszczęście, które dla baptystów okazało się szczęściem: spłonął Hamburg. Baptyści zaproponowali, żeby w zakupionym budynku zamieszkał ludźmi. To im otworzyło drogę do przychylności mieszkańców i ich władz. Ruch rozwijał się na terenie całych Niemiec. Do Polski przyszedł na Mazury przez Prusy Wschodnie, gdzie katolicy byli Niemcami, a ewangelicy Polakami. I właśnie wśród ewangelików powstał ruch pietystyczny. Czytano Biblię i zgłębiano jej treść. Powstała grupa ludzi, którzy zobaczyli, że potrzebują czegoś więcej, niż Kościół Ewangelicki mógł im ofiarować. W tonie tej grupy powstała też dyskusja na temat chrztu. Zaproszono kaznodzieję baptystycznego, który nazywał się Weist. On im wyłożył naukę

Jezusa na temat chrztu i część z nich dała się ochrzcić w wieku świadomym.

S.R.: *To znaczy ponownie przyjęli chrzest?*

Pastor Henryk Kufeld: My nie traktujemy tego jako ponowny chrzest. W ogóle nie traktujemy jako chrzest tego, co się dzieje w dzieciństwie... Z północnej Polski grupa ta rozprzestrzeniła się na teren całego kraju. Silniejsze ośrodki powstały w Łodzi i Warszawie. Na terenie Lubelszczyzny było bardzo dużo baptystów w okresie międzywojennym, a nawet przed I wojną światową, ale to byli baptysci pochodzenia niemieckiego, którzy osiedlili się tutaj jako koloniści. Powstawały również zbory słowiańskie.

Magdalena Gawlik: *Czyli jest to ruch o podłożu nie tylko religijnym, ale i społecznym. Czy dzisiaj też macie takie postulaty dotyczące życia społecznego?*

Pastor Henryk Kufeld: Wszędzie, gdziekolwiek są baptysci, walczą o sprawiedliwość społeczną. Nie są zamknięci na to, co się dzieje w społeczeństwie. Jeżeli gdzieś się dzieje krzywda, niesprawiedliwość, to występują przeciw temu.

J.W.: *Wracając do kwestii historycznej... Czy to państwo Rhode Island długo istniało?*

Pastor Henryk Kufeld: Do powstania Stanów Zjednoczonych.

J.W.: *I potem weszło w skład USA?*

Pastor Henryk Kufeld: Tak, jest to jeden ze stanów.

J.W.: *Baptysci mają jakąś szczególną pozycję w tym stanie?*

Pastor Henryk Kufeld: W Stanach Zjednoczonych baptysci należą do dwóch największych wyznań. Dlatego zawsze mieli dość duży wpływ na to, co się działo.

J.W.: *A to drugie wyznanie to jakie?*

Pastor Henryk Kufeld: Chyba katolicy.

Michał Kopaczewski: *Kościół baptystyczny wywodzi się bezpośrednio z reformacji, ale na jakich tezach opiera się w głównej mierze? Na wystąpieniu Kalwina czy Lutra?*

Pastor Henryk Kufeld: Baptysci nie są w tym jednolici. Nawet w naszej polskiej unii jedni skłaniają się ku Lutrowi, inni ku Kalwinowi. Ale chyba jeżeli się już z czegoś czerpie, to czerpie się z teologii Kalwina.

M.G.: *Czy Pastor wywodzi się z rodziny baptystów, czy była to inna droga?*

Pastor Henryk Kufeld: Ja się wywodzę z rodziny luteranńskiej i moi rodzice są luteranami. Z sześciorga rodzeństwa dwóch braci też pozostało luteranami. Jeden jest katolikiem. Siostra jest w Kościele Zielonoświątkowym. Ale wszyscy nawzajem się szanujemy.

S.R.: *A jaka jest historia zboru lubelskiego? Bo nas najbardziej interesuje wspólnota baptystyczna w naszym mieście.*

Pastor Henryk Kufeld: To już trzydzieści lat temu niektórzy z baptystów, mieszkających w okolicy, odnaleźli się i zaczęli się gromadzić w budynku Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, tam wynajmowali salkę. Przez sześć lat, dwa razy w miesiącu przyjeżdżał pastor z Warszawy i prowadził nabożeństwa. Oficjalnie zbor powstał w 1970 r., a od kilkunastu lat ma swoją siedzibę w budynku przy ul. Kochanowskiego 38A. Część osób to ludzie z okolic Lublina, nie tylko z samego miasta.

M.K.: *Z tego co wiem, kiedy w 1948 r. został utworzony Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, baptysci nie wchodzili w jego skład. Czy byli wobec tego Kościołem niezależnym?*

Pastor Henryk Kufeld: Najpierw był Zjednoczony Kościół Chrześcijan Ewangelicznych i Baptystów. Później baptysci wyszli i to miejsce zajęli zielonoświątkowcy. Ale to zjednoczenie dokonało się pod naciskiem władz, a baptysci byli na tyle silni, że mogli samodzielnie funkcjonować. Jak tylko „puściły lody”, to Zjednoczony Kościół Ewangeliczny przeorganizował się, co przez niektórych zostało odebrane jako rozpad Kościoła. Wrócili do tego, co mieli w statucie zapisane: że mogą się rozjeść.

J.W.: *Mówił Pastor, że pochodzi z rodziny ewangelickiej. Jaki był pierwszy kontakt z baptystami? Co spowodowało przejście?*

Pastor Henryk Kufeld: W Ionie Kościoła Ewangelickiego jest też nurt ewangeliczny głoszący nowonarodzenie, życie w bliskiej relacji z Bogiem. Kiedy miałem 15 lat, mój wujek, mieszkający na Śląsku Cieszyńskim, zaprosił mnie do ośrodka ewangelizacyjnego w Dzięgielowie, gdzie po raz pierwszy usłyszałem, że potrzebuję zbawienia, że

nie dokonuje się ono przez ceremonie, ale z wiary; że muszę coś ze swoim życiem zrobić, coś w nim zmienić. Tam właśnie zaufałem Jezusowi i zacząłem swoje nowe życie, życie wiarą. Stamtąd pojechałem na Pomorze, skąd pochodzę. Chodziłem do szkoły w Kolobrzegu, gdzie mieszkałem w internacie. Tylko raz w miesiącu wolno nam było opuścić internat, więc coś w niedzielę trzeba było robić. Przez te dwa lata nie miałem żadnego kontaktu z ewangelicznymi chrześcijanami. Czasami byłem gorliwszy od moich katolickich kolegów. Oni siedzieli przed telewizorem, a ja w tym czasie uczestniczyłem w dwóch mszach. Po prostu, żeby mieć kontakt ze Słowem Bożym w formie głoszonej, usłyszeć jakieś pieśni. Szukałem też wspólnoty. Po dwóch latach spotkałem ludzi, którzy należeli do Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Po roku uczęszczania do tej wspólnoty zostałem ochrzczony w wieku świadomym. Później, po kilku latach wyjechałem do innego miasta. Tam byli baptyści, tam przyłączyłem się do zboru baptystycznego. A wcześniej nie znałem baptystów.

M.K.: *Jak doszło do tego, że Pastor został duchownym?*

Pastor Henryk Kufeld: Przez jedenaście lat, kiedy mieszkałem w Koszalinie, byłem aktywnym członkiem tamtego zboru, robiąc różne rzeczy. Prowadziłem katechezy dla dzieci, czyli szkółkę niedzielną, byłem przez kilka lat liderem młodzieżowym, z dobrym skutkiem. I zbor wystąpił mnie do seminarium. A po skończeniu seminarium odbyłem jeszcze tzw. wikariat, czyli okres praktyki. Po trzech latach zbor w Lublinie zaprosił mnie poprzez Radę Kościoła do pracy. Każdy zbor, jako autonomiczna jednostka, sam decyduje o wyborze pastora, a Rada Kościoła mnie znała, więc poleciła nas sobie.

J.W.: *Ty, Jacku, odbywasz teraz wikariat. Mógłbyś opowiedzieć, jak trafiłeś do zboru, a potem do seminarium?*

Jacek Marciniak: Pochodzę z chełmskiego. Byłem bardzo pobożnym człowiekiem, chociaż moja rodzina nie była szczególnie religijna. Od początku interesowały mnie kwestie ostateczne. Zawsze stawiałem sobie pytania po co jestem, dla-

czego jestem na tym świecie itp. Nie bawiło mnie to, co kolegów (np. dyskoteki). Kiedyś pomyślałem, że jeśli jest jakaś odpowiedź, to zapewne zna ją Bóg. Zastanawiałem się, gdzie mógłbym poznać prawdę o Bogu (byłem wtedy w czwartej klasie liceum), gdzie mógłbym się o tym dowiedzieć? Wówczas pomyślałem: na teologii. A jeśli na teologii, to gdzie? – na KUL-u! To jest jedyne miejsce, centrum chrześcijaństwa, tam mogę się dowiedzieć. Zdałem więc egzaminy na teologię, na KUL.

S.R.: *Byłeś rzymskim katolikiem?*

Jacek Marciniak: Tak. I właśnie na pierwszym roku usłyszałem Ewangelię od studenta z drugiego roku teologii. Posłuchał się książeczką „Cztery prawa duchowego życia”. Dowiedziałem się, że moje próby bycia pobożnym są bezsensowne i bezowocne. Uważałem wcześniej, zresztą pod wpływem katechety, że aby Bóg mnie zaakceptował, muszę być dobry, muszę coś czynić, aby zaszkarbić sobie Jego łaski; że muszę chodzić do Kościoła, aby osiągnąć zbawienie. Staralem się wtedy praktykować różne zakazy, nakazy, posty itd. Czulem się wtedy dobrze, ale to nie dawało mi duchowego pokoju. I właśnie oto osoba ta zwiastuje mi, że zbawienie jest z łaski – za darmo. Pamiętam, rozważaliśmy wtedy, że można być zbawionym **do** dobrych uczynków, a nie **przez** dobre uczynki (Ef 2, 9-10). Wtedy nie było dla mnie problemu: od razu oddałem moje życie Chrystusowi. Stał się moim Panem i Zbawicielem. I wtedy nawiązałem z Nim osobistą relację. I od tamtej pory jedyną rzeczą, która dla mnie była ważna, to dzielić się z innymi tym odkryciem. Zacząłem działać w środowisku studenckim. Przyłączyłem się do wspólnoty „Emmanuel”. Jeździliśmy na oazy. Szybko wzrastałem, prowadziłem różne grupy biblijne, głosiłem ewangelię. I wreszcie przyszedł okres, kiedy nastąpiło zderzenie treści Słowa Bożego z dogmatami.

S.R.: *Czy to było burzliwe doświadczenie?*

Jacek Marciniak: Wywołało to pewien kryzys w naszej wspólnotcie, i też w moim życiu. Pierwsza nasza reakcja: widzimy pewną niezgodność prawdy Słowa Bożego z tym, co głoszą dogmaty. Stwierdziliśmy, że na ile to jest możliwe, trzeba

zbliżyć się znów do tej pierwotnej prawdy, czy też życia pierwszego Kościoła. Pomyśleliśmy, że trzeba zacząć reformować Kościół, to była ta sama wizja, co u dra Marcina Lutra. Pamiętam, jak chodziliśmy razem po skwerze KUL-u teolodzy III-IV roku i dyskutowaliśmy: a co z nieomylnością papieża, a co z kultem Maryi? Po dłuższym kontakcie z żywym Słowem Bożym stwierdziliśmy, że szkoda czasu na reformę czegoś, co nie wiadomo czy odniesie skutek. A po prostu żyć w oparciu o Słowo Boże. Wtedy nasza wspólnota odeszła od katolicyzmu i tak powstała wspólnota „Pojednanie”. Byłem jednym z ludzi, którzy do niej weszli, chociaż jeszcze przez rok studiowałem na KUL-u. Ten ostatni rok poświęciłem na przebadanie dogmatów Kościoła Katolickiego w świetle Pisma Świętego. Jednak skutek był taki sam: pewnych dogmatów nie da się pogodzić ani wywnioskować z Pisma Świętego. Na piątym roku odszedłem od Kościoła Katolickiego. I wtedy ochrzciłem się. I już nie broniłem pracy magisterskiej, bo jak wiecie, kończąc pracę magisterską z teologii na KUL-u poświęca się pisemnie posłuszeństwo Kościołowi Katolickiemu. Ja już tego nie mogłem zrobić. Bóg sprawił, że w następnym roku zostałem przyjęty do Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. I tam jeszcze przez rok studiowałem teologię ewangelicką oraz obroniłem pracę magisterską. Pojawił się jednak pewien problem. Nasza wspólnota, odchodząc, stała się bardzo antykatolicka. Uważałem, że jest to postawa zbyt skrajna, że trzeba mieć jednak pewien umiar, pewną równowagę. Po drugie, wydawało mi się, że w pewnych, drugorzędnych sprawach w Kościele musi być wolność. Jeśli w Kościele nie ma wolności, jeśli w sprawach drugorzędnych wszystko się określa, to Kościół staje się martwy. I wtedy po prostu uznałem, że powinienem poszukać takiej wspólnoty, gdzie taką wolność znajdę. Szukając natrafiłem na baptystów. Tu, w gablocie możecie przeczytać to słynne zdanie Augustyna: „W sprawach zasadniczych jedność, w drugorzędnych wolność, a we wszystkim miłość”. I właśnie pastor Henryk potwierdził, że co do spraw drugorzędnych, o które mi chodziło, wspólnota baptystycz-

na zachowuje wolność. Nie wolno w Kościele jednoznacznie determinować prawd, na które Słowo Boże nie daje jasnej odpowiedzi.

J.W.: *Mówisz, że szukałeś... To znaczy, że czytałeś coś o baptystach?*

Jacek Marciniak: Przebywając w środowisku ewangelicznym poznałem różne społeczności. Wspólnota „Emmanuel”, w której wzrastałem, była oparta na Słowie Bożym. To nie była wspólnota charyzmatyczna. Nie zaczynałem więc moich poszukiwań od wspólnot charyzmatycznych typu Kościół Zielonoświątkowy czy Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. Teologia moja raczej jest oparta na Słowie Bożym, niż na doświadczeniu Ducha. Chociaż, oczywiście, jedno nie musi przeczyć drugiemu, ale zawsze jest pewne przeakcentowanie. Ja pozostaję przy tym, że Słowo Boże musi być ostatecznym wyznacznikiem w sprawach wiary. W tym momencie Kościół Baptystów mi najbardziej odpowiadał. I teraz właśnie odbywam wikariat, okres przygotowawczy do służby w tym Kościele.

J.W.: *Ciebie też wspólnota poprosiła o to, żebyś został pastorem?*

Jacek Marciniak: Wspólnota pomaga odkryć określony dar, jakim Bóg mnie wyposażył. Jeśli bracia i siostry lepiej rozumieją Słowo Boże przez moją postugę, to znak, że Pan Bóg rzeczywiście chce, żebym służył w ten sposób.

Pastor Henryk Kufeld: Jeśli można jeszcze kilka słów o wikariacie... Wikariat musi odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze: czy człowiek w ogóle się nadaje do służby. Ponieważ może skończyć szkołę teologiczną, ale w ogóle nie nadawać się do służby w Kościele. Więc pod okiem prezbitera dany absolwent odbywa wikariat. Wspólnota oraz prezbyter zboru muszą ocenić, czy on się nadaje do służby. A jeżeli się nada, to do jakiej służby.

J.W.: *A jakie są rodzaje służby?*

Pastor Henryk Kufeld: W przypadku Jacka od razu wiedzieliśmy, że albo nauczanie na uczelni chrześcijańskiej, albo praca duszpasterska.

M.G.: *Obserwujecie go...?*

Pastor Henryk Kufeld: Obserwujemy go w trakcie wikariatu, i niestety, okazuje się, że i do jednego

i do drugiego się nadaje. I to jest kłopot. Chcielibyśmy go zatrzymać w Lublinie, żeby tutaj pracował po ukończeniu wikariatu. Albo żeby wykładał w naszym seminarium w Radości. Na razie robi jedno i drugie. I cieszymy się z tego.

J.W.: *A jakie macie w Kościele charyzmaty?*

Pastor Henryk Kufeld: Wszystkie, które są w Nowym Testamencie. A myślę, że jest ich nawet więcej, niż Nowy Testament wyszczególnia.

Jacek Marciniak: Wspólnota tworzy ciało Chrystusa. Każdy członek wspólnoty ma pewną służbę, i to jest jego charyzmat. To nie musi być jakaś szczególna służba, na przykład służba pastora. Jest na przykład grupa muzyczna. To jest kolejny charyzmat: odkrywają się pewne osoby, które potrafią służyć przez muzykę i śpiew. Powstał także chór. Kiedyś modliliśmy się o tę sprawę, mieliśmy mało wiary, że Bóg tego dokona. Taka mała wspólnota, i chór? Jedna osoba prosiła, żebyśmy się modlili o chór. Rok minął i chór nam zaśpiewał. To niesamowite. I to jest jakiś kolejny przykład charyzmatu Bożego. Czy na przykład kwestia liderów do grup domowych. Kościół umiera, jak nie ma grup domowych, jeśli spotyka się tylko co niedzielę na uwielbieniu Boga. Próbujemy więc odkrywać, kto ma taki dar przywództwa, służby w Kościele, że może prowadzić studia biblijne, że może zachęcać. Kolejna służba to jest ewangelizacja. Uważam, że Ewangelią powinni dzielić się wszyscy. Jako uczeń Jezusa naśladuję Go w Jego charakterze, w Jego misji. On zawsze był nastawiony do ludzi. Nigdy przeciwnie. Wydaje mi się, że jak ktoś naśladuje Jezusa, to on zawsze będzie dzielił się Ewangelią. Czy na przykład nauczyciele szkółek niedzielnych. Odkrywamy, kto jest w szczególny sposób obdarowany, że może służyć matym dzieciom.

S.R.: *A jak wygląda spotkanie w grupie domowej?*

Pastor Henryk Kufeld: Mamy różnego rodzaju grupy domowe. Jedne mają charakter szkolenia. Mamy też program „Doświadczenie Bożego działania”, który ma pomóc w odkrywaniu darów i zastosowaniu ich w Kościele. Albo grupa ma luźny charakter; jej celem jest społeczność ludzi, gdzie studiuje się Słowo Boże, śpiewa i modli.

S.R.: *Jak często odbywają się takie spotkania?*

Pastor Henryk Kufeld: Raz w tygodniu.

S.R.: *I każdy członek zboru należy do jakiejś mniejszej grupy domowej?*

Pastor Henryk Kufeld: Ze względu na to, że zbor jest nie tylko z Lublina, ludzie ze zboru mieszkają też poza miastem, to nie wszyscy są zaangażowani. Ale staramy się, żeby wszyscy się angażowali.

M.K.: *A czy Kościół posiada jakąś grupę młodzieżową czy starszych, którzy prowadzą programy ewangelizacyjne na ulicy, w czasie jakichś festiwali?*

Pastor Henryk Kufeld: Nie mamy w zborze takiej grupy. Zawiązuje się teraz grupa muzyczna, która chcemy, żeby miała szerszy zasięg.

J.W.: *A jak prowadzicie ewangelizację? W jaki sposób docieracie do ludzi, którzy nie są w waszym Kościele, albo może w żadnym Kościele?*

Pastor Henryk Kufeld: Najlepiej jak w żadnym... a takich jest coraz więcej, trzeba przyznać. To zauważamy. Najlepszą misją jest, co u nas zdaje egzamin, osobiste świadectwo. W rodzinie, wśród przyjaciół, w pracy. Ludzie dzielą się Ewangelią i trafiają na właściwy odzew. Najlepszym świadectwem jest samo życie, poza Słowem. Kiedy ktoś się nawraca do Chrystusa, to życie człowieka się zmienia. Chrystus je zmienia. Wtedy rodzina, sąsiedzi, ludzie w pracy, zauważają to i zaczynają się rozmowy. I zwykle w ten sposób trafiają do Kościoła kolejne osoby.

M.G.: *Powiedzmy jeszcze coś o tym, co was wyróżnia: o samym chrzcie. Jak wygląda przygotowanie, jak wygląda sam obrzęd chrztu?*

Pastor Henryk Kufeld: My traktujemy chrzest jako część procesu nawrócenia. Nie jest to ten pierwszy element, ale też nie jest to koniec życia chrześcijańskiego. To nie jest uwieńczenie. W procesie nawrócenia jest to moment publicznego wyznania Chrystusa. Tak traktujemy chrzest: jako publiczne wyznanie światu, Kościołowi, siłom ciemności, i przyrzeczenie wobec Boga o przynależności do Niego. Człowiek, który zaprasza Jezusa do swojego życia, wydaje owoce opamiętania w swoim życiu. Jeżeli ktoś jest zainteresowany Słowem Bożym, to wprowadzamy go do grupy dla początkujących chrześcijan. Uczymy Słowa Bożego, podstawowych prawd biblijnych. Czasem niektórzy w trakcie się nawracają, oddają życie Chry-

stusowi. Jeżeli widzimy owoce opamiętania i ktoś pragnie wyznać wiarę w Jezusa, wtedy chrzcimy.

S.R.: *Zbór Baptystów w Lublinie uczestniczy też w spotkaniach ekumenicznych. Co macie wspólnego z innymi Kościołami, z innymi chrześcijanami, i dlaczego angażujecie się w dialog?*

Pastor Henryk Kufeld: Pan Jezus nie odmawiał udziału w jakiegokolwiek społeczności tam, gdzie ludzie chcieli z Nim rozmawiać, przebywać. Do Niego się garnęli grzesznicy i celnicy, ludzie odrzucony, a także zapraszali Go faryzeusze i uczeni w Piśmie. On nigdy nie odmawiał. Wiem, że nie ze wszystkim się zgadzał, ale szedł do tych ludzi. My też chcemy być z wszystkimi, którzy są otwarci na wspólnotę, na rozmowę, na dialog. I nie widzimy w tym nic zdrożnego, żeby się z kimkolwiek modlić o jedność, o zrozumienie, nawet jeśli się głęboko różnimy. Jeżeli przepaść jest wielka, a my nie będziemy jej powoli zasypywać, małymi garstkami, to jej nigdy nie zasypujemy. Być może jest to przepaść dogmatyczna między Kościołami, która nigdy nie zostanie wyrównana, ale między ludźmi pojedynczymi – tak: zaczniemy się lepiej rozumieć, szanować nawzajem.

M.K.: *Czy według Pastora, oprócz tych spotkań ekumenicznych, jest możliwa bliższa współpraca między Kościołami Ewangelicznymi? Ja, będąc członkiem Kościoła Zielonoświątkowego, zastanawiałem się, dlaczego nie jest tak, żeby połączyć czasami siły, na przykład, żeby młodzież z różnych Kościołów stworzyła taką grupę, która by mogła wyjść na ulicę i głosić Słowo wspólnie. A ograniczamy się do własnych grup, do własnych zamkniętych kręgów. Czy jest to możliwe, czy też różnice tych naszych doktryn nie pozwalają na to?*

Pastor Henryk Kufeld: W przeszłości dwa razy wspólnie organizowaliśmy ewangelizację satelitarną Billy Grahama. Więc już robiliśmy coś wspólnie. I myślę, że można robić wiele rzeczy wspólnie. Przeżywamy teraz czas zbliżania się, budowania zaufania. To jest też potrzebne, żeby współpracować.

Jacek Marciniak: Ja myślę, że dwie rzeczy trzeba tu zaakcentować. Na dzisiaj ekumenizm pomógł nam zbliżyć się i poznać różnice między Ko-

ściołami. I na dzisiaj nie ma mowy o jedności pomiędzy Kościołami historycznymi (jak Kościół Rzymskokatolicki czy Prawosławny) a Kościołami Ewangelicznymi. Po prostu jest przepaść nie do pokonania – przepaść dogmatyczna. Dzisiaj w ogóle nawet nie myślimy o spotkaniach ekumenicznych w kategoriach jedności. Na dzisiaj jest to nierealne. Ekumenizm jest dla nas raczej dialogiem, tak jak jest dialog z religiami niechrześcijańskimi. Natomiast jeśli chodzi o Kościoły Ewangeliczne, to na dzisiaj nie ma żadnych podziałów między nami. Ta jedność jest faktyczna. Odkryliśmy wspólnie, że według Biblii my tę jedność mamy. Musimy pamiętać, że eklezjologia protestancka różni się od katolickiej. Mamy zasadę jedności w różnorodności. Czy my koniecznie potrzebujemy łączyć się za wszelką cenę? Może w tym rozproszeniu jesteśmy tam, gdzie Bóg obdarował każdego w inny sposób. Dla nas jedność nie oznacza, że oto spotkamy się razem w jednym miejscu i posiedzimy sobie, pośpiewamy, i w ten sposób jesteśmy jedno. Chodzi o jedność duchową. Dzisiaj Kościoły Ewangeliczne w Lublinie wyznają jedność duchową bez potrzeby jedności organizacyjnej. Zresztą, czytamy w Biblii, że były Kościoły w danych miejscowościach, które miały swój własny charakter. Nie potrzebujemy wszystkich sprowadzać do jednego szablonu, który zresztą nie istnieje. W Biblii jest tak duża różnorodność wśród wspólnot, nawet różnorodność sprawowanych u nich funkcji (biskupi, starsi). I to jest cudowne. Ale musi być oczywiście ta podstawowa jedność, którą my właśnie mamy pomiędzy Kościołami Ewangelicznymi. Natomiast z innymi Kościołami tej jedności nie mamy.

S.R.: *Czy nie widzicie jedności podstawowej w tym, co rzeczywiście najistotniejsze, jedności wiary z Kościołami „nie-Ewangelicznymi”? Czyli na przykład z Kościołem Prawosławnym, Ewangelicko-Augsburskim, Reformowanym, Rzymskokatolickim? Czy jednak na tej podstawowej płaszczyźnie jest przepaść nie do zasypiania?*

Jacek Marciniak: Odpowiedź jest trudna. Jeśli miałbym na dzisiaj odpowiedzieć, to nie. Są podstawowe prawdy wiary, które nas dzielą. Ja nie

nam problemu, żeby się spotkać z chrześcijaninem, który jest odrodzonym człowiekiem, w kościele katolickim. I ja mam z nim faktyczną jedność, od strony duchowej. Ale co innego między Kościołami, między tym, czego ten Kościół oficjalnie naucza. Weźmy na przykład kwestię z Kościołem Ewangelicko-Augsburskim. W zasadzie w swym rdzeniu teologicznym nie różnimy się niczym. Ale kwestią sporną pozostaje chrzest dzieci. Jest to dla nas prawda niebiblijna. W Ewangelii zbawienia z łaski jest sprawą podstawową dla tożsamości Kościoła chrześcijańskiego. Ale czy tak faktycznie jest, skoro moment nawrócenia przenosi się do okresu niemowlęctwa? Poza tym dla nas nie ma takiego pojęcia jak Kościół widzialny i Kościół niewidzialny – że oto w Kościele mogą być wierzący i niewierzący. Kościół ze swej natury tworzą ludzie wierzący. U nas odrzuca się taki fakt, żeby w Kościele był ktoś niewierzący, kto ustami swymi nie wyzna, kto się nie ochrzci itd., czyli nie dokona znaku rzeczywistego nawrócenia. A co do Kościoła Prawosławnego czy Katolickiego istnieją podstawowe różnice, na przykład kwestia zbawienia z łaski.

S.R.: *A czy jesteście w stanie uznać wyznawców tych starych, tradycyjnych Kościołów za chrześcijan, czy z tym są problemy?*

Jacek Marciniak: Tak, ale pod jednym warunkiem: że są to ludzie prawdziwie nawróceni. Ale ogólnie – nie mogę tego powiedzieć.

M.G.: *Co to znaczy ogólnie...?*

Jacek Marciniak: Widzicie, obok nas znajduje się parafia rzymskokatolicka. Nie mogę tego powiedzieć: „Tam są właśnie chrześcijanie”. Ja mogę tylko powiedzieć, że jeśli pójde i porozmawiam z poszczególnymi ludźmi, mogę stwierdzić: dwóch jest wierzących, pięć tysięcy – nie. Albo pięć tysięcy jest wierzących, a dwóch – nie.

J.W.: *Tylko ci, którzy złożą wyznanie wiary?*

Jacek Marciniak: Tak, gdyż nie chodzenie do Kościoła sprawia, że ktoś jest wierzący... Tak samo chodzenie do baptystów też tego nie sprawia. Tak jak chodzenie do garażu nie sprawia, że staję się samochodem...

J.W.: *A co sprawia?*

Jacek Marciniak: No właśnie. Jaka jest biblijna za-

sada? Kto odda swoje życie Chrystusowi, kto wyzna to publicznie itd.

S.R.: *Czy to jest fakt jednorazowy, czy raczej chodzi o świadectwo życia?*

Jacek Marciniak: Nawrócenie musi mieć wymiar biblijny. Czyli musi u podstaw leżeć to jednorazowe, prawdziwe nawrócenie na zwiastowane Słowo. Oto zostaje zwiastowane Słowo, żywe Boże Słowo, wtedy ktoś może się nawrócić. I teraz wystarczy, że weźmiemy jakiegoś człowieka z tej parafii i spytamy się o jego nawrócenie, co on przez to rozumie... I mogą nam albo ręce opaść, albo możemy je wzniesić, by wielbić Boga, że jest kolejna zbawiona osoba. Na dzisiaj, przy tym stanie rzeczy, ręce mi opadają.

Pastor Henryk Kufeld: Popatrzmy na przykład na sam katolicyzm, który jest nam najbliższy geograficznie. Jak wcześniej powiedziałem, potrafiłem jako młodzieniec chodzić w niedzielę na dwie msze, więc znam trochę katolicyzm. Zobaczmy, czy sami katolicy mogą siebie nawzajem uważać za braci. W tym samym czasie w Lublinie miały miejsce dwa zdarzenia. Przechodziła figurka Matki Boskiej Fatimskiej. Przepraszam, ja nazwę tu rzecz po imieniu: to jest bałwochwalstwo. I jedni katolicy kłaniali się figurce, modlili się do niej, wywyższali ją. A drudzy katolicy spotykali się w kościele na Bronowicach i zaprosili naszych braci na spotkanie wspólnotowe. I tam rzymscy katolicy, w rzymskokatolickim kościele, mówili o nowonarodzeniu, o swoim chodzeniu z Jezusem. Ich świadectwo nie różniło się niczym od naszego. Tam wtedy zawiązywała się jakaś wspólnota, przyszła jakaś grupa ludzi i składali świadectwo o żywym związku z Chrystusem. Katolicy i katolicy...

J.W.: *Ja jeszcze chciałbym wrócić, Jacku, do tej wspólnoty „Emmanuel”, w której kiedyś byłeś. Jakie konkretnie według Was dogmaty były w kolizji ze Słowem Bożym. I drugie: co na to wszystko duszpasterz tej wspólnoty? Czy mówiliście Mu o Waszych problemach? I czy mieliście jakieś przykrości ze strony duchowieństwa?*

Jacek Marciniak: Dla nas najważniejszy był dogmat, który jest decydujący: o zbawieniu. Jezus, mówił, że przynosi miecz, to jest podział między

wierzącymi i niewierzącymi. Nie ma dla nas żadnego innego podziału. My nie dzielimy na katolików, prawosławnych. To jest niebiblijny podział. Dla nas jest podział jednoznaczny: wierzący lub niewierzący, zbawiony lub potępiony. I to jest kwestia życia lub śmierci. Co do zbawienia, to podstawowa sprawa: zbawienie z łaski. Nie można zmienić pewnych dogmatów. Wiemy, że Sobór Trydencki wypowiedział się kontra Lutrowi w tej kwestii, o czym niektórzy zapominają. Inny dogmat, który jest zupełnie nie do przyjęcia, to jest dogmat o nieomyślności papieża. Dalej dogmaty maryjne, jak na przykład niepokalanego poczęcia czy wniebowzięcia. Czytam wypowiedź papieża o ogłoszeniu dogmatu o wniebowzięciu, w 1950 r... i oto „całe Pismo i Tradycja mówi...” I ja szukam w przypisie, który fragment biblijny o tym mówi. Nie znalazłem żadnego.

J.W.: *Z tym, że w sprawie usprawiedliwienia jest już teraz dokument o porozumieniu w tej kwestii z Kościołami luteranckimi...*

Jacek Marciniak: Ale widzicie, znów wychodzi dokument. A co mówi ksiądz na parafii? Tu jest przepaść.

J.W.: *Czy wyście to mówili duszpasterzowi?*

Jacek Marciniak: Nie. Z duszpasterzem było tak, że po prostu go przeniesiono z chwilą, gdy wspólnota określiła się, że odchodzi, że nie może być dalej w strukturach rzymskokatolickich...

J.W.: *A jaki on miał do was stosunek, do Waszych rozterek, do tego, co się działo?*

Jacek Marciniak: Chyba nie do końca był przekonany, czy to jest słuszna droga. Chyba wydawało mu się, że trzeba zostać, bo sam został. Natomiast część grupy nie chciała się pogodzić tak łatwo z odejściem. Myśleli, że trzeba dokonać reformy.

Pastor Henryk Kufeld: Ja mogę się z różnymi rzeczami zgodzić, ale te błędy, które wpływają na ludzi, że nie przychodzą do Chrystusa przez wiarę, tylko wierzą nie w Chrystusa, ale w obrzędy, w pewne środki zastępcze, to jest coś bardzo złego w praktyce, jeśli chodzi o zbawienie. Na przykład msze. Mamy takich zborowników, którzy jeżdżą do swoich krewnych i mówią czystą Ewangelię, i mówią o zbawieniu z wiary. A ktoś z krewnych mówi: słuchaj, po co ja mam coś zmieniać w swoim życiu. Zamówię „gregoriankę” – i mam zbawienie. I to jest coś, co niszczy wiarę tego człowieka. To jest coś, co ja uważam, że Biblia nazywa zgorzeniem, czyli doprowadzeniem człowieka do tego, by stał się gorszy.

S.R.: *Chciałbym zapytać, czy to, co Biblia nazywa „tamaniem chleba”, czyli Pamiętką Pana, czy ta praktyka jest w Kościołach baptystycznych w jakiś sposób obecna?*

Jacek Marciniak: Raz w miesiącu to praktykujemy, i jak najbardziej poważnie. To jest ustanowienie Jezusa i jest znakiem jedności ciała – Kościoła. Wydaje mi się, że te teksty, nawet w Pierwszym Liście do Koryntian, które mówią o wspomnieniu Wieczerzy Pańskiej: „kto niegodnie spożywa” itd., występują w kontekście ciała Chrystusa – Kościoła. „Niegodnie ten chleb spożywa” – ten chleb nawiązuje do jednego ciała Chrystusa, czyli Kościoła.

Pastor Henryk Kufeld: W pewnym sensie my tę Wieczerzę Pańską sprawujemy na co dzień. Ona ma zastosowanie w życiu. Czytamy, w liście do Koryntian, że oni schodzili się i nie wyrażali troski o siebie: „gardzicie Kościołem”. Gardzisz tym, który jest biedniejszy. Czyli ta wieczerza odnosi się dzisiaj do naszej troski o innych.

S.R.: *Serdecznie dziękujemy za rozmowę.*

Opracowanie:
Sebastian Rejak

Duch rozdziela dary każdemu, tak jak chce

– rozmowa z pastorem Ryszardem Kwoką
Zastępcą Prezbitera Naczelnego
Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej
w Rzeczpospolitej Polskiej

Początki, historia... czyli ślad działania Bożego.

Sebastian Rejak: *Reprezentuje pastor Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. Proszę o wyjaśnienie tej nazwy.*

Ryszard Kwoka: Z jednej strony jest ona uwarunkowana historycznie – Kościół nasz zarejestrowano w Polsce w 1929 roku pod tą właśnie nazwą; z drugiej natomiast, wskazuje ona na naszą afirmację wobec innych wspólnot wyznaniowych typu ewangelicznego.

Jacek Wojtysiak: *Jaka jest geneza Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej?*

Ryszard Kwoka: Jest on śladem działania Bożego. Jego powstanie związane jest z rozwojem ruchu zielonoświątkowego, który na ziemiach polskich znalazł swój wyraz w określonym typie charzmatycznej pobożności pielęgnowanej przez członków powstałego Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej (KChWE). W chwili rejestracji w 1929 roku, nasza wspólnota wyznaniowa liczyła prawie 500 zborów i ok. 30 tys. wiernych, głównie na ziemiach wschodnich, które Polska utraciła po II wojnie światowej. I tak np. w samym Lwowie istnieją do dzisiaj trzy zbory (w każdym jest ok. 2 tys. wiernych). Należy podkreślić, że ruch zielonoświątkowy, w różnych krajach przyjmował odmienne rozwiązania strukturalne. W Polsce, w pierwszym etapie, był to akurat Kościół Chrze-

ścijan Wiary Ewangelicznej, później ruch zielonoświątkowy w naszym kraju rozwijał się jako jeden z ewangelicznych nurtów w ramach Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego (ZKE), a dzisiaj istnieje cały szereg różnych wspólnot zielonoświątkowych, które powstały po oficjalnym rozwiązaniu tego ostatniego. Największymi przedstawicielami ruchu zielonoświątkowego w Polsce na dzień dzisiejszy są: Kościół Zielonoświątkowy, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Kościół Boży w Chrystusie, Chrześcijańska Wspólnota Zielonoświątkowa oraz Ewangeliczna Wspólnota Zielonoświątkowa.

S. R.: *Czy Kościół Ewangelicznych Chrześcijan to inna wspólnota wyznaniowa?*

Ryszard Kwoka: Jest on bratnim Kościołem, choć w nurcie baptystycznym, a nie zielonoświątkowym. Jako ruch ewangelicznych chrześcijan istniał na tonie Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, który powstał w latach 50., w wyniku nacisków ówczesnych władz politycznych i skupił większość działających wcześniej niezależnie wspólnot wyznaniowych typu ewangeliczno-baptystycznego. Rok 1988 przyniósł kres temu sztucznemu tworowi, jakim był niewątpliwie Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, i funkcjonujące w jego tonie poszczególne nurty ewangeliczne mogą znowu rozwijać się w ramach swoich autonomicznych struktur. Kościół Ewangelicznych

Chrześcijan jest więc jednym z kościołów typu wolnego, który skupia ok. 30 zborów z 5 tys. wiernych. Zbór Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan działa również w Lublinie (ul. Probostwo 30).

J.W.: *Jaka jest historia lubelskiego Zboru Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej?*

Ryszard Kwoka: Zbór „Brama Nadziei” powstał w latach 40-tych w wyniku posługi pastorów Bronisława Myszaka i Władysława Rutkowskiego. W początkowej fazie rozwoju, nabożeństwa zboru odbywały się w prywatnym mieszkaniu pastora W. Rutkowskiego przy ul. Skierki, następnie gościnnie na posesji Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego przy ul. Ewangelickiej 1, później na tzw. „starej Rusalce” (ul. Rusałka 3), a aktualnie przy ul. Rusałka 17. Zbór KChWE w Lublinie liczy aktualnie ok. 250 członków. Gdyby brać jednak pod uwagę również tzw. Sympatyków, liczba ta wzrasta do ok. 400-500 osób.

Dzień dzisiejszy...

J. W.: *Ilu członków liczy Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce?*

Ryszard Kwoka: Posiadamy 32 zbory i placówki misyjne z ok. 5 tys. wiernych.

J. W.: *Jacy ludzie – socjologicznie rzecz biorąc – tworzą lokalne wspólnoty Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej?*

Ryszard Kwoka: Nie badaliśmy tego dokładnie, ale wydaje się, że nieznaną większość stanowią kobiety, które chyba bardziej niż mężczyźni otwarły się na Ewangelię...

Jeśli chodzi o rodzaj wykonywanej pracy, to mamy przedstawicieli wszystkich grup zawodowych: nauczycieli, prawników, lekarzy, ekspedientki sklepowe, listonoszy itd. Są studenci i pracownicy naukowcy, inżynierowie i wykwalifikowani robotnicy. Jako ciekawostkę podam, że w naszym zborze w Świdniku mamy również policjanta w czynnej służbie, pełniącego posługę diakona i skarbnika.

S. R.: *A propos pieniędzy – z czego utrzymują się zbory?*

Ryszard Kwoka: Opieramy się na przesłaniu Ewangelii, praktykując dobrowolne ofiary, dzięki którym zaspokajają się bieżące potrzeby związane z

funkcjonowaniem zboru, np. opłata za wynajem sali na zgromadzenia (większość naszych zborów nie posiada własnych kaplic). Zachęcamy też do składania dziesięciny, czyli 10% z osobistych dochodów na cele związane z działalnością Kościoła. Jeśli chodzi o utrzymanie tych, którzy głoszą Ewangelię, to nie ma stałych stawek, ale o ile wspólnota stać na to, by utrzymać swego kaznodzieję, to powinna mu pomóc, aby mógł swobodnie wykonywać tę pracę, do której został powołany.

Często przez lata dowodzi on swojej rzetelności, będąc odpowiedzialnym przed wspólnotą za powierzone mu środki na utrzymanie. Zdecydowana większość pracowników kościelnych pełni jednak swoje funkcje społecznie, utrzymując się z własnej pracy zawodowej.

S. R.: *Prowadzicie misje na terenach Wschodnich, m. in. w Kazachstanie. Jak układają się wasze stosunki z Kościołem Prawosławnym?*

Ryszard Kwoka: Nasza rola ogranicza się zazwyczaj do pomocy istniejącym już wspólnotom rosyjskojęzycznym, które są spokrewnione z nami doktrynalnie. Współpracujemy więc z wieloma kościołami typu wolnego. Nie posiadamy własnych struktur kościelnych poza Polską i w czasie misji nie głosimy siebie, lecz Chrystusa. Dlatego też nie zdarzyło się, aby jakieś konflikty dotyczyły nas bezpośrednio. Pewne problemy pojawiły się w Kazachstanie w związku z narastającym tam fundamentalizmem islamskim, który stanowi zagrożenie dla wszystkich misji chrześcijańskich.

Credo, synod i terminarzyk pastora...

S. R.: *Jaki jest wasz stosunek do credo nicejsko-konstantynopolińskiego?*

Ryszard Kwoka: Jest to coś, co łączy nas z innymi wyznaniem chrześcijańskimi. Akceptujemy je w całości. W oparciu o to credo sformułowaliśmy nasze wyznanie wiary. Wierzymy w: nieomyślność kanonicznej całości Pisma Świętego jako Słowa Bożego; Trójjedynego Boga: Ojca i Syna i Ducha Świętego; Synostwo Boże Jezusa Chrystusa, poczętego z Ducha Świętego, narodzonego z dziewicy Marii; Jego śmierć na krzyżu za grzechy świata i zmartwychwstanie w ciele; Jego wniebowstąpienie

nie i powtórne przyjście; możliwość pojednania się z Bogiem przez wyznanie grzechów i przyjęcie oczyszczenia przez krew Jezusa Chrystusa; chrzest w Duchu Świętym z manifestacją darów; uzdrowienie chorych przez wiarę w zbawcze dzieło Jezusa Chrystusa; wieczne życie dla zbawionych i wieczne potępienie tych, którzy odrzucają Bożą łaskę.

J. W.: *Jaka jest struktura waszego Kościoła?*

Ryszard Kwoka: Synodalno-prezbiterialna, tzn. najwyższą władzą w Kościele jest synod, a w zborze – starsi zboru (prezbiterzy), z których jeden pełni funkcję reprezentanta zboru i nosi tytuł pastora.

J. W.: *Czyli „prezbiter” i „pastor” nie oznaczają tego samego, ale jeden z prezbiterów jest pastorem?*

Ryszard Kwoka: Opowiadamy się za przywództwem kolegialnym, w którym jeden ze starszych (prezbiterów) pełni rolę pastora. W takim układzie funkcja pastora jest więc zbliżona do funkcji proboszcza w parafii katolickiej.

J. W.: *Czy oprócz pastora i prezbitera, w Kościele Chrześcijań Wiary Ewangelicznej funkcjonują jakieś inne urzędy?*

Ryszard Kwoka: Tak. Oprócz wymienionych już urzędów pastora i prezbitera, w Kościele naszym funkcjonują również urzędy: misjonarza, proroka (należy tu zaznaczyć, że odróżniamy dar prorokowania od urzędu proroka), ewangelisty, kaznodziei (nauczyciela Słowa Bożego) oraz diakona (urząd ten mogą sprawować również kobiety, zwane diakonisami).

S. R.: *Czy posiadacie jakąś szkołę, która kształci waszych przyszłych pracowników kościelnych?*

Ryszard Kwoka: W br. powołaliśmy do życia 4-letnie Kolegium Teologiczne Kościoła Chrześcijań Wiary Ewangelicznej z siedzibą w Lublinie przy ul. Rusalka 17. Jest to wyższa szkoła teologiczna typu zawodowego. Absolwenci uczelni otrzymują tytuł licencjata teologii zielonoświątkowej. Nasze Kolegium otwarte jest dla wszystkich chętnych (mężczyźni i kobiety), bez względu na przynależność kościelną. O przyjęciu decyduje kolejność zgłoszeń. Zajęcia odbywają się w systemie zaocznym. Wszystkich zainteresowanych serdecznie

zapraszamy. Bliższych informacji udzielamy listownie lub telefonicznie (081/ 7513737).

J. W.: *Jak wygląda pastor dzień powszedni?*

Ryszard Kwoka: Dla przykładu mogę przedstawić harmonogram moich zajęć w tym tygodniu. Dniem najbardziej wyczerpanej pracy jest niedziela – głoszenie Słowa Bożego podczas nabożeństwa, wizyty duszpasterskie itp. Poniedziałek to praca przy budowie naszego obiektu sakralno-charytatywnego i załatwianie korespondencji. Wtorek – załatwianie spraw ogólnokościelnych, a wieczorem – prowadzenie zborowego studium biblijnego. Środa to znowu praca na budowie oraz comiesięczny wykład w Zborze „Brama Nadziei” w Lublinie. W czwartek – praca na budowie. Dzisiaj – oprócz naszej rozmowy – czeka mnie jeszcze spotkanie tzw. Kolegium Pastorów naszego Kościoła, które będę współprowadził. Będzie ono trwało dwa dni, a więc zakończy się w sobotę. Oprócz tego, raz lub dwa razy w miesiącu odwiedzam różne zbory, z cyklami wykładów biblijnych.

O Ewangelii, chrztach i potknięciach na drodze...

S. R.: Czy przyjmując nazwę Kościół Chrześcijań Wiary Ewangelicznej chcecie podkreślić, że to właśnie w waszym Kościele jest głoszona „czysta” Ewangelia? Co myślicie o innych wspólnotach chrześcijańskich?

Ryszard Kwoka: „Bóg się pysznym przeciwstawia, a pokornym łaskę daje”. Staramy się dochodzić do poznania Ewangelii, co podkreśla nazwa, która jest owocem trudnych już dziś do zgłębienia intencji założycieli naszej wspólnoty wyznaniowej. Być może chodziło o utożsamienie się z kręgiem ludzi pozytywnie odnoszących się do Ewangelii. Dzisiaj, gdy nasza wspólnota kościelna przeszła już próbę czasu, a po wojnie stała się mniej liczną, pielęgnujemy naszą zielonoświątkową pobożność, modląc się za wszystkich ludzi. Jeśli mamy możliwość odnajdywania bratnich dusz w innych kościołach, czynimy to z radością. Bratem w Chrystusie jest ten, kto osobiście zawierzył Bogu, czyli przeżył to, co nazywamy „nowonarodzeniem” (w sensie Nikodemowego nowonarodzenia). Jeśli nie – zachęcamy go, by

doświadczył spotkania z Chrystusem, gdyby nawet miał pozostać w dotychczasowej wspólnotie kościelnej. Wierzmy, że w Jezusie Chrystusie każdy człowiek, może stać się dzieckiem Bożym i uzyskać wolność także w wyborze wspólnoty. Jeśli ktoś uważa za słuszne przyłączenie się do naszej wspólnoty wyznaniowej, przedstawiamy mu warunki: przyjęcie chrztu przez zanurzenie i akceptacja naszego credo. Opowiadamy się za wolnością sumienia i wyznania według słynnej zasady Augustyna, która mówi o tym, aby poszukiwać jedności w podstawowych sprawach, a w innych okazywać miłość i tolerancję. Nie poświęcamy prawdy na rzecz jedności za wszelką cenę. Jeśli istnieją kwestie sporne, sprawdzamy czy dotyczą one podstawowych prawd wiary (choćby tych zawartych w credo nicejsko-konstantynopolańskim), czy drugorzędnych (takich jak np. doświadczenie chrztu w Duchu Świętym). Dlatego niektóre kwestie doktrynalne mogą zaważyć na ekumenicznym, czy braterskim zbliżeniu.

S.R.: *Jak podchodzicie do chrztu wodnego, tzn. czy w waszym Kościele praktykuje się ponowne przyjęcie chrztu przez kogoś, kto pochodzi z innego kościoła chrześcijańskiego i przyjął go w wieku niemowlęcym. Czy ktoś taki musi przyjmować powtórnie chrzest, gdy chce przyłączyć się do waszej wspólnoty?*

Ryszard Kwoka: To złożony problem. Praktykujemy chrzest świadomie wierzących; jest to chrzest przez zanurzenie. Może przyjąć go także dziecko, o ile jest w stanie świadomie określić swoją wiarę (np. ostatnio moja córka, po okresie próby, kiedy to nie tylko jako ojciec, ale i pastor badałem jej wiarę, przyjęła chrzest w wieku ośmiu lat). Specyfiką naszego Kościoła jest to, że jego członkiem może zostać jedynie ten, który świadomie wierzy i wiarę tę potwierdza przez chrzest zanurzający w wodzie, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ma to też swój wydźwięk prawny, ponieważ członkowie wspólnoty uczestniczą w jej majątku, w decyzjach organizacyjnych itp. Każdy jednak może brać udział w naszych nabożeństwach jako tzw. sympatyk. Drzwi naszych kaplic są otwarte dla wszystkich.

J.W.: *Jak można „sprawdzić”, czy ktoś faktycznie*

przeżył to „nowonarodzenie”?

Ryszard Kwoka: Według słów Jana Chrzciciela jest to „wydawanie owoców godnych upamiętnienia”. Stąd jeśli człowiek jest obciążony np. jakimiś nałogami (nikotynizm, alkoholizm, narkomania), staramy się pomóc mu w uwolnieniu od tego. Wszelkie nałogi nie są nam dane od Boga, a w związku z tym nie są dla nas naturalne. Dlatego – jak mówi Apostoł Paweł – powinniśmy je z siebie „zwlec”. Chodzi tu również o zmianę charakteru. Jeśli więc ktoś był np. wybuchowy, to powinien udowodnić, że spotkanie z Chrystusem zmieniło jego postępowanie. Dlatego Kościół bada te owoce, a jednocześnie przyjmuje deklarację wiary w Chrystusa i gotowość jej potwierdzenia poprzez chrzest. Walka o utrzymanie świętości zmusza do „sprawowania swego zbawienia z bojaźnią i drżeniem”. Opieką duszpasterską otaczani są też i ci, którzy powrócili do swych nałogów. Jej celem jest pomoc i umacnianie w wierze. Wykluczenie ze wspólnoty jest ostatecznością i jeśli następuje, to poprzedza je długotrwały wysiłek niesienia pomocy takiemu bratu lub siostrze. Sam byłem kiedyś rozbitkiem w wierze. Po swoim nawróceniu w wieku trzynastu lat, chrzcie w piętnastym roku życia, dwa lata później przeżyłem załamanie wiary i przez kolejne dwa lata żyłem w odstępstwie, prowadząc tryb życia niezgodny z przesłaniem Ewangelii. Ten duchowy upadek udało mi się przezwyciężyć dzięki łasce Bożej i modlitwie moich przełożonych w Panu. Dzisiaj, jako duszpasterz, staram się być cierpliwy wobec moich braci w Chrystusie, którym zdarza się potykać na swojej chrześcijańskiej drodze. Chcę jak najlepiej służyć im pomocą w chodzeniu w chwalebnej wolności dzieci Bożych, co jest naszym ostatecznym celem. Dlatego tak cenimy rolę Ducha Świętego, który na co dzień wspiera nas w niemocy i wyposaża do prowadzenia świętego życia.

J.W.: *Jaką rolę odgrywa chrzest w Duchu Świętym i na jakim etapie obecności we wspólnotcie on się odbywa ?*

Ryszard Kwoka: Chrzest w Duchu Świętym w klasycznym ujęciu – którego osobiście jestem zwolennikiem – jest potwierdzony mówieniem obcy-

mi językami (glosolalia). Doświadczenie to leży w sferze osobistego pragnienia i otwarcia się chrześcijanina na moc Ducha Świętego. Dążymy do tego, by przeżywali go wszyscy członkowie Kościoła. W praktyce, u każdego odbywa się to w różnym czasie i różnych okolicznościach. Osobiście przeżyłem go już jako kaznodzieja Słowa Bożego. Duch Święty przychodzi, aby umacniać wierzącego przez dotknięcie „głębokości” człowieka i powoduje jego duchowy wzrost. Stąd przeżycie chrztu w Duchu Świętym uważamy za doświadczenie cenne zarówno w osobistym świa-

dectwie wiary, jak i w całej postudze Kościoła. Duch Święty umacnia Kościół przez postugę proroków, odsłaniających głębokości Boże i skrytości ludzkiego serca, wyposaża w dary: uzdrawiania chorych, mądrości, wiedzy itd. „Wszystko to zaś sprawia jeden i ten sam Duch, rozdzielając każdemu poszczególnie, jak chce”.

S.R.: Dziękujemy za rozmowę.

Opracowanie:
Sebastian Rejak

Rys. Magdalena Kisielewska, lat 26



Lublin, 27.II.1999

Czcigodna Redakcjo,
pragnę z całego serca podziękować Czcigodnej Redakcji za teksty z nru 2/3 z 1998 roku (s. 103). Jestem już człowiekiem starym, a dzięki nim przypomniała mi się moja młodość. Chodzi o wypisy z dzieł naszych wielkich językoznawców – to znaczy o naukowy traktat dotyczący języków semickich. Jeszcze w szkole, a więc zaraz po wojnie, uczono mnie słowem i czynem o Wielkim Wodzu, Słońcu Narodów, o Wielkim Językoznawcy i jego wspaniałych odkryciach językoznawczych.

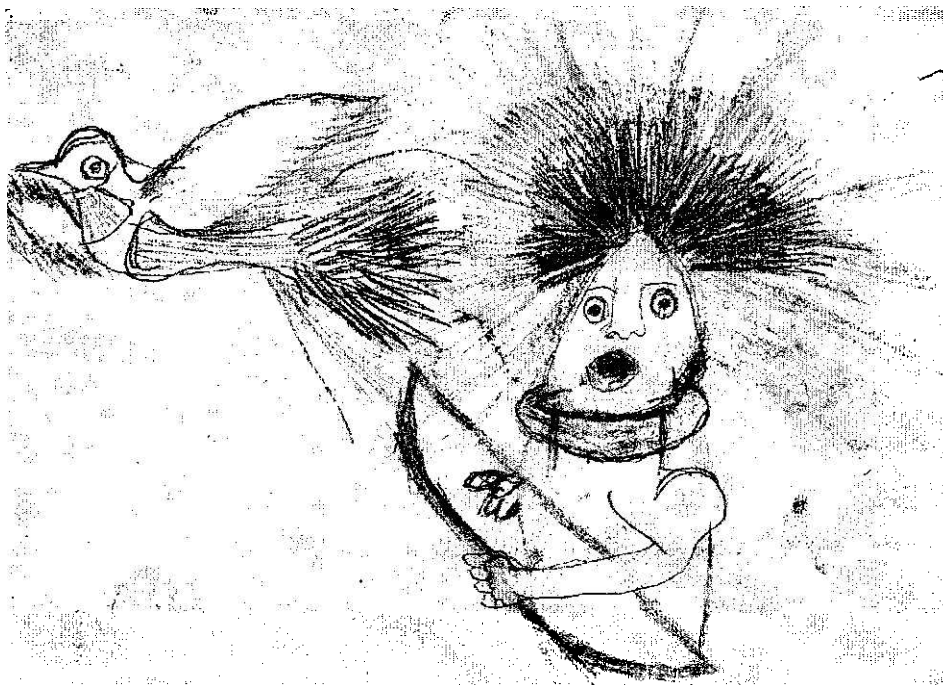
Już myślałem, że w poszukiwaniu dzieł podobnej głębi trzeba by się udać do naszych bratnich krajów – Kuby, Korei Północnej czy Wietnamu. Na całe szczęście nauka – jak widać – nie poszła w las.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Wacław Szaława

PS. Czy w przyszłości do wydrukowanego już hasła "BEŁKOT - patologiczne niechlujstwo językowe" nie moglibyście dodać jeszcze jednego - jak nazywa się patologiczne niechlujstwo myślowe?

Rys. Katarzyna Wojniak, lat 22



Niepełnosprawności społeczne

Katarzyna Grzybowska

Międzynarodowy Trybunał Karny Usprawnienie międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości

Działanie wymiaru sprawiedliwości jest często przedmiotem krytyki. Mowa tu nie tylko o sądach polskich i innych państw europejskich, ale także o sądownictwie międzynarodowym. Jednocześnie coraz częściej dochodzą do nas informacje o bardzo poważnych naruszeniach prawa humanitarnego, o ludobójstwie czy zbrodniach wojennych.

W wielu wypadkach zbrodnie te dokonywane są przez osoby zajmujące w swoich krajach wysokie stanowiska państwowe. Jako przykład można podać bardzo głośną sprawę chilijskiego dyktatora Pinocheta, który oskarżany jest o ludobójstwo i inne bardzo poważne zbrodnie przeciwko prawu humanitarnemu. Jednakże postawienie go przed sądem hiszpańskim wiąże się z wieloma problemami natury politycznej. W jego, i wielu innych przypadkach bardzo dotkliwy okazał się brak stałego międzynarodowego sądu, który orzekałby w takich sprawach.

Stąd też społeczność międzynarodowa z dużym zadowoleniem przyjęła fakt, iż z 17 na 18 lipca 1998 roku na zgromadzeniu w Rzymie delegaci 162 państw zakończyli prace nad powołaniem do życia Międzynarodowego Trybunału Karnego, którego oryginalna nazwa brzmi International Criminal Court. Jest to stały sąd międzynarodowy, którego kompetencje nie są ograniczone czasowo lub miejscowo.

Zanim jednak przejdę do przedstawienia tej nowej instytucji prawa międzynarodowego, chciałabym pokazać, jak długi i trudny proces prowadził do utworzenia tego organu.

Przez długi okres jedną z podstawowych cech międzynarodowego prawa publicznego było poddanie jurysdykcji stałych sądów międzynarodowych wyłącznie sporów między państwami. Chodziło więc o spór między jednym państwem a drugim. Na tej zasadzie działa Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, który jest jednym z głównych organów ONZ. Wyjątki od tej zasady były związane z tworzeniem przez państwa stałych organów w celu rozpatrywania roszczeń osób fizycznych przeciwko państwu. Współcześnie w tej dziedzinie na pierwsze miejsce wysunęły się sądy rozpatrujące skargi jednostek związane z naruszeniem praw człowieka. Przykładem takiego sądu jest Europejski Trybunał Praw Człowieka z siedzibą w Strasburgu. Jednak trybunał ten nie zajmuje się odpowiedzialnością jednostek za naruszenia prawa humanitarnego.

Cytując za dr Elżbietą Mikos-Skuzą z Instytutu Prawa Międzynarodowego Uniwersytetu Warszawskiego można stwierdzić, że państwo, którego zwierzchnictwu terytorialnemu podlega zbrodniarz, posiadający zwykle obywatelstwo tego państwa i nierzadko

będący jego funkcjonariuszem, z oczywistych względów nie śpieszy się z oskarżeniem go i ukaraniem, czy też z ekstradycją do państwa poszkodowanego.

Dlatego tak niezmiernie istotne jest stworzenie międzynarodowego mechanizmu umożliwiającego wymierzanie sprawiedliwości zbrodniarzom.

Z punktu widzenia prawnego, w mechanizmie tym muszą wystąpić trzy elementy:

– międzynarodowa podstawa prawna, co oznacza, że odpowiedzialność jednostki wynika bezpośrednio z prawa międzynarodowego, a nie z poszczególnych ustawodawstw krajowych,

– międzynarodowy delikt, tzn. jednostka odpowiada za naruszenie prawa międzynarodowego bez względu na to, czy jej działanie było też sprzeczne z prawem wewnętrznym,

– międzynarodowa jurysdykcja – jednostka odpowiada przed sądem międzynarodowym, nie zaś przed sądem określonego państwa.

Pierwsze próby uruchomienia tego mechanizmu odnotowujemy już w XIX wieku, ale po raz pierwszy taką odpowiedzialność wprowadził w części VII Traktat Wersalski z 1919 roku. Na podstawie tego traktatu zamierzano ukarać Wilhelma II Hohenzolerna, byłego cesarza Rzeszy i króla Prus za „najwyższą obrazę moralności międzynarodowej i świętej powagi traktatów.”

Poza tym istniała także konieczność ukarania innych osób, które dopuściły się poważnych zbrodni w czasie I wojny światowej. Jednakże z przyczyn politycznych nie doszło do osądzenia winnych.

Mechanizm odpowiedzialności osób za przestępstwa przeciwko prawu humanitarne mu został uruchomiony faktycznie dopiero po II wojnie światowej. W sierpniu 1945 roku rządy Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji i Związku Radzieckiego zawarły w Londynie bardzo istotne porozumienie w sprawie ścigania i karania głównych przestępców wojennych z krajów osi europejskiej. Do tego porozumienia dołączona została Karta Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Trybunał ten przeszedł do historii pod nazwą Trybunału Norymberskiego. Orzekał on w sprawie głównych zbrodniarzy, czyli takich, których czyny dotyczyły wielu państw. Pozostali przestępcy zostali ukarani w krajach, w których dopuścili się przestępstw. Trybunał sądził za trzy kategorie naruszeń prawa międzynarodowego:

- za zbrodnie przeciwko pokojowi,
- za zbrodnie przeciwko ludzkości,
- za zbrodnie wojenne.

Ważny podkreślenia jest fakt, że z odpowiedzialności nie zwalniało stanowisko urzędowe oskarżonych. Jednak na złagodzenie kary mogła wpłynąć okoliczność, że oskarżony działał na rozkaz. W 1946 roku w stosunku do części oskarżonych wydano wyroki uniewinniające, zaś pozostali otrzymali jedną z następujących kar: pozbawienie wolności, dożywocie, kara śmierci.

Podobnym sądem pod względem organizacyjnym i funkcjonalnym był Trybunał Tokijski. Sądził on japońskich zbrodniarzy wojennych. W tym przypadku podstawą działania nie była umowa, ale proklamacja gen. Mac Arthura, który dowodził wojskami aliantów na Dalekim Wschodzie. W skład Trybunału Tokijskiego wchodziło przedstawicieli 11 państw. Sąd ten orzekał za te same kategorie zbrodni, co Trybunał Norymberski.

Wydawałoby się, że trybunały te rozpoczęły trwałą proces rozwoju międzynarodowej odpowiedzialności osób fizycznych, jednak przez następnych 45 lat nie tworzono sądów międzynarodowych ad hoc. Nie oznacza to oczywiście, że w tym okresie nie było naruszeń prawa humanitarnego. Naruszenia takie były częste i poważne.

Jednak dopiero w związku z krwawymi zbrodniami i bezprawnym naruszeniem praw człowieka w byłej Jugosławii doszło do utworzenia międzynarodowego sądu.

Zalecenie pociągnięcia do odpowiedzialności winnych sformułował m.in. sprawozdawca specjalny Komisji Praw Człowieka ONZ Tadeusz Mazowiecki w swoim pierwszym raporcie.

Rada Bezpieczeństwa, działając w ramach rozdziału VII Karty NZ na podstawie rezolucji 827, podjęła decyzję o ustanowieniu Międzynarodowego Trybunału, w celu osądzenia odpowiedzialnych za ciężkie naruszenia międzynarodowego prawa humanitarnego popełnione na terytorium byłej Jugosławii między 1 stycznia 1991 roku a datą określoną przez Radę po przywróceniu pokoju. Proces powołania do życia tego sądu był bardzo trudny. Rada Bezpieczeństwa zwróciła się do Sekretarza Generalnego z wnioskiem o ustanowienie Komisji Ekspertów. Komisja rozpoczęła pracę na początku listopada 1992 roku. W konkluzji stwierdziła, że ma dowody ciężkich naruszeń prawa międzynarodowego.

Ostatni z trybunałów poprzedzających stały sąd to Trybunał Rwandyjski, który został powołany do życia w listopadzie 1994 roku. Pełna nazwa tego trybunału brzmi Międzynarodowy Trybunał Karny do Ścigania Osób Odpowiedzialnych za Ludobójstwo i Inne Poważne Naruszenia Międzynarodowego Prawa Humanitarnego Popołnione na Terytorium Rwandy oraz Obywateli Rwandy Odpowiedzialnych za Ludobójstwo i Inne Takie Naruszenia Popołnione na Terytorium Sąsiednich Państw między 1 stycznia 1994 i 31 grudnia 1994 roku.

Tworząc ten sąd skorzystano w dużej mierze z rozwiązań organizacyjnych i doświadczeń Trybunału dla byłej Jugosławii. Użyto także podobnych konstrukcji prawnych. W tym wypadku granice czasowe zostały wyraźnie określone.

Charakterystyczne jest także to, że w obu przypadkach można orzekać tylko karę pozbawienia wolności, nie wydaje się wyroków skazujących na karę śmierci. Wydaje się, że jest to wyraz ogólnoświatowej tendencji do odchodzenia od kary śmierci.

Pierwszy proces w Trybunale Rwandyjskim rozpoczął się we wrześniu 1996 roku. Dotyczył on Jeana Kambandy, byłego premiera Rwandy, który został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności za udział w masakrze ludzi z plemienia Tutsi i umiarkowanych członków Hutu dokonanej w 1994 roku. Podaje się, że zginęło wówczas 500-800 tysięcy osób.

Podsumowując należy zauważyć, że kompetencje tych czterech trybunałów ograniczone są do konkretnych konfliktów zbrojnych i określonego miejsca i czasu. Doświadczenia minionych lat i wciąż aktualne sprawy Pinocheta i Fidela Castro wskazały na konieczność powołania jednego, stałego sądu międzynarodowego.

Przyjęcie Statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego poprzedziły długotrwałe negocjacje. Nie obyło się także bez sporów dotyczących podstawowych rozwiązań proceduralnych i organizacyjnych. Odbywały się sesje specjalne Komitetu, jak również konferencje międzynarodowe. Przykładowo, 4-5 sierpnia 1997 roku odbyła się sesja specjalna w Nowym Jorku, zaś 6-7 lipca 1997 roku konferencja międzynarodowa w Londynie.

W ciągu prac rozwiązywano następujące problemy:

– czy i w jakich przypadkach do wszczęcia postępowania w konkretnej sprawie konieczna jest zgoda państwa,

– tzw. trigger mechanism, czyli tryby, w jakich może nastąpić podjęcie sprawy przez ICC,

– pozycja oskarżyciela i jego uprawnienie do działania ex officio, czyli z urzędu.

Projekt przewidywał, że do wszczęcia postępowania niezbędny jest wniosek zainteresowanego państwa lub skierowanie sprawy do MTK przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Bardzo ciekawy problem dotyczył tzw. „perspektywy obu płci” (gender perspective). Oznacza to, że należy oddzielnie, z perspektywy każdej płci, rozwiązać potrzebę wprowadzenia poszczególnych zasad czy reguł proceduralnych, a także trzeba analizować skutki rozwiązań oddzielnie dla kobiet i mężczyzn. Doświadczenia historyczne dowodzą, iż państwa mają tendencję do niedoceniań wagi przestępstw, których ofiarami są głównie kobiety np. masowe gwałty w czasie konfliktów zbrojnych i inne formy przemocy seksualnej.

Na konferencji w Londynie zajęto się m.in. gwarancjami praw oskarżonego. Referat wygłosił prof. Swart z Courts of Justice w Holandii. Wskazano na konieczność przestrzegania uprawnień oskarżonego przed sądem międzynarodowym we wszystkich fazach postępowania.

Przechodząc już do ogólnego określenia zakresu kompetencji Międzynarodowego Trybunału Karnego należy stwierdzić, że ma on być sądem funkcjonującym niezależnie od struktur ONZ, współpracującym z ONZ na podstawie odrębnego porozumienia.

Jurysdykcja sądu została ograniczona w porównaniu z projektem. Art. 5 Statutu stwierdza, że jurysdykcja Trybunału zostaje ograniczona do najpoważniejszych zbrodni przeciwko międzynarodowej społeczności jako całości. Wymienione są cztery kategorie zbrodni:

1. the crime of genocide – ludobójstwo,
2. crimes against humanity – zbrodnie przeciwko ludzkości,
3. war crimes – zbrodnie wojenne,
4. the crime of aggression – zbrodnie agresji.

W projekcie wymieniane były jeszcze niektóre poważne przestępstwa konwencyjne np. handel narkotykami.

Kompetencja sądu ma charakter automatyczny, czyli jest uznawana przez każde państwo będące stroną Statutu bez potrzeby spełniania dodatkowych warunków. Wyjątek od tej zasady jest przewidziany w art.127, zgodnie z którym państwo, które staje się stroną może oświadczyć, że przez 7 lat nie będzie uznawać kompetencji sądu w odniesieniu do jednej kategorii zbrodni, mianowicie zbrodni wojennych popełnionych przez obywateli tego państwa lub na jego terytorium. Był to swego rodzaju gest zachęty wobec USA, które jednak nie podpisały Statutu, podobnie jak Chiny, Libia czy Irak.

Postępowanie w Międzynarodowym Trybunale Karnym może być wszczynane przez Prokuratora: na wniosek państwa-strony Statutu, na wniosek Rady Bezpieczeństwa, z jego własnej inicjatywy.

Takie rozwiązanie zwiększa szanse MTK na skuteczne i niezależne działanie..

W Statucie potwierdzono zasadę, że stanowisko urzędowe oskarżonych nie zwalnia z odpowiedzialności. Nie będą więc honorowane żadne immunitety. Zaś działanie na rozkaz nie będzie zwalniało z odpowiedzialności za ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości. W innych przypadkach istnieje możliwość zwolnienia z odpowiedzialności.

ICC będzie mógł orzekać karę pozbawienia wolności na okres nie przekraczający 30 lat, w szczególnych przypadkach także karę dożywocia. Skazani będą odbywać karę w więzieniach państw wybranych przez sąd z listy państw, które same zgłoszą swoje „kandydatury”.

To rozwiązanie budzi nadal wiele kontrowersji, ponieważ warunki w więzieniach w poszczególnych państwach różnią się od siebie. Należałoby więc zastosować kryteria, które decydowałyby o jednakowym traktowaniu skazanych.

W skład sądu wchodzić będzie 18 sędziów, wybieranych na 9 lat przez specjalne zgromadzenie państw będących stronami Statutu. Siedzibą MTK będzie Haga.

Wszystkie te postanowienia będą obowiązywać, gdy Statut nabierze mocy wiążącej. Już teraz wiadomo, że będzie to proces długotrwały.

Utworzenie Międzynarodowego Trybunału Karnego zostało przyjęte przez społeczność międzynarodową z dużym zadowoleniem. Niewątpliwie wypracowanie wspólnego stanowiska tylu państw wiązało się z daleko idącym kompromisem, który niejednokrotnie doprowadził do ograniczeń w stosunku do projektu. Jednakże utworzenie stałego sądu międzynarodowego jest dużym sukcesem, i z pewnością znacznie usprawni obecne funkcjonowanie międzynarodowego wymiaru sprawiedliwości.

Bibliografia:

1. Statut Międzynarodowego Trybunału Karnego, Rome Statute of The International Criminal Court.
2. E. Mikos-Skuza, *Odpowiedzialność osób fizycznych*, „Edukacja Prawnicza” 1998, nr 1.
3. L. Gardocki, *Zarys prawa karnego międzynarodowego*, Warszawa 1985, s. 22-33.
4. M. Flemming, *Międzynarodowe sądownictwo karne. Nowe perspektywy*, „Wojskowy Przegląd Prawniczy” 1994, nr 2.
5. E. Zielińska, „Państwo i Prawo” 1997, nr 10, s. 88-90.
6. R. Wieruszewski, *Międzynarodowy Trybunał Karny dla osądzenia sprawców naruszeń prawa humanitarnego w byłej Jugosławii*, „Państwo i Prawo” 1993, nr 8.

Jerzy Jacek Bojarski

Niepełnosprawność polityczna AWS

Minął rok 1998, rozpoczynamy nowy – 1999. Wielu ludzi nagabywanych przez media usiłuje podsumować miniony czas. Ponieważ nie dane mi było być na balu sylwestrowym, zadumałem się nad myślą polityczną, która tej nocy mnie porwała. Pomogła mi w tym również lektura prasy, narzucającej swoją wizję świata nacechowaną bardziej sensacją niż informacją. Powróciło do mnie jak bumerang pytanie, czy ja - nie będąc *homo politicus* - mam jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje w życiu polityczno-społecznym. Czy bezpartyjność ma sens, czy nie trąci aby jakąś niepełnosprawnością? Czy trwanie w takim układzie jest potrzebne, a jeśli tak, to komu? Mnie czy innym? Przedsylwestrowy natłok pytań był tak duży, jak klientów do Leclerca – ledwo się uporałem z wątpliwościami. Zacząłem to wszystko porządkować w swojej łepetynie, by nie zgubić ani jednej cennej myśli.

Dwa cytaty dały początek moim dywagacjom quasi-politycznym. Pierwszy, który postawił przysłowiową kropkę nad „i” w decyzji wzięcia udziału w wyborach, jest z Listu Metropolity Lubelskiego abpa Józefa Życińskiego w sprawie wyborów samorządowych: *Postać polityki zależy od ludzi, którym powierzy się funkcje społeczne.*

Owszem, te słowa do mnie przemówiły, ale czy ja jestem tą osobą, o której one mówią? Czy jestem w stanie urzeczywistnić politykę ze względu na chrześcijańską odpowiedzialność?

Przed czynnym życiem politycznym bronilem się bardzo długo, aż tu nagle ludzie z zewnątrz zaproponowali mi, bym startował, nawet z list konkurencyjnych. No i owszem, dogadzało to mojej próżności, ale ja czekałem na fakty, które przyszły bardzo szybko. A więc cięża przedwyborcza nie była urojona: nie tylko ja chciałem, ale także inni mnie do tego usilnie namawiali i twórczo zapłodnili. Miałem, oprócz dużego szczęścia, wiele życzliwych osób i instytucję, która mi pomogła - duchowo, finansowo i praktycznie. Do mnie należało wykrzesać trochę odwagi, by swoje wątpliwości przerwać śmiałą decyzją we właściwym momencie, i tutaj odezwało się we mnie dobrze pojęte zwierzę polityczne. Do tego włożyłem jeszcze wiele własnej pracy i inwencji, a na owoce nie trzeba było długo czekać.

Drugi cytat jest zaczerpnięty z „Humoru Ojców Pustyni” (którego byłem wydawcą).

Abba Eulogiusz pewnego dnia nie potrafił ukryć swego smutku.

Dlaczego jesteś smutny, abba? - zapytał go jakiś starzec.

- Ponieważ zaczynam wątpić w inteligencję braci w przypadku, gdy chodzi o wielkie Boże rzeczywistości. To już trzeci raz zdarza się, że pokazują im kawałek lnu z czerwoną

kropką, pytam ich, co widzą, a wszyscy odpowiadają mi: „Czerwoną kropkę”, a nigdy : „Kawałek lnu”.

Słowa te przekonały mnie, że trzeba trwać przy raz podjętej decyzji, która jest lub wydaje się słuszną. Dalej - często nie zrażając się ignorancją i niezrozumieniem, pokazywać w szerszym kontekście i w sposób konkretny swoje wizje, by inni mogli je zrozumieć i przekonać się do nich.

Można by rzec za znakomitym politykiem niemieckim Adenauerem, że „polityka jest sztuką dostrzegania i urzeczywistniania tego, co z punktu widzenia etyki jest prawidłowe”. Ciężko niektórym politykom jest zobaczyć kawałek płótna. Na czym to polega, że niektórzy widzą tylko czerwoną kropkę ? Czy nie mają umiejętności ujmowania całościowo problemów, które jawią się w samorządzie terytorialnym ? Czy dobór ludzi poprzez powszechne wybory jest właściwy ? Jak zadbać o dobre kryteria ?

Lektura prasy i książek, której się oddałem, dopełniła reszty. Z zaciekawieniem przeczytałem notatkę w „Gazecie Wyborczej” z dnia 19-20 XII 1998 r., w której dominuje wypowiedź Pawła Łączkowskiego, mówiąca o reformie w AWS: *Dziś decyzje podejmowane są tu nie wiadomo, gdzie i nie wiadomo, jak. Żadne formalne struktury nie funkcjonują należycie. Trzeba to zmienić, jeśli AWS ma przetrwać.* Oto pytanie szekspirowskie: „być albo nie być” AWS-u ? Pytanie, przed którym się nie ucieknę. Będąc w Klubie AWS wybrałem wolność polityczną, własną niezależność, którą postawiłem przed pozorem jedności, do której trzeba dojrzeć, a później powoli iść krok po kroku do przodu, budując nowe relacje jakościowe. Owszem, jestem idealistą, (ale nie człowiekiem naiwnym), lecz przede wszystkim jestem praktyczny w życiu i pragmatyczny w polityce. Chcę uniknąć sytuacji, gdy Klub ma charakter ekskluzywno-dekoracyjny, a decyzje zapadają w sposób nieprzemyślany, jak nieudolna gra w szachy prowadzona przez amatora. Mam świadomość, że w Klubie są ludzie z zaletami i wadami, o różnych opcjach i partykularyzmach politycznych, otwarci i doświadczeni oraz lękający się, świeżo wybrani radni. Jedność polityczna jest tylko mirażem, gdy u fundamentów nie ma zrozumienia, zaufania, współdziałania, trzeźwości spojrzenia, powściągliwości w wypowiedzaniu się (gdy krasomówstwo nie poparte doświadczeniem i wiedzą jest bezużyteczne).

Czy więc teza Łączkowskiego jest prawdziwa ? A jeśli tak, to kto ma zmienić taki stan rzeczy i w jaki sposób ? Nasza – radnych – postawa da odpowiedź na wszystkie zapytania.

Nie jestem politykiem, nigdy do żadnej partii nie należałem, więc zdaje mi się, że nie noszę w sobie przynajmniej aberracji politycznych.

Pierwszy szok niepełnosprawności politycznej przeżyłem, gdy zachęcono i namówiono mnie do startowania w wyborach samorządowych z rekomendacji Klubu Inteligencji Katolickiej w Lublinie (do którego nie należę), z listy Komitetu Wyborczego Akcji Wyborczej Solidarność. Nie miejsce tutaj, aby opisywać, jak do tego doszło oraz przedstawiać mechanizmy kształtowania się listy, na której umieszczono mnie „za pięć dwunasta”. Być może wynurzenia takie dałyby pogląd na to, co i kto decyduje, by dostać się na linię startową demokracji. W moim przypadku zdecydował przypadek (tautologia), ale czy na pewno ? Muszę nadmienić, że dla mnie te doświadczenia są cenną lekcją z dziedziny zwanej demokracją przedwyborczą.

Drugi szok mnie dopadł, kiedy już znalazłem się na jednej z list i podczas kampanii wyborczej, gdzie ponoć szliśmy pod hasłem: „Idziemy razem” (trzeba by było podać de-sygnaty tego stwierdzenia, bo niektórzy „szli razem, a nawet osobno”). Ku memu zdziwieniu metę demokratycznych wyborów pokonałem z niezłym wynikiem, zdobywając mandat radnego Rady Miejskiej w Lublinie z listy AWS (nie jest to moja zasługa, gdyż na siebie oddałem tylko jeden głos, ale to paradoksalne, w gruncie rzeczy on był decydujący). W konsekwencji wyładowałem w Klubie AWS Rady Miejskiej, który ma większość.

Trzeci szok był moim (i nie tylko) udziałem, kiedy wszystkie siły i podmioty polityczne w AWS po mozolnych rozmowach uzgodniły obsadę personalną Zarządu Miasta, a ktoś chciał tę układankę polityczną zburzyć jak domino. Były to siły wewnętrzne i zewnętrzne. Zrozumiałem wtedy, że demokratycznie wybrana samorządowa władza „polityczna” słabnie wobec władzy „ekonomicznej”, której nikt nie wybierał, a która chciałaby mieć wpływ na politykę. Dopiero w Klubie AWS doznałem olśnienia, że dobrze być bezpartyjnym, gdyż można działać na rzecz dobra, zachowując instynkt polityczny, nie pytając nikogo o zgodę i bez uprawnień strażackich gasić zadymy polityczne nie służące nikomu.

Czwarty szok to konfrontacja prawdy z wyobrażeniami na temat ludzi tak zwanej prawicy. Pojęcie prawicy wytłumaczyłem sobie szybko, ewangelicznie i z dozą humoru: *Niech nie wie lewica, co czyni prawica*, bo by się na śmierć zaśmiała. Mam miłosierdzie dla prawicy, więc faktów nie podam, by nie było ofiar śmiechu (choć sejmik dostarcza ich powoli, ale skutecznie i z determinacją...). Zrozumiałem także, co jest istotne w polityce: godność, umiar (samoograniczanie) i dalekowzroczność.

Oceny podyktowane polityką, uprzedzeniami ideologicznymi, albo ignorancją nie mają umocowania w społeczeństwie. Ludzie wymagają od polityków współpracy, rezygnacji z niezrozumiałych dla nich kłótni i nienawiści. Brak jest dzisiaj autorytetów politycznych, które byłyby nastawione na służbę publiczną, ograniczając swoje, często chore ambicje polityczne. Dzisiejszym politykom brakuje rysów osobowościowych, mimo iż często odwołują się do katolicyzmu i jego nauki. Robert Schuman, skromny polityk francuski – ojciec integracji europejskiej – który siły czerpał z wiary, mówił: „Demokracja zawdzięcza swoje istnienie chrześcijaństwu. Powstała ona wtedy, kiedy człowiek został wezwany do zrealizowania w swoim życiu doczesnym zasady godności osoby ludzkiej w ramach wolności indywidualnej, poszanowania praw każdego i praktyki braterstwa wobec wszystkich ... Demokracja związana jest z chrześcijaństwem doktrynalnie i chronologicznie. Chrześcijaństwo uczyło równości wszystkich ludzi, dzieci tego samego Boga, odkupionych przez Chrystusa, bez różnicy rasy, koloru skóry, klasy i zawodu”.

Piąty szok to praca w Radzie Miejskiej. Na razie pracuję w czterech komisjach. Uchwalamy wiele ustaw, wszyscy są zapracowani, przygotowujemy budżet i ... przychodzi refleksja. Czy w tym wielkim zabieganiu nie jest tak, że nie ma czasu załadować przysłowiowej taczki? Podejmujemy często decyzje nawet w drobnych sprawach, a nie ma czasu na sprawowanie władzy. Spotkania klubowe podczas sesji mają służyć podejmowaniu racjonalnych decyzji, ale czy tak jest ?

Czas dobrego sprawowania władzy rozumiem jako wybór najlepszych preferencji, które są potrzebne na teraz i możliwe do zrealizowania. Władzę jest ciężko zdobyć, ale

jeszcze ciężiej jej dobrze używać. Demokracja, której uczymy się wszyscy, musi się zmieniać jak gospodarka, społeczeństwo. Mechanizmy sprawowania władzy, choćby te demokratyczne, też muszą ewoluować, by nie opóźniać podejmowania decyzji na szczeblach władzy samorządowej.

Okazuje się, że kiedy pracujemy w komisjach, zarówno ludzie AWS, SLD, jak i UW wobec postawionych problemów i ich rozwiązania myślą często tak samo. Na sesjach przychodzą demony polityczne i uzyskany punkt widzenia znika błyskawicznie.

Czy jest miejsce na wspólne działanie z opozycją w Radzie Miejskiej? Osobiście sądzę, że jest to możliwe, że możemy wspólnie poszukiwać rozwiązań naszych miejskich problemów, gdyż najpełniej można przeżywać politykę na poziomie spraw komunalnych.

Głównego źródła niepełnosprawności politycznej upatruję w ciasnych partykularyzmach partyjnych i braku autorytetów. Cytowani wyżej politycy: Adenauer i Schuman pokazali, jak przekroczyć wrogość i zwyciężyć panujące po wojnie emocje, i stworzyli fakty dobrej współpracy gospodarczej, stając się tym samym ojcami integracji europejskiej, którą możemy konsumować dopiero po tylu latach.

Dzisiejszym politykom i sobie życzę myślenia i działania w tym stylu, a więc przekraczania barier, zmieniania mentalności, pozbywania się wrogości i rozbijania wszelkich stereotypów.

Telefon Zaufania dla Niepełnosprawnych
(0-81) 747 98 21

• *informacje o autorach*

Nadzieja ARTYMOWICZ – poetka, związana z grupą literacką „Białowieża”. Od 1992 roku należy do Związku Literatów Polskich. Utwory drukowała w prasie białoruskojęzycznej w Polsce oraz na Białorusi. Jest autorką pięciu tomików wierszy: *We śnie w bólu słowa*, Białystok 1979, w tłumaczeniu Jana Leończuka; *Rozdumy* (Rozmyślania), Białystok 1981; *Siezon u białych pejzażach* (Sezon w białych pejzażach), Białystok 1990; *Z niespokojnych daroh* (Z niespokojnych dróg), Mińsk 1993; *Dzwierzy* (Drzwi), Białystok 1994, współautorstwo Aleś Razanau. Wiersze były przekładane na język polski, niemiecki, ukraiński, serbski i rosyjski.

Joanna BOBER – pedagog, absolwentka KUL; publicystka „Naszego Dziennika”.

Jerzy BOJARSKI – historyk; kierownik Księgarni Akademickiej Redakcji Wydawnictw KUL; radny AWS w Lublinie.

Bolesław BRYŃSKI – polonista, absolwent UW; dotknięty w dużym stopniu dziecięcym porażeniem mózgowym.

Władysław CISAK – więzień Aresztu Śledczego w Gdańsku.

Adam DOBRZYŃSKI – student czwartego roku filozofii KUL; prezes Koła Filozoficznego Studentów KUL.

Magdalena GAJKO – studentka pierwszego roku filozofii przyrody KUL; fotografik, wiolonczelistka i żeglarka.

Magdalena GAWLIK – studentka piątego roku teologii KUL.

Patrycja GIERAK – uczennica drugiej klasy Liceum Technicznego w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

Katarzyna GRZYBOWSKA – studentka czwartego roku prawa KUL; stypendystka MEN.

Michał HUCAŁ – uczeń czwartej klasy Liceum Ekonomicznego przy Zespole Szkół Ekonomicznych im. Vetterów w Lublinie.

Grzegorz JEGOR – laureat drugiej nagrody w II Konkursie Poezji Więziennej „Krasnystaw’96”.

Tadeusz KARABOWICZ – doktor nauk humanistycznych; pracownik naukowy UMCS.

Edyta KOPIEL – uczennica drugiej klasy Liceum Technicznego w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

Piotr KOT – dziennikarz katolickiego programu „Czasy” w TVP.

Katarzyna KRAKOWSKA – studentka piątego roku historii KUL.

Mariusz KRAWIEC – kleryk Towarzystwa św. Pawła; student piątego roku teologii KUL.

Marta KUBISZYN – pracownik Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Lucyna KUJAWA – nauczycielka historii i wiedzy o społeczeństwie w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

Adrian LESIAKOWSKI – student drugiego roku pedagogiki UMCS.

Eugeniusz ŁASTOWSKI – nauczyciel z Zielonej Góry.

Władysław MARCINEK – fizyk; pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego, od dzieciństwa chory na dysfurię mięśniową.

Maciej MIRNOWICZ – pielęgniarz, pracownik Kliniki Psychiatrii Akademii Medycznej w Lublinie; student piątego roku na Wydziale Pielęgniarskim AM w Lublinie.

Magda POKRZYCKA-WALCZAK – dziennikarka Miejskiej Gazety Powszechnej w Lublinie.

Magdalena PRZYBYŁA – studentka piątego roku filologii polskiej KUL.

Sebastian REJAK – student piątego roku teologii KUL; prezes Koła Naukowego Studentów Teologii KUL.

Jacek ROGOWSKI – malarz, muzyk, radny z Sanoka.

Marcin ROMANOWSKI – kleryk Towarzystwa św. Pawła; student teologii KUL.

Marcin SKRZYPEK – pracownik Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” (koordynator programu edukacyjnego).

Andrzej SOBICZEWSKI – uczestnik i laureat wielu konkursów poetyckich, między innymi pierwszej nagrody w II Konkursie Poezji Więziennej „Krasnystaw’96”.

Ewa SOSNÓWKA – teatrolog; pracownik Wydawnictwa Naukowego UMCS.

Andrzej SZEJGIEC – uczeń drugiej klasy Liceum Technicznego w Zespole Szkół Chemicznych w Lublinie.

Wacław SZALAŁAWA – wierny czytelnik „Scriptores Scholarum”, moralista katolicki.

Krzysztof ŚMIGÓRSKI – student pierwszego roku psychologii KUL; rzecznik praw niepełnosprawnych przy Samorządzie Studenckim.

Anastazja ŚNIECHOWSKA – doktorantka w Instytucie Filologii Polskiej UMCS.

Michał ŚWIDZIŃSKI – asystent w Katedrze Filozofii WSPR w Siedlcach; doktorant na Wydziale Filozofii KUL; nauczyciel filozofii w SLO w Niedrzwicy Kościelnej.

Jan WIĘZIEŃ – pseudonim więźnia z Zakładu Karnego we Włocławku; laureat pierwszej nagrody w III Ogólnopolskim Konkursie Poczty Więzienniczej „Krasnystaw'97”.

Jacek WOJTYSIAK – asystent w Katedrze Teorii Poznania KUL; prowadzi zajęcia m. in. z dydaktyki i metodyki nauczania filozofii.

Anna WOŹNIAK – dziennikarka katolickiego programu „Czasy” w TVP.

Ireneusz ZIEMIŃSKI – doktor filozofii; adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

Sławomir J. ŻUREK – doktor nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski w Sekcji Filologii Polskiej KUL; prowadzi zajęcia m. in. z dydaktyki szczegółowej literatury i języka polskiego; nauczyciel języka polskiego w PK ŁO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie; współpracownik Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.

WYŻSZA SZKOŁA DZIENNIKARSKA

im. Melchiora Wańkowicza

w Warszawie; ul. Nowy Świat 58

tel. (0-22) 826 10 96

Instytut Dziennikarstwa w Lublinie

ul. Szewska 4 (III p.), tel. 534-30-24, 534-93-73

w roku akademickim 1999/2000

proceedzi nabór na trzyletnie studia licencjackie
(dzienne, zaoczne, wieczorowe) w następujących specjalnościach:

1. DZIENNIKARSTWO
2. NAUKI POLITYCZNE
3. ADMINISTRACJA PUBLICZNA I GOSPODARCZA
4. STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE

oraz studia podyplomowe w zakresie:

- PSYCHOLOGII KOMUNIKOWANIA
(AUTOPREZENTACJA, MEDIA, NEGOCJACJE, PUBLIC RELATIONS)
- MARKETINGU POLITYCZNEGO

Informacje w Sekretariacie Instytutu

Lublin, ul. Szewska 4 (III p.)

Tel. 534-30-24, 534-93-73 w godz. 10.00-15.00

Uczelnia oczekuje na rozpatrzenie wniosku o prowadzenie studiów magisterskich na wszystkich specjalnościach.

SCRIPTORES SCHOLARUM 1999

Zeszyt (Anty)Feministyczny – nr 1 (22)

Zeszyt Środowiskowy – nr 2/3 (23/24)

Zeszyt Dokumentalny (1989-1999) – nr 4 (25)

Cena prenumeraty „Scriptores Scholarum” (roczna nr 22, 23/24, 25) 18.00 zł
(Cena obejmuje koszty przesyłki).

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Teatr NN istnieje od 1990 roku. W oparciu o program realizowany w teatrze powstał Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Ośrodek ten jest jednostką samorządową. Siedzibą Ośrodka jest XVI-wieczna Brama Grodzka zwana też Żydowską – dawniej była ona przejściem... między... iast... chrz...ścijański... i ...i...em żydowskim. W swoim programie Ośrodek nawiązuje do symbolicznego znaczenia tej Bramy jako miejsca łączącego kiedyś różne narody, tradycje i religie. Od września 1995 roku działa w Ośrodku Stowarzyszenie „Brama Grodzka”.



Główne cele Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

1. Działania służące współpracy oraz dialogowi między środowiskami twórczymi z Europy Środkowo-Wschodniej i Zachodniej
2. Edukacja na rzecz budowania społeczeństwa obywatelskiego i demokracji lokalnej
3. Ochrona dziedzictwa kulturowego związanego z siedzibą i otoczeniem Ośrodka
4. Działalność artystyczna Teatru NN

W ramach działalności Ośrodka odbywają się:

spotkania autorskie, wykłady, sesje, prezentacje przedstawień teatralnych, wystawy (fotografia, malarstwo, grafika), projekcje filmów, warsztaty artystyczne, szkolenia.

Jednym z najważniejszych programów realizowanych przez Ośrodek są „Spotkania kultur”. Jest to program prezentacji dorobku artystów i ludzi kultur z Europy Środkowo-Wschodniej i Zachodniej, nawiązujący do położenia Lublina na pograniczu Wschodu z Zachodem – do jego wielokulturowych tradycji. Uczestnikami tych spotkań byli artyści z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji, Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec, Izraela. Częścią „Spotkań kultury” są również „Spotkania z prawosławiem” oraz spotkania z dziedzictwem Żydów lubelskich – „Żydzi lubelscy”.

Biblioteka Scriptorum Scholarum

Arkusze Edukacyjne

• Tom I

ROZMOWY EDUKACYJNE

Wstęp, opracowanie i redakcja – Sławomir J. Żurek

Rozmowy edukacyjne były przeprowadzone i redagowane w latach 1993-1997 przez redaktorów kwartalnika „Scriptores Scholarum” – uczniów szkół średnich oraz ich nauczycieli. Materiały zgromadzone w książce mogą być wykorzystywane jako inspirująca pomoc na wielu lekcjach w Twojej szkole, pomogą Ci przygotować się do olimpiady przedmiotowej, dadzą pojęcie o środowisku uniwersyteckim i jego problemach.